

A. LEJKIN

NASI ZA GRANICĄ

POWIEŚĆ SATYRYCZNA



NAKŁAD:
ŚLĄSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE I WYDAWNICZE
«**POLONIA**»
SP. AKC. W KATOWICACH

Pietusoka

1. VII 21

80 gr

#21

22-
3

M. LEJKIN.

Nasi zagranicą

Humorystyczny opis podróży małżonków

**Mikołaja Iwanowicza
i Głafiry Siemionowny Iwanowowych**

do Paryża i z powrotem

Tłumaczył A. Wydźga.

Ilustrował S. Keller.

Katowice.

Wydawnicza „POLONIA“.

[50 1896]

K 248876
1005838 II

W-02/750/3



4.08.

30 ✓



I.

Przejechano granicę rosyjską. Ukazał się orzeł pruski na tarczy, przybitej do słupa. Pociąg wjechał na stację. Rosyjscy korduktorzy po raz ostatni otworzyli drzwiczki wagonów. Słychać było mowę niemiecką. Przed wagonem stało dwóch spastłych Niemców w czarnych płaszczach wojskowych z mnóstwem guzików po prawej i lewej stronie piersi w hełmach z ostrzem na czubku. „E i d k u n e n“! *) krzyknął ktoś, połykając sylaby. Widać było szyldziki ze strzałkami i napisami „H e r r e n“, „D a m e n“. Pasażerowie zaczęli zdejmować z półek bagaż ręczny i wychodzić z wagonów. W ich liczbie był również młody kupiec z Moskwy, którego zawód i pochodzenie rzucał się w oczy z całej postawy, z każdego ruchu pomimo, iż ubrany był wedle ostatniej mody.

Młody kupiec uderzył dłonią o dno kapelusza melonika i rzekł do żony:

— No, Głafiro Siemionowno, przyjechaliśmy do zagranicy. Teraz będziemy musieli pokazać im nasze wykształcenie. Wypsyj-no trochę słów zagranicznych! Syp bez żadnych ceregielów. Wał na całego..

Młoda małżonka, również ubrana według ostatniej mody, zdradziła nieco zakłopotania i zaczerwieniła się.

— A co to za ziemia? — zapytała.

— Wiadomo... Prusactwo! Na granicy zawsze Niemiec stoi. Do żadnej ziemi nie dojedziesz, nie omijając Niemca. Weźże swoją poduszkę do licha. Przecież trzech nie przecisnę przez drzwi. Co do walizek, zawołamy tragarza. Jak to będzie „tragarz“ na fason niemiecki?

— Nie wiem, Mikołajur Iwanowiczu. Na pensji nie uczono nas tego... Ja... wogóle po niemiecku... nie bardzo... Kiedy przychodził do klasy nauczyciel niemieckiego, zawsze mnie zęby bolały.

— To tak?... No, no.... A przecież mówiłaś, że uczyłaś się?

— No przecież mówię... Ale, uczyłam się tylko słów pokojowych, domowych. Ot gdyby tak spytać coś, co jest w pokoju, albo, gdyby się było trzeba przywitać z kim, albo zapytać się o pogodę...

*) Stacja „E i d k u n y“ na Żmudzi, dawniej stacja pograniczna z Prusami Wschodnimi.

— No, no... To dziwne... Przecież sam słyszałem, jak kiedyś deklamowałeś wiersze w obcym dialekcie?

— To po francusku... Ot, gdyby tak było po francusku potrzeba, to umiem daleko więcej.

— Tak, tu w niemieckiej ziemi po francusku?! Tutaj za język francuski można się łatwo znaleźć w policji. Niemiec nie lubi Francuza jak choroby. Francuz dla Niemca, to karaluch w zupie. Hej, tragarz! — krzyczy kupiec. — Gut morgen... Jak to dalej... Komenzi... Nasze walizy... Bryngenzi... Walizy...

— Widzisz Mikołaju, sam znasz słowa niemieckie.

— Co tam, jakieś dziesięć słów. Z tem daleko nie pójdziesz. Jeżeli chodzi o coś do wypicia, to mogę sam poprosić... Wszystkie słowa względem wódeczności znam doskonale, ale resztę ani w ząb. Hej, her tragarz! „Her“ to według nich „pan“. Trzeba z nimi grzecznie, może coś pomoże... Her tra-



garz! Nie idzie, bydlę! Wlazł do innego wagonu. Będziemy sami musieli taszczyć wszystko, czy co?... Zabieraj poduszki, a ja wezmę walizy... Zabieraj! Czego stoisz?

— Widzisz, ta największa nie przechodzi przez drzwi. Trzeba chyba po jednej...

— Pociąg ty u licha zabierała ze sobą aż trzy poduszki.

— Przecież ja nie mogę spać na jednej. Krew do głowy mi uderza. A pozatem przecież nie wiemy, dokąd zajedziemy. Może tam zupełnie nie mają poduszek...

— Zostaw te poduszki. Poczekaj, pomogę ci... No, popychaj, popychaj z tyłu... Tak... Tutaj jest komora celna... Żeby tylko Niemcom nie przyszło do głowy rozprawać poduszek i szukać w nich... Przecież to całe pierzyny. Mogą pomyśleć, że to worki ze szmuglem. Żeby chociaż powiedzieć im, że to poduszki. Jak poduszka po niemiecku?

— Nie wiem,

— Dzień dobry! A przed chwilą chwaliłaś się, że słowa pokojowe, domowe znasz. Przecież poduszka — słowo pokojowe?

— Znałam, ale zapomniałam... Dlaczego gniewasz się na mnie? Przecież też nie wiesz!

— Ja co innego. Moja specjalność to słowa... bufetowe. O! na przykład w restauracji mogę piersza klasa... „Bir-trinken“... Sznaps-trinken... Zeidel... flasze... buterbrod... i pozatem ja się nie uczyłem na pensji. Słów niemieckich nauczyłem się od kolonistów, Niemców, którzy przyjeżdżają do nas do sklepu po szpagat, płótno i gwoździe. „Ein, cwaj, draj, fir, rubel, cwancig kopeken“. Liczyć po niemiecku mogę, ile chcesz, ale innych słów nie znam. Poczekaj. Postój tu koło poduszek, a ja wytaszczę walizy. Hej, her tragarz! Numer „ajn und cwancig“! K o m e n z i! — znów zaczął wołać kupiec i kiwać ręką na tragarza.

Wreszcie przyszedł tragarz, zabrał rzeczy i zaczął iść. Za nim kupiec i żona nieśli poduszki, parasole, pled i kołdrę wątową pikowaną.

— Zollamt... jetzt ist Zollamt... Haben Sie Koffer, mein Herr? — zapytał kupca tragarz.

— Djabeł go wie, co tam mruczy! — rzekł kupiec. — Głasza, rozumiesz, co on mówi? — zwrócił się do żony.

— Pewno prosi o napiwek. Daj mu! — odpowiedziała żona.

— Co za naród! Nawet 40 groszy nie chce zawierzyć z góry żądają gotówki. Masz, masz... Masz tu 60 groszy. Nie myśl, że masz do czynienia z oszustami. W Moskwie znają nas powszechnie, moje weksle z podpisami spacerują po bankach na jakieś półtora tysiąca, wiesz...

Tragarz nie brał pieniędzy i mówił:

+ Nacher! Nacher werden Sie zahlen!

— Głasza. Nie bierze! Czyżby 60 groszy było zamało? — pytał zdziwiony kupiec. — A może chce niemieckich pieniędzy? — — —

— Ależ z pewnością chce niemieckich pieniędzy.

— Dejcz geld chcesz? Trzeba dejcz zmienić! Gdzie tu jest kantor wymiany? Trzeba zmienić, rozumiesz? Nic nie rozumie! Głasza! Powiedz — że mu po niemiecku, jak cie tam uczono. Nie wstydź się! Powiedz, jak po niemiecku kantor wymiany. Wal na całego.

— Ach Boże! Czego ty mnie maltretujesz.

— Nic nie umie. A u madamy się uczyła!

— Kantor wymiany znajdzie pan na dworcu. Tam żyd panu zmieni pieniądze! — rzekł ktoś z tyłu po rosyjsku.

Mówił jakiś pan w miękiej czapce podróżnej. Kupiec odwrócił się i rzekł.

— Miersi panu! Rzeczywiście, że zadziwiająco trudne jest obcowanie tutaj bez języka niemieckiego... Nic nie ro-

zumieja. Może byłby pan tak uprzejmy i powiedział temu szwabowi, że dostanie odemnie na piwo piersza klasa, ale muszę zmienić rosyjskie pieniądze. Ot tak... jeszcze raz miersi panu... Przepraszam, a jak po niemiecku „kantor wymiany“, żebym mógł się zapytać?

— Wekselbude!... Żyd, który siedzi tam, mówi po rosyjsku. — — —

— Ankor miersi panu... Wekselbude, wekselbude, — powtarzał kupiec. — Zapamiętaj, Głasza, jak się ten kantor wymiany nazywa, bo mogę w pośpiechu zapomnieć. Wekselbude, wekselbude...

Przy drzwiach na dworcu stali żandarmi pruscy i urzędnicy celni i odbierali paszporty, poczem przepuszczali pasażerów po kolei.

— Ech, trzeba było zabrać ze sobą w drogę Karola Adadowicza, choćby dla języka niemieckiego! — mówił kupiec. — Coprawda, pijanica z niego porządny, ale za to język... Mcznaby go było ubrać w mój stary paltocik i udawałby pana. Koszowałaby tylko droga i popicie, bo nie je prawie nic. Stanowczo trzeba było go wziąć ze sobą; terazby za nas musiał szwargotać tu po niemiecku.

— Dlaczegoż tedy nie wzięłeś? — rzekła żona.

— A czy sama nie mówiłaś, że z nim mogę łatwo wpaść na złą drogę? Trochę nadziei miałem na te twoje wykształcenie, myślałem, że jeżeli uczyłaś się u madamy na pensji, i wiersze niemieckie deklamujesz, to jakżebyś nie znała niemieckich słów. A ty nawet nie masz pojęcia o tem, jak po niemiecku poduszka.

— Już ci raz powiedziałam, że ja znam tylko słowa polityczne, a czy poduszka, to polityczne słowo?

Kłamiesz. Przed chwilą chwaliłaś się, że znasz słowa pokojowe. — — —

— Faj, jak ty mi się naprzykrzyłeś. Wezmę oto i na złość ci zacznę płakać.

— To płacz. Niech cię djabli...

Żona zaczęła mrógać załzawionemi oczami, kupiec popychał ją w kierunku wyjścia.

— Pass! — rzekł żandarm i zagroził drogę

— Głasza! Co on mówi? Czego chce? — pytał kupiec żonę. — — —

— Odczep się. Nie wiem.

— Pass! — powtórzył żandarm i wyciągnął rękę.

— No i patrzcie państwo, zupełnie jakby w karty grał: pas i pas. — — —

— Niech pan pokaże paszport, on żąda paszportu! — rzekł ktoś po rosyjsku.

— Paszport? Dlaczego nie mówi, a wciąż: pas i pas... Oto paszport. — —

Kupiec wręczył żandarmowi paszport i prześlizgnął się koło niego. Żonę zatrzymano i też zażądano od niej paszportu.

— Głasza! Czegoś stała?... Choś tu faj... Głafira Siemionowna! Czego stoisz? — krzyczał kupiec.

— Przecież widzisz, że nie puszcza mnie, patrz nawet ręce wyciąga! — odpowiedziała żona. — Proszę mnie puścić! — krzyknęła rozdrażnionym głosem.

— Pass! — podwyższył głos żandarm.

— Przecież oddałem jej paszport. Żona przy mężu... Żona w moim paszporcie... Paszport wspólny... To moja żona. Proszę posłuchać her... To do niczego nie podobne... To nieporządek... Ajn paszport. Ajn paszport na cwaj! — tłumaczył kupiec zdenerwowany.

— Ja jestem jego żoną... Ja frau, frau... a on mój mąż... to mój mari..., Mon mari... — bełkotała żona.



Wreszcie i ją puszczono.

— Co za naród! — dziwił się kupiec. — Ani słowa po rosyjsku... I mówią jeszcze: inteligentne Niemcy! Chwała się, że gdzie się plunie u nich, wszędzie trafi się na uniwersytet, albo na akademię nauk. Pytam się, co to za wykształcenie?! Faj, żebyście zdechli!

Kupiec splunął.

II.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionówna zadyszani, rozczzerwienieni siedzieli wreszcie w wagonie pruskim. Przed nimi stał tragarz Niemiec i czekał na napiwek za przyniesione do wagonu walizy i poduszki. Mikołaj Iwanowicz trzymał na dłoni garść pruskich monet srebrnych, przekładał z ręki do ręki i stanowczo nie wiedział, jaką monetę należy dać tragarzowi.

— No i bądź tu mądry z temi pieniędzmi! -- mruczał. -- Jedne jak półrubłówki nasze, drugie — większe, ale też do naszego rubla jeszcze im daleko! A potem te drobne!... Na jednych pisze 10, na drugich 50, a wielkość prawie jednakowa.

— Daj mu coś w rodzaju naszego półrubla! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Żartuj, żartuj! Tak za wszystko płacić po pół rubla, to daleko nie zajedziemy. Prędko może floty zabraknąć.

— No więc daj ze trzy tych małych.

— Kiedy każda z nich inna. Na jednych 10, na drugich 50, a wielkość jednakowa. Czego 10, a czego 50? Kłopot z cudziemi pieniędzmi.

Wziął trzy monetki dziesięćfenigowe i dał je tragarzowi. Ten skrzywił twarz i podrzucił pieniądze na rękę.

— Co? mało? Daję mu na nasze 60 groszy! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i dodał jeszcze 10 fenigów.

Tragarz splunął, odwrócił się i nie dotknawszy nawet ręką do czapki, odszedł od wagonu.

— Patrz go, morda niemiecka! 40 ich kopiejek dałem i niezadowolony, a u nas za 40 kopiejek tragarz do nóg się ukloni! — tłumaczył Mikołaj Iwanowicz żonie.

— A skąd wiesz, może ich kopiejki są mniejsze od naszych? — rzekła żona i dodała. — Co będziemy zresztą o tem rozmawiać? Dobrze, że już siedzimy w wagonie. Czyśmy aby tylko usiedli w dobry wagon? Żeby tak nie pojechać gdzieindziej, zamiast do Berlina.

— A pies ich wie! Każdemu po drodze mówiłem ciągle Berlin, Berlin i Berlin. Wszyscy pokazywali palcem na ten wagon.

Mikołaj Iwanowicz wychylił się z wagonu i zawołał:

— Hej, her konduktor! Czy tu Berlin?

— Ja, mein Herr, Berlin!

— Słyszysz na samej granicy rosyjskiej i tylko po niemiecku. Żeby chociaż jedna kanajka rzekła słowo po rosyjsku. Oprócz Żyda w kantorze wymiany...

— To będziemy tylko z Żydami rozmawiać. Przecież Żydzi napewno są wszędzie.

— Głazuchna, kochanie, czy ty naprawdę oprócz pokojowych słów nic więcej nie umiesz?

— Umie jeszcze o jedzeniu.

— Chwała Bogu, chociaż o jedzeniu umiesz. Przynajmniej z głodu nie umrzemy. Ty o jedzeniu a ja znów wszystkie słowa bufetowe i w tym rodzaju o wódeczności... Czy rozumiałaś chociaż, o co pytał ten Niemiec na cie?

— Pytał się o herbatę, o tytoń i papierosy. „Te, tabak, papiros“.

— No to i ja zrozumiałem. Ale jeszcze o coś pytał.

— O nic więcej nie pytał. Pytał się tylko o herbatę

i o papierosy. A ja milczę i cała drzę — tłumaczyła żona, — Myślę sobie, a jak zacznę macać mnie po ubraniu?

— A gdzie schowałaś herbatę i papierosy?

— Pod płaszczem. Dwa funty herbaty i 500 sztuk papierosów dla ciebie.

— A, to bardzo dziękuję! Przynajmniej mamy herbatę i papierosy. Przypominasz sobie, jak Teodor Kiryłowicz, wróciwszy z zagranicy, opowiadał, że papierosy ich przypominają coś w rodzaju liści kapuścianych, a herbata miksturę jakąś. Ale za to piwo — można oszaleć. Wypiłem już parę kufelków — znakomite! Kielbasę też widziałem na bufecie. Musi być pewno dobra, bo to przecież kraj kielbaśników.

— Kielbaśnicy nie kielbaśnicy, ale kto ich tam wie, z czego kielbasy robią. Może z kotów, albo z psów. Dziękuję, ja ich kielbas nie będę jadła. Zabrałam z Moskwy bułki, mam ser, kawior...

— Ależ Głasza, przecież coś musimy jeść!

— Kielbasę? za nic na świecie. Wogóle nie będę nic jadła, oprócz sznycła, albo befsztyka. Nie słyszałaś, że u Niemców robią zupy z łusek rybich, ze skorupki od jaj i z główek śledziowych...

— Ależ...

— Wielu mi to opowiadało, nawet w gazetach czytałam. A ten nasz lokator Niemiec, stroiciel fortepianów, co mieszka w oficynie u tatusia... Niby wykształcony Niemiec, a co jada na zupe? Nadrobi do piwa skórek od chleba razowego, wbije jedno jajko, ugotuje i zupa gotowa. Opowiadała mi to ich służąca: „Oni — mówi — jedzą i oblizują się, a mnie to do gardła nie idzie. Ja — mówi — w takie dni piję tylko kawę i jem chleb“. Nawet ryby w tym całym kraju niemieckim nie jadłabym.

— I ryby nie? Przecież ryba zawsze ryba?

— A jak ci zamiast ryby jakąś żmiję podadzą? Przecież oni jedzą i żmije i żaby.

— To Francuzi...

— I Francuzi i Niemcy. Niemcy są jeszcze gorsi. Sama widziałam raz, jak żona stroiciela niosła w koszyku węgorza z rynku.

— No przecież węgorza, a nie żmiję.

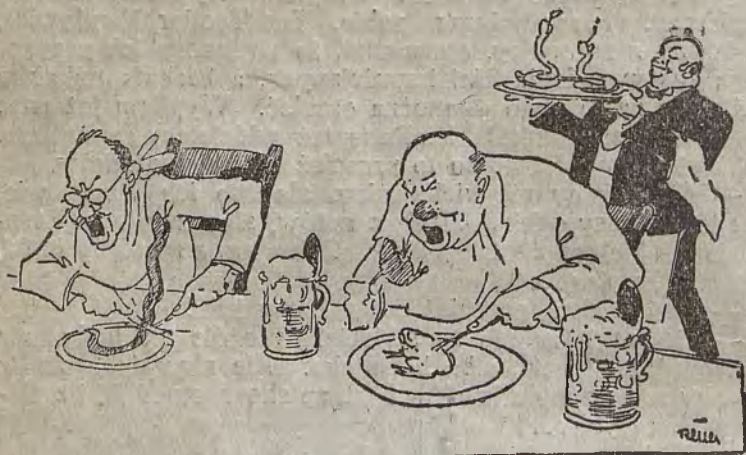
— To taka sama żmija, tylko wodna. Nie, dziękuję, ani ryby, ani kielbasy, ani zupy za nic w świecie jeść u nich nie będę. Befszyk, sznycel, bułki. Pierogi będę jadła, ale tylko z kapustą. I jajka... Przynajmniej widzisz, że jest coś prawdziwego.

— A jak u nich i jajka podrobione?

— Co takiego? Czy jajka można podrobić?

— Naturalnie! Z wierzchu skrupka z porcelany a w środku jakieś świństwo chemiczne. Niedawno czytałam, że i jajka podrabiają.

- Fuj, fuj, będę piła tylko kawę z bułkami.
- I kawa porabiana. Palony groch, żyto i cykorja.
- No to żadne świństwo przynajmniej.
- Masła też nie mają prawdziwego. Wszędzie tylko margaryna. Przecież i u nas już zaczęliśmy to sprzedawać, ale z czego ta margaryna się robi?



— Ach już lepiej nie opowiadaj! — rzekła żona i zaczęła na niego machać rękami. — Zdaje mi się, że nic pieczonego nie będę mogła jeść...

Pociąg ruszył powoli.

— Jedziemy po ziemi niemieckiej, do królestwa piwa i kielbas! — rzekł z emfazą Mikołaj Iwanowicz,

III.

Pociąg mknął jak strzała od Eidtkun w kierunku Berlina, mijając nie tylko przystanki, lecz nawet znaczniejsze stacje, i zatrzymując się tylko na jedną lub 2 minuty na stacjach głównych. Przed oknami wagonu migały jak w kalejdoskopie murowane wioski z ogrodami owocowymi koło domków, gładkie, jakby wylizane językiem skoszone łąki i pola, wyczyszczone, nawet wymiecione zagajniki z młodeymi drzewkami, wybite porządnie dróżki i drogi, przecinające pod wiaduktami tor kolejowy. Na jednej z takich dróg zobaczył Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna wózek, zaprzężony w dwa psy. Oboje zawołali ze zdziwieniem:

— Patrz Głasza! W psy jeżdża. Co za naród!

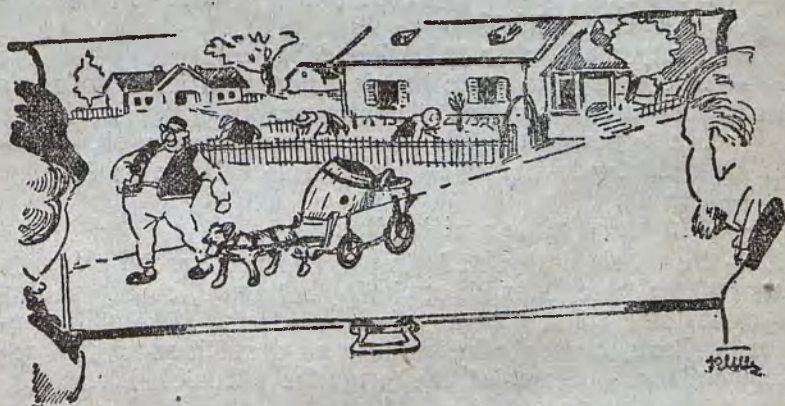
— Widzę, widzę. Biedne psy! Nawet języki wysunęły, pewno im bardzo ciężko. A obok idzie jakiś chłop, trzyma ręce w kieszeniach i fajkę pali. Widocznie niema tu Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami,

Pewno, że niema, bo by zaraz ten jegomość z fajeczką dostał od jakiegoś członka pochwałę po karku za takie obchodzenie się ze zwierzętami! Co za naród! Psa zaprzęgać do wozu?! I niech kto mi to wymyśli oprócz Niemca? U nas taki interes możesz zobaczyć tylko w cyrku, a tutaj, proszę państwa, na drodze... Prawdę powiedział ten, kto rzekł, że Niemiec i małpę wymyślił.

— A może to jest jakiś cyrkowiec, albo komedjant z treśowaniami psami, chodzący od dworu do dworu.

— Ale... Pocóżby w takim razie na wozie leżała beczka i pusty koszyk. To wszystko z biedy. Nie mają czem karmić konia, to wykorzystują psa... Patrz znów wózek z psami... Słomę wiozą. Poczekajmy, może zobaczymy wozy zaprzężone w koty.

— Może?!



Znów czyste wioseczki z dachami z dachówek, z maleńkimi ogrodami przed domami, odgrodzonymi od drogi strzyżonymi szpalerami; w ogródkach kobiety w kapeluszach słomianych, kopiące coś na grzędach.

— Patrz, patrz: w kapeluszach pracują na roli?! — dziwiła się Głafira Siemionówna. — Czyżby to były baby wiejskie?

— Napewno baby. Karol Adamowicz mówił, że u nich baby wiejskie we wsi umieją nawet grać na fortepianie, a w święta robią sobie lody na obiad! — powiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Lody? Niemożliwe! A co opowiadają, że Niemcy i Niemki z głodu do nas przyjeżdżają? Przecież jeżeli mają na lody...

— No od lodów w brzuchu jeszcze bardziej zaburczy, jeżeli nic bardziej fundamentalnego nie wsuniesz. Ale to pewno nieprawda o tym głodzie... Jedziemy już tyle czasu, a nie

widziałem we wsi ani jednej izby rozwalonej. Nawet strzeżę ze słomy nie widać. Poprostu przyjeżdżają do nas na lekki chleb. Tu musi w ogrodzie kopać, a u nas zaraz dostanie miejsce rzadcy w majątku... Tu grajek jakiś musi za dziesiątkę w karczmach przygrywać gościom, a u nas zaraz stroiciel, i trzeba mu płacić półtora rubla za nastrojenie fortepianu...

Znów Niemki w kapeluszach z grabiami. Tym razem stały pod pożółkłym dębem. Jedna z Niemek obijała grabiami żółte liście z drzewa, a druga zgrabiała je.

— Po co im te zeschłe liście? Patrz jak zgrabiają! — dziwiła się Głafira Siemionowna.

— Ho, ho, Niemiec jest dowcipny... A skąd wiesz, że z tych liści nie robią jakiejś specjalnej potrawy? Może to właśnie dla tych psów, zaprzężonych do wozów, przygotowują pożywienie z liści?

— A czy pies będzie jadł liście dębowe?

— Jak głodny, to może będzie, zwłaszcza jeżeli dodać do tego trochę krupy owsianej i ugotować.

— Nie to pewno te liście do ogórków kwaszonych. Przecież do ogórków kwaszonych kładą liście dębowe i wiśniowe.

— Ale nie żółte.

— A może właśnie u nich żółte.

— Po co się domyślać? Lepiej popracuj trochę mózgiem i zapytaj się jakiej Niemki, ot choćby tej damy, co naprzeciwko ciebie siedzi i robi pończochę! — kiwnął Mikołaj Iwanowicz, wskazując pasażerkę, robiącą na drutach szarą pończochę wełnianą. — Przecież chyba musisz wiedzieć, jak po niemiecku nazywa się pożółkły liść.

— Mówiłam ci już, że uczono mnie tylko słów pokojowych.

— Ładna szkoła! Ale pewno po 5 rubli na miesiąc za naukę darli?

— Nawet po 10.

Małżeństwo nasze przyglądało się również z podziwem Niemce-pasażerce, która jak tylko weszła do wagonu i siadła na ławce, zaraz wzięła się do pończochy i nie przerywała pracy w ciągu dwóch godzin.

— Czy nie starczy jej czasu, żeby takie rzeczy robić w domu? — rzekła żona.

— Może i starczy, — rzekł mąż — ale już taki zwyczaj. Niemcy taki już naród! Niemka nie tylko w wagonie, ale nawet do trumny zabiera ze sobą pończochę.

Pociąg pędził. Małżeństwo najadło się bułek z serem i kawiorom. Zaczęło ich męczyć pragnienie po słonym kawiorze, a nie było nic do napicia się. W czasie króciutkich przystanków na stacjach nie wychodzili z wagonu, ażeby wpaść do bufetu, w obawie, żeby pociąg nie uciekł.

— Niech ich diabli wezmą z tą niemiecką jazdą i z temi przystankami minutowemi! Nawet niema czasu, żeby wpaść do bufetu! — denerwował się Mikołaj Iwanowicz. — Pociąg zatrzymuje się, wypuszczają 50 pasażerów, pakuja nowych 50 i znów jazda. Nawet dzwonek żaden. Jeden gwizd lek i hajda. I mówią, że to cywilizacja... Co za cywilizacja, do stu diabłów, kiedy człowiek nawet nie może w czasie przystanku wypić kufła piwa.

— Widocznie takie porządki! — rzekła Głafira Siemionowna. — Niemcy pewno biorą ze sobą piwo. Niemiecka oszczędność jest znana.

— Przecież nie widzimy, żeby ktoś pił w wagonie. Palą tylko cygara i czytają gazety. Tyle czasu już jedliśmy, a nie widzieli, żeby ktoś z nich miał butelkę. Jedli chleb z wędliną, ale nikt nic nie pił. Ech, pod tym względem u nas lepsze porządki. Przyjedziesz sobie na stację, pociąg stoi, stoi... można napić się porządnie, najeść po uszy, możesz się nawet urządzić... Pierwszy dzwonek, — nie potrzebujesz się wcale spieszyć, idziesz sobie kupić pierników na drogę... Trzeci, a pociąg ciągle stoi. Wreszcie konduktor zagwizdże w swoją małą gwizdawkę do maszynisty, ten odpowie, jeszcze raz i dopiero jedziemy. Ech, niema jak u nas.

Zrów przystanek. Konduktor wykrzykuje nazwę jakiejś stacji i dodaje: Zwei Minuten.

— Niech ich wszyscy diabli wezmą! Znów cwaj minuty! Kiedy nareszcie zlitują się i dadzą jakiś przystanek, żeby można się czegoś napić? — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz.

— Daj coś konduktorowi i poproś go, żeby ci przyniósł piwa do wagonu! — poradziła żona. — Za naczynie zapłacimy.

— Poproś!... Łatwo mówić... poproś!... A jak poprosić bez języka w gębie? Myślałem, że mam żonę uczoną, a ta ani w ząb po niemiecku.

— Ja umiem pokojowe słowa, a ty bufetowe. Powinieneś wiedzieć, przed chwilą chwaliłeś się, że co się tyczy popicia, umiesz wszystko doskonale... Poproś więc konduktora, żeby ci przyniósł kufel piwa.

— Spróbuję.

Mikołaj Iwanowicz wyjął z kieszeni srebrną markę i pokazując ją przechodzącemu konduktorowi rzekł:

— Ej, her!... her konduktor! Komenzi. Proszę tu niemieckie pół rubla... Dejcz pół rubla... Czy można birtrinken? Bringenzi bir... Boję się wyjść z wagonu, żeby nie uciekł... Dwa bir... Zwaj bir... Dla mnie i dla madam... Zwaj bir, a reszta nemenzi na piwo...

Wszystko to podkreślone było odpowiednimi gestami. Konduktor zrozumiał i zjawilo się piwo: przyniósł go kelner z bufetu. Mąż i żona wypili po kuflu z wielkim apetytem.

Pociąg ruszył dalej.

IV.

Wybity kufel piwa podrażnił jeszcze więcej pragnienie Mikołaja Iwanowicza i Głafiry Siemianowny.

— Boże! żeby herbatki tak można dostać szklaneczkę! — mówiła Głafira Siemionowna do męża. — Czy ten pociąg do samego Berlina tak będzie jechał bez zatrzymania. Gdzie będziemy jedli obiad? Gdzie zjemy kolację? Żeby chociaż jakiś befsztyk i talerzyk zupy. Przecież przez całą drogę nie można żyć serem i kawiozem. I bułek już zostało tylko parę... Co to za życie bez jedzenia i bez picia... Boże...

— Acha, skarżysz się! — rzekł mąż z zadowoleniem. — A chciałaś koniecznie zagranicę? Nie lepiej było zostać w Moskwie?

— Ja chciałam zobaczyć wieżę Ejfla. Prosiłam cię, żebyśmy pojechali do Francji.



— Ho, ho i tam to samo. Poczekajmy, może na wieży Ejfla jeszcze gorzej będziesz się skarżyć.

— Mikołaju Iwanowiczu. Poproś konduktora, żeby jeszcze piwa przyniósł.

— Poczekaj, dojedźmy do jakiejś stacji.

Lecz na nieszczęście pociąg zatrzymywał się tylko na minutę.

— Bir!.. bir... zwaj bir! konduktor... her konduktor!... oto dejc pól rubla. Wal na całego... Możesz i sam trinken... Trinkenzi!... — krzyczał Mikołaj Iwanowicz, wyciągając do konduktora markę, lecz konduktor wzruszał ramionami, rozkładał ręce i mówił:

— Nur eine Minute, mein Herr!...

Nadkonduktor gwizdał i pociąg mknął dalej.

— Pojechała cywilizacja! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Żebyście zdechli! Ech, żeby to tak u nas...

— Nie można? — pytała żona.

— Przecież sama widzisz. Daję konduktorowi pół rubla na piwo, nawet pieniędzy nie bierze.

Pociąg mknął z przerażającą szybkością. Przed oknami wagonów bez przerwy migały domy, pola, zasiane ozimem zbożem, wyrównane skoszone łąki, kominy fabryczne i sady. Wszędzie porządek i czystość.

— A gdzie oni mają nieużytki? Gdzie błota?, gdzie piaski, gdzie stawy? — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

Pociąg zganiał z pół stada ptaków. Ptaki wlatywały i leciały jakby do tyłu. Głafira Siemionowna pierwsza zauważyła to i rzekła do męża:

— I ptaki też jakieś dziwne u nich. Patrz, lecą tyłem! Nie lecą naprzód a wtył!

Mikołaj Iwanowicz spojrzał, też z początku zdziwił się, lecz wkrótce zrozumiał, o co chodzi.

— Ależ nie... Pociąg wyprzedza je, więc się tak zdaje.

— Co tam będziesz mi głowę tumanił. Jakbym nie widziała na własne oczy. Patrz, wszystkie lecą ogonami naprzód... Lecą do tyłu, do tyłu... Widocznie to jakieś niemieckie ptaki. Przypominam sobie, że na pensji nawet uczono nas o takich ptakach... — upierała się żona przy swoim.

Do wagonu wszedł konduktor w celu zrewidowania bileatów.

— Bir-trinken... Gdzie tu można bir-trinken i przekąsić coś niecoś? — zwrócił się do konduktora Mikołaj Iwanowicz.

— Essen, essen... — dodała Głafira Siemionowicz i zaczerwieniła się, że powiedziała po niemiecku. — Bir-trinken, te-trinken, kafe-trinken i essen? — mówiła dalej już śmiejąc.

Konduktor zrozumiał, o co go pytają i odpowiedział.

— Königsberg... Königsberg werden Sie zwölf Minuten sehen...

— Zrozumiałem, zrozumiałem! Zer gu! W Kenigsbergu dwanaście minut. To rozumiem! To jest w porządku! To przynajmniej po ludzku! — ucieszył się Mikołaj Iwanowicz.

— A kiedy? O której godzinie? Wi fil ur? — zapytała Głafira Siemionowna i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Um sieben! — odpowiedział konduktor.

— Miersi... Danke... Chwała Bogu... O siódmej... Znaczy się za dwie godziny. Dwie godziny jakoś się przemęczymy.

Maż spojrzał na żonę i rzekł zadowolony.

— No widzisz... Przecież jednak mówisz po niemiecku, umiesz mówić, tylko nie chcesz...

— Słowa pokojowe i zwykłe umiem cudownie, tylko, że wstydzę się.

— Wstyd — nie dym, w oczy nie gryzie! Wal na całego i już!

Zaczeło się zmierzchać. Małżeństwo z niecierpliwością oczekiwało Królewca (Königsberg). Na każdym przystanku wysuwali głowy z okna i pytali konduktora:

— Kenigsberg? Kenigsberg?

— Nein, nein, Königsberg wird noch weiter.

— Ażeby cię... Wciąż jeszcze nie Kenigsberg, a mnie się chce pić i jeść, jak psu! — znów złościł się Mikołaj Iwanowicz.

Wreszcie pociąg zwolnił biegu. Ukazał się duży dworzec, rzęsiście oświetlony.

— Königsberg! — zawołał konduktor.

— Bogu dzięki! Nareszcie!

Pasażerowie wysypali się z wagonów. Wyskoczył i Mikołaj Iwanowicz z żoną. Na stacji stały trzy pociągi. Panował tłok. Jedni wchodzili do wagonów, drudzy wychodzili. Tragarze nieśli i wieźli kufry i walizy. Hałas, krzyki, gwizdki, dzwonki, stukania młotków o koła.

— Czyste piekło! — wyrwało się Mikołajowi Iwanowiczowi. — Tu można zbaranieć na całego. Poczekaj, Głaska, trzeba zauważyć, z którego pociągu wysiedliśmy, bo potem łatwo możemy trafić do obcego. Widzisz — nasz pociąg stoi na szynach środkowych, a z boków — to obce pociągi. No, teraz prędzej do bufetu.

— Nie, kochanie, ja muszę najprzód do ubieralni... Muszę poprawić się niecoś. Przecież tyle czasu siedzieliśmy w wagonie, a w tych ich wagonach, sam wiesz, niema toalet... — odpowiedziała żona. — Bez toalety nawet mi o jedzenie nie chodzi.

— Co tu za poprawianie, kiedy trzeba szybko coś wypić i zjeść! Przecież pociąg stoi tylko dwanaście minut! A nadto djabli ich wiedzą, jakie są te ich niemieckie minuty. Może krótsze od naszych o połowę. Chodźmy prędzej!

— Nie, nie mogę, nie mogę. Zapewniam cię, że nie mogę... Proszę cię, żebyś oprowadził mnie do ubieralni i poczekał przy drzwiach, bo przecież możemy się zgubić.

— Eh, babskie plemię! — chrząknął Mikołaj Iwanowicz i ruszył z żoną na poszukiwanie ubieralni damskiej.

Znaleziono ją wreszcie. Żona znikła za drzwiami, a mąż pozostał. Minęło pięć minut

Mikołaj Iwanowicz wściekał się coraz bardziej. Zdawało mu się, że nigdy w życiu nie był taki głodny, jak w chwili obecnej. W dodatku zauważył, że jakiś jegomość biegnie prawdopodobnie z bufetu w stronę pociągu z kanapkami na talerzu i kuflem piwa. Zastanawiał się już, czy nie zapukać do ubieralni.

Wreszcie w drzwiach ukazuje się Głafira Siemionowna, którą trzyma za suknię jakaś kobieta w białym czepku i mówi coś do niej po niemiecku.

— Mikołaj Iwanowicz, daj mi na miłość Boską jakichś pieniędzy, zapłać za mnie! — krzyczy żona. — Tu nie można za darmo... Trzeba płacić... Daję jej dwadzieścia kopiejek rosyjskich — nie bierze!

— Co takiego? W ubieralni dworcowej za pieniądze? No no. Co za naród! Niemieckie porządki! — wykrzykuje Mikołaj Iwanowicz, lecz daje Niemce pieniądze i woła: — Prędej, Głasza, prędzej, bo nie zdążymy nic zjeść.



Biegna; wpadają na fragarzy. Wreszcie bufet. Naokoło — stoły. Na stołach zupa w talerzach. „Tabeldot po trzy marki od osoby” — czyta Głafira Siemionowna i tłumaczy napis nad stołem.

— Cały obiad kosztuje tu trzy marki! — mówi do męża. — Zajmujemy miejsca.

Mikołaj Iwanowicz odsuwa krzesło od stołu i chce usiąść, lecz lokaj zatrzymuje go i mówi doń coś po niemiecku. Mikołaj Iwanowicz wytrzeszcza oczy.

— Wi? Was? Chcemy zjeść obiad... Essen... Mitag essen! — mówi Głafira Siemionowna.

Kelner mówi coś, powtarzając kilka razy słowo „telegram”. Podchodzi do stołu dwóch panów, mówią swoje nazwisko i zajmują miejsca, które chciał zająć Mikołaj Iwanowicz.

— Co takiego? — krzyczy już wściekły Mikołaj Iwanowicz. — Czekaliśmy, czekaliśmy na jedzenie, przyjechaliśmy na stację i nie pozwalają nam jeść, nie pozwalają nawet usiąść! Jednym wolno siadać, a drugim nie? Przecież ja też płacę za bilety.

Kelner znów tłumaczy mu, mówiąc coś o Telegramie.

Wreszcie za stołem znajduje się jakiś Rosjanin. Widząc, że dwoje rodaków jego nie mogą zrozumieć, o co chodzi, stara się wytłumaczyć im:

— Tu obiad trzeba zamawiać... Trzeba było zamówić wcześniej obiad telegraficznie — mówi. — Czy pan wysłał z drogi telegram?

— Jaki telegram? Obiad telegraficzny? Ładne porządki! Głasza! Słyszysz? — zwraca się do żony. — Bardzo panu dziękuję za wyjaśnienie! — mówi do Rosjanina. — Ale nam się chce jeść i pić. Czy tu bez telegramu nic dostać nie można?

— Może pan coś zamówić a la carte. Co pan tylko życzy sobie.

— Ej! Służba! Człowiek! Essen! Cokolwiek essen byle prędko i bir-trinken! — krzyczy Mikołaj Iwanowicz. — Zwaj porcje.

Zjawia się kelner, prowadzi małżeństwo do innego stołu, podsuwa dla nich krzesła i podaje kartę.

— Gdzie tu czas na przeglądanie karty, braciszku. Dawaj dwa kotlety, albo dwa befsztyki.

— Zwei Cotleten? — O, ja! — odpowiada kelner i biegnie do kuchni, lecz w tej samej chwili zjawia się portier kolejowy i wykrzykuje coś po niemiecku, wymieniając i Berlin.

Pasażerowie wskazują od stołów i zaczynają płacić.

— Co to znów takiego? Boże! Czyżby pociąg już odchodził? Będzie trzeba jechać na głodno, na sucho? Berlin? — pyta się portjera.

— Ja, Berlin!

— Głasza, biegnij, bo spóźnimy się.

Mikołaj Iwanowicz wyskakuje z za stołu. Zjawia się kelner z kotletami.

— Niema czasu, niema czasu! — krzyczy mu Mikołaj Iwanowicz. — Zresztą dawaj tu te kotlety! Weźmiemy ze



Reu

sobą... Kładź do chustki od nosa... Doskonale... Głasza, zacieraj chleb ze stołu... zjemy w wagonie. Człowiek! Mensz! Proszę... Oto dwa półruble... Mało? Masz tu trzeciego. Głasza! Prędzej, bo spóźnimy się. Ale porządki tu, porządki!...

Małżeństwo biegnie z bufetu.

— Mikołaj Iwanowicz! Mikołaj Iwanowicz! Spódnica mi opada! — woła w drodze Głafira Siemionowna.

— Co tu teraz o spódnicy gadać! Lećmy do pociągu!

Wypadli z bufetu, dobiegli do pociągu i wskoczyli do wagonu.

V.

— Głasza! Gdzie nasze poduszki, gdzie nasze walizy? — zawołał Mikołaj Iwanowicz, znalazłszy się wreszcie z żoną w wagonie.

— Boże, pewno ukradli!... Pewno ukradli! — krzyknęła Głafira Siemionowna, załamując ręce. — Albo ukradli, albo wsiedliśmy nie do tego wagonu. Tamten wagon był szary, a ten ma jakieś rude obicie. Wychodź prędzej, wyskakuj!

Mikołaj Iwanowicz rzucił się do zamkniętych od zewnątrz drzwi wagonu, szybko otworzył okno i zawołał:

— Ej cher, cher... cher konduktor... Proszę otworzyć... Trafiliśmy nie do swojego wagonu!

Lecz pociąg ruszył i zaczął iść coraz prędzej. Na krzyk nikt nie zwrócił uwagi.

— Co to jest? Co to za porządki? Bez poduszek, bez waliz? W walizce mam ser, bułki i kawior. Nawet nie będzie na czym oprzeć głowy i co zjeść na kolację. Przecież tych dwóch kotletów, cośmy zabrali na stacji nie starczy dla nas... Co to za kotlety? Dwa zmieszczą się na jednej dłoni, — mówiła już ze łzami Głafira Siemionowna.

— Nie krzycz, nie krzycz! Na następnej stacji przejdziemy do swego wagonu! — uspakajał ją Mikołaj Iwanowicz. — Odnajdziemy nasz wagon i przesiądziemy się.

— W jaki sposób? Jak odnaleźć wagon, kiedy pociąg na stacji stoi najwyżej dwie minuty? Ledwie zdążysz wyskoczyć, pociąg już rusza... A przytem już wieczór, ciemno... Jak tu odszukać co?

Jakiś Niemiec w czapce filcowej, siedzący w tym samym przedziale, widząc ich zaniepokojenie, zapytał o coś po niemiecku, lecz małżeństwo nie zrozumiało go, ograniczając się do wytrzeszczenia oczu. Niemiec ponowił pytanie i dodał słowo „Hamburg“.

— Poczekaj... Zdaje mi się, żeśmy wsiedli nie do naszego pociągu. Ten Niemiec mówi coś o Hamburgu! — zauważyła z przestрахem Głafira Siemionowna.

— Co ty mówisz?... A to bigos! Zapytaj się go, dokąd jedziemy, przecież chyba o to możesz się zapytać? Przecież czegoś jednak musiałaś się nauczyć na pensji.

Przestrach dodał Głafirze Siemionownie energii. Po namyśle skonstruowała frazes niemiecki i zadała Niemcowi pytanie:

— In Berlin wir fahren? Berlin, to ten wagon?

— Nein, madame. Wir fahren nach Hamburg.

— Jakto nach Hamburg? a Berlin?

— Niemiec kiwną głową przecząco i znów zaczął coś mówić po niemiecku.

— Naturalnie, jedziemy złym pociągiem! — rzekła Głafira Siemionowna ze łzami w oczach.

Mikołaj Iwanowicz podrapał się ze zmartwienia po głowie.

— A to prawdziwy bigos! Bieda bez języka!

— Do Hamburga, do Hamburga jedziemy... do Hamburga!

— powtarzała Głafira Siemionowna.

— Zapytaj się jednak Niemca porządnie — rzekł wreszcie Mikołaj Iwanowicz. — Może pociąg jest hamburski, ale Berlin leży gdzieś po drodze?



— Jak go się zapytam, kiedy nie umiem? Zapytaj sam!

— A czego uczyłeś się na pensji?

— A ty czegoś uczyłeś się u swych Niemców-kolonistów i Estończyków?

— Ja się uczyłem w sklepie, sprzedawałem płótno, żelazo i szpagat. Za mnie nie płacili na pensji różnym madamom pieniędzy. Umiem liczyć po niemiecku, znam doskonale wszystkie słowa bufetowe...

— Ty bufetowe, a ja pokojowe. O pociągach nas nie uczono.

Małżeństwo zaczęło kłócić się między sobą, wymachując rękoma, wreszcie Mikołaj Iwanowicz splunął, odepchnął od

siebie żonę, podsiadł się do Niemca i pokazał mu swoje bilety kolejowe. Niemiec obejrzał bilety i znów przecząco pokiwał głową.

— Nein, dass ist nicht dass! Die Fahrkarten sind nach Berlin, aber wir fahren nach Hamburg!

— A Berlin będzie po drodze, czy nie? O to się właśnie pana pytam! — zaczął już krzyczeć na Niemca Mikołaj Iwanowicz. — Może być, że to tak: z początku Berlin, a nacher Hamburg, albo z początku Hamburg a nacher Berlin? Nicht fersztajn?

— O, ja... ich verstehe... Berlin aber ist dort und Hamburg ist dort. Von Dirschau sind zwei Zweigen.

Niemiec pokazał rękoma w dwie przeciwnie strony.

— Moje uszanowanie! Nawet nie w tę stronę jedziemy! — odskoczył od Niemca Mikołaj Iwanowicz, zrozumiałwszy, że po drodze nie będzie Berlina i znów rzucił się na żonę. — A to wszystko z tem twojem poprawianiem się w tualetcie damskiej. Przez ciebie zbiliśmy się z tropu... „Muszę się poprawić! muszę się poprawić!“ Otóż i poprawiłaś się! Jedziemy do Hamburga, zamiast Berlina. I po jakiego diabła, pytam się, potrzebny nam ten Hamburg, kiedy my do Paryża jedziemy przez Berlin? Niemiec pokazuje, że Berlin jest tam, a nas niosą diabli ot tu, w tę stronę.

— Przecież nie mogę nie pójść do ubieralni damskiej, jeżeli przesiedziałam 6 godzin w wagonie, nie wychodząc ani na krok! — usprawiedliwiała się żona.

— Nie możesz, to nie jedź zagranicę! A Niemki mogą? A dlaczego one mogą? Inną mają naturę, czy co?

— Widocznie inną. Zresztą one przyzwyczały się do tu-tejszych porządków, a ja nie.

— Skoro wyjechałaś zagranicę, powinnaś przyzwyczajać się też! A tu proszę: trzeba iść do bufetu, trzeba coś zjeść, a ona: „ja chcę do ubieralni damskiej!“ Przez to i obiadu nie zjedliśmy. Czy może być człowiek syty, zjadłszy po takim małym kotleciku, jeśli od rana nic w gębie nie miał? Przecież do samego Hamburga prawdopodobnie nie będziemy mieli już nic do gęby włożyć, oprócz tego kotlecika. A gdzie ten Hamburg? Diabli wiedzą gdzie! Może na końcu świata.

Głafira Siemionowna siedziała, trzymając w ręku kotlety, owinięte w chustkę od nosa i płakała.

— Po co mamy jechać aż do Hamburga? Przecież możemy wyjść z wagonu na pierwszej stacji? — rzekła wreszcie.

— A diabli ich wiedzą, czy będzie jeszcze jaka stacja? A zresztą niewiadomo, czy nas wogóle wypuszczą z wagonu? Przecież sama widzisz, co za idiotyczne porządki tutaj u nich panują. Może do samego Hamburga nie wypuszczą z wagonu i już. Zapłać pieniądze i jedź!

— Poprosimy, to może wypuszczą. Powiemy, że przez omyłkę wsiedliśmy nie do tego pociągu.

— Poprosimy, powiemy!... A kto będzie mówił, jeżeli po niemiecku nie umiesz ani „me“ ani „be“, albo jeszcze mniej? I kogo prosić, kiedy nawet konduktorów nie widać. U nas na kolei konduktorzy ciągle włączają się po wagonach, żądają biletów przynajmniej co 10 minut, oglądają, dziurkują, budzą cię, kiedy spisz, czasem wprost za nogi ściągają cię z ławki w tej czy innej sprawie, a tu już przeszło pół godziny, jak jedziemy do jakiegoś Hamburga i żadna konduktorska bestja nie pokazała się dotąd. Do Hamburga! Po jakiego djabła, pytam się, potrzebny nam ten Hamburg! — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz, zobaczywszy jednak, że żona już płacze na głos, przycichł i rzekł szeptem: — Nie rycz!... Wytrzymaj oczy chustką i siedź bez łez.

— Jak mogę otrzeć oczy chusteczką, kiedy w chustce mam kotlety! Cała chustka przesiąkła sosem. Sam w Kennigsbergu na stacji wywaliłeś kotlety z dwóch talerzy na moją chusteczkę! — odpowiedziała żona.

— Wyjmij sobie z walizy czystą chusteczkę. Nie ładnie tak ryczeć. Patrz, Niemiec patrzy.

— Przecież walizy zostały w tamtym pociągu.

— Tfu!... Ażeby... Zupełnie straciłem głowę. To czyste skaranie. Masz moją chusteczkę, wytrzymaj oczy.

— To już ja lepiej koniuszkiem swojej chusteczki!... Koniuszek czysty...

Głafira Siemionowna podniosła chusteczkę z kotletami do oczu i końcem jej jakoś wytarła łzy. Mikołaj Iwanowicz zobaczył kotlety i rzekł:

— Wiesz Głaska co? Zjemy chyba po kotleciku!... Jestem głodny jak wilk...

— Zjedzmy! — szepnęła Głafira Siemionowna, rozkładając chustkę. — Ot tutaj jest piure z kartofli... Tylko chleba nie ma. Chleba zapomniałam wziąć.

Małżeństwo zabrało się do jedzenia kotletów. Wszedł konduktor na kontrolę biletów, zobaczył bilety naszych



podróżnych, tłumaczył coś długo po niemiecku, wreszcie podwyższył głos i zaczął krzyczyć:

— Weg! weg! Sie müssen bald umsteigen und die Strafe zahlen!

— O sztrafie mówią. Trza będzie karę płacić, — mruknął Mikołaj Iwanowicz do żony i zwracając się do konduktora zapytał: — Ale czy geen z wagonu można? Czy można z wagonu geen, her?... czy nas wypuszczą na stacji?

— W jaki sposób mój man na stacji weggeen? — poprawiła żona.

— O ja... Bald wird die Station i Sie muessen fort.

— Co on mówi? — zainteresował się Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi, że zaraz będzie stacja i nas wysadzą.

— Chwała ci Panie Boże!

Pociąg zaczął iść wolniej i wreszcie zatrzymał się. Małżeństwo nie wyszło, a wyskoczyło z wagonu, jakby z więzienia. Konduktor oddał ich zawiadowcy stacji, gwizdnął, wskoczył na podnóżek wagonu i pociąg znów pomknął w dal.

VI.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna stali przed zawiadowcą stacji, wsuwali mu w rękę swoje bilety i oczekiwali sądu nad sobą.

— Oto, her zawiadowca, jechaliśmy niby do Berlina, a trafiliśmy, diabli wiedzą dokąd! — mówił Mikołaj Iwanowicz, przybierając najbardziej ugrzeczniejszą pozę i nawet uchylając melorika.



Zawiadowca stacji, długi i chudy, jak trzcina, Niemiec w czerwonej czapce i z cygarem w zębach, w odpowiedzi na ukłon przyłożył rękę do daszka czapki i nie wyjmując cygara z zębów nader starannie zaczął przeglądać bilety naszych znajomych, wykupione do samego Paryża.

— Bite, zagenzi was machen? Was machen? — pytała z kolei Głafira Siemionowna.

— Acha! Zaczęłaś mówić po niemiecku. Jak bieda to do żyda! — zawołał Mikołaj Iwanowicz złośliwie, mrugając na nią wzrokiem tryumfatora.

— Zaczęłam, ponieważ potrzebne są do tego słowa pokojowe. Słowa pokojowe znam doskonale. Was machen? Was machen? — powtarzała zawiadowcy.

Ten zrozumiał pytanie, poważnie podniósł głowę i zaczął coś mówić po niemiecku. Mówił dość długo, bardzo wyraźnie, prawdopodobnie bardzo pedagogicznie, często wspominał Koenigsberg, Berlin, Dirschau, słowo „Schnelzug“ i wszystko starał się objaśnić za pomocą bardzo wyraźnej gestykulacji. Głafira Siemionowna, marszcząc się od dymu cygrowego, puszczanego jej prosto w nos, słuchała uważnie, starając się nie pominąć żadnego słowa.

— Zrozumiałaś? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie, zrozumiałam! Słowa zupełnie zwyczajne. Zapłacić sztraf, kupić bilety i jechać z powrotem do tego przekłętego Kenigsbergu.

— A kiedy idzie pociąg do tego Kenigsbergu? Zapytaj go się po niemiecku, przecież umiesz!

— Wi fil ur pociąg in Kenigsberg?

— Nach zwei Stunden, Madame.

— Co on mówi?

— Nie rozumiem. Wi fil ur? ur, ur? — powtarzała pokazując na zegarek.

— Um zehn Uhr, nach zwei Stunden!

Zawiadowca wyjął swój zegarek kieszonkowy i pokazał na liczbę dziesięć.

— Możemy jechać za dwie godziny? Doskonale! Bierz, musje, sztraf i daruj nam życie! — zawołał z radością Mikołaj Iwanowicz, sięgnął ręką do kieszeni i wydostawszy stamtąd kilka monet srebrnych i złotych wyciągnął je na dłoni ku zawiadowcy. — Bierz, bierz!... Weź sam, ile potrzeba i dawaj bilety do Kenigsbergu. Ile niemieckich pół rubliów potrzeba, tyle sobie weź.

— Nemenzi, nemezi sztraf und fiur bilet, fiur cwaj bilet! — potwierdziła żona. — Wir wisen nicht wasz gield. Nemenzi...

Zawiadowca skrzywił swą poważną twarz w coś w rodzaju uśmiechu i odliczywszy kilka marek, rzekł:

— Hier ist Wartezimmer mit Speisesaal, wo Sie koennen essen und trinken...

— Trinken? — jeszcze radośniej zawołał Mikołaj Iwanowicz i wziął zawiadowcę pod rękę. — Mosie! Chodźmy razem trinken, wir trinken, schnaps - trinken, komen si trinken!... Wir trinken! Chociaż pan jesteś Niemiec, wypiję z panem. Chodźmy, chodźmy! Niema co się opierać. Komenzi! — ciągnął zawiadowcę do bufetu.

Po 5 minutach zawiadowca i małżeństwo siedzieli w sali bufetowej.

— Schnaps! Bir! Żywo! — dyrygował Mikołaj Iwanowicz.

— Befszyk! Kotlet! — rozkazywała Głafira Siemionowna.

— Te, kafe, buterbrod, fil buterbrod...

Zastawiono stół jedzeniem i piciem. Zjawiała się anyżówka, piwo, kanapki z serem i z szynką, kawa z mlekiem. Zawiadowca siedział wyprostowany, jakby połknął łokieć,



z powagą na twarzy i wypiwszy kieliszek koniaku, sięgnął ręką po piwo.

— Wódkę macie, her, bardzo słodką. Kümel! — mówił Mikołaj Iwanowicz, trącając się z zawiadowcą kuflem. — Po takiej wódce zemdli cię prędko. Nie macie tutaj w tej ziemi niemieckiej zwykłej wódki rosyjskiej? Rusisz wodka? Najn? Najn rusisz wodka?

Niemiec mruknął coś po niemiecku i pociągnął piwa.

— Djabel go wie, co on tam mruczy! Głasza, zrozumiałas?

— Ani, ani. Jakieś niezwykle słowa. Takich nie uczyliśmy się.

— A niech go! Będziemy pić i rozmawiać, nie rozumiejąc się. Zawsze to kompanja, zawsze jakiś żywy człowiek, z którym można się tracić! Pij, panie Niemiec. Czegoś sie-

dzisz nad jednym kuflem tak długo? Pij... Trinkenzi... wypijemy jeszcze! Pij, pij!

Niemiec duszkiem wypił resztę.

— Ankor! Służba! Ankor!... Mensz... Jeszcze cwaj bir! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz.

Zjawiły się nowe kufle. Mikołaj Iwanowicz wypił duszkiem.

Niemiec uśmiechnął się i też wypił duszkiem.

— O, to mi się podoba! To lubię! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i objawszy Niemca, chciał go pocałować. Jeszcze bir trinken. Cwaj bir trinken.

Niemiec nie protestował, uściśnął rękę Mikołaja Iwanowicza i ofiarował mu cygaro, które wyjął z kieszeni. Mikołaj Iwanowicz wziął i powiedział, że wypali potem, a tymczasem musi esen i trinken. I w samej rzeczy zabrał się do jedzenia. Niemiec poważnie przyglądał mu się i mówił coś, mówił długo...

— Mikołaj Iwanowicz, a może ja bym go się zapytała, jak tam z naszymi poduszkami i walizami, które zostały w pociągu? Może nie przepadną? — rzekła Głafira Siemionowna.

— A będziesz umiała?

— Spróbuję. Słowa niezbyt ciężkie.

— Wysil się, Głasza! Wysil!...

— Zagenzi, bite, wo ist nasze walizy i poduszki? My ferloren walizy i poduszki. Właściwie nie ferloren, nicht ferloren, ale nasz bagaż, nasze walizy zostały w pociągu... Bagaż został w cug... — zwróciła się do Niemca. — Nicht ferszteen?

O dziwo, Niemiec zrozumiał.

— O, ja ich verstehe, Madame. Pani mówi o bagażu, który pojechał z Königsberga do Berlina? Bagaż otrzyma pani w Berlinie! — mówił po niemiecku. — Trzeba tylko telegrafować. Nein, nein, das wird nicht verloren werden.

Głafira Siemionowna też rozumiała Niemca, gdy usłyszała słowa: „nicht verloren, telegrafiren“.

— Bagaż nie przepadnie, ale musimy telegrafować! — rzekła do męża — Dostaniemy go w Berlinie.

— Więc powiedz mu, żeby telegrafował, a ja z nim za to wypiję butelkę madery... Her zawiadowca... telegrafirenzi... Bite, telegrafirenzi. Oto geld i telegrafirenzi, a ja panu powiem danke i będziemy trinken, maderę trinken.

— O, ja, mit Vergnügen! — rzekł Niemiec, wziął pieniądze i poszedł na telegraf.

Po pięciu minutach wrócił i przyniósł kwit.

Hier jetzt seien Sie nicht bange! — rzekł i poklepał Mikołaja Iwanowicza po ramieniu.

— Danke panu. Bardzo danke! Służba! Mensz! Aine flasze madera! — zawołał nasz kupiec i zwracając się do Niemca zapytał: — trinken madera?

— O, ja, Kelner, bringen Sie...

— Kelner! kelner! A ja zapomniałem, jak po niemiecku nazywa się usługujący. Kelner! Bite madera!

Zjawiła się madera, którą wypito prawie natychmiast. Oblicza zawiadowcy i Mikołaja Iwnowicza poczerwieniały. Obaj mieli już trochę w czubku, obaj rozmawiali, jeden po niemiecku, drugi po rosyjsku i obaj nie rozumieli ani słowa.

Przed przybyciem pociągu, jadącego do Królewca, wyszli na peron, poklepując się po przyjacielsku po ramionach. Mikołaj Iwanowicz ciągle chciał się całować z zawiadowcą, lecz ten delikatnie go odpychał. Kiedy pociąg zajechał, zawiadowca pożegnał się z Mikołajem Iwanowiczem, tym razem pocałował się z nim, wsadził go do wagonu i rzekł:

— Glückliche Reise!

— I tobie glikliche rajze, her zawiadowca! Żyj 100 lat. Hundert lat!

Pociąg ruszył.

VII.

Pociąg pędził do Królewca, dokąd, nie wiadomo dlaczego, skierował małżeństwo nasze zawiadowca, ponieważ i na tej stacji, gdzie pili z nim piwo i maderę, można było poczekać na pociąg berliński bezpośredniej komunikacji, zatrzymujący się tutaj. Widocznie nastąpiło jakieś nieporozumienie, prawdopodobnie zawiadowca i małżeństwo nie zrozumieli się należycie. Oprócz tego niepotrzebnie wysadzono ich na tej stacji z pociągu, do którego wsiedli przez pomyłkę, gdyż mogli byli to zrobić na jednej z późniejszych stacji węzła kolejowego. Słusznie jednak powiedział Mikołaj Iwanowicz, że byli oni „bez języka”: sami nic nie rozumieli i ich nikt nie rozumiał.

Mikołaj Iwanowicz siedział z żoną w przedziale i powtarzał:

— Kenigsberg!... Zadał mi on pieprzu! Do grobu się położę a nie zapomnę tego przekłętego miasta! Żeby się pod niem ziemia zapadła! Napewno żydowskie miasto!

— Dlaczego tak myślisz? — zapytała żona.

— A bo kończy się na „berg”. Wszystkie Żydy — „bergi”: Rosenbergi, Tuchenbergi, Eisenbergi, Tannenbergi, Zilberbergi. Rzecz dziwna, że nigdy nie słyszałem jeszcze o tem zagranicznym mieście. Jakieś nowe miasto, czy co?

— Nie! Myśmy na pensji uczyli się nawet o niem w geografji.

— Dlaczegoś mi wcześniej nic o tem nie powiedziała? Wystrzegalbym się.

— A co miałam ci powiedzieć?

— A to, że w mieście tem trzeba obiady zamawiać przez telegraf. Przecież napewno o tem stało w geografji, bo inaczej na co potrzebna geografja? Przecież geografji uczy się człowiek dla podróży.

— Nic w naszej geografji o obiedzie ani o telegramach nie uczono. Pamiętam cudownie...

— Mikołaj Iwanowicz skrzywił się i mruknął:

— Dobra musiała być pensja! Po niemiecku uczono tylko słów pokojowych, a z geografji nic nie wspomniano o obiadach. Najważniejszych rzeczy nie uczyli!

— Czego tam mruczysz! Przecież najadłeś i napiłeś się z Niemcem na stacji!

— No tak, pozwolił Pan Bóg coś przekąsić z Niemcem i parę kieliszeczków połąnąć, ale... A ten zawiadowca to wcale porządny chłop... Chociaż Niemiec a porządny... Zawsze posiedzieliśmy sobie, porozmawialiśmy, popiliśmy... — mruczał Mikołaj Iwanowicz zadowolony, wreszcie umilkł i zaczął drzeć. Madera działała.

— Kola! Nie śpij! — trąciła go łokciem żona. — Możemy znów przespać ten przekłety Kenigsberg. Przecież musimy, jak krzykną Kenigsberg, wyskoczyć natychmiast z wagonu, bo znów nas zawiozą, nie wiadomo gdzie.



— Przecież nie śpię, nie śpię! Troszeczkę chciałem się tylko zdrzemnąć. Namaderowałem się cokolwiek i teraz chce mi się spać.

— Königsberg! — wykrzyknął wreszcie konduktor i odebrał bilety do Królewca.

Po minucie pociąg zatrzymał się. Znów ukazał się rzeście oświetlony dworzec, sala bufetowa z biegającymi od stołu do stołu kelnerami, roznoszącymi kufle z piwem. Przedewszystkiem należało dowiedzieć się, kiedy jedzie pociąg do Berlina. Dla pewności małżeństwo zwracało się do każdego kolejarza, do każdego kelnera, pokazywało swoje bilety i pytało:

— Berlin? Wi fil ur, Berlin?

Okazało się, że pociąg do Berlina idzie za dwie godziny.

VIII.

Pociąg, którego oczekiwali Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, ażeby jechać do Berlina, powinien był przyjść do Królewca o 1 w nocy. Zaledwie wskazówka zegara kolejowego wskazała pół do pierwszej, małżonkowie wstali i zaczęli szykować się do wyjścia na platformę.

— Prędzej, prędzej Glasza, żeby się nie spóźnić! Djabli ich wiedzą, jakie tu znowu mają porządki. Może pociąg przyjść przed terminem i uciec nam, jak postoiśmy na peronie, to nie przepuścimy go! — pospieszał Mikołaj Iwanowicz małżonkę. — Jak pociąg podejdzie, wskoczymy i już! Prędzej, prędzej!

— Chodźmy, chodźmy! — odpowiedziała żona, wychodząc z za stołu. — Ale wiesz co, weź ze sobą kilka kanapek na zapas do wagonu, skoro dają je tutaj bez telegramu, bo może się zdarzyć, że na innych stacjach i kanapki wydają za telegramem i nie będziemy mogli rano ani śniadania zjeść, ani obiadu.

— Racja! Co racja, to racja!

Zabrano całą paczkę kanapek i małżonkowie wyszli na peron, gdzie nie było jeszcze nikogo z pasażerów. Spacerowali jedynie kolejarze, paląc cygara lub fajki.

— Dobrzeby było tak zapytać się kogoś! — rzekła Głafira Siemionowna i zwracając się do dróżnika, zapytała: — In Berlin, wifil ur?

— Noch eine halbe Stunde! — odpowiedział kolejarz.

— Co on mówi? — zapytał żony Mikołaj Iwanowicz.

— Pan Bóg go wie... coś niezrozumiałego.

— Zapytaj go jeszcze raz.

— In Berlin? ajn ur?

— Ja, ja, Madame, um einz...

— O pierwszej! W porządku!

W ten sam sposób zapytano i drugiego dróżnika, i trzeciego, i czwartego i piątego. Odpowiedzi były jednakowe. Każdemu dróżnikowi Mikołaj Iwanowicz wsuwał w rękę monetę 10-fenigową, mówiąc: „nemenzi i trinkenzi!”. Dróżnicy dziękowali słowem „danke“ i z podziwem przyglądali się szczodrobliwym pasażerom.

— Teraz już jestem pewny! Wszyscy jednogłośnie mówią, że o pierwszej! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i odetchnął głęboko, z ulgą.

Punktualnie o pierwszej na platformę wtoczył się pociąg i wypuścił pasażerów. Małżonkowie rzucili się do wagonu i wpadli do pierwszego przedziału, jaki napotkali. Siedziało tam już dwóch Niemców, jeden chudy, drugi korpulentny.

— Her... bite... — zwrócił się do nich Mikołaj Iwanowicz. — Was is das? Berlin?

— O, ja! Man kann auch nach Berlin fahren! — odpowiedział tłusćcioch.

— Berlin? Chwała ci Boże!

— Zajął do wagonu konduktor i zapytał o bilety. Obejrawszy bilety małżonków, rzekł:

— In Dirschau müssen Sie umsteigen.

— Głasza! Co on mówi?

— A kto go wie! — odpowiedziała żona i zadała pytanie konduktorowi: — Berlin?

— Ja, ja... aber in Dirschau werden Sie umsteigen! — powtórzył konduktor. — Ten wagon od Dirschau pójdzie na Danzig, a w Dirschau państwo wsiądą do innego pociągu, który pójdzie do Berlina! — tłumaczył dalej po niemiecku, lecz małżonkowie z całej tej rozmowy zrozumieli tylko jedno słowo „Berlin“.

— Nie omyliliśmy się: Berlin! — kiwnął Mikołaj Iwanowicz do żony.

Gwizdek konduktora i pociąg ruszył.

— Ciekawa jestem, o której godzinie staniemy jutro w Berlinie? — zapytała Głafira Siemionowna męża.

— A poszperaj, żoneczko, w mózgu i zapytaj się tego tłuszciocha. Ma twarz zupełnie przyzwoitą.

Głafira Siemionowna zamyśliła się, poruszyła kilka razy bezdźwięcznie wargami, wreszcie zapytała:

— Berlin, wi fil ur?

— Ganz genau Madame kann ich nicht sagen. Am Morgen werden Sie in Berlin sein.

— Co on mówi?, Głasza?

— Głafira Siemionowna rozumiała tylko jedno słowo „Morgen“, które przetłumaczyła na rosyjskie „jutro“, lecz odpowiedziała:

— Mówi, że jutro, a o godzinie nic nie powiedział. Że jutro, to sami wiemy przecież.

— Zapytaj go jeszcze raz! Albo poczekaj, ja go się zapytam... Berlin wi fil ur?

Niemiec rozłożył ręce.

— Um wie viel Uhr, dass weiss ich nicht, aber ich weiss nur, dass am Morgen früh...

— Ażeby cię... znów „jutro“.

Na następnej stacji to samo pytanie zadano konduktorowi. Konduktor powiedział po niemiecku:

— Ja jeżdżę do Gdańska, to inna linja. O Berlinie nic ścisłego powiedzieć nie mogę! — i znów dorzucił słowo „Morgen“, t. zn. „rano“, lecz małżonkowie znów przetłumaczyli je na „jutro“.

— Znów: jutro! A kiedy jutro: w dzień, wieczorem, czy w nocy? Co za naród! Konduktor jedzie w pociągu, a nie wie, o której godzinie przyjedzie na miejsce? Głasza, zapytaj go się przynajmniej, czy w nocy, czy w dzień.

— Ja się go zapytam, kiedy nie wiem, jak.

— Nie wiesz nawet jak się po niemiecku dzień? Przecież to słowo pokojowe.

— Noc — nacht, dzień — tag!

— No to wal, wal na całego. Albo ja... Konduktor, Berlin nacht, czy tag?

— Am Morgen früh, mein Herr.

— Ażeby zdechl. niemiecka morda!

Mikołaj Iwanowicz rozgniewał się naprawdę i zaczął kłać.

— Kola! — uspakajała go żona.

— Co tam, Kola, daj mi chociaż pokłać trochę. Zawsze się lżej na duszy robi człowiekowi.

Pociąg mknął dalej, zatrzymując się na minutę lub dwie na stacjach. Da wagonu zaglądali konduktorzy, dziurkowali bilety, wydzielali całe kartki z książeczek komunikacji bezpośredniej, jakie mieli nasi małżonkowie i za każdym razem uprzedzali, że w Tczewie (Dirschau), będą musieli przesiąść do innego pociągu. Powtarzali: „In Dirschau müssen Sie umsteigen!“ Małżonkowie pamiętali już i słowo „Dirschau“ i „umsteigen“, ale nie wiedzieli, co one znaczą.

— Djabeł ich wie, co oni chcą powiedzieć. Ciągłe „Dyrsza!“ i „umsztalgen“ — dziwił się Mikołaj Iwanowicz i nawet spluwał z niezadowolenia.

— Nie gorączkuj się, uspokój się! Przecież wszyscy mówią jednogłośnie, że jedziemy w wagonie berlińskim i do Berlina, więc niema się czego niepokoić. Niech gadają, co chcą. Żeby tylko dojechać szczęśliwie! — uspakajała męża żona.

Mikołaj Iwanowicz uspokoił się wreszcie i zaczął drzemać.

IX.

Po kilku minutach pociąg zatrzymał się. Zastukały młotki żelazne o stalowe koła wagonów, przebiegali konduktorzy, otwierając drzwiczki wagonów, słysząc było okrzyki: „Dirschau, Dirschau! Drei Minuten!“... Głafira Siemionowa spokojnie siedziała koło otwartych drzwi przedziału i patrzyła na peron, po którym chodzili tragarze z bagażem, toczyły się wózki ze skrzyniami i kuframi, tłoczyła się publiczność, wymachując rękami, parasolkami, sakwożażami, pledami. Mikołaj Iwanowicz spał, chrapiąc w sposób jaknajbardziej apetyczny.

Nagle do przedziału zajrzał konduktor, który kilka minut temu rewidował ich bilety i zwrócił się gorączkowo do Głafiry Siemionowny:

— Madame, was sietzen Sie? Sie reisen nach Berlin, also hier müssen Sie umsteigen! Das ist schon Dirschau!

Głafira Siemionowna nic nie zrozumiała i nie poruszając się, wytrzeszczyła oczy na konduktora.

— Dirschau! Umsteigen! — powtórzył konduktor i ręka pokazał jej na wyjście z wagonu. — Schneller, schneller! Umsonst werden Sie nach Danzig fahren

— Kola! Obudź się! Posłuchaj, co on mówi! — zdecydowała się wreszcie Głafira Siemionowna i zaczęła budzić męża.

Ten zbudził się i zaczął przeciągać. Konduktor krzychał: „Schnell, schnell“ i pokazywał, że trzeba wychodzić z wagonu.

— Kola! Rozcmuchaj się nareszcie! Patrz, on pokazuje, żebyśmy wychodzili z wagonu! — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — Popsuło się coś w pociagu, czy co?

— A skąd ja wiem o tem? — ziewnął Mikołaj Iwanowicz na całą szerokość ust. — Zapytaj się go! Przecież ty jednak lepiej odemnie mówisz po niemiecku.

— Wir in Berlin! — rzekła Głafira Siemionowna do konduktora.

— Ja, ja. Nach Berlin. Also hier müssen Sie umsteigen und weiter fahren. Gott im Himmel! Was thun Sie denn? Es bleibt nur eine halbe Minute. Weg von Waggon!

I znów ruch, zapraszający małżonków do wyjścia. Wreszcie konduktor schwycił za rękę Mikołaja Iwanowicza i pociągnął go w kierunku drzwi.

— Czort wie, gdzie on mnie łańczy? — opierał się Mikołaj Iwanowicz. — Czyżbyśmy już przyjechali? Her konduktor, Berlin?

— Ja, ja... Berlin... Schneller! schneller!

— Głasza! Wyobraź sobie, przyjechaliśmy do Berlina! A to sztuka! — mówił Mikołaj, wyciągnięty już przez konduktora na peron.

— Czy być może?

— Schneller! Schneller! Madame! Um Gottes Willen, schneller!

— Wychodź prędzej! A to niespodzianka! Myśleliśmy, że jutro przyjedziemy do Berlina, a przyjechaliśmy w nocy.

Wyskoczyła z wagonu i Głafira Siemionowna, lecz nie wierzyła jeszcze i w dalszym ciągu pytała konduktora:

— Berlin? Berlin?

— Tak, tak... Stąd państwo pojedą dalej. Pociąg pokaż państwu! — odpowiadał konduktor po niemiecku.

Mikołaj Iwanowicz wsuwał mu w rękę dwie 10-fenigówki

— Wagen! Habenzi wagen? — zapytała Głafira Siemionowna i mówił:

— Danke, bardzo danke!... Dziękuję, że pan uprzedził...

Konduktor trzasnął drzwiami przedziału, rozległ się gwizdek i pociąg pomknął.

— A to niespodzianka, Głasza, co? Przyjechaliśmy do Berlina, przyjechaliśmy! — mruczał Mikołaj Iwanowicz na peronie. — A cóż ci Niemcy nam powtarzali wciąż: Morgen i morgen.

— No bo właściwie, to już jest „jutro“. Przecież oni mówili to wczoraj. Spójrz na zegarek. Już jest nad ranem! — odpowiedziała małżonka. — No, ale chodźmy. Trzeba jechać do

hotelu. Przecież postanowiliśmy zatrzymać się w Berlinie na całą dobę, żeby obejrzeć miasto.

Ruszyli w stronę wyjścia. Przez okno zobaczyli bufet i przebiegających kelnerów.

— Dworzec niebardzo ważny! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, przestępując próg. — Myślałem, że w Berlinie dworzec będzie szyk, co się zowie, pirsza klasa. Będiesz coś piła i jadła na stacji?

— Kto teraz myśli o piciu i jedzeniu! Chciałabym jaknajprędzej znaleźć się w łóżku. Chodźmy prędzej do hotelu. Patrz, tam stoi szwajcar hotelowy, ma na czapce napisane: „Hotel de Berlin“. Pojedziemy z nim. Napewno mają karetę na stacji. On zajmie się też naszym bagażem. Daj mu kwit.

— Przecież musimy się jeszcze dowiedzieć o walizy i poduszki, które zostawiliśmy w pociągu. Telegram nasz już pewno dawno otrzymali?

— Możemy jutro sprawdzić, a nie po nocy. Jedźmy prędzej do hotelu. I o bagaż też jutro będziemy się starać. Wstaniemy jutro rano i pošemy szwajcara z kwitami. Każemy mu zapytać się również o walizy i poduszki. Marja Iwanowa mówiła, że w Berlinie w hotelach są tacy portjerzy, którzy umieją mówić po rosyjsku. Wyszukamy takiego i opowiemy mu wszystko porządnie.

Mikołaj Iwanowicz podszedł do szwajcara hotelowego z napisem na czapce i zapytał:



— Hotel de Berlin! Numer? Są numery?

Ten spojrzał na niego zdziwiony i zapytał:

— Was für ein Nummer fragen Sie mein Herr?

— Potrzebujemy pokoju... Cimer! — wyjaśniła Głafira Sziemionowna.

Portjer uradował się

-- Ein Logement wünschen Sie? Ein Zimmer? O, ja, Madame, bitte... Haben Sie koffer? Bagage?

— Bagaż morgen, morgen. Sznel in hotel. Wir wolen szlafen.

— Bagage kann man bald kriegen. Geben Sie nur die Quitung!

— Najn... багаж morgen...

— Also, bitte. Madame!

— Szwajcar poprosił ich aby szli za nim.

— Macie tu karetkę hotelową? — zapytał go Miko'aj Iwanowicz, lecz szwajcar nie zrozumiał i spojrzał na niego wzrokiem pytającym. — Głasza! Jak po niemiecku karetką? — zapytaj!

— Wagen- Habenzi wagen? — zapytała Głafira Siemionowna szwajcara.

— O, nein, Madame! Hier ist unweid. Nur zwanzig schritte.

— Głasza! Co on mówi?

— Mówi, że karety niema, a o reszcie coś tam mruczy tak, że nie rozumiem.

Szwajcar wyprowadził małżonków ze stacji i pociągnął za sobą po słabo oświetlonej ulicy. Zdziwiło to Mikołaja Iwanowicza.

— Czy my aby jesteśmy w Berlinie? Możemy znowu coś pokręcili? Pies go wie, może konduktor naumyślnie nam nakłamał — mówił. — Opowiadano mi że Berlin cały zalany gazem, a oprócz tego — oświetlenie elektryczne, a tutaj patrz, ciemno jak na przedmieściu u nas.

— Berlin? — zapytała Głafira Siemionowna szwajcara.

— O, ja, Madame. Hotel de Berlin! — odpowiedział szwajcar, myśląc, że go pytają, z jakiego jest hotelu.

— I ten odpowiada, że Berlin. Ulica zupełnie ciemna. Gdzieniegdzie tylko latarnia gazowa. I przechodniów zupełnie nie widać. Ani publiczności, ani dorożek! — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.



Hotel był rzeczywiście bardzo blisko. Szwajcar zafrzymał się przed zamkniętym, oświetlonym jedną latarnią domem i zadzwonił. Otworzono drzwi. Ukazał się jakiś maleńki człowieczek z zaspianą twarzą w szarej marynarce i zaprowadził Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną na pierwsze piętro do numeru.

— Drei Mark! — rzekł on.

— Trzy marki? To, znaczy się, trzy niemieckie półrubie! — kalkulował Mikołaj Iwanowicz, oglądając dość czyściutki pokój o dwóch łózkach i odpowiedział człowieczkowi:

— No, gut!

Po pół godzinie Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna spali już snem sprawiedliwych w numerze „Hotel Berlin“, na głównej ulicy maleńkiej miłośnicy Tczewa. Zasypiając już, Mikołaj Iwanowicz rzekł do żony:

— Wiesz, jestem okropnie zadowolony, że już nareszcie jesteśmy w Berlinie!

— I ja też! — odpowiedziała żona.

X.

Pierwsza obudziła się rano Głafira Siemionowna, otworzyła oczy, przeciągnęła się pod cieniuszką pierzynką, które w Niemczech używane są zamiast kołder i rzekła:

— Mikołaj Iwanowicz, nie śpisz?

W odpowiedzi usłyszała lekkie chrapnięcie, skrzypnęło łóżko i Mikołaj Iwanowicz przewrócił się na drugi bok.

— Kola! Wstawaj! Czas wstawać. Patrz już jedenasta! Kiedy zdążymy obejrzeć miasto? Przecież trzeba umyć się porządnie, ubrać, napić herbaty, posłać po nasze walizy i poduszki, odszukać bagaż... a w Berlinie mieliśmy zatrzymać się tylko na jedną dobę?

Mikołaj Iwanowicz mruknął coś, lecz nie poruszył się. Żona budziła go w dalszym ciągu:

— Wstawaj, prześpisz pół dnia i nie będziemy mieli czasu na obejrzenie miasta.

— Nie obejrzymy dzisiaj, to obejrzymy jutro. Czego się śpieszysz? Deszcz nie pada! — mruknął mąż.

— Nie, nie. Jak chcesz, ale ja w tej niemieckiej ziemi dłużej jak jedną dobę nie zostanę! Jedziemy prędzej do Paryża. Co to za kraj? dziękuję! Nawet zjeść śniadania ani obiadu nie można, jak się należy... Jakies telegramy trzeba wysyłać... Żyć po całych dniach samemi kanapkami. Nieprzyzwyczajona jestem do takiego pustelniczego odżywiania.

Głafira Siemionowna wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Mikołaj Iwanowicz wyciągnął rękę do nocnej szafki, zapalił papierosa i leżał w dalszym ciągu, przeciągając się i chrząkając.

— Tak Kola! Proszę Cię bardzo, abys zarządził, w jaki sposób chcesz, żebyśmy chociaż dzisiaj mogli zjeść jakiś przy-

zwoitszy obiad z rosółem, z gorącym befsztykiem albo kotletem! — prosiła żona męża. — Jeżeli tutaj jest taki zwyczaj, że przyjezdni muszą obiady zamawiać telegraficznie, wyjdź na miasto, przyślij im skądś tu do hotelu telegram, zamów obiad i niech ich, niech podają.

— Mam nadzieję, że w hotelu będzie chyba można dostać obiad bez telegramu. Telegramy to pewno tylko posyłają na kolejach! — rzekł mąż.

— Dla wszelkiej pewności pošlij telegram. Wydatek niewielki, a będziemy mieli pewność, że zjemy obiad... Jak chcesz, to nawet sama ci napiszę telegram. Wiem jak... „Hotel de Berlin... dine in fir ur“, potem nasze nazwisko i już. A nawet nie „dine“ — poprawiła Głafira Siemionowna. — „Dine“ to po francusku, a po niemiecku „mitag“ — mitag in fir ur i już.

Lepiej zapytajmy najprzód kelnera. Jestem pewny, że w Berlinie telegramów na obiady nie potrzeba! — upierał się przy swoim Mikołaj Iwanowicz.

— Jak zaczniesz się rozpytywać, to napewno coś pokreślisz. Powiedzą — tak, a potem okaże się, że — nie. I siedz na głodnego. Bieda zagranicą bez języka. Ot żebyśmy mówili po niemiecku, jak się należy.

— We dwójkę jakoś sobie damy radę.

— I tak będziemy mieli dużo roboty. Trzeba wyszukać bagaż, walizy, poduszki. Ale czego ty jeszcze rozwalasz się w łóżku! Wstawaj!... Patrz już po jedenastej!



Głafira Siemionowna podwyższyła głos i ściągnęła pierzynę z męża. Mikołaj Iwanowicz musiał się ubierać.

Po kilku minutach małżonkowie umyli się, ubrali, i zadzwonili na kelnera. Ten zjawił się, uklonił i stanął w pozycji pełnej wyczekiwania.

— Samowar! — zwrócił się do niego Mikołaj Iwanowicz.
— A „te“ nie trzeba. Te mamy swoją. Cukier także mamy.

— Kelner wytreszczył oczy i wreszcie zapytał:

— Thee wünschen Sie, mein Herr?

— Nie te, a tylko samowar, bez cukier i bez te. Głasza jak samowar po niemiecku?

— Poczekaj... Niech lepiej przyniesie herbaty. Może poda w samowarze.

— Ale po co, kiedy mamy swoją herbatę?

— Zostaw. Nie mamy czasu na tłumaczenia. Widzisz sam, że kelner nic nie rozumie z naszej rozmowy. Bringenzi te na dwie osoby. Te fir cwaj.

— Wünschen Sie auch Brott und Butter, Madame? — za-
pytał kelner.

Głafira Siemionowna zrozumiała i odpowiedziała:

— Ja... ja. Brot i buter... Oprócz tego bringenzi cifron, bringenzi keze... i brot więcej... fil brot... Chce mi się bardzo jeść — dorzuciła, zwracając się do męża.

Kelner uklonił się i chciał odejść.

— Proszę zaczekać... Wartenzi! — zatrzymała go Głafira Siemionowna.

— Flajsz można bringen? Kola, zamawiam również mięso. Może przyniesie? Flajsz bringenzi, kalt flajsz,

— Kalbfleisch, Madame?

— Kalt, kalt, tylko dużo. Fil...

Zjawiła się herbata lecz bez samowara. Wrzątek a właściwie ciepłą wodę podali w dużym dzbanku od mleka.

— A samowar? Ferszteenzi: samowar? — pytała Głafira Siemionowna. — Samowar mit węgle... z węglami... z ogniem... mit fajer! — starała się wytłumaczyć i nawet wydawała ustami dźwięki — puf, puf, puf, naśladując parę, wydającą z pod pokrywki samowara.

— Sie wünschen Theemaschine?

Kelner uśmiechnął się.

— Tak, tak.. Ja, ja... Temaszyne! — potwierdziła Głafira Siemionowna. — Patrz co za słowo zapomniałam, a przecież doskonale go znałam. Temaszyne.

— Theemaschine haben wir nicht, Madame. Das wird selten gefragt bei uns.

— Najn?

— Nein! — odpowiedział kelner, energicznie potrząsając głową.

— No i pańszcie państwo, nawet samowaru nie mają! I to się nazywa Berlin. W porządnym hotelu nawet samowaru nie mają, a u nas w każdej karczmie przydrożnej, ile chcesz. No a wrzątek, skąd dostaniemy wrzątku. Hajs waser?

— Hier! — wskazał kelner na dzbanek.

— Tutaj? Co to za wrzątek? To poprostu letnia woda. Nawet para z niej nie idzie. My musimy mieć wrzątek, ferszteenzi, wrzątek hajs waser. I zamało, tutaj załedwie na

dwie filiżanki starczy, a my chcemy fil. dużo, my chcemy wypić po 5. po 6 filiżanek. Ferszteen zi, finf, seks tasse.

— Zostaw Glasza. Niech się pod nimi ziemia zapadnie. Jakoś wypijemy. Widzisz tutaj w tej niemieckiej ziemi wszystko do góry nogami: na piernacie nie śpią, tylko się nim przykrywają zamiast kołdry. Wrzątek podają w dzbankach od mleka! — rzekł z pogardą Mikołaj Iwanowicz.

— I obiad jedzą telegraficznie zamówiony! — dorzuciła żora. — Geenzj! — kiwnęła kelnerowi, dając mu znać, żeby odszedł, lecz nagle przypomniała sobie i zatrzymała go. — Albo nie, proszę poczekać. Musimy odszukać nasz bagaż na stacji. Bagaż bekomen. Oto kwit... Hir kwitanc! — podała paperek kelnerowi. — Man kan?

— O, ja, Madame! — odpowiedział kelner, biorąc kwitek.

— No więc bringenzi... a tu jeszcze kwitanc od telegramu... Wir haben... — zaczęła Głafira Siemionowna, lecz zatrzymała się i zwracając się do męża rzekła: — Tu właśnie nie wiem, w jaki sposób wytłumaczyć mu o naszych walizach i poduszkach, które zostawiliśmy w pociągu. Pomóż mi jakoś. Hir telegram. Wir haben w wagonie nasze walizy i poduszki ferloren... Właściwie nie ferloren a gelasen w Keniksbergu, a walizy i poduszki faren in Berlin.

Kelner stał, słuchał i wytrzeszczał oczy.

— Walizy i poduszki, fersztajn? — starał się dopomóc Mikołaj Iwanowicz, zdjął z pościeli poduszkę i pokazał kelnerowi.

— Kissen? — zapytał kelner.

— Tak, tak... Kisen... W wagonie gelasen. Wir haben gelasen i telegrafiren.

Kelner wziął oba kwity i wyszedł.

— Założę się, o co chcesz, że nic nie zrozumiał! — rzekł po wyjściu kelnera Mikołaj Iwanowicz.

— Co miał nie rozumieć? Napewno zrozumiał! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Wytłumaczyłam mu przecież wszystko porządnie, umiem już więcej niemieckich słów i mówię daleko lepiej, jak wczoraj. Wogóle w podróży można się bardzo dużo nauczyć. To tylko ty nie możesz się nigdy niczego nauczyć.

Zabrała się do herbaty i kanapek z serem i cieleciną. Rozległo się pukanie do drzwi: wrócił kelner, trzymał w ręku kwity i uśmiechał się.

— W kantorze obejrzelśmy dokładnie kwity państwa. Według tych kwitów mogą państwo otrzymać bagaż i rzeczy tylko w Berlinie, a nie tutaj! — rzekł po niemiecku, kładąc kwity na stół.

Małżonkowie patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

— Kola, nie zrozumiałeś, co on mówi? — zapytała męża Głafira Siemionowna. — Ja nic nie rozumię.

— A skąd ja mam rozumieć, jeśli ja niemieckich słów uczyłem się tylko w sklepie od Estończyków.

— Osieł! — rozgniewała się żona i zwracając się do kelnera rzekła:

— Bringenzi, bringenzi bagaż. My zapłacimy.

— Das kan man nicht, Madame. Das werden Sie in Berlin kriegen.

— No tak, in Berlin. Przecież my jesteśmy w Berlinie. Wir in Berlin? Wir zicen in Berlin? Hir Berlin?

— Hier ist Dirschau, Madame. Stadt Dirschau!

Głafira Siemionowna zaczęła domyślać się, o co chodzi i wybuchła:

— Jaktó Dirschau? Jaki sztađ Dirschau?! — krzyknęła. — Berlin!

— Nein, Madame!

Kelner zdjął ze ściany cennik hotelowy, położył na stole i pokazał Głafirze Siemionownie nagłówek, gdzie stało wydrukowane po niemiecku: „Hotel de Berlin in Dirschau“. Czytać po niemiecku umiała Głafira Siemionowna. Przeczytawszy nagłówek, zawołała:



— Mikołaj Iwanowicz? Czy ty wiesz, że myśmy przyjechali nie do Berlina, a do jakiegoś miasta Dirschau?

— Co ty mówisz?... Czy być może?... — bełkotał Mikołaj Iwanowicz i otworzywszy usta ze zdziwienia, zaczął się drapać po głowie.

XI.

— Co to takiego? Przecież to prawdziwe nieszczęście! Przecież to do niczego niepodobne! — gniewała się Głafira Siemionowna, załamując ręce i biegając po pokoju. — Tyle już czasu jedziemy do Berlina, wlecemy się, krążymy a nie

możemy trafić do niego... Po raz drugi już trafiamy nie tam, gdzie potrzeba... Dirschau?... Co to za Dirschau? Gdzie jest to Dirschau? — zatrzymała się w pozie pytającej przed Mikołajem Iwanowiczem.

Mikołaj Iwanowicz podawnemu siedział, chrząkał gniewnie i drapał się po głowie...

— Mikołaj Iwanowicz, pytam się Pana! Co Pan tu siedzi jak bożek jakiś pogański? Co to za Dirschau? W jakiej miejscowości leży ten Dirschau? Możemy pojechali nie tą koleją, jaką powinno się jechać?

— A skąd ja wiem mameczko? — odpowiedział mąż.

— A jednak uczyłeś się przecież w szkole handlowej.

— Uczyłem... zaledwie półtora roku byłem w niej i dostateczne stopnie miałem tylko ze śpiewu... Przez cały czas grałem z kolegami o pióra stalowe... Ale ty, cztery lata na pensji u madamy wygniatałaś łwkę i też nic nie umiesz, też nic nie wiesz...

— Nasza nauka była damska: uczono nas tańców, robótek, wyszywania koralikami, pisania laurek dla ojca i mamy na Boże Narodzenie i na imieniny... Skąd ja mogę wiedzieć o jakimś Dirschau? Możebyś się jednak zapytał, w jaki sposób możemy się stąd dostać do Berlina? Napewno zajechaliśmy gdzieś na jakąś prowincję, bo w hotelu tutejszym nawet samowara niem.

— W jaki sposób mam się dowiedzieć? W jaki sposób? — zaczął Mikołaj Iwanowicz coraz gniewniejszym głosem. — Zacznę się dowiadywać i znów pokręcę coś... Przecież jadąc za granicę, miałem nadzieję tylko na ciebie... Jak sroka trzeszczałaś mi ciągle nad uchem, że na pensji uczyłaś się i po francusku i po niemiecku...

Uczyłam się naprawdę, ale co robić, kiedy wszystkie słowa zapomniałam. Zapłać lepiej prędko w tym hotelu i chodźmy na dworzec, żeby jechać do Berlina. Po co mamy tu siedzieć?

— Nie pojedę do Berlina! Wiesz? Za żadne skarby nie pojedę! Żeby się pod ziemię zapadła ta cała Niemczyzna! Niech ją piekło pochłonie! Jedziemy prosto do Paryża! Będziemy się wprost pytać: gdzie tu droga do Paryża?

— A nasz bagaż? A nasze walizy? A nasze poduszki? Przecież wszystko to mamy w Berlinie, więc musimy tam jechać! Przecież wszystkie nasze rzeczy są w walizach, nawet nosa nie mam w co utrzyć...

— Niech to wszyscy diabli wezmą! A to przekąska! — schwycił się Mikołaj Iwanowicz za głowę. — A to skaranie boskie! Boże, kiedyż nareszcie skończą się te nasze męczarnie niemieckie? Jestem pewny, że we francuskiej ziemi jest lepiej i że ludzie tam żyją po ludzku... Pomimo to jednak do Berlina musimy jechać, ależ wiesz co? Dojedziemy tylko do

Berlina, weźmiemy na dworcu nasz bagaż, walizy i poduszki i zaraz hajda do Paryża! Zgadzasz się?

— Naturalnie, że się zgadzam! Tymczasem jeździmy tylko po tej ziemi niemieckiej, nie zatrzymujemy się nawet w niej naprawdę, a już zdążyła mi ona obrzydnąć, jak gorzka rzepa. Prędzej do Paryża, prędzej! I język francuski znam daleko lepiej...

— A może tylko znasz: „permete mua sortir“! Bo tyle to i ja umiem...

— Głuptwa mówisz... U nas na pensji nawet guwernatka była Francuzką. Co prawda nie była to prawdziwa Francuzka, ale zawsze z nami rozmawiała po francusku.

Mikołaj Iwanowicz zadzwonił na kelnera.

— Ile geld za tę całą awanturę? Wi fil? — zapytał, pokazując na pokój i na serwis od herbaty. — Jedziemy do Berlina! Prędko rachunek!

— Kelner pobiegł po rachunek i przyniósł go. Mikołaj Iwanowicz dał złotą monetę i otrzymał resztę.

— Ile wzięli? — zapytała męża Głafira Siemionowna.

— Pan Bóg ich wie! Kto ich tam policzy? Ile chcieli, tyle i wzięli! Ale rachunek weź ze sobą. W wagonie będziemy mieli dosyć czasu, to rozejrzysz się w nim, jeżeli zdołasz. Prędzej, Głafira Siemionowna! Bierz palto i idziemy!

Małżonkowie ubrali się i wyszli z pokoju. Kelner stał i czekał na napiwek.

— Daj mu ze dwie, frzy monetki. Widzisz, że czeka na napiwek — rzekła Głafira Siemionowna.

— Za co? Za to, że zamiast do Berlina zamanił mnie do jakiegoś parszywego Dyrszału? Ot co się mu należy zamiast napiwka!

Mikołaj Iwanowicz pokazał kelnerowi pięść.

— Mein Herr! Was machen Sie! — zawołał przestraszony kelner.



— Obejdzie się bez „majn Her“! Nie mań na drugi raz porządnych ludzi. Pytałem się wyraźnie, czy to Berlin, czy nie Berlin.

— To przecież nie jego, a szwajcara.

— Jedna banda. Niema tu podróżnych, więc obelgują naród jak moga.

Głafira Siemionowna zlitowała się jednak nad kelnerem i wcisnęła mu w rękę dwie 10-fenigówki.

Wyszli z domu. Przed bramą kłaniał się szwajcar, też dopraszając się napiwka.

— Ja ci pokażę, bandyto jeden! — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz. — Podziękuj Bogu, że ci żeber nie połamię.

— Kola, czego ty się gniewasz? Przecież będziemy się musieli jeszcze dowiedzieć, gdzie tu jest kolej, którą trzeba jechać do Berlina, — powstrzymała męża Głafira Siemionowna i wsunawszy w łapę szwajcarowi dwie 10-fenigówki zapytała: — Wo its ajzenban in Berlin?

— To tutaj. Madame! Niedaleko. Kolej do Berlina — ta sama, którą państwo do nas przyjechali! — odpowiedział szwajcar po niemiecku, pokazując na znajdujący się w końcu ulicy szary dom.

— Patrz, pokazuje na ten sam dworzec? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Łże, znów łże! Głasza, nie słuchaj, bo znów pokręcimy coś!

— Przecież na stacji możemy się zapytać. Zapytamy i sprawdzimy. Język doprowadzi i do Rzymu.

— Nas jakoś niebardzo dotąd prowadzi. No idziemy! Poszli ulicą w kierunku dworca.

— Ach, żeby tak po drodze spotkać jakiegoś Tatara wędrownego, żeby kupić od niego chustkę do nosa, bo nawet nosa nie mam w co utrzyć.

— Można wytrzeć i w papierek.

Po drodze jednak spotkali sklep, gdzie w oknie leżały chustki do nosa. Weszli do niego i kupili pół tuzina. Korzystając z okazji, Głafira Siemionowna zapytała się subiekta sklepowego, gdzie jest dworzec kolei, która prowadzi do Berlina.

Subjekt, bardzo grzeczny młodzieniec, wyprowadził małżonków ze sklepu na ulicę i wskazał na ten sam dom.

— A widzisz, więc szwajcar nie kłamał! — rzekła Głafira Siemionowna.

Na dworcu znów rozmowy i pantominy. W rezultacie jakoś dowiedzieli się, że pociąg idzie za półtorej godziny.

— Ech, czuje serce moje, że kłamię! Ech, czuję, że naciągają. Już takie to społeczeństwo niemieckie, sami naciągacze! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Wypytaj się Głasza dobrze.

Znów pytania. Odpowiedź była ta sama.

— Czy tylko zrozumiałeś dobrze? — ciągle jeszcze nie dowierzał Mikołaj Iwanowicz.

— Czego mam nie rozumieć? Trzech ludzi wyjęło zegarki i palcem wprost wskazali, że pociąg do Berlina idzie za półtorej godziny. Przecież godziny na zegarze umiem rozpoznawać.

— Ale czy aby napewno do Berlina? Żebyśmy znowu nie zajechali do jakiegoś nowego Dyrszała...

— Możemy zapytać jeszcze w wagonie.

Przeczekawszy na dworcu półtorej godziny i ciągle jeszcze wypytując każdego o pociąg do Berlina, małżonkowie wreszcie znaleźli się w wagonie. Wsadził ich do pociągu jakiś starszy kolejarz o dobrotliwym wyrazie twarzy, litując się nad ich zamieszaniem i niespokojnem kręceniem się po dworcu.

— Czy aby in Berlin? — jeszcze raz zapytał Mikołaj Iwanowicz, wsuwając mu w rękę dwie 10-fenig. — Wir Berlin!

— Berlin! Berlin! Directt nach Berlin! — odpowiedział kolejarz.

Pociąg ruszył.

— Jeżeli dojedziemy do Berlina, nie zajeżdżając do żadnego Dyrszała, postawię przed ołtarzem świecę za rubla! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Daj to Panie Boże! — rzekła Głafira Siemionowna i przeżegnała się ukradkiem.

XII

Drogę od Tczewa do Berlina Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna przejechali bez żadnych przygód. Jechali w wagonie bezpośredniej komunikacji i nie potrzeba się było przesiadać. Pociąg mknął jak strzała, zatrzymując się na stacjach, jak i poprzednio, tylko na jedną, lub dwie minuty, lecz roznosili tace z kanapkami i szklankami piwa i wykrzykiwali pod oknami wagonu. Głafira Siemionowna, która zresztą posiadała wcale dobry apetyt, narzuciła się na kanapki i jadła przez całą drogę. Mikołaj Iwanowicz pił piwo, gdzie tylko można było, duszkiem wypijając duże kufle, czasami nawet i dwa i humor poprawił mu się. Wkrótce zaczął nawet rozmawiać z pewnym Niemcem o armji. Rozmowa zaczęła się od tego, iż Mikołaj Iwanowicz wskazał żonie na oddział żołnierzy pruskich, stojących na jakiejś stacji i rzekł:

— Głaska, popatrz no, jakie to te ich żołnierze pruskie. Małe, chude, karykatury jakieś. Nasz kozak jedną ręką pięciu takich weźmie.

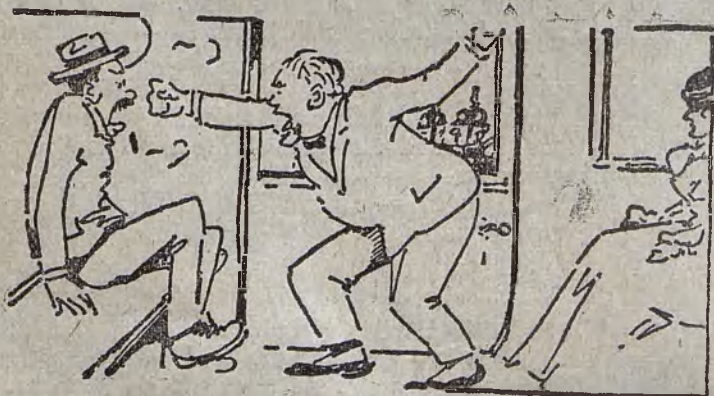
Siedzący na vis a vis Mikołaja Iwanowicza ponury Niemiec, pracowicie ssący cygaro, usłyszawszy w mowie rosyjskiej słowa „sołdat“ i „kozak“, zainteresował się i rzekł po niemiecku:

— A w Rosji dużo żołnierzy i kozaków?

Mikołaj Iwanowicz, który z niemieckiego frazesu zrozumiał jedynie słowa „Russland — fil — Soldaten i Kosaken“ zawołał:

— U nas? W Rusland? Fil, fil!... Tak fil, że aż strach.

I żołdatów fil, i kozaków fil, i czy nasz kozak jest taki, jak wasi sołdaci? U was sołdaty cienkie, klajn; pluniesz, to możesz go na pół przełamać, a nasz kozak, o! — rzekł podnosząc się z kanapy i wyciągając rękę do sufitu. — A pięść ma — o! trzy pudy waży! — Mikołaj Iwanowicz zacisnął rękę w pięść i podsunął Niemcowi prawie pod nos. Niemiec zrozumiał, że tą pięścią chce Mikołaj Iwanowicz przekonać go, iż w razie wojny Rosjanie w ten sposób ścisną Niemców, wzruszył ramionami i mruknawszy: „To się jeszcze pokaże!“ zamilkł i przerwał rozmowę. Ale Mikołaj Iwanowicz zachwycony rozmową, nie dał mu spokoju i w dalszym ciągu starał mu się określić siłę kozaka,



— Czy was sołdat może tyle sznapstrinken, ile nasz kozak może trinken? Wy, Niemcy możecie bir trinken fil, ale żeby sznaps trinken, to was nie ma. Co dla Rosjanina zdrowe, to dla Niemca śmierć. Nasz kozak ot taki głas sznaps trinken może, z której dajcz mienz bir trinken. I nasz rusisz mienz nawet okiem nie mrugnie... A wasz dajcz mienz pod ławkę się zwali, nóżki mu zmiękną. U nas jedzą kapuśniak i kaszę, a u was zupę pomywakę i kielbasę; nasz sołdat napcha się razowego chleba i dwóch, trzech dajczmienzów powali, a wasz dajczsołdat biała bułeczka wsuwa. Dlatego to nasz rusiszsołdat jest silny. Fersztajn?

— Niemiec milczał i uśmiechał się. Mikołaj Iwanowicz ciągnął dalej:

— Z waszego jedzenia nie zyskasz wiele siły. Chciałem oto w waszym Kenigsbergu zjeść coś, esen. to podali nam kotlet wielkości dzioba kurzego; a u nas komenzi do restauracji Tie-

stowa w Moskwie, dadzą ci kotlet jak ze słonia. Wasze kotlety klajn, a nasze kotlety gros!

Nadomiar wszystkiego Mikołaj Iwanowicz zaczął opowiadać Niemcowi o konnej jeździe kozaków i nawet zaczął pokazywać w wagonie niektóre sztuki wołyżerki kozackiej.

— A u was, u dajcz-sódat, tego nie znają? — zakończył i otarł chustką pot, który mu wystąpił na czole.

— Po co ty mu to wszystko opowiadasz? — zauważyła Głafira Siemionowna. — Przecież on i tak nic nie rozumie.

— Ja przecież mu niemieckimi słowami wszystko wyjaśniam, więc powinien rozumieć! Nie bój się! — mrugnął Mikołaj Iwanowicz. — Zrozumiał mnie dobrze. Czuje niemczura, że prawdę mówię...

Wieczorem przyjechano do Berlina. Pociąg, przejeżdżając nad ulicami, obok olbrzymich domów z szyldami, wjechał wreszcie na oświetlony elektrycznością dworzec i zatrzymał się.

— Oto Berlin! To rozumię! — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Teraz, nie pytając się nikogo, jestem pewny, że to Berlin. Patrz jaki tłok na dworcu? Zupełnie jak w Niżnem Nowogrodzie podczas jarmarku! — zwrócił się do żony. — Wychodź prędzej z wagonu, bo jeszcze nas gdzieś dalej zawiozą.

Małżonkowie wyszli z wagonu.

— Gdzie można wziąć багаż? Багаж? — wsunął Mikołaj Iwanowicz kwit w rękę jakiemuś kolejarzowi.

— Weiter, mein Herr! — rzekł ten, nie biorąc kwiatów i wskazując ręką.

— Багаж? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do drugiego kolejarza.

Ta sama odpowiedź.

W ten sposób doszli do wyjścia z dworca. Tam koło drzwi stali szwajcarzy hotelowi z miedzianymi szyldami na czapkach i zapraszali do siebie podróżnych, wykrzykując nazwę swoich hotelów. Jeden z nich, słysząc rosyjską rozmowę Mikołaja Iwanowicza i Głafiry Siemionowny, zwrócił się do nich w łamanym języku rosyjskim:

— W nasz hotel mówią po rusku. W nasz hotel pierwszy ranga pokój od dwa marka do 20 marka!

— Гласа! Słyszysz? Po rosyjsku papple! — z radością zawołał Mikołaj Iwanowicz i mało brakowało, żeby się był rzucił szwajcarowi na szyję. — Kochasiu! muszę багаж tu otrzymać a po niemiecku anj w zab! Nacierpiałem się w drodze, jak Hiob-męczennik, masz tu 3 niemieckich półruble na piwo, ale uratuj nam w jakikolwiek sposób nasz багаж.

— Można, można, jaśnie wielmożny Panie! Proszę dać swój kwitung i siadać w nasza kareta! — odpowiedział szwajcar,

— O! kwit, oprócz tego musimu otrzymać nasze walizy i poduszki w wagonie i w drodze pogubiliśmy i pozapominaliśmy wszystkie nasze rzeczy.

Mikołaj Iwanowicz opowiedział szwajcarowi historję z rzeczami.

— Wszystko będzie zrobiona! Proszę siadać naprzód w nasza karetę! — zapraszał szwajcar.

— Nie potrzebujemy karety! Nie zostaniemy w Berlinie! Poczekamy na dworcu i pojedziemy dalej do Paryża. Nie potrzebujemy waszego hotelu! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— To ja nie mogę robić pański komisjon, ja służyć w hotel. Szwajcar obojętnie oddał im kwity.

— To już rób ten komisjon! Ratuń nasz bagaż i rzeczy! Pojedziemy do was do hotelu! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Niech djabli wezmą, Głasha! Zatrzymajmy się jedną nockę, przenocujmy gdzieś w hotelu. Zresztą już późno. Po co się włóczyć po nocy. Jestem tak zadowolony, że natknąłem się na człowieka, który mówi po rosyjsku... — namawiał mąż żonę i zwrócił się do szwajcara:

— Prowadź nas, prowadź, braciszku, do twojej karety.

Po kwadransie małżonkowie nasi jechali przez rześkie oświetlone ulice Berlina do hotelu.

— Jakbyśmy nie zajechali do nich do hotelu, to ani bagażu naszego, ani poduszek, ani walizek nie zobaczylibyśmy więcej i znów pojechalibyśmy do jakiegoś Kenigsberga albo i Dyrszała. Bieda bez języka! — mówił Mikołaj Iwanowicz, siedząc koło swoich rzeczy.

XIII.

— Jak chcesz, Mikołaju Iwanowiczu, ale ja więcej, jak jedną noc nie zostaję w Berlinie! Musimy jutro jechać do Paryża! Pierwszym pociągiem! — mówiła Głafira Siemionowna. — Ta niemiecka ziemia stanowczo nie pasuje do nas, zlituj się co to za kraj? W jakabyś stronę pojechał, zawsze trafisz nie tam, gdzie chciałeś.

— Ależ dobrze, dobrze, pojedziemy jutro! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Piwo tu dobre... Tylko z powodu tego piwa warto tu pobyć. Popiję sobie dobrze dzisiaj piwka, a jutro pojedziemy.

— Ja nawet i teraz nie jestem zupełnie pewna, czyśmy dobrze trafili.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czy jesteście aby w Berlinie?

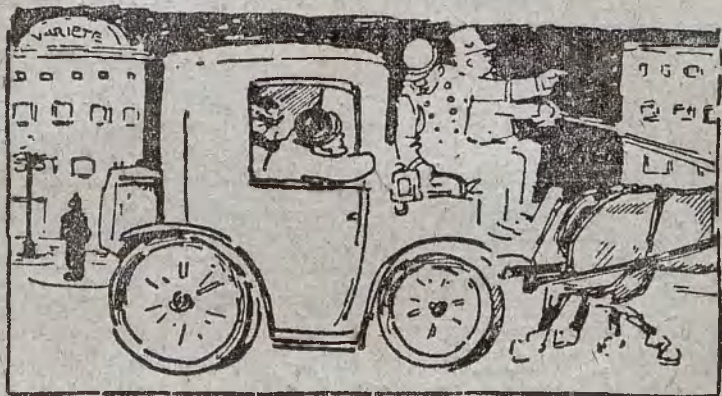
— Co takiego? A czy nie w Berlinie oddali nasz bagaż? A czy otrzymalibyśmy z powrotem naszych waliz i poduszek zapomnianych w wagonie? Przecież wszystko to pojechało do Berlina!

— Tu u Niemców wszystko się może zdarzyć.

— A czy nie widzisz tych ulic bogatych, po których jedziemy, wszystko zalane gazem i elektrycznością.

— Zapytaj się jednak szwajcara, czy to aby naprawdę Berlin?

Mikołaj Iwanowicz opuścił okno karety i zapytał się siedzącego na kozle obok stangreta szwajcara:



— Panie!... Jak tam pana... Ciagle jeszcze nie jestem pewny, czy to aby Berlin?

— Berlin, Berlin! Ot teraz mi jechać po znakomita ulica, Unter den Linden, — pod lipami! — odpowiedział szwajcar.

— A co w tym znakomitego, że pod lipami? U nas, bracie, w Petersburgu albo w Moskwie to tych samych lip jest aż za dużo, a nikt ich nie uważa za znakomite. Ot, waszego Bismarka u nas uważają za znakomitość, bo do jakiej gazety nie zajrzałbyś, wszędzie sterczy. Pokaż no nam, gdzie on tu siedzi? Byłoby bardzo ciekawą rzeczą zobaczyć go w naturalnym wyglądzie.

— Fürst Bismarck teraz nie jest w Berlin, jaśnie wielmożny panie!

— Najważniejszej rzeczy niema!... No, a gdzie u was najlepsze piwo.

— Piwo wszędzie dobra, lepsza piwo od berlińska niema. Oto znakomita Brandenburger Tor! — pokazał szwajcar.

— Po naszymu to: Brama Tryumfalna, mamy to samo i u nas, mamy, tym nas nie zdziwisz, nawet nie uważamy ich za rzeczy znakomite i sterczą u nas na końcu miasta, niedaleko rzeźni, gdzie bydło pędzą... Czy prędko przyjedziemy do hotelu?

— Zaraz, jaśnie wielmożny panie.

Kareta zatrzymała się przed bogato oświetlonym podjazdem hotelu, szwajcar zeskoczył z kozła i pomógł wysiąść Mikołajowi Iwanowiczowi i Głafirze Siemionownie. potem

wprowadził ich do hotelu. Inny szwajcar, znajdujący się w halu, zadzwonił w olbrzymi dzwon, gdzieś na górze odpowiedział mu drugi dzwon o delikatniejszym dźwięku, po schodach przybiegł kelner we fraku.

— Wünschen Sie ein Zimmer, mein Herr?

— Ja, ja... tylko nie zdzierać, a brać cenę, jak się należy!
— odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Der Herr spricht nicht deutsch! — objaśnił szwajcar kelnera i zwracając się do Mikołaja Iwanowicza rzekł: — Za 5 marka damy panu śliczna pokój z dwa łóżka.

— To znaczy za 5 półrubłówek? Przecież wasza marka, to nasze półrubla?

— Trochę więcej, proszę madame... proszę jaśnie wielmożny panie.

Małżonkowie weszli do jakiegoś maleńkiego pokoiku, szwajcar zatrzasnął szklane drzwi. Rozległ się dzwonek elektryczny i pokoiak zaczął podnosić się w górę.

— Aj, aj! — zapiszczała Głafira Siemionowna, — Mikołaj Iwanowicz! Boże! Co to takiego?! — Schwyciła męża za rękaw i drżała jak w febrze,



— To jest, Madame, lift. Taki... winda! — odpowiedział głos szwajcara.

— Nie trzeba! Proszę otworzyć! Proszę mnie wypuścić!... Ja się boję!... Pociemku, Bóg wie, co się może tu zrobić!... Proszę nas wypuścić!

— Jak można, Madame... Teraz nie można... Teraz można się zabić!...

— Mikołaj Iwanowicz! Czegóż ty milczysz, jak bałwan?!

Mikołaj Iwanowicz też był przestraszony, odsapnął parę razy ciężko, wreszcie rzekł:

— Pocierp Głasza!... Miej nadzieję w Bogu, przecież i szwajcar z nami jedzie, zawsze gdzieś dojedziemy.

Po minucie winda zatrzymała się i szwajcar, otworzywszy drzwi, rzekł: „proszę, Madame“!

— Tfu! Żebyście zdechli z waszą windą! — splunął Mikołaj Iwanowicz i wyprowadzając żonę zapytał: — Bardzo się przestraszyłaś?!

— Rany Boskie!... Ręce i nogi trzęsą się podemną... Myślałam, że już koniec. Obce miejsce, nieznane, naokoło sami Niemcy... Myślałam sobie, a jak nagle w ciemności złapie mnie ktoś za gardło...

— Madame, tutejsza hotel pierwszy ranga! — zauważył szwajcar jakby obrażony.

— Pluję na waszą rangę! Powinien się najprzód zapytać, czy porządny człowiek chce siadać do waszej djabelskiej kołyski. Myślicie tylko o tem, jakby pieniądze od podróżnych zdzierać za różne wasze sztuczki! Nie płac im Mikołaj Iwanowicz za tę przeklętą klatkę, nic nie płac.

— Madamy, my za winda nic nie brać.

— A nie bierzecie, to z was się powinno brać za przestach i niepokój! A co byłoby, gdybym nagle dostała nerwów i zemdlą?

— Pardon, Madame... my nie chciała...

— Co tam pardon. Z waszego pardonu szuby sobie nie uszyję! — odgryzł się Mikołaj Iwanowicz. — Uspokój się Głasza, uspokój!

— Zobacz, czy mam wszystko! Czy broszka brylantowa jest na swoim miejscu?

— Co Madame mówić?... Oprócz ja i mąż nikt nie być w winda! — tłumaczył się szwajcar, poprowadził małżonków przez kurytarz i otworzył numer.

— Oto... z okien jest najpiękniejsza widok na Pariser Platz.

— Ceny piekielne! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zaglądając do pokoju, który szwajcar oświetlił. — Chodźmy Głasza.

Głafira Siemionowna nie spieszyła się.

— A jeżeli i ten pokój nagle zacznie się podnosić? Ja nie mogę tego więcej znosić. Zobaczysz, zaraz dostanę nerwów i wtedy będzie gorzej.

— Ależ nie, nie! To już zwykły pokój!

— Kto ich tam wie. W tej niemieckiej ziemi wszystko do góry nogami. Czy ten pokój bez żadnej maszyny? Nie będzie się podnosił, ani opadał? — pytała szwajcara.

— O nie, Madame! To sama najzwyklejsza pokój.

Głafira Siemionowna z lękiem przekroczyła próg.

— Boże, Boże! — burczała pod nosem. — Żeby tylko przenocować i jaknajprędzej wyjechać z tej ziemi.

— Dobrze! Zostajemy tutaj! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, siadając w fotelu. — Proszę przynieść nasze rzeczy. A jak się pan nazywa? — zwrócił się do szwajcara.

— Franz!

— Nu, her Franc, to już niech pan zostanie przy nas z pańskim rosyjskim językiem. Obiecałem trzy półrubłówki na

piwo za uratowanie naszych rzeczy na kolei, ale jeśli pan przez wieczór zostanie przy nas, jutro posadzi nas do odpowiedniego wagonu, żebyśmy mogli bez płataniny dojechać do Paryża, dam panu sześć półrubłówek. Zgoda?

— Z dużym przyjemnościami, jasnie wielmożny panie! Teraz może pan co kazać przynosić z bufetu?

— Przedewszystkiem herbaty.

— Możemy służyć nawet ruski samowar.

Szwajcar zadzwonił, zawołał kelnera i powiedział mu coś po niemiecku.



— Głasza! Słyszysz, nawet samowar rosyjski podadzą! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony, która siedziała wciąż nachmurzona. — Przestań, głuptasku, przestań, nie bój się. Ten pekój jest nieruchomy, zapewniam cię. Nigdzie nas w nim nie zataszcza.

— Proszę cię tylko za Niemców nie rącz! Zwykli bandyci w stosunku do podróżnych. Jeżeli nawet obiad trzeba zamawiać telegraficznie, czego chcesz jeszcze?

— No, naturalnie... A jednak kolację zjemy chyba na gorąco?

— O, tak... U nas znakomity kuchnia.

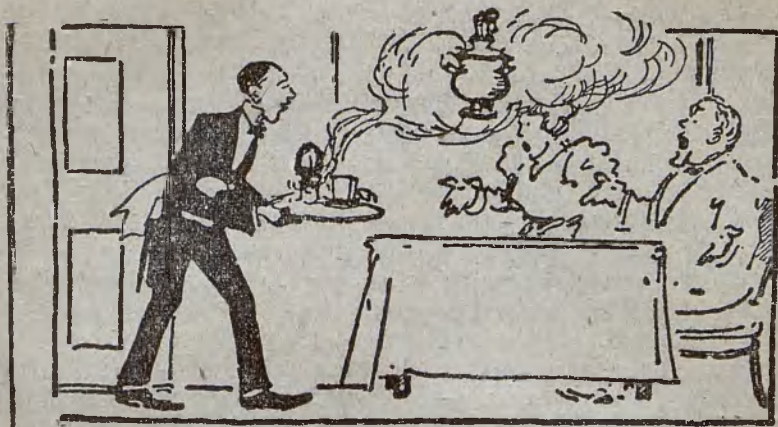
— I nie trzeba posyłać żadnego telegramu? — zapytała szwajcara Głafira Siemionowna.

Szwajcar spojrzał na nią zdziwiony i odpowiedział:

— Jaki telegrama? Po co telegrama?

XIV.

Szwajcar oddalił się, poczem kelner podał herbatę i ów samowar rosyjski, którym chwalił się szwajcar. Głafira Siemionowna, pomimo że ciągle jeszcze była pod wrażeniem przestachu w windzie, ujrawszy samowar, roześmiała się mimowoli.



— Pafrz, pafrz... I oni to nazywają samowarem rosyjskim? Ani komina, ani piecyka! — zwróciła się do męża. — Jakieś duże jajko platerowane, a pod spodem zwykła lampka spirytusowa... I to się nazywa u nich samowar?

— Daj spokój! Czy nie widzisz, że tu wogóle ludzie bez pojęcia o życiu rosyjskiem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz z pogardą. — Możesz im na głowie kołki ciosać, tym Szwabom, też nic nie pomoże. No, ja się teraz umyję, a ty nalej herbaty. Napijemy się herbatki i przekasimy lekko bułeczkami, a na noc zjemy solidną kolacyjkę.

— Geenzi, kelner... Nic więcej nie potrzebujemy. Nichts! — rzekła Głafira Siemionowna do kelnera.

Po napiciu się herbaty Mikołaj Iwanowicz zadzwonił na szwajcara.

— Nu, her Franc, trzeba nam będzie obejrzyć Berlin. Prowadź!

— Nie, nie... nigdzie za nic nie pójde! — zawołała Głafira Siemionowna. — Znow nas mogą wsadzić do jakiejś maszyny w rodzaju tego „liftu“ i znow przestraszę się.

— Nie bądź głupia! Her Franc teraz uprzedzi, jeżeli coś takiego...

— Tak, tak, Madame. Niech pani będzie spokojna, więcej nic nie będzie! — odpowiedział szwajcar.

— Chodźmy, Głasza! — prosił żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Dobrze. Ale jechać w waszej przeklętej maszynie nie będę za żadne skarby.

— Gdzieś to się pan, her Franc, uczył rosyjskiego wykształcenia, w jakiej akademji nauk? — zadał Mikołaj Iwanowicz pytanie szwajcarowi.

— Ja, monsieur, w Warszawie, w jeden duży hotel był portjer i tam się nauczył.

— A sam pan jesteś Niemiec?

— Trochę Niemiec, trochę Polak.

— A czy nie Żyd czasami?

— Co pan mówi, Jaśnie Wielmożny Panie? Ja urodziłem się w Königsbergu...

— W Kenigsbergu? Oho, znów wpadliśmy! — zawołała Głafira Siemionowna. — Nawet w godzinę skonania jeszcze będę wspominała to miasto. W mieście tem nie dali nam jeść, a żądali jakiegoś telegramu, w mieście tem pomyliliśmy się i zamiast do pociągu berlińskiego, wsiedliśmy do jakiegoś hamburskiego i zajechaliśmy niewiadomo gdzie...

— Ależ przecież hamburska pociąg ten sam, co i berlińska pociąg. Od Königsberg oba pociąg idą do Dirschau...

— Dyrszał, Dyrszał, Proszę mi nic nie mówić o tem mieście. To miasto, to jest straszne miasto! — zawołał z kolei Mikołaj Iwanowicz. — Mieszkańcy — sami rozbójnicy. Zamanili nas po złodziejsku do siebie, powiedziawszy, że to Berlin i przetrzymali całą noc w hotelu, ażeby zedrzeć za nocleg.

Szwajcar wzruszył ramionami.

— To dziwne, co państwo mówią o Königsberg. Od Königsberg jedna droga i na Hamburg i na Berlin. Trzeba było tylko w Dirschau przesiąść się do inna pociąg.

— No, a nam powiedzieli, że trzeba jechać do Kenigsberga, i my, nie dojeżdżając do Dyrszała, wyszliśmy z wagonu na jakiejś stacji i pojechaliśmy z powrotem do Kenigsberga, ażeby w Kenigsbergu wsiąść do pociągu berlińskiego.

— To chyba witz! Ktoś zrobić z państwa żarty.

— Jakie żarty! Konduktor nam powiedział i wysadził nas z wagonu prawie siłą. To samo powiedział nam zawiadowca i nawet kazał karę płacić.

— Państwo zostało oszukane, albo też państwo nie zrozumiało czegoś. Pociąg od Königsberg i na Berlin i na Hamburg ła sama, a tylko w Dirschau dzieli się... — upierał się przy swoim szwajcar.

— Ależ nie, nie! — twierdził Mikołaj Iwanowicz.

— Czego się sprzeczasz, Kola? — zatrzymała go żona. — Naturalnie, że mogli nas naciągnąć i żarty z nas sobie stroić, ale też może być, żeśmy nie zrozumieli, co nam mówią po niemiecku. Bełkoczą coś, a kto ich rozumie, co oni mówią. Ja bo po niemiecku znam tylko słowa pokojowe, a ty bufetowe, więc łatwo nam było zrozumieć coś do góry nogami.

— Zapewniam państwo, że państwo nie potrzebowało jechać z powrotem do Königsberg, żeby siadać do berlińska pociąg. Droga do Dirschau jeden, ja to dobrze wiem! — zapewniał szwajcar. — Ja służył na ta droga.

Mikołaj Iwanowicz drapał się po głowie i powtarzał:

— Bez języka, bez języka... Bieda bez języka! Ale co my będziemy dzisiaj w Berlinie oglądać? — zwrócił się do szwajcara.

— Do teatru już za późno, nie zdążymy na początek. Ale możemy zajrzeć do nasz akwarjum.

— Ach, to wy macie także akwarjum, jak u nas w Petersburgu. *) Głasza! Słyszysz? I oni w Berlinie mają akwarjum.

— Nasz berlińska akwarjum — znakomita akwarjum! Pierwsza w Europa.

— Doskonale! A kto tam u was gra?

Szwajcar popatrzył na niego zdziwionemi oczyma i odpowiedział:

— Ryby... ryby... Tam jest i amfibien...

— Nie może być, ryby?

— O, państwo, tam dużo ryby. Jest ryby z morza, jest ryby z ocean.

— I grają?

— Tak, tak... grają...

— Głasza, słyszysz? W ich akwarjumie ryby grają? Trzeba koniecznie pójść i posłuchać!

— Nie może być? — zdziwiła się Głafira Siemionowna.

— Przecież słyszysz, jak opowiada. Przecież tego gdzieś indziej pewno nie usłyszymy. A kto tam dyryguje? Jak pan powiedział? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz.

— To jest... niby... Ja tego nie powiedzieć... — tłumaczył się szwajcar.

— Nie, nie... pan powiedział... takie niemieckie nazwisko... Anti... antibi...

— Ja powiedział, że tam jest ryby i amfibien! — powtórzył szwajcar.

— Posłuchamy, braciszku, her Franc, tego Amfibiena, posłuchamy... Prowadź nas! Głasza ubieraj się! To niedaleko?

— Bardzo niedaleko! — odpowiedział szwajcar.

— Dobrze. No, Głasza, pośpiesz się, bo się spóźnimy, ale her Franc, obstałuj braciszku nam tu w hotelu kolację na godzinę 12, gdyż boję się, żeby znów nie pójść spać na głodnego.

— Po co tutaj? — mrugnął szwajcar na Mikołaja Iwanowicza, zachęcony jego dobroduszością. — Wynajdziemy lepszy restauracja, jak tutejszy, wesoly restauracja.

— Wal na całego! Wal! To mi się podoba! Lubie, jak ktoś się dla mnie stara. Głasza!

— Jestem gotowa!

Z alkowy wyszła Głafira Siemionowna w płaszczu i kapeluszu i małżonkowie opuścili numer. Za nimi szedł szwajcar.

XV.

Głafira Siemionowna i Mikołaj Iwanowicz w towarzystwie szwajcara wyszli na ulicę Unter den Linden. Była już dziewiąta godzina; niektóre magazyny już zamknięto, zga-

*) Restauracja ogrodowa z orkiestrą.

szo no gaz w wystawach, ale ruch uliczny nie ustawał. Hałasowały ekwipaże, omnibusy, klaskały baty, sznurami ciągnęły wozy ładowne, wysokie do pierwszego piętra, ciągnięte przez parę a nawet czwórkę koni. Lekkie ekwipaże skręcały i dawały drogę tym potworom.

— Oto nasz znakomity ulica Pod Lipami! — pochwalił się szwajcar. — Nasz berlińska „Newski Perspektyw“.*)

— Jeżeli to u was coś na manier naszego Newskiego Prospektu, to dlaczego policjant puszcza tutaj te wozy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz? — Patrz co za fura? Cały dom.

— A gdzież oni mają iść? Przecież to ulica! Oni idą po swój interes.

— Niech jedzie tylną ulicą. Tutaj spacer dla eleganckiej publiki, a nagle jedzie taka fura. I co za fura! Koła na dwa metry i cztery konie! Nie, u nas w Petersburgu i w Moskwie na główną ulicę nie wpuściliby takiego dragala. Jedź sobie tyłem. Nie, her Franc, nie bardzo u was z tym porządkiem, chociaż to Berlin.

— A jeżeli on potrzebować, przecież on po swój interes! — znów powtórzył szwajcar.

— To co że interes? Co nam do jego interesu? Objeżdżaj! Po co się spieszy? Deszcz nie pada! Przecież nie jedzie do teatru na początek przedstawienia?

— Ale przez to dostawa towaru może być droższy.

— To jest niby jak?

— Ot tak, zwyczajno. Jechać prosta droga, on zrobić więcej rejsów i może za przewóz wziąć taniej. Tu economie. Duża economie!

— Głasza! Słyszysz, jak mi tu tłumaczy! Zupełnie jak jajko kurę uczyło! — zwrócił się do żony Mikołaj Iwanowicz.

— Wiadomo, Niemcy! Czy oni umieją inaczej myśleć? — odpowiedziała żona.

— I po co u was takie wozy ogromne, żeby je aż trzy, cztery konie ciągnęły? — dziwił się Mikołaj Iwanowicz. — U nas wózki w jednego konia.

— Duża wóz też economie! — odpowiedział szwajcar. — Do każda maleńka wóz w jedna koń potrzeba jeden stangreł, a do duża wóz w cztery koń też potrzeba jeden człowiek. Duża wóz wiezie tyle, ile trzy wozy i jeden człowiek; dwa człowiek economie. Te dwa człowiek mogą pracować inna robota.

— Oj, oj, oj! Wytłumaczył! Głasza, słyszysz?

— Ależ słyszę, słyszę. Róczekaj lepiej przyjrze się tutaj kapelusze damskim.

Głafira Siemionowna zatrzymała się przed sklepem modniarki.

— Oto nasz znakomita akwarjum! — wskazał szwajcar na oświetlone elektrycznością wejście. — Chodźmy na górę.

*) Newskij Prospekt — główna ulica w Petersburgu.

— Jak to, na górę? To u was akwarjum nie ogród? — zdziwił się Mikołaj Iwanowicz. — U nas w ogrodzie!

— Jak można w ogrodzie? Tutaj jest takie ryby i amfibien, że im potrzebna ciepły zonne... ciepła klimat... Proszę zdejmować palto i oddawać. Będzie gorąco.

— Zdejniemy, zdejniemy. No, Głasza, chodź. A ja myślałem, Franc, że u was w akwarjumie ten... jak go tam?... No, ten sam, co do nas przyjeżdżał... Sztraus, o właśnie! — przypomniał sobie Mikołaj Iwanowicz. — Ja myślałem, że u was w akwarjumie Sztraus...

— Straus na Zoologiczny Ogród... tam i Straus i Girafe, i Hipopotamus i wasz rosyjski Eisbeer, niedźwiedź lodowaty...

Małżonkowie kupili bilety i w towarzystwie szwajcara weszli do akwarium. Na prawo i na lewo szklane rezerwoary z pływającymi w wodzie rybami. Mikołaj Iwanowicz rzucił okiem i rzekł do szwajcara:

— Dalej! Co tu na zwykłe ryby się patrzeć? Tego dobra u nas w Petersburgu i Moskwie w każdej restauracji też dużo pływa w szklanych skrzynkach. Prowadź nas do uczynnych ryb, do tych, które muzykę grają.

Szwajcar spojrzał na niego z pod oka i poszedł przodem. Weszli do drugiego akwarjum z żółwiami.

— Oto tutaj Schildkrote? — rzekł szwajcar.

— Żółwie? — spojrzała Głafira Siemionowna, zrobiła kwaśną minę i rzekła: — Fe, obrzydliwe! Proszę nas prowadzić prędzej do estrady.

Szwajcar znów spojrzał z pod oka... Nie mógł zrozumieć, po co ci podróżni przyszli do akwarjum, kiedy na nic nie chcą patrzeć.

— Zaraz będzie znakomita Orangutang i Gorilla!

— Małpy? — zapytała Głafira Siemionowna. — Nie chcemy patrzeć na małpy. Co za widowisko? Kto tego nie widział? Proszę nas zaprowadzić prędzej do tego... jak go pan nazwał? Do tego... Amfibiena. Proszę nas zaprowadzić tam, gdzie ten Amfibien gra. Tutaj nawet publiki niema.

— Madame chce patrzeć amfibien? — uśmiechnął się szwajcar. — A wiele damy nie lubią patrzeć amfibien. Pani jest odważny dama... Oto zaczyna się amfibien! — rzekł wskazując na basen. — Tutaj Krokodilen!

Głafira Siemionowna odskoczyła na bok, ujrawszy wystającą z wody głowę krokodyla.

— Tfu, tfu, tii! — zaczęła spluwać. — Jak panu nie wstyd pokazywać mi takie świństwo! — Prosimy pana, żeby pan nas zaprowadził do tego waszego Amfibiena, a pan jak na złość...

— Przecież to jest amfibien... — zaczął tłumaczyć się szwajcar.

— Dalej, dalej, Franc! Co pan naprawdę! Nie rozumie pan? Przecież ja panu rosyjskim językiem mówię, że nie



chcemy na to świństwo patrzeć! — krzyknął już Mikołaj Iwanowicz.

Szwajcar stał osłupiały.

— Madame przecież prosić amfibien...

— No więc prowadź do niego! A ty nam jakieś jaszczurki i żaby pokazujesz.

Przeszli do innego pokoju.

— Oto... zaczął szwajcar.

Za szkłem z pod kamieni wysunęła się olbrzymia żmija, obwinęła wokół drzewa i podnosząc głowę, rozwarła i... szczę. Ujrawszy ją, Głafira Siemionowna krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się do męża.

— Kola! Na miłość Boską! Wyprowadź mnie stąd! Nie mogę, nie mogę! Przecież ty wiesz, że ja nie mogę na żmiję patrzeć... Aż mi się ręce i nogi trzęsą. Może mi się źle zrobić.

Trzęsła się cała; w oczach miała łzy.

— Her Franc! Cóż pan nareszcie myśli sobie? Co to za świństwo! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Mówię ci raz jeszcze po rosyjsku, że nie chcę na te obrzydliwości patrzeć. Proszę cię tysiąc razy, żebyś nas do muzyki prowadził, a ty nam pokazujesz, djabli wiedzą co.

— Na jaki muzyka? — zapytał szwajcar zdziwiony. — Tu niema żadna muzyka.

— Jakto niema, przecież to akwarjum?!

— Tak, akwarjum, ale muzyka niema.

— Jakto może być akwarjum bez muzyki? Co ty nam tu durnia strugasz? Wszędzie akwarjum z muzyką... Tak jakbyśmy nie wiedzieli! U nas w Petersburgu też akwarjum z muzyką.

— A u nas w Berlin bez Musik...

— A pociąg nam przedtem mówił, że tu jest muzyka, i że nawet uczzone ryby grają... Jakiś Niemiec Amfibien orkiestrą dyryguje?

— Jasnie Wielmożny Pan, ja tego nie mówić.

— Głasza! Teraz mi w oczy lże?

— Ale mówił pan, mówił. Nawet teraz pytaliśmy się pana o Sztrausa, a pan powiedział, że Sztraus dyryguje w Ogrodzie Zoologicznym, a tutaj Amfibien! — poparła męża Głafira Siemionowna.

— Madame, pani mnie nie rozumieć. Nie mówiłem nic o żadna muzyka. Amfibien — zwierzęta; Krokodilen, żnuje, Straus — to też zwierzęta, ptaki!

— Co pan mi tu będzie tym Sztrausem zęby wycierał? Sztraus dyrygent, kapelmeister, muzykant, kompozytor. Ja sama jego walce gram na fortepianie.

— Ach, tak... Ale ten Straus nie w Berlinie, a w Wien, a ja państwo mówił o Straus — ptak.

— A to przekąska! Nie bracie, ta niemczyzna nie na nasz żołądek! — szepnął Mikołaj Iwanowicz. — Nawet po rosyjsku nie możemy się zrozumieć. A więc tutejsze akwarjum nie ma żadnej muzyki? — zapytał szwajcara.

— Nie, nie. Tutaj zwierzęta. Amfibien też zwierzęta.

— Żadnej muzyki?

— Żadnej!

— Więc po jakiego diabła pan nas tu przyprowadził? Po jakiego diabła zapłaciłem za nic trzy niemieckie półrubłówki w kasie, a oprócz tego w garderobie za palta? Prowadź z powrotem!

Szwajcar wzruszył ramionami i poszedł w kierunku wyjścia. Za nim szli Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna.

— Przecież ty wiesz, że ja nie mogę patrzeć na żmije... Jak tylko zobaczę żmiję, zaraz mi w środku robi się takie wstrząśnienie nerwowe i jestem chora, bardzo chora! — mówiła żona do męża.

XVI.

— Dokąd teraz? — pytał Mikołaj Iwanowicz Głafirę Siemionownę, wychodząc z akwarjum na ulicę.

Towarzyszący im szwajcar chciał coś powiedzieć, lecz Głafira Siemionowna rzekła ze złością:

— Nigdzie! Stanowczo nigdzie! Mam dosyć tej przyjemności. Idę prosto do domu, prosto do hotelu, a jutro pierwszym pociągami do Paryża. Nie chcę więcej chodzić po Berlinie, żeby znów zamiast muzyki natknąć się na jakąś żmiję. Wystarczy!... Zabawiliśmy się znakomicie w tym akwariu-mie.... Czegoście stanęli? Niech pan prowadzi nas do hotelu! — zwróciła się do szwajcara.

— Chciałem madamie proponować...

— Nic pan mi nie potrzebuje proponować!... Prosto do hotelu!

— Głasza! Chodźmy przynajmniej do jakiej piwiarni spróbować piwa! — zaczął Mikołaj Iwanowicz.

— Piwa możesz się napić w hotelu.

i Głafira Siemionowna poszła naprzód.

— Nie tam, Madame! Nie w tą stronę!... do hotelu na prawo! — rzekł szwajcar.

Odwrociła się i poszła w innym kierunku. Mikołaj Iwanowicz i szwajcar szli za nią.

— A chciałem panu pokazać takie wesołe miejsce! — szepnął szwajcar do Mikołaja Iwanowicza. — Tam śpiewają, i grają i tam można zjeść kolację.

— Głasza! Oto hier Franc chce nam pokazać jakieś miejsce, gdzie śpiewają i grają. Moglibyśmy tam zjeść kolację i popić piwa.

— Znów ze żmija? Dziękuję bardzo!

— Tam niema żadna żmija. Tam śpiewanie i granie. Tam schansonetten i operstücke... Tam tańczą, tam dobry kuchnia i można zjeść dobry kolacja! — mówił dalej szwajcar.

— Ażeby najeść się żmiji? Dopiero co ugościł mnie pan żywą, a teraz proponuje mi pan pieczoną... Dziękuję!

— Niech pan namówi, monsieur, małżonkę... Miejsce naprawdę bardzo wesołe... Jest dużo ładne kobiety! — szepnął do ucha Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Nie, teraz kiedy uparła się, już jej nie namówisz, nawet w mózdzierzu byś jej nie utłukł! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Prowadź do domu i zamów kolację dla nas.

Po kwadransie byli w domu. Głafira Siemionowna ciągle zagniewana zrzuciła z siebie płaszcz, kapelusz i siadła w kącie nadęta. Mikołaj Iwanowicz spojrzał na nią i pokiwał głową. Szwajcar podał mu jadłospis i odszedł na bok. Mikołaj Iwanowicz przyjrzał się karcie niedbale i oddając ją szwajcarowi, rzekł:

— Ja, braciszku, jeżeli po niemiecku coś napisane, to „patrzę w kniłę a widzę figę“... Lepiej już ty coś zamów! Głasza! Cobyś chciała zjeść? — zwrócił się do żony.

— Nic! Głowa mnie boli!

— Ależ, kochanie, nie można tak nic nie jeść. Jutro rano jedziemy do Paryża i prawdopodobnie nie zdążymy nic zjeść przed wyjazdem. O której godzinie, Franc, wyjeżdżamy do Paryża?

— O 8-ej godzin rano. Państwo pojedzie na Köln i tam będzie przesiadka do drugie wagony. W Köln państwo przyjedzie wieczór i dopiero w Köln może coś zjeść. Do Köln państwo nie będzie zatrzymywać, najwyżej 2, 3 minuta.

— Widzisz, Głasza, musisz coś połknąć wieczorem! — namawiał Mikołaj Iwanowicz żonę. — Powiedz co chcesz? Franc zaraz zamówi...

— Dziękuję! Nie chcę jeść żmiji, zamówionej przez niego.

— Ach Madame, Madame! Ze też pani nie może zapomnieć tą żmija! — zaczął szwajcar. — Czy ja chcę zrobić Madame nieprzyjemność? Ja nie chcę. A co do żmija, to

przecież to akwarjum. Akwarjum nie może być bez Krokodilen i żmija, ryby i anfibien...

— Kłamie pan! Może! U nas w Petersburgu i w Moskwie są akwarjuma bez krokodyli i żmij. Nawet ryb niema. Pływa w szklanym basenie jakiś karaś z obgryzionym ogonem i dwie płotki — ot i wszystko.

— No to nie jest prawdziwa akwarjum.

— Właśnie najprawdziwsze! Nawet wasz Niemiec tam orkiestrą dyryguje.

— Głasza, zjedz coś! Czego się bzdyczysz? — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Bo wiem zgóry, że nakarmią nas jakimś świństwem niemieckiem. Ot gdyby tak kapuśniak...

— Jest kapuśniak, Franc?

— Nie, kapuśniak tu niema. Kapuśniak to tylko w Warszawie albo w Petersburg.

— No to możeby jakiś pierog z mięsem, kulebianka z jajkami i sosem! Przynajmniej będę widziała, co jem.

— Pierog, Madame, rosyjska jedzenie. Tu w Berlin tego nie można.

— Nie można, nie można!... Nic nie można! No a co można?

— Chcesz, Głasza, kielbaski z kwaszoną kapustą? Zjadłbym kilka parok kielbasek... A w Berlinie pewno kielbaski muszą być dobre, bo to przecież niemieckie jedzenie.

— A skąd wiesz, co w tych kielbaskach w środku? Może psie mięso?

— Mogę Madame zarekomendować majonez z ryba.

— Nie, nie, nie! Nic siekanego, zamiast ryby dacie mi kawałek żmiji.

— Oj, znów ta żmija. Nie, Madame, żmija tu nikt nie jeść.

— No to węgorza podacie. Też żmija.

— Nawet pstrąga by nie zjadła. Bałaby się, że też żmija! — objaśnił Mikołaj Iwanowicz i zapytał się szwajcara: — A możeby tak można solankę na patelni z jesiotrem?

— I solanki jeść nie będę! — zawołała żona. — Nie wiadomo, co tam mogą do kapusty nakruszyć? Skąd ja wiem? Może mysz jaką albo szczura? W kapuście nie zauważysz.

— No to może proszę w galarecie z chrzanem ze śmietaną? Czy można, her Franc?

— Solanka i proszę, monsieur, znów ruska jedzenie! — odpowiedział szwajcar.

— A niech cię wszyscy... Tfu! Znów nie „można“. Nawet proszę nie można, przecież proszę to świnia, a wy tutaj, Niemcy, na świninie i kielbasach świńskich wychowujecie się. Nawet u nas w Rosji nazywają was: kielbasa niemiecka.

— Wiem, wiem. Ja żył w Rosja. Ale proszę tu nikt nie jeść. Bardzo mało.

— Dlaczego?

— Economie! Prosię może wyrosnąć na duża świnia. Każdy jeść duża świnia.

— Głasza, słyszysz? Znów ekonomja! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Ach te Niemcy! Her Franc, a po co wy umieracie? Przecież umierać, to nie ekonomja, przecież na pogrzeb trzeba pieniądze wydawać?

Szwajcar uśmiechnął się.

— Czy można przynajmniej dostać u was szynki z groszkiem? — zapytała wreszcie szwajcara Głafira Siemionowna.

— To można, Madame. Szynka z groch i kartofel i z rosyjski sauerkohl, z kwaszona kapusta...

— Proszę więc o porcję szynki! Szynka i buljon! Czy buljon można?

— Można, Madame.

— To machnij jeszcze ze dwie porcje kotletów cielęcych i porcję befsztyka! — dodał Mikołaj Iwanowicz. — Mam nadzieję, że to „możno“?

— Można, można, ale tylko baramia kotlet, a nie cielęca. Cielęca nie jest w karta.

— Też ekonomi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Economie! — uśmiechnął się szwajcar.

— Ach, djabły, chciwe djabły niemieckie! Cóż robić, wal kotlety baranie. A możeby tak można dla zabawy kurczaka?

— Można, monsieur.

— To wal jeszcze parę kurcząt. I piwa, dużo piwa!! Może można w jakiś duży dzban nalać?

— Można! — kiwnął głową szwajcar i zapytał: — Czy wszystko?

— No cóż jeszcze? Chyba dosyć... Zresztą zamów, bracie, dla mnie porcję kiełbasek niemieckich. Chociaż może one naprawdę nadziane są u was psiem mięsem wędzonym, a jednak chciałbym spróbować... Żona nie będzie jadła, a ja zjem. Bo jakże to, być tu u was w Niemczyźnie i nawet nie



spróbować kielbasek niemieckich! Szkoda tylko, że wódki rosyjskiej nie macie.

— Jest kúmel.

— Niemiecka konfitura! Co to za wódka! Ale co robić, każ podać!

Kolacja była zamówiona. Po kwadransie podano ją do numeru. Mikołaj Iwanowicz był porządnie głodny i zabrał się do jedzenia tak, że tylko poruszały mu się uszy, a potem narzucił się na piwo. Jadła z wielkim apetytem i Głafira Siemionowna.

Po jakichś dwóch godzinach Mikołaj Iwanowicz porządnie pijany leżał w pościeli i mruczał:

— Chwała Bogu, jutro do Paryża! Strasznie sprzykrzyła mi się ta Niemczyzna.

XVII.

Nazajutrz zbudzono Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionownę bardzo wcześnie. Było jeszcze szaro na dworze. Natychmiast zjawiała się kawa i szwajcar Franc przyniósł rachunek za pobyt w hotelu, mówiąc do Mikołaja Iwanowicza:

— Jeżeli jaśnie wielmożny pan chce trafić na pierwsza pociąg, to potrzebno się śpieszyć: odchodzi o 8 bez 7 minut.

— Prędzej, Głasza, prędzej! — zakrzętał się Mikołaj Iwanowicz i zaczął płacić rachunek. — Oj, oj, ale rachuneczek wykręcili nam porządny! — zauważył, przeczytawszy pod kreską liczbę trzydzieści osiem.

— Ależ proszę, jaśnie wielmożny pan, to jest trzydzieści osiem marka a nie rubel! — zauważył szwajcar.

— A co, możebyś chciał za jedną noc trzydzieści osiem rubli? Przecież nie było żadnego pijaństwa ani zabawy, wina nie piliśmy, siedzieliśmy tylko na piwie i zjedliśmy coś niecoś z tego waszego pitraszenia niemieckiego. Befszyk, braciszku, był napewno z konika. Można nim było gwoździe w ścianę wbijać.

— Co jaśnie wielmożny pan mówić... U nas dobry kuchnia, pierwszy ranga.

— Ranga, nie ranga, trzydzieści trzy półruble za jedzenie i piwo, to okropnie drogo. Przecież pokój kosztuje tylko pięć półrubli.

— Nie, monsieur, za jedzenie mniej, tu w trzydzieści osiem marka pięć marek za pokój, dwie marki za serwis.

— Jakto i za serwis bierzecie?

— Wszędzie brać.

— Głasza, słuchaj no, za serwis, na którym jedliśmy, wzięli dwie marki. Prawdziwie po niemiecku!

— To znaczy: za usługę! — objaśnił szwajcar i liczył dalej: — cztery marki za mnie, że wczoraj ja był przewodnikiem państwo, to jest jedenaście marka, marka za świecę, marka za dodatkowy pościel dla pańska żona...

— Jakto za dodatkową pościel? Czy moja żona jest dodatkowa? Głasza, słyszysz? Uważają tu ciebie za dodatkową! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Pardon, jasnie wielmożny pan, pardon! Pokój się zawsze liczyć z jedna łóżko, a jeżeli druga łóżka, to już dodatkowy marka. W ten sposób trzynaście marka! Za omnibus ze stacji i na stację cztery marka — siedemnaście, a więc za suppe tylko dwadzieścia jeden marka! — zliczył szwajcar.

— Fiu, fiu! — zagwizdał Mikołaj Iwanowicz. — Trzydzieści osiem półrubłówek za jedną noc! Zręcznie, Głasza! W ten sposób tysiąca rubli, za które chcieliśmy wystawę w Paryżu zobaczyć i wrócić z powrotem do domu, nie na długo nam starczy.

— Skończ już z tym rachunkiem! Po co się targujesz? Przecież i tak nie opuści nic. Sam mnie przed chwilą popędzałeś, a teraz zajmujesz się głupstwami! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Pozwól mi chociaż nawymyślać im trochę za moje pieniądze. Ach, rabusie, wy rabusie! I mówią jeszcze, że w ziemi niemieckiej życie tanie. Nie braciszku, o tej „ekonomii“ waszej to tylko takie bajki opowiadacie. Rabusie jesteście, her Franc! Masz tu trzydzieści osiem półrubli i wieź nas na kolej.

Mikołaj Iwanowicz zadzwonił na stole złotymi monetami.

— Jasnie wielmożny pan obiecać mnie jeszcze na piwo sześć marka. Czy można doliczyć? — zauważył szwajcar.

— Za co? Przecież sam mówisz, że tu za ciebie w rachunku cztery marki wstawili.

— Cztery marki, to nasz hotel postawić, a pan mnie obiecać, żeby ja państwo do pociąg posadzić, żeby się nie pomylić, najprzód pan obiecać trzy, a potem znów trzy.

Mikołaj Iwanowicz westchnął.

— Bierz, bierz! — rzekł. — Ale proszę cię na Boga, wsadź nas do takiego pociągu, żebyśmy już mogli bez żadnej płątaniny i bez żadnego przesiadania jechać wprost do Paryża.

— Taki pociąg niema, monsieur. W Köln państwo musi się przesiadać do francuski wagon. Do Köln państwo przyjechać wieczorem i dwie godziny czekać na stacji.

— W takim razie zgineliśmy. Znów wszystko popłaczemy! — ironicznie zauważył Mikołaj Iwanowicz, kłaniając się z przesadą żonie. — Głasza, słyszysz? W jakimś Kelnie będziemy musieli przesiadać się.

— Do francuskich wagonów, to nic. Po francusku umiem mówić, umiem znacznie więcej słów francuskich, niż niemieckich, a prócz tego mam w torebce słownik francuski! — rzekła Głafira Siemionowna.

— O wpół do ósmej małżonkowie wchodzili po schodach na dworzec na Fridrichstrasse w towarzystwie szwajcara.

— Her Franc, czy to aby tutaj, czy dobrze nas prowadzisz? — pytał się Mikołaj Iwanowicz. — Zdaje mi się, że to ta sama kolej, którąśmy tutaj przyjechali. Uważaj, żeby się nie omylić. Pamiętaj, że my jedziemy do Paryża, do Paryża!

— Kolej ten sam, ale niech państwo będzie spokojny! — odpowiedział szwajcar. — Tu w Berlinie wszędzie można jechać po jedna droga i wszędzie z jedna dworzec.

Mikołaj Iwanowicz tracił łokciem żonę i szepnął:

— Głasza! Słyszysz, co on mówi? Zdaje mi się, że łże.

— Z jakiej racji miał-by łgać?

— Z jakiej racji? Ot, dla żartów! Patrz: ten sam dworzec, ten sam kantor wymiany, te same mordy konduktorów, co i wczoraj. Oj, czuję, że coś nie w porządku. A może znów znajdziemy się w Kenigsbergu?! Her Franc, tylko bez żartów! Mnie, braciszku, nie oszukasz! To ten sam dworzec, na który wczoraj przyjechaliśmy z Kenigsberga! — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz.

— Tak, tak, monsieur, lecz w Berlin można z jeden i ten sam dworzec jechać do całej świat. Tu kolej naokoło, naokoło cały Berlin... Tu przychodzić wszystkie pociągi i wszystkie odchodzić. O godzinie 7 min. 53 państwo usiądzie w pociąg do Köln.

— Ale czy aby naprawdę? — znów zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach mój Boże! Po co mam mówić kłamstwo? — wrzusił ramionami szwajcar.

— Niebardzo mi się jednak chce w to wierzyć! Zaklinij się, że nie kłamiesz!

— Ach, jaki pan jest! Niech mi pan wierzy, przecież ja każdy dzień odprawiam gości z hotel.

— A jednak przysięgnij!

— No więc, jak Boga kocham... Napróżno się pan niepokoi! A czy pan ma francuskie pieniądze na pierwszy wydatek. Pan przejechać niemiecka granica w nocy i zaraz będzie potrzebno francuski pieniądz. Tutaj u tego żyda można wymienić rosyjski pieniądz na franki.

— Trzeba będzie. Rosyjskie sto rubli zmieniają tutaj?

— Naturalno, że zmieniają! Niech pan da! W Köln mogą państwo oszukać, bo państwo nie mówić po niemiecku, a mnie nie oszukać! Ja przynieść rachunek.

Mikołaj Iwanowicz dał mu pieniądze. Szwajcar poszedł do kantoru wymiany i wrócił z monetami francuskimi złotymi, srebrnymi i z rachunkiem. Mikołaj Iwanowicz spojrział na rachunek i rzekł:

— Po trzydzieści dziewięć koplejek za francuski frank zdarli! A to rozbój! Oj wyczyszczą nam futerko zagranicą, oj, oj wyczyszczą — pokręcił głową Mikołaj Iwanowicz. — Ach, żeby tylko już wreszcie do tego Paryża dojechać.

Uspokoił się zresztą dopiero wtedy, gdy otrzymał kwit bagażowy, na którym przeczytał słowo „Paris“. Pokazał kwit żonie i rzekł:

— Chwała Bogu, bagaż przyjęli do Paryża, więc pewno tą koleją będzie można jakoś dojechać do Paryża. Och, ciężar spadł mi z piersi. — wzdychał, potrącając co chwila kogoś z pasażerów, oczekujących na dworcu na swoje pociągi.

A pociągi podjeżdżały na dworzec co chwila, z prawej strony i z lewej, zatrzymywały się na minutę, wyrzucały jednych pasażerów, zabierały innych i mknęły dalej. Pociągi wpadały jeden po drugim.

— I gdzie to tyle pociągów u was pędzi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz szwajcara.

— We wszystkie niemieckie miasta i zagranicę. Przez ten dworzec przechodzić dziennie czterysta pociągów.

— Czterysta pociągów? Teraz skłamałeś, Franc!

— Proszę przeczytać rozkład!

— Głasza! Słyszysz? 400 pociągów... Przecież to djabli wiedzą co takiego. Piekło jakieś. Kto tutaj jest zawiadowcą!... Przecież tu można zdechnąć...

— Tu dużo zawiadowiec i każdy dyżurować na godziny.

— Ach te Niemcy, te Niemcy! I my jeszcze dziwimy się, że oni małpę wynaleźli... Przecież taka kolej, po której czterysta pociągów pędzi w ciągu jednego dnia, to jeszcze coś mądrzejszego od małpy! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — A czy prędko przyjedzie nareszcie nasz pociąg?

— Punktualnie o 7 godzinie i 53 minuty. Proszę patrzeć na zegar. Zostało trzy minuty

Na dworzec wpadł pociąg.

— Ten? — zapytał szybko szwajcara Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, nie! To w drugie miasto. Widzi pan jeszcze do pański pociąg brak dwa minuty.

Rozległ się gwizdek konduktora i świeżo przybyły pociąg pomknął dalej. W tej samej chwili wpadł za nim z łoskotem inny pociąg.



— Oto pańska pociąg! — rzekł szwajcar. — Proszę prędko wsiadać! Prędko, prędko! Szczęśliwa droga!

Po minucie małżonkowie nasi już pędzili pociągiem

XVIII.

Nie, zupełnie nie na naszą miarę rosyjską to życie niemieckie całe! — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony, siedząc w pędzącym wagonie. — Możesz tu rok cały mieszkać i też nie przyzwyczaisz się do ich porządków. Czy zauważyłaś, jak ruszył pociąg? Ani jednego dzwonka. Zaledwie zdążyliśmy wleźć do wagonu, konduktor gwizdnął i już galopujemy. Doprawdy, gdyby nie było przy nas tego Franca, znów byśmy coś pokręcili i napewno trafili nie do właściwego pociągu. Na dwie minuty przed odejściem naszego pociągu podleciał jakiś pociąg, do którego wlaźłbym napewno, gdyby mnie Franc nie przytrzymał za rękaw, a pociąg ten szedł do Wiednia. Czy przyjdzie komu do głowy, że na tych samych szynach o godzinie 7 min. 51 można jechać do Wiednia, a za 2 minuty w innym pociągu do Kielnu (Kolonji). A ten pośpiech? Wyobraź sobie, na przykład, że ktoś chce pożegnać się z krewnymi przed odejściem pociągu, albo że odprowadzają cię do pociągu 5—6 osób znajomych... Nawet z jednym nie zdążysz się pocałować...

— Glupstwa! — zauważyła Głafira Siemionowna. — Wycałuj się przedtem i oczekuj na pociąg.

— Ale fason inny, Głaska, fason inny... Z odprowadzającym cię krewnym przyjemnie jest wejść do wagonu. — „Właśnie tu będę sobie siedział“, potem uczciwie wycałować się, potem wpaść do bufetu i przelknąć pospiesznie po kieliszeczku, znów powrócić do wagonu, znów wycałować się... I dlaczego, pytam się, te Niemczury tak się spieszą, jakby wszyscy ich pasażerowie byli złodziejami, albo zbójami i ratowali się przed pościgiem! Po co, pytam się, spieszy ci się? Czy to nie wszystko jedno, czy przyjedziemy troszkę wcześniej, czy trochę później? Wiesz co? Ja myślę, że ten pośpiech, to też z „ekonomji“, żeby nie zjeść nadprogramowego kawałka chleba, albo nie wypić nadprogramowego kufła piwa w drodze...

— Napewno! — zgodziła się małżonka.

— Ale zato piwo, trzeba przyznać, marzenie. Jedna rzecz, która można pochwalić w całej tej Niemczyźnie, to piwo. Aksamit, a nie piwo!

Mikołaj Iwanowicz mruczał, wygadując na porządki niemieckie, a Głafira Siemionowna, wyjąwszy z walizy słownik rosyjsko-francuski wyszukiwała różne słowa francuskie, które, jak jej się zdawało, powinny przydać jej się po przejechaniu granicy francuskiej.

Do Kolonji dojechano bez żadnych przygód o godzinie 9-tej wieczorem. Z Kolonji pociąg do Paryża odchodził o północy.

Mieli dość czasu i, rzecz naturalna, Mikołaj Iwanowicz z żoną skierował się do bufetu. Sala była przepelniona podróżnymi. Jedni czekali na pociąg do Paryża, inni do Berlina, inni do Moguncji, do Monachjum. Język niemiecki mieszał się z farncu-skim, cedził słowa przez zęby Anglik i nagle rozległa się mowa rosyjska. Mikołaj Iwanowicz drgnął i odwrócił się; toż samo zrobiła Głafira Siemionowna. Przy stole przed butelką wina reńskiego siedział, rozparłszy się wygodnie, korpulentny człowiek o szerokiem obliczu, z rzadziutką bródką i gładził się pulchną ręką, z pierścieniem brylantowym na palcu wskazującym, po tłustym brzuszku, na którym spoczywał masywny łańcuch złoty. Korpulentny jegomość ubrany był w popielatą kostjum marynarkowy, leżący na nim troszkę „po obywatelsku“, na głowie miał melonik. Naprzeciwko tłuszciocha siedział za stołem siwy wąsacz wysokiego wzrostu w binoklach, z cygarem w zębach, w mocno sfatygowanym płaszczu-alma-wiwie i w miękkim kapeluszu filcowym z szerokiem rondem. Człowiek korpulentny i wąsacz rozmawiali po rosyjsku.



— Rosjanie! — szepnął żonie na ucho Mikołaj Iwanowicz. Usiądźmy przy nich, może jakoś zaznajomimy się i będzie się można troszkę rozpytać o to i o owo.

Małżonkowie przysiedli się do stołu.

— Kelner! Cwaj bifszteks i cwaj bir! — rozkazał Mikołaj Iwanowicz kelnerowi i zwracając się do tłuszciocha zapytał, uchylając kapelusza: — Zdaje mi się, że też Rosjanie? Racza panowie jechać do Paryża na wystawę?

— Nie! Już wracamy z tej wystawy, żeby ją ziemia pochłonęła! — odpowiedział tłuszcioch, nie zmieniając pozy. — Teraz dążymy z powrotem na moskiewskie śmiecie.

— To dziwne, że pan tak źle życzy wystawie. Wszyscy, którzy wrócili z wystawy, bardzo, bardzo nam ją chwalili... mówią, że można głowę stracić..

— Rrrabunek... Rrrabunek i bandytyzm. rozumie pan! A życie — psie! Naturalnie, wszędzie ta ich cywilizacja, ale też rabują bardzo cywilizowanie. Nawyciągaliśmy się z cholewy tych ich złotych francuskich, 40-kopiejkowych, oj nawyciągaliśmy, aż zabrakło.

— Nie może być, taka drożyzna? — zdziwił się Mikołaj Iwanowicz.

— Nie można powiedzieć, żeby tak bardzo — wtracił swoje słowo wąsacz, wyjmując z ust cygaro. — Rzecz naturalna, że w Paryżu w czasie wystawy musi być wszystko droższe, lecz...

— Lepiej byś milczał, hrabio. Traciłeś nie swoje a moje pieniądze, więc nie masz zmartwienia! — przerwał mu tłuszcioch. — A ja za siebie i za ciebie musiałem wyciągać moją krwawicę. Właśnie... U nas na przykład w Moskwie ich francuski San-Zulien nawet w najbardziej rozbójniczej knajpie kosztuje półtora rubla, a w Paryżu za butelkę tego samego wina zdarli ze mnie 16 ich francuskich złotych. Po 40 kopiejek — sześć rubli 40 kopiejek. Przez głupotę naszą z paniem hrabią - tłumaczem i z powodu odpowiedniej temperatury wytrąbiliśmy 5 buteleczek — trzydzieści dwa ruble.

— Ale przecież wino zupełnie inne, Piotrze Nikitowiczu.

— Co mi tam będziesz głowę zawracał. San-Zulien zawsze jest San-Zulien! Bandyci! Złodzieje! Potem kazaliśmy zrobić dla nas specjalnie zwyczajną zupę rybną po rosyjsku w restauracji... Tłumacz! Jak się ta restauracja nazywała?

— Braibanne... — odpowiedział nasz wąsacz.

— Właśnie, otóż w tym Barabanie wyębnił nas tak po kleszeni, że do Wielkanocy nie zapomnę. Nawet wstyd powiedzieć, ile za tę zupę zdarli...

— Dlaczego nie dodasz, Piotrze Nikitowiczu, żeś koniecznie chciał w zupie mieć pstrąga, a Francuzi mają pstrągi importowane z Austrii...



— No więc cóż z tego? Pstrąg był wielkości nosa komarcowego.

— A łosoś reński?...

— Milcz! Nie broń rabusiów... Rabusie i złodzieje! Wicie państwo, nie rozumiem, po co my Rosjanie jeździmy tam? — ciągnął dalej tłuscioch. — Mam w Moskwie dom — pełna waza. 14 pokoiów, baba, dzieci, 6 osób służby; mrugnę okiem, to wszystko nogi gubi, tak leci, aby mi usłużyć; przed domem faetonik na gumach i kłusak szlachetny a stangret grubszy jak wieża kościelna... I jakieś licho pociągnęło mnie do Paryża, żeby za 20 franków na dzień wlec swoją egzystencję w dwóch parszywych komórkach, liczyć parę razy dziennie 63 stopnie schodów, trząść się w idiotycznych dorożkach. Przecie u mnie w Moskwie każdy subjekt mój dwa razy lepiej żyje, niż ja w Paryżu. Rano obudzisz się, dzwonisz, dzwonisz na służącego — ale, możesz poczekać. Niema samowaru, niema kwasu do picia, niema łaźni, o kapuśniaku nawet nikt nie słyszał... Jednem słowem psie życie i basta! Rano napiłeś się ich parszywej kawy i leć na wystawę. Łazisz, łazisz, męczysz rogi — na obiad do knajpy, a nie do domu. Siedzisz w tej ich knajpie i myślisz: „Boże! Żeby tylko nie nakarmili żabami“... Zjesz trochę — zbiera ci się na drzemkę, chciałoby się położyć na chwilę, chrapnąć, jak prawosławnemu człowiekowi przystoi — nie, leć, leć znów niewiedomo dokąd, do jakichś teatrów...

— Pociąg biegał po teatrach? Trzeba było iść do domu spać.

— Przecież sam ciągnąłeś, sam mówiłeś, że to, a to, że nie można być w Paryżu, że tego, a tamtego...

— Mogłeś nie zgodzić się i iść do domu.

— Tak, ale zanim z wystawy dojedziesz do domu i przeliczysz 63 stopnie do swego pokoju, to już rozcmuchałeś się i sen diabli wzięli... A w tych teatrach... Siedź i patrz, a co widzisz? — Domyśl się! Jedyne, jak od czasu do czasu jakaś aktorka nogę do góry podniesie, to jeszcze człowiek zrozumie, o co chodzi...

— Wszystko kłamstwo! — zaprzeczył tłusciochowi wąsacz. — Przecież w teatrze tłumaczyłem ci wszystko dokładnie, co mówili aktorzy na scenie.

— Psie życie, psie! — powtórzył tłuscioch i rzuciwszy okiem na pustą butelkę od wina reńskiego, rzekł do wąsacza: — Nie widzisz, że wyschła? Każ stworzyć nową! Okropnie nie lubię siedzieć przed pusto-próżnem naczyniem.

XIX.

Mikołaj Iwanowicz przysiadł się bliżej do tłusciocha i jego towarzysza, wąsacza i rzekł:

— Jest mi nader przyjemnie spotkać się zagranicą z ludźmi z Rosji!

Poczem przedstawił siebie i żonę.

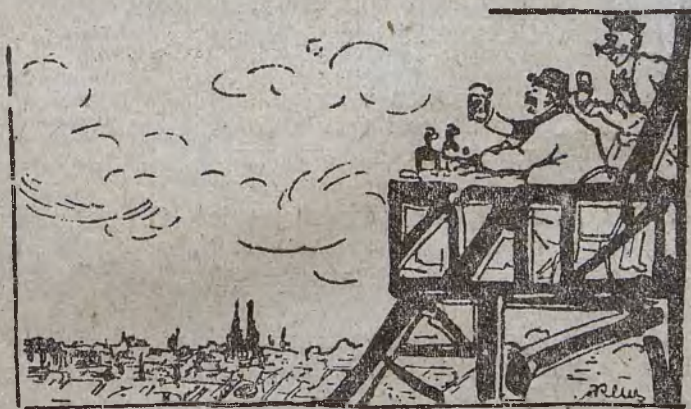
— Radca handlowy i kawaler orderu, Bezdonow! — odpowiedział z kolei tłuscioch i wskazując na wąsacza, dodał: — A to mój pan tłumacz i własny nasz adjutant.

— Hrabia Dymitry Kaliński! — rzekł wąsacz i skinąwszy głową na tłusciocha, też dodał: — Podjąłem się zawieźć ten blok kamienny do Paryża na wystawę i wycywilizować trochę, lecz — niestety — nie daje się on cywilizacji.

— Że niby nie chciałem jeść ostryg pieczonych? A tybyś chciał jeszcze może, żebym łykał dla ciebie żaby marynowane? — odpowiedział tłuscioch.

— A po co obmawiasz wystawę?

— Nie obmawiam, ale mówię, że nie warto było dla takiego głupstwa jechać tak daleko. Jedno, co było ciekawe, to wtedy, gdyśmy pod samym niebem na wieży Eiffila porządnie sobie popili i przekasili, a resztę to widziałem już w Moskwie na naszej wystawie wszechrosyjskiej. Naturalnie, nie w takim ogromie, ale właśnie ten ogrom drażnił mnie. Chodzisz, chodzisz po jakimś oddziale, patrzysz — wszędzie to samo.... Aż spluniesz ze złości. Niech was ziemia pochłonie z waszemi skórąmi i aksamitami. Jedno i to samo i u Iwana i u Stepana i u Sidora — pocóż więc całe miasto witryn sklepowych pokazywać?



— Widzicie państwo, co za dziwny człowiek! — znów wtrącił się wąsacz. — I tak ciągle. W Paryżu np. chleb smakuje wszystkim, a on naraz zaczął tęsknić do razowca moskiewskiego.

— Nie dziwny, ale... indywidualny... Ja, braciszku, jestem słowianofilem!

— Możeby pan, panie rodaku, mógł nam poradzić, gdzie mamy się zatrzymać w Paryżu? — zapytał tłusciocha Mikołaj Iwanowicz. — Chciałbym bardzo na dworcu wsiąść do do-

rożki i zawołać dorożkarzowi: jedź tam i tam! Pan gdzie mieszkał?

— Nie wiem, szanowny panie, nie wiem. Nie znam żadnych ulic. Tem wszystkim on się zajmował, mój adjutant.

— Zatrzymajcie się państwo tam, gdzie wpuszczają! — wtrącił się wasacz. — Jak natraficie na hotel z wolnymi pokojami — bierzcie. Myśmy dziesięć ulic zjeżdżili, zanim znaleźliśmy lokal dla siebie. Wszędzie zajęte, zajęte, zajęte.

— Głasza, słyszysz? A to awantura! — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do żony. — Po całym mieście będziemy musieli szukać pokoju... Żle!... — pokręcił głową smutnie. — Zwłaszcza dla tych źle, kto jak my z dżalekiem francuskim niebardzo... Na dwie osoby — trzy słowa francuskie: bonżur, miersi i buar.

— Czego kłamiesz? Po francusku umiem więcej słów i nawet mogę się rozmówić! — zaprzeczyła Głafira Siemionowna.

— Ech, dobrze, dobrze... Ale popamiętaj moje słowa: po przyjeździe do Paryża znów język przylepi ci się do podniebienia. O jedno jeszcze chciałem pana zapytać: czy stąd do Paryża dojedziemy już bez przesiadania? — zapytał Mikołaj Iwanowicz tłusciocha. — Wie pan, najgorzej to się boje tych przesiadań. Dwa razy w ten sposób popłataliśmy wszystko i trafiliśmy zupełnie nie tam, dokąd jedziemy.

— Nic nie wiem! Nic! Proszę się zapytać hrabiego — on mnie wiozł.

— Bez przesiadania, bez przesiadania! Kładźcie się państwo w wagonie sypialnym i śpijcie do samego Paryża. W wagonie sypialnym nawet celnicy na granicy francuskiej nie będą państwa niepokoić.

— O to mi się podoba, to bardzo ładnie! Głasza, musimy wykupić miejsca w wagonach sypialnych.

— Jakto, to państwo nie telegrafowali?

— Co to znaczy?

— Nie posłali państwo telegramu z drogi, że chcecie mieć miejsca w wagonie sypialnym? Jeżeli nie, to nie dostaniecie miejsc.

— Głasza! Słyszysz? Nawet i wagony sypialne trzeba tutaj telegraficznie zamawiać! Ach, ta Niemczyzna, ta Niemczyzna! W Kenigsbergu obiadu nam nie dali — dawaj telegram, a tutaj do sypialnego wagonu bez telegramu nie puszczają.

— Takie porządki. Miejsca w wagonach sypialnych trzeba zamawiać wcześniej telegraficznie.

— Proszę pana... Ale chyba w zwykłych wagonach pozwolą nam spać bez telegramu? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie.

— Chwała Bogu, bo już myślałem...

Dzwonek. Wszedł portjer kolejowy i zaczął wykrzykiwać coś po niemiecku, wymieniając „Berlin“. Wąsacz zaczął się spieszyć.

— Dopijaj Piotrze Nikitowiczu ten swój Reinwein prędeży. Trzeba siadać do pociągu! — rzekł do tłusciocha.

Ten duszkiem wychylił kielich, odsapnął i wstając rzekł:

— Uprzedzam cię, że jak chcesz, ale ja w Berlinie nie zatrzymuje się nawet na godzinę. Natychmiast do drugiego pociągu i hajda do Moskwy.

— Głupstwa pleciesz. Czy można w ten sposób?.. Przecież muszę cię pokazać Niemcom berlińskim. Pozatem co za wyobrażenie o Europie będziesz miał, jeżeli nie widziałeś Bismarka i nie piłeś berlińskiego piwa?..

— Wypijemy na stacji.

— To zupełnie co innego. W Berlinie zatrzymamy się na dwa dni, odwiedzimy najlepsze piwiarnie, zaprowadzę cię do Ogrodu Zoologicznego i pokażę berlińczykom. Przecież oni takiego zwierzątko, jak ty, napewno nie widzieli.

— A ja ci mówię, że nie zostanę w Berlinie.

— A ja ci mówię, że zostaniesz, jeśli ja zostanę. Gdzie i jak bezemnie pojedziesz? Zginiesz jak mysz. Nie upieraj się. Zaprzagłeś się do wózka, to ciągnij. Kiedyś wlaź pomiędzy wrony, krakaj, jak i one. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Kto powiedział A, powinien powiedzieć B. Wyjechałeś zagranicę, nie możesz nie być w Berlinie! Chodźmy! Moje uszanowanie państwu! — pożegnał się wąsacz z Mikołajem Iwanowiczem i Głafirą Siemionowną, zawołał tragarza, polecił mu zanieść bagaż ręczny, leżący koło stołu i skierował się na peron.

Za nim wzdychając i chrząkając szedł tłuscioch, który też pożegnał się z Mikołajem Iwanowiczem i Głafirą Siemionowną, mówiąc do nich na pożegnanie:

— Co się tyczy rabunku i psiego życia, wspomnicie państwo moje słowa, jak przyjedziecie do Paryża. Dowidzenia!

Wkrótce po odejściu pociągu berlińskiego ogłoszono o pociągu paryskim. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zaczęły spieszyć się.

— Wo? Wo? Wo zug im Pariz — zwróciła się Głafira Siemionowna do kolejarza i wsunęła mu w rękę dwie 10-fenigówki.

— Kommen Sie mit, Madame... Ich werde zeigen! — rzekł ten i poprowadził małżonków do pociągu.

Po półgodzinie Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna jechali do Paryża.

XX.

Głucha noc. Spokój ducha, jako skutek pewności, że wraz z żoną jedzie do Paryża bez przesiadania, oraz obfita kolacja, zakropiona należycie piwem i winem reńskim w Kolonji, dały Mikołajowi Iwanowiczowi możność zaśnięcia

wkrótce snem iście bohaterskim. Chrapanie śpiącego było tak silne, że czasem zagłuszało nawet hałas pędzącego pociągu i wprowadzało nieśpiącą Głafirę Siemionownę w stan przygnębienia. Nie mogła usnąć. Powoli ogarniał ją przestroch. Znalazłszy się z mężem we dwójkę w osobnym przedziale wagonu, przypomniała sobie nagle, że w jakimś romansie kiedyś czytała, jak pasażerowie zamknięci w osobnym przedziale byli w czasie podróży ograbieni przez złoczyńców, poranieni i wyrzuceni na plant kolejowy. Co prawda, w romansie była mowa o dwóch kobietach, jadących w przedziale, a Głafira Siemionowna na szczęście, jedzie w towarzystwie męża, mężczyzny, ale co znaczy ów mężczyzna, jeżeli śpi, jak zabity? Jakiej obrony można się spodziewać od niego? Rozbójniki wpadną do wagonu, jeden rzuci się na śpiącego męża, drugi schwyci ją za gardło — i już zginęli... Krzyczeć? Kto usłyszy? Przedział osobny, nie z kurytarza, lecz wprost z zewnątrz wagonu...



— Mikołaj Iwanowicz!... — potrząsała za ramię śpiącego męża.

Ten chrapnął mocniej i coś zamruczał, nie otwierając jednak oczu.

— Mikołaj Iwanowicz, zbudź się... Ja się boję! — łarmosiła go znowu za rękaw.

Mikołaj Iwanowicz odepchnął ją przez sen i zamruczał wyraźniej:

— Daj mi spokój, nie przeszkadzaj...

— Proszę cię, obudź się! Ja się boję! Widzisz, cała drzę...

Mikołaj Iwanowicz otworzył oczy i popatrzył na żonę oświałym wzrokiem.

— Czyśmy gdzieś przyjechali? — zapytał.

— Nie, ciągle jeszcze jedziemy, ale zrozum, że ja się boję. Ty chrapiasz, jak zabity, a ja nie śpię... Kto wie, co się może zdarzyć?

— Co się może zdarzyć?

— Obawiam się, że na nas napadną rozbójnicy i obra-
bują nas.

Opowiedziała mu o wypadku w oddzielnym przedziale w
wagonie kolejowym, o którym czytała w romansie i dodała:

— Pociąg wszedł do osobnego przedziału?

Mikołaj Iwanowicz też zamyślił się.

— Niedawno czytałam gdzieś, że na kolejach bandyci u-
sypiają podróżnych, usypiają zapomocą chloroformu, a ty
śpisz, jak zabity!

— Przecież ledwie się zdrzemnąłem... — tłumaczył się
Mikołaj Iwanowicz.

— Ładna drzemka! Chrapałeś tak, że zagłuszałeś hałas
pociągu. Proszę cię, nie śpij!

— Nie będę, już, nie będę... Sam rozumiem, że trzeba na-
stroszyć uszy.

— Naturalnie... Drzwi na zewnątrz... Wejda... mnie za
gardło, ciebie za gardło i koniec... Przecież oni bardzo do-
brze to rozumieją, że do Paryża ludzie nie jeżdżą bez pie-
niędzy.

— Czego mnie straszysz? — odpowiedział Mikołaj Iwa-
nowicz, zmieniając się na twarzy i dodał: — Pociąg ty mi to
wszystko opowiedziała? Jechałem spokojny...

— Jakto, po co? Żebyś się miał na ostrożności.

— Przecież, jeżeli do przedziału wtargną rozbójnicy, to
i tak obrabują nas bez względu na to, czy będę się miał na o-
strożności, czy nie. A możebyśmy się tak przesiedli do innego
przedziału, gdzie jest więcej pasażerów? — zapytał.

— W jaki sposób przesiadziesz się, kiedy pociąg pędzi bez
zatrzymania, jak strzała, a przedział nasz nie ma żadnej ko-
munikacji wewnętrznej z innymi?

— Masz rację. Co tu robić?... A może wyjąć pieniądze
z kieszeni i włożyć do skarpetek?

— A cóż myślisz, że jak napadną rozbójnicy, to w skar-
petkach nie poszukają?

— Pewno, pewno... Więc co robić?

— Przedewszystkiem nie spać.

— Mówilem już, że nie będę...

— Potem... Przecież masz rewolwer w walizce? Po co
leży w walizce? Wyjmij go i połóż koło siebie na ławce...
Zawsze będę spokojniejsza.

— Kochanie, rewolwer nie nabity.

— Nabij go. Pociąg wozic ze sobą rewolwer nie nabity?

— Ale, bo widzisz... w pośpiechu zapomniałem naboje
w domu.

Głafira Siemionowna załamała ręce.

— A to osioł! Kto widział takiego osła! — zawołała.

— Nie irytuj się, bo nic nie pomoże; zapomniałem i już! To się może najmądrzejszemu przytrafić. Zresztą, nie bój się, w Paryżu kupię naboje.

— To nadzwyczajne! Jesteśmy w niebezpieczeństwie życia w drodze do Paryża, a on chce dopiero w Paryżu kupić naboje.

— Poczekaj, wyjmę z walizy mój scyzoryk i otworzę. Zawsze, co nóż, to nóż!

— Wyjmij za jednym razem i rewolwer i połóż go tutaj, na ławce. Chociaż nie nabity, ale będzie zawsze przestrogą dla tego, kto tu wejdzie. Niedawno, kiedyś spał, podczas biegu pociągu, wszedł do przedziału konduktor, ażeby obejrzeć bilety i wyglądał bardzo podejrzanie. Oczy biegały mu na wszystkie strony i przyglądał się naszym walizom. Chociaż to konduktor, ale też może złapać za gardło. A zresztą może to i nie konduktor? Wyjmijesz ten rewolwer i nóż!

Mikołaj Iwanowicz otworzył walizę, wydobył rewolwer i scyzoryk i położył na widocznym miejscu na ławce.

— Nie bój się, Głasza, uspokój... Pan Bóg miłościwy. Może jakoś dojedziemy — uspokajał żonę.

— Daj to Panie Boże, ale muszę ci jeszcze powiedzieć, że kiedyś spał i zatrzymaliśmy się na jedną minutę na jakiejś stacji, do okna naszego przedziału podszedł jakiś brunet olbrzymiego wzrostu, w kapeluszu o szerokim rondzie i przyglądał mi się bardzo podejrzanym wzrokiem. Nawet wlaź na stopień i zajrzał do naszego przedziału.

— Co mówisz?

— Tak, tak... Zupełny rozbójnik, kapelusz z szerokim rondem, na ramionach jakaś peleryna... Jednem słowem, ubrany zupełnie tak, jak chodzą rozbójnicy zagranicą.

Mikołaj Iwanowicz w zamyśleniu drapał się w głowę.

— A potem już nie widziałas tego rozbójnika? — zapytał żony.

— Gdzie go mogę zobaczyć, kiedy od tego czasu nie zatrzymywaliśmy się nigdzie. Już od godziny pociąg pędzi, jak ptak.

— Nie trać odwagi, Głasza, uspokój się... Teraz jeżeli ktoś zajrzy do nas do przedziału, zaraz zobaczy, że jesteśmy uzbrojeni i przygotowani na wszystko. Nawet jeżeli rozbójnik zobaczy rewolwer, to jeszcze namyśli się: napadać, czy nie napadać.

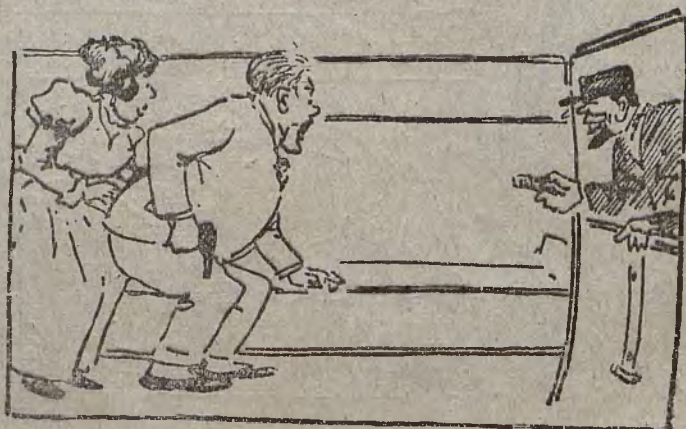
— Tylko już, proszę cię, nie śpij! — prosiła go żona.

— Czy można spać w takich warunkach?

W drzwiach coś zaszeleściło, coś brzęknęło, błysnęło światło w oknie. Mikołaj Iwanowicz drgnął. Głafira Siemionowna zbladła i zaczęła szeptać.

— Boże ratuj, Boże bądź miłościwy!... Weź, Mikołaj Iwanowicz, rewolwer do ręki! Weź rewolwer...

Mikołaj Iwanowicz wyciągnął rękę po rewolwer. W tej samej chwili opadło okno i w ramie ukazała się głowa konduktora.



— Bitte, Fahrkarten, mein Herr!

Mikołaj Iwanowicz, trzymając w jednej ręce rewolwer i jakby bawiąc się nim, drugą ręką podał konduktorowi bilety i patrzył mu prosto w oczy. Konduktor ukradkiem spojrzał na rewolwer i mruknął:

— Jetzt können Sie bis Verriers *) ruhig schlafen?

— Widzisz, jaka podejrzana morda? — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Rzeczywiście podejrzana! — zgodził się Mikołaj Iwanowicz.

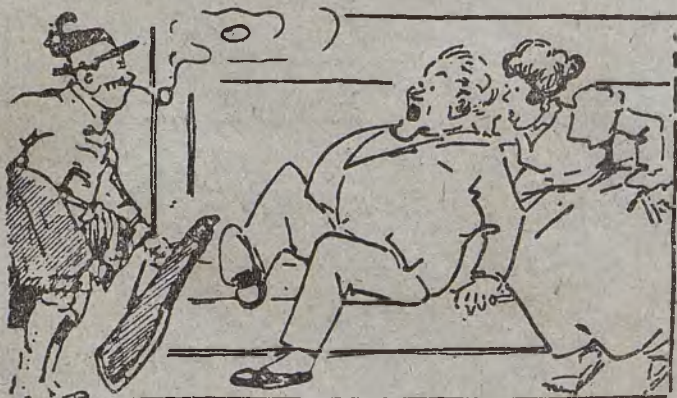
XXI.

Niepokój małżonków i obawy, że mogą być napadnięci w przedziale przez rozbójników i ograbieni, rosły z każdą chwilą i wreszcie doszły do ostatecznych granic, kiedy w czasie jednogminutowego przystanku na jakiejś stacji drzwi przedziału otworzyły się i ukazała się w nich figura kolosa z dymiącą fajeczką w zębach, w kapeluszu o szerokim rondzie i piórem cietrzewiem, w czamarcie, ze sztyletem myśliwskim przy pasie. Figura w jednym ręku trzymała płaszcz nieprzemakalny, w drugim fuzję w futerale. Głafira Siemionowna krzyknęła przeraźliwie i instynktownie rzuciła się w kierunku przeciwnych drzwi. W tym samym kierunku skoczył i Mikołaj Iwanowicz, zapomniawszy nawet o rewolwerze, leżącym na ławce. Był blady, jak płótno i starał się otworzyć drzwi, żeby wyskoczyć na peron, lecz drzwi — niestety — okazały się zamknięte z zewnątrz.

*) Verrier, stacja francuska.

— Konduktor, her konduktor! — krzyczał zmienionym głosem, lecz był to głos wołającego na puszczy: figura wlała do przedziału, zamknęła za sobą drzwi i pociąg znów pomknął.

Głafira Siemionowna trzęsła się, jak w febrze; w oczach jej błyszczały łzy. Przyciskała się do męża i szeptała:



— Bandyta! Ten sam rozbójnik, który już raz zaglądał do nas przez okno na jednej z poprzednich stacyj. Co robić? W razie czego zbiję szybę i zacznę krzyczeć...

Figura „rozbójnika“ zauważyła, że przestraszyła małżonków i wyjąwszy fajkę z ust, zaczęła przeproszać po niemiecku:

— Bitte, entschuldigen Sie, Madame, dass ich Sie gestört habe. Bei uns in Coupe ist fürchterlich besetzt!

Małżonkowie nic nie rozumieli i milczeli.

— Państwo spali i przestraszyli się? — pytała dalej po niemiecku figura i dodała: — Rzeczywiście wpadłem tak nagle... Proszę o wybaczenie i uspokójcie się państwo.

Znów nie było odpowiedzi. Małżonkowie nie ruszali się z miejsca. Figura nie siadała i mówiła dalej po niemiecku:

— Proszę, zajmijcie państwo swoje miejsca!

— Głasza, co on mówi? Chce pieniędzy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żonę. — Jeżeli coś takiego, to wybijam szybę i wyskakuję...

— Nie... nie wiem... Kłania się tylko... — odpowiedziała ta, jakając się.

— Państwo są Rosjanie, czy Polacy? Państwo nie mówią po niemiecku? — nie przestawała figura, słysząc niezrozumiałą dla niej mowę małżonków i nie otrzymując żadnej odpowiedzi. — Jaka szkoda, że państwo nie mówią po niemiecku.

Figura prosiła ich zająć miejsca za pomocą gestu. W tej chwili Mikołaj Iwanowicz zauważył przy pasie figury dwie wiszące dzikie kaczki zabite i zastanowiwszy się nad tem, ochłonął nieco z przerażenia,

— Zdaje się, że to nie rozbójnik, lecz myśliwy. Patrz, ma kaczki zastrzelone.

Z serca Głafiry Siemionowny też spadł ciężar, lecz uspokoiwszy się nieco, odpowiedziała:

— A czy rozbójnik nie może nastrzelać sobie kaczek?

— To prawda... ale patrz... Twarz ma dosyć dobroduszną, nawet głupią nieco...

— Tobie wszystko wydaje się dobrodusznem i głupiem, a mnie podejrzanem. Proszę cię, żebyś był przygotowany na wszystko i nie spuszczał z niego oka. Gdzie rewolwer? — przypomniała sobie.

— Ach, prawda... — przypomniał sobie Mikołaj Iwanowicz. — Rewolwer leży na ławce przy tamtych drzwiach.

— Ładny rycerz! W chwili niebezpieczeństwa zapomniał nawet o rewolwerze.

— Co ja zrobię z rewolwerem przeciwko jego fuzji? — szepnął Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież fuzję ma w futerale.

— W futerale, ale napewno nabita, a wiesz, że mój rewolwer bez nabojęw.

— Zawsze lepiej weź go w rękę... Przecież nikt nie wie, że jest nienabity. Weźże.

— Boję, Głasza, boję się. Patrz, jaki nóż wisi mu u pasa.

— Przecież ty masz też nóż, gdzieś go podział?

— Widocznie w pośpiechu upuściłem go pod ławkę.

— Ach, Mikołaj Iwanowicz! Czy można się na ciebie spuścić! Gorzej, niż baba.

— Przecież, kochanie, wiesz, że ja nigdy w wojsku nie służyłem.

— Podnieś nóż!

— Gdzie go szukać? Boję się nawet nachylić. Nachylę się, a ten djabeł palnie mnie!... Lepiej już nie nachylać się... Sama mówiłaś, żebym z tego rozbójnika oczu nie spuszczał... Chociaż mi się wydaje, że to stanowczo nie jest rozbójnik. Patrz, wyjął z torby gruszkę i zaczyna zjadać.

— Przecież rozbójniki mogą też jeść gruszki. To nie dowód. Bądź przygotowany na wszystko!

— Naturalnie, naturalnie... Wiesz Głasza co, ja usiądę. Przecież to wszystko jedno, siedzieć, czy stać.

I Mikołaj Iwanowicz, nie spuszczać oczu z „rozbójnika“, powoli siadł na ławce pod oknem, gdzie stał. Patrząc z pod oka na „rozbójnika“ siadła i Głafira Siemionowna. Rozbójnik spojrzał na nią i uśmiechnął się uprzejmie.

— Uspokoili się państwo? — zapytał po niemiecku. — Nie będę sobie darować, że przestraszyłem państwo w czasie snu.

— Z tobą zaczyna! — szepnął Mikołaj Iwanowicz do żony, nie rozumiejąc naturalnie ani słowa z tego, co powiedział „rozbójnik“. — Nie rozumiesz, co on mruczy?

— Ani słowa.

Małżonkowie nie spuszczaali oczu z „rozbójnika“. Ten czynił to samo. Siedzieli w przeciwnych kątach przedziału. W pewnej chwili „rozbójnik“ wyjął z torby dwie gruszki, wyciągnął ich na dłoni ku małżonkom i rzekł z uśmiechem: —



„Bitte“. Głafira Siemionowna najeżyła się jeszcze mocniej i wcisnęła się w kącik wagonu. Mikołaj Iwanowicz wyciągnął już rękę, żeby wziąć gruszkę, lecz żona zatrzymała go.

— Nie bierz, nie bierz! Może gruszki zatrute, żeby nas uśpić.

— Może masz rację. — cofnął rękę Mikołaj Iwanowicz. — Chciałem wziąć, żeby go nie drażnić.

„Rozbójnik“ nie dał za wygraną, trzymał wyciągniętą dłoń, na której leżały gruszki i powtarzał: bitte, bitte... ohne Ceremonie...

— Wiesz Głasza, wezmę, lecz nie będę jadł! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Wziął gruszkę i mruknął: — danke...

„Rozbójnik“ milczał przez chwilę i znów zwrócił się po niemiecku:

— Na następnej stacji uwolnię państwo od mojej osoby. Będę już w domu.

Małżonkowie naturalnie nic nie zrozumieli. Podróżny pokazał im kaczkę, przywiązane do pasa i mówił dalej po niemiecku:

— Wiozę dla żony, to moja dzisiejsza zdobycz myśliwska. In Russland gibt es solche Enten? — zadał pytanie, pomagając sobie gestami, lecz również nie został zrozumiany.

Pociąg zaczął zwalniać. „Rozbójnik“ wstał, wziął w rękę fuzję, płaszcz i zaczął przygotowywać się do wysiadania. Głafira Siemionowna przestraszyła się tej aktywności i zawołała:

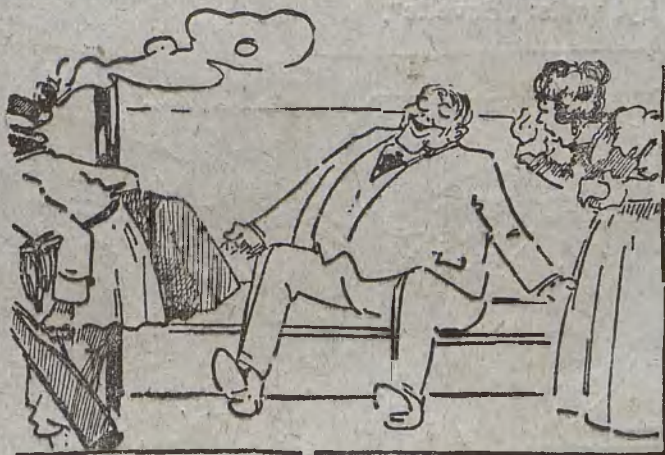
— Kola! Kola! Bierz rewolwer!

— Mikołaj Iwanowicz przechylił się i szybko schwycił

rewolwer, który leżał przykryty chustką od nosa na drugim końcu ławki. „Rozbójnik“ uśmiechnął się i rzekł po niemiecku:

— Państwo też z bronią? To dobrze, zwłaszcza po nocach...

Pociąg zatrzymał się. „Rozbójnik“ uklonił się małżonkom, jeszcze raz wygłosił cały szereg przeproszeń i wyszedł z przedziału.



— Chwała Bogu! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, zostawszy w przedziale sam na sam z żoną. — Znikł! Ach, ile strachu się nacierpiałem. A i ty Głasza zupełnie zmieniłaś się na twarzy.

— A ty myślisz, że nie. Tyś jeszcze większy tchórz, niż ja! — zauważyła żona. — Nawet broń zgubiłeś.

— A niech go diabli. Chwała Bogu, że poszedł. Myśliwy, a jaki podobny do „rozbójnika“...

— Nie ciesz się zawczasu. Może to naprawdę był rozbójnik. Nie trzeba nawet się cieszyć, że sobie poszedł. Może on tylko dlatego wlaźł do nas do przedziału, żeby wszystko dobrze wypatrzeć, a na następnej stacji wpadnie tu z innymi rozbójnikami! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Co ty wygadujesz, Głasza! Zamilknij już raz nareszcie! — rzekł ze strachem Mikołaj Iwanowicz i przeżegnał się.

A pociąg mknął w mroku bezksiężycowej nocy.

XXII.

Pomimo jednak trwożnego nastroju i zdenerwowania, sen oblił swoje i wkrótce małżonkowie nasi zdrzemnęli się, acz-
kolwiek dali sobie słowo, że nie będą spać. Pierwsza obudziła się Głafira Siemionowna i nawet przestraszyła się, że usnęła. Zbudziła się skutkiem zatrzymania się pociągu na jakiejś stacji.

Stukały młotki o koła, nawoływali się robotnicy kolejowi pomiędzy sobą i Głafirze Siemionownie wydało się, że nawoływania brzmią w języku francuskim. Otworzyła okno i zaczęła przysłuchiwać się. Tak, to francuski język. Niemiecki język znikł; znikły również wypasione, lśniące oblicza kolejarzy niemieckich, znikły niemieckie czapki, zastąpione przez francuskie kepi, zjawily się francuskie bródki na smukłych obliczach, na gmachu stacyjnym widać było napisy francuskie. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy Głafiry Siemionowny, był napis: „Buvette“.



— Mikołaj Iwanowicz! Francuski język! Przyjechaliśmy, przyjechaliśmy do ziemi francuskiej! — rzuciła się z radością do męża.

Mikołaj Iwanowicz spał, oparłwszy się w kącie i trzymając rękę na rewolwerze, leżącym na kolanach. Żona musiała porządnie potrząsnąć go za ramię, aby go zbudzić. Otworzył oczy, szybko skoczył na nogi, zrzucając rewolwer na ziemię i zapytał z przestrawem.

— Znów rozbójnik? Gdzie?

— Jaki rozbójnik? Przyjechaliśmy do Francji. Język francuski... Może to nawet już Paryż?

— To nie może być! Trzeba się zapytać! Czego stoisz? Pytaj! Przecież chwaliłaś się, że umiesz po francusku.

Głafira Siemionowna wychyliła się z okna i zapytała:

— Mosie... kel station? Pari? Ese Pari?

— Och, non, Madame. Paris est encore loin. A Paris nous serons le matin! (Paryż dalej. W Paryżu będziemy rano.) — nastąpiła grzeczna odpowiedź.

— Co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz..

— Nie, jeszcze nie Paryż. Do Paryża przyjedziemy rano.

— Ale jednak ty wszystko rozumiesz?

— Naturalnie! Po francusku mogę, ile chcesz. Na pensji mieliśmy prawdziwą Francuzkę! — chwaliła się Głafira Sie-

mionowna. — Ot tam napisane: pur le dame, a tam: pur le mesie... Widzisz tam: Biuwet, tam można się napić czegoś.

— Z przyjemnościąbym się czegoś napil, Glasza. Zapytaj się, ile minut stoimy!

— Nie, nie! A z kim ja tu zostanę? Boję się! A jeżeli znów rozbójnik jaki...

— Przecież rozbójnik został w niemieckiej ziemi. Czy myślisz, żeby go przez granicę przepuścili? A wreszcie możesz przecież ze mną pójść.

— Kondiukter! — znów zawołała Głafira Siemionowna. — Kombien miniut isi?

— Seulement deux minutes a present, Madame. Il vous reste deux minutes. *)

— Me nu wulon buar...

— Tak, buar... Buar wę ruż, albo bier! — dodał Mikołaj Iwanowicz i nie omieszkiał się też pochwalić przed żoną: — Bufetowe słowa ja i po francusku dobrze umiem.

Konduktor wyciągnął rękę i rzekł:

— Vous voulez prendre du vin rouge? Donnez-mois d'argent, monsieur. Je vous porterez tout de suite. **)

— Co on mówi, Glasza?

— Sam chce nam przynieść wino. Kombien pur butel?

— Deux francs.. Depechez-vous, madame, depechez-vous! ***)

— Co on za depeszę chce? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — I tu trzeba telegrafować?

— Ależ nie, nie. Daj mu prędzej pieniądze, daj dwie francuskie złotówki srebrne. Prędzej, prędzej!

— Proszę! — Mikołaj Iwanowicz podał konduktorowi pieniądze i dodał: — Tutaj trua frank! A ja już myślałem, że i tutaj, jak w Niemczyźnie wszystko trzeba przez telegraf, kiedy konduktor wspominał o tej depeszy — rzekł do żony po odejściu konduktora.

— Ależ nie, on nie mówił nic o depeszy, tylko rzekł: „Depesze wu“, to znaczy: pospieszcie się. Tu już francuska ziemia, tu inne porządki.

— Naturalnie! Toteż bardzo się zdziwiłem. Myślę sobie: tam tylko obiady trzeba było telegraficznie zamawiać. a tu nawet coś do popicia. Ale jacy ci Francuzi grzeczni? Ledwie wspomnisz o czemś do łyknienia, zaraz: proszę dać pieniądze, przyniosę panu.

— A jakżebyś chciał?.. Francuzi — najgrzeczniejszy naród na świecie. Czy można ich porównywać z Niemcami?

*) Jeszcze tylko dwie minuty. Zostało dwie minuty.

**) Chce pan wina czerwonego. Proszę dać pieniądze. Przyniosę zaraz panu.

***) Dwa franki. Proszę się spieszyć!

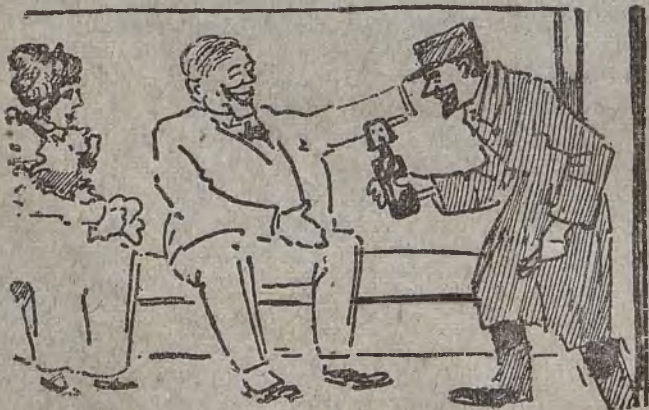
— Wiesz, Głasza, co? Okropnie rad jestem, że już jesteśmy na francuskiej ziemi.

— A ja myślisz, że nie?

Pociąg nie stał nawet dwóch minut i ruszył, mijając oświetlone napisy stacyjne.

— Głasza! A gdzie wino? Gdzie to wę ruż? Oszukał podlec... Masz swoją francuską grzeczność! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi przedziału i ukazał się konduktor z butelką wina w rękę i szklanka na butelce.

— Voyons, monsieur... Servez vous! — podał butelkę Mikołajowi Iwanowiczowi.



— Dziękuję ci, mosie za to, miersi! Gran miersi, riuss miersi! — podziękował Mikołaj Iwanowicz, biorąc butelkę.

— Monsieur est un russe? — zapytał Francuz i dodał: — Och, nous aimons la Russie et les russes! Vivent le russes! *)

Od konduktora zalaływało alkoholem. Widać było, że też lubi sobie pociągnąć winka. Mikołaj Iwanowicz zauważył to i rzekł do żony:

— Zdaje się, że chłopiec jest zlekka zawiany?

— To nie! Francuzi są grzeczni nawet pijani. Taki już naród nadzwyczajny.

— Vos billets, monsieur! — rzekł konduktor.

— Prosi o bilety! — wyjaśniła Głafira Siemionowna.

— Zrozumiałem i sam, czego tłumaczysz? Okazuje się, że po francusku rozumiem wszystko i mogę zupełnie łatwo rozmawiać. Proszę, mosie, bilje, wuala... A biuwe, mosie, nie chcesz? Ne wule biuwe wę ruż? — zaproponował nagle Mikołaj Iwanowicz konduktorowi

*) My kochamy Rosję i Rosjan! Niech żyją Rosjanie!

— Oh, avec plaisir, monsieur! Prenez seulement a present vous-meme, et moi apres! *) — odpowiedział konduktor.

— Doskonale! Biuwe!...

Mikołaj Iwanowicz nalał szklanę i wyciągnął do konduktora, ten uklonił się, lecz nie przyjął.

— A present vous-meme, monsieur, et moi — je prendrai apres vous. **)

— Glasza! Co on chce? — nie rozumiał Mikołaj Iwanowicz.

— Chce, żebyś ty wpierw wypił.

— Ja? Że?... Doskonale! Tre bien... Na zdrowie Frans.

Mikołaj Iwanowicz duszkiem wychylił szklanę, mówiąc:

— My kochamy waszą Frans, bardzo kochamy. Glasza przetłumacz!

— Nu russ, nu emon la Frans.

— Oh, Madame! Et nous, nous adorons la Russie. ***)

Konduktor wziął podną mu szklanę, zawołał: „Vivent la Russie!“ i też wychylił duszkiem.



— Przyjacielu? Ami... Frans i riuss — ami! — wyciągnął rękę do konduktora Mikołaj Iwanowicz.

Konduktor uściskał mu rękę.

— Ankor!? — zaproponował znów Mikołaj Iwanowicz.

— Apres, monsieur... Prenez a present vous-meme. Dans une demi heure je vous apporterai encore une bouteille, et nous prendrons encore. J'aime le russe... ****)

— Co on mówi, Glasza?

— Przyniesie jeszcze butelkę, to wtedy znów z tobą wypije.

*) Z przyjemnością. Proszę wypić pierwszy, ja potem.

**) Ja po panu.

***) My adorujemy Rosję.

****) Potem, panie. Teraz niech pan pije. Po pół godzinie przyniosę znów butelkę i wypijemy. Kocham Rosjan.

— Dusza nie człowiek! — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz, klepiąc konduktora po ramieniu. — Nu, bien, bien... Przynieś, znów wypijemy.

A revoir, monsieur... A revoir, madame! — ukłonił się konduktor i znikł w ciemnościach.

W takich warunkach Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna wjechali na ziemię francuską.

XXIII.

Z konduktorem francuskim Mikołaj Iwanowicz zdażył wypić dwie butelki wina czerwonego. Z drugą butelką konduktor przyniósł również kawałek chleba białego i sera na przekąskę, a dla Głafiry Siemionowny gruszkę, którą ofiarował jej z elegancją prawdziwego kawalera. Zjawienie się takiego człowieka, jaskrawie odbijającego od ponurych, urzędowych konduktorów niemieckich, dodała ducha małżonkom



i kiedy urzędnik celny w sposób powierzchowny obejrzał ich bagaż, spokojnie oddali się drzemce, zapomniawszy zupełnie o rozbójnikach, których się tak bali z początku. Zresztą na dworzu zaczęło już szarzeć, a światło dzienne, jak wiadomo, paraliżuje różne strachy. W pobliżu Namures małżonkowie spali już mocno. Konduktor zaglądał do przedziału, lecz widząc ich śpiących, nie sprawdzał biletów i nie budził ich.

Kiedy małżonkowie obudzili się, był jasny poranek słoneczny. Słońce świeciło jaskrawie i życzliwie opromieniało migające przed oknami wagonu, murowane maleńkie domki wiejskie, całkowicie spowite w zielen bluszczu, lśniło wesoło na zielonych łąkach, na stojących pojedynczo dębach i pożółkłymi liśćmi, na błękitnej wstędze rzeczki, biegnącej wzdłuż plantu.

Głafira Siemionowna siedziała przed oknem i zachwyciała się widokami. Wkrótce maleńkie domki murowane stały się dużymi kamienicami, tu i ówdzie widać było szyld, mignęło

żelazne ogrodzenie jakiegoś ogrodu, zaczęły ukazywać się kominy fabryczne. Nagle Głafira Siemionowna zawołała:

— Boże mój! Wieża Eiffla! Zaraz ją poznałam, Mikołaj Iwanowicz! Ciesz się, podjeżdżamy do Paryża.



— Co mówisz? — podskoczył do okna Mikołaj Iwanowicz.

— Tam, tam... widzisz?

— Widzę... tak... naprawdę wieża Eiffla. „Skończona podróż daleka, znów widzę rodzinny dach!“ — zaczął śpiewać.

Przez okno widać już było ulice. Domy stawały się coraz wyższe. Ukazał się kościół gotycki. Wzrastał ruch na ulicach. Pociąg zwalniał bieg, zgrzytały hamulce. Jeszcze parę minut i wagony zatrzymały się przed platformą, na której stał tłum mężczyzn w niebieskich bluzach i kepi, z blachami numerowanymi na piersiach.

— Przyjechaliśmy! Przyjechaliśmy do Paryża! — rzekła z radością Głafira Siemionowna, kiedy konduktor otworzył drzwi przedziału.

Do drzwi doskoczył człowiek w bluzie, ofiarując swoje usługi.

— Wuj, wuj! Prene no sakwojaż! — rzekła Głafira Siemionowna. — E szersze kosze pur partir a hotel! (I szukaj dorożki, ażeby jechać do hotelu) Mikołaj Iwanowicz! Bierz poduszki, czego stoisz, jak bałwan?

— Une voiture, madame? — zapytał tragarz.

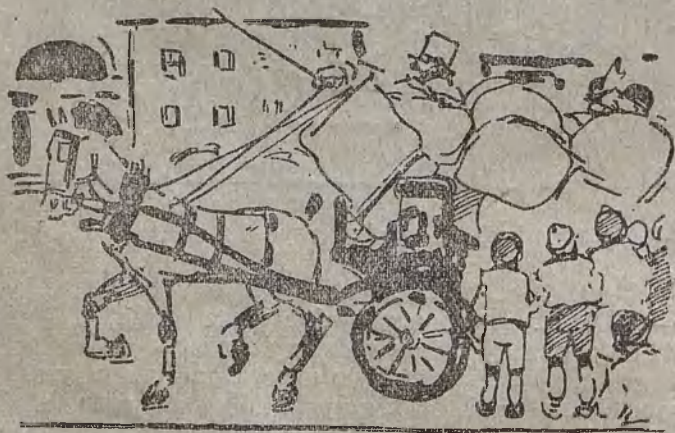
— Tak, tak... wuatiur! I ancor nasz багаż! — dała mu kwit.

— Oui, madame!

Wzięto багаż i tragarz zaniósł go przed dworzec. Małżonkowie szli za nim. Oto i ulica, natłoczona publicznością. Mikołaj Iwanowicz z trzema poduszkami pod pachą był dla wszystkich interesującym widowiskiem. Jakiś ulicznik, sprzedający bilety wejścia na wystawę, krzyknął:

—Voyons, ce sont les russes!

Francuski policjant w granatowej pelerynce z zakręconemi wąsami i hiszpańską bródką kiwnął w stronę stojących w szeregu dorożkarzy. Od szeregu oddzielił się mały powozik, z siedzącym na koźle czerwonoskórym, gładko wygolonym, tłustym dorożkarzem w białym cylindrze lakierowanym i podjechał ku małżonkom. Ułożono bagaż, jak się dało, fragarzowi wręczono całą garść francuskich dziesiątek, jak nazywał Mikołaj Iwanowicz monety 10-centymowe i małżonkowie siedli do powozu, zasloniwszy się poduszkami. Dorożkarz odwrócił się i zapytał, dokąd jechać:



— Jakiś hotel! Dan hotel! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Quel hotel, madame?

— Ach Boże mój, czy ja wiem, kel? Że ne se pa. Mikołaj Iwanowicz, kel?

— A skąd ja wiem?

— Wszystko jedno, kosze. Se tegal, kel. An hotel. My potrzebujemy szambr i de li... (pokój i dwa łóżka).

— Je comprends, madame. Mais quel quartier desirez-vous?

— Głasza, co on mówi?

— Nic nie rozumiem. Szambr dan hotel. Nu wojażer, nu de russ.

Stojący obok policjant rzekł coś do dorożkarza. Ten pokiwał głową i pojechał lekkim klusem, machając batem nie na konia, lecz na podskakujących do okien karety uliczników z jakimiś ogłoszeniami, z bukietami kwiatów. Po dziesięciu minutach zatrzymał się przed jakimś domem i krzyknął:

— Voyons!...

Wyskoczył lokaj z czubem na głowie, w czarnym fraku i fartuchu białym do ziemi.

— Une chambre pour les voyageurs! — rzekł dorożkarz do lokaja.

Ten pokiwał głową i odpowiedział, że wszystko zajęte.

— En szambr awek de li! (Jeden pokój z dwoma łózkami) — rzekła Głafira Siemionowna do lokaja.

— Point, madame...

Dorożkarz pojechał dalej. W drugim hotelu ta sama odpowiedź, w trzecim — ta sama, w czwartym nawet z nimi nie rozmawiano. Portjer, który wyrzał na ulicę, ujrawszy zbliżającą się karetkę z bagażem podróżników, machnął ręką i karetką pojechała dalej. W ten sposób małżonkowie jeździli już przeszło pół godziny.

— Nigdzie niema pokoju! Co robić? — zapytał żony Mikołaj Iwanowicz.

— Trzeba szukać, przecież nie możemy mieszkać w karecie.

Dorożkarz odwrócił się na koźle i zaczął coś mówić.

— Alle, alle! — machała mu ręką Głafira Semionowna. — En szambr... Nu ne puwon san szambr... trzeba szersze ancor hotel... (Nie możemy bez pokoju... Trzeba szukać...).

W piątym hotelu znów to samo, portjer w milczeniu machnął ręką.

— A to nieszczęście! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Głasza!, przecież to katastrofa. Udał nam się ten Paryż! Możę spróbować dać coś na piwo, może pokój się znajdzie? Mosie! Mosie! — kiwnął ręką na stojącego za szybą portjera i pokazał mu półfrankową monetę. Ten otworzył drzwi.

— Oto na piwo... Prene! — dał portjerowi monetę.

— Se pur buar! — poprawiła męża Głafira Siemionowna. — Prene i donne nu en szambr.

— Nous n'avons point, madame! — odpowiedział portjer, lecz pieniądze wziął.

— Że kompran, że kompran, ale gdzie jest szambr? U szersze? (Gdzie szukać?).

Portjer powiedział coś do dorożkarza i pokazał ręką. Znów ruszono.

— Dawanie napiwków jest wielką rzeczą! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — To jedno rozwiązuje języki... Wspomnij moje słowo: „pokój się zaraz znajdzie“.

Dorożkarz skręcił jeszcze parę razy z jednej ulicy w drugą, wjechał w jakiś mroczny zaułek z brudnymi sklepikami, w olbrzymich szarych domach 6-piętrowych i zatrzymał się przed niezbyt ponętnie wyglądającym wejściem. Dorożkarz zszedł z koźła, wszedł do domu i wyszedł z tamtąd w towarzystwie staruszki w białym czepku.

— En szambr awek de li! — zwróciła się do niej Głafira Siemionowna.



— Ah, oui, madame... Ayez la bonté de voir sulemen! — odpowiedziała staruszka.

— Jest pokój! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Czy ci nie mówiłem?

Małżonkowie wyszli z karety i weszli do domu.

XXIV.

W wejściu wisiały afisze cyrków, teatrów, gazet. Zalały zapach pieczeni. Na lewo od kurytarza widać było maleńki pokój, w którym za kantorkiem stał staruszek w popielatym wytartym ubraniu z szarą szczecina na głowie, w srebrnych okragłych okularach i w pantoflach haftowanych. Staruszka w białym czepcu zaproponowała małżonkom, aby weszli na wąskie drewniane, kręcone prawie schody.

— Kel etaż? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Troisième, madame! — odpowiedziała staruszka i zwa-
wo ruszyła naprzód.

Na trzecim piętrze? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żonę.

— Na trzecim! Niebadzo wysoko.

— Pierwsze piętro, drugie piętro, trzecie piętro — liczył Mikołaj Iwanowicz i zawołał wreszcie: — Za pozwoleniem, madam! Przecież już jesteśmy na czwartym piętrze, a pani mówiła, że na trzecim? Głaska powiedz jej... Gdzie ona nas prowadzi?

— Wu zawe di truaziem? — zaczęła Głafira Siemionowna, oddychając z trudnością. — Przecież to...

— Oui, oui, madame, le troisième... Encore un peu plus haut. *)

— Jeszcze wyżej? a niech cię... Przecież ona prowadzi nas na wieżę, przecież to już piąte piętro, Głaska?

*) Jeszcze trochę wyżej.



— Sek eżaż, madam, sek? — starała się wyjaśnić staruszcze Głafira Siemionowna.

— Mais non, madame, c'est le troisieme... — zapewniała ją staruszka i weszła na kurytarz.

— A niech cię wszyscy djabli! Cóż to, nie umie pięter liczyć? Piąte! Powiedz jej, Głasza, że piąte!...

— Co jej tam będę mówiła. Nie słyszysz jak zapewnia, że trzecie.

Staruszka otworzyła drzwi z kurytarza do pokoju i rzekła:

— Voila, monsieur...

Mikołaj Iwanowicz zajrzał i zawołał:

— Przecież to klatka! Tutaj jednemu trudno się zmieścić. I łóżko tylko jedno? My potrzebujemy dwa łóżka!

— De li... de... — wyjaśniała staruszcze Głafira Siemionowna, pokazując na palcach.

— Oui, madame... Je vous mettrai...

— Mówi, że postawi drugie łóżko.

Małżonkowie obejrzelili pokój. Starożytnie dziwnego fasonu łóżko machoniowe z zasłoną, taka sama kanapa, trzy krzesła, okrągły stół i szafa z lustrem — oto całe umeblowanie. Dwa duże okna w połowie były przegrodzone żelazną balustradą i przez nie widać było na drugiej stronie wąskiej ulicy takie same okna; na balustradzie jednego z nich suszyło się dziecinne prześcieradło, przy drugim stała rozczochrana kobieta i trzepała jakąś spódnice, uderzając nią o balustradę.

— I to Paryż? — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Warto było jechać do Paryża, żeby zamieszkać w takim chlewie.

— A jednak trzeba wziąć ten pokój, bo gdzie się podziemy. Nie będziemy przecież jeździć do nocy po całym mieście. I tak już włożyliśmy się ze dwie godziny i zaglądaliśmy do, Bóg wie, ilu hotelów — odpowiedziała Głafira Sie-

mionowna i zwracając się do staruszki zapytała o cenę: — Kombien? (Ile?)

— Dix francs, madame! — odpowiedziała spokojnie staruszką.

— Co takiego? Dziesięć franków? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Przecież to rozbój! Dziesięć złotych po czterdzieści kopiejek — to cztery ruble... rozbój!

Chociaż wykrzyknik ten był wypowiedziany po rosyjsku, lecz Francuzka zrozumiała go, gdyż wzruszyła ramionami i rzekła w odpowiedzi:

— C'est l'exposition, monsieur. (To wystawa, panie!)

— Tłumaczy, że z powodu wystawy tak drogo! — wyjaśniła Głafira Siemionowna.

— I tak rozbój... Przecież taka komórka na takiej wieży u nas w Moskwie kosztuje najwyżej pół rubla na dobę... A tu cztery ruble... Ja wreszcie dam cztery ruble, dam nawet pięć rubli, ale daj mi pokój, jak się należy.

— Se szier, madam! (To drogo) — próbowała tłumaczyć Głafira Siemionowna, lecz staruszka znów wzruszyła ramionami i znów wspomniała o wystawie.

— Czy lepszego pokoju niema? — pytał Mikołaj Iwanowicz. — Głasza zapytaj się.

— Wu zawe bon szambr? Nu wulon bon szambr.

— W tej chwili nie, madame! — odpowiedziała staruszka po francusku.

— Co tu robić? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Trzeba wziąć. Nie będziemy się przecież dalej włóczyli po Paryżu.

— Ale tak wysoko... Przecież to wieża rafuszowa.

— Później poszukamy czegoś lepszego, a tymczasem zostańmy.

— Złodzieje! Bandyci! Krzyczą nam „hurra“ a drą z nas skórę, jak z wrogów.

— Pewno dlatego krzyczą!

— Czy państwo się zgadzają? — zapytała staruszka, patrząc na małżonków.

— Wuj... Nu prenon... Co robić?... Notr багаż?

Głafira Siemionowna zdjęła płaszcz. Staruszka zadzwoniła, żeby posłać po багаż. Mikołaj Iwanowicz zszedł na dół, aby rozliczyć się z dorożkarzem. Po drodze policzył schody: okazało się — 83.

— Osiemdziesiąt trzy stopnie, dziesięć zwrotów, pięć platform — i to się nazywa trzecie piętro! — mruczał niezadowolony. — Djabły! Naprawdę djabły! Kombien? — zwrócił się do dorożkarza, wyjmując z kieszeni garść srebrnych pieniędzy.

— Huit francs, monsieur! — rzekł dorożkarz po chwili namysłu.



— Co takiego? Wit frank? Osiem franków? Chyba zwarzowaleś, przyjacielu. Osiem złotych po czterdzieści kopiejek, to trzy ruble dwadzieścia kopiejek! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Mosie! — zwrócił się do staruszka, stojącego za kantorkiem. — Dorożkarz chce wit frank... Przecież chyba macie tu takse? Nie może być, żeby to było według taksy.

Staruszek zaczął mówić o czemś z dorożkarzem, potem zwrócił się do Mikołaja Iwanowicza po francusku i zaczął kreślić coś na dłoni, lecz Mikołaj Iwanowicz nic nie rozumiał, splunął, dał dwie monety pięciofrankowe dorożkarzowi i rzekł do niego po rosyjsku:

— Trzech rubli nie dam, żebyś pękł. Masz tu dwa ruble i przepadnij. Ale... Paszoł won... Ale! — machnął ręką, odpędzając dorożkarza.

Dorożkarz, który chciał tylko osiem franków, a otrzymał dziesięć, widząc, że go odganiają i nie chcą reszty, nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Wreszcie uśmiechnął się, zdjął zlozka cylinder i powiedziawszy: „merci, monsieur“ uderzył konia biczem i odjechał. Staruszek dziwił się szczodrości Mikołaja Iwanowicza, wzruszał ramionami i mruczał po francusku:

— Ôch ci Rosjanie! Ja znam Rosjan! Gorący naród, ale szczodry!

Mikołaj Iwanowicz wziął pięciofrankowe monety za srebrne ruble i był pewny, że wytargował od dorożkarza rubel dwadzieścia kopiejek, to też humor mu się nieco poprawił.

— Dwa ruble... dwa ruble też drogo za taką jazdę. Przecież właściwie jechaliśmy dość długo, ale ciągle w tym samym miejscu i wielkich kursów nie robiliśmy.

Na górze zastał żonę, zamawiającą kawę. Przed nią stał w podartej marynarce, filcowych pantoflach i w czworokątnej

czapce z białego papieru jakiś typek z hiszpanką na głupiej twarzy i mówił:

— Madame veut cafe au lait?... Oui, oui... (Pani żąda kawę z mlekiem?)



— Zamawiam kawę! — rzekła Głafira Siemionowna. — Musimy się czegoś napić.

— Doskonale... Kafa przyda się! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Przynieś, braciszku też masła i bułek! — zwrócił się do służącego. — Głasza! Przetłumacz mu!

— Pen i ber... (Chleb i masło.) — rzekła Głafira Siemionowna. — przynieś więcej... Boku...

— Pen i ber! — powtórzył Mikołaj Iwanowicz.

— Oui, oui, monsieur!... Un dejeuner...

— Tak, tak... dla żony też... Prędzej...

Służący wybiegł.

XXV.

Zaledwie Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna umyli się, podano kawę. Ten sam służący w wytartej marynarce i papierowym berecie wniósł tacę z kawą i bułkami. Mikołajowi Iwanowiczowi rzuciły się przedewszystkiem w oczy olbrzymie filiżanki, przypominające raczej menażki do zupy. Ujrawszy je, zawołał:

— Głasza! Popatrz no! Co za filiżanki? Możebyś lepiej braciszku przyniósł kawę w wiaderkach? Kto w takich filiżankach kawę pije? U nas nawet praczki, które specjalnie lubią kawę, takich filiżanek nie wydoją.

Służący stał, kłaniał się i uśmiechał niemądrze.

— Głasza! Przetłumacz mu!

— Jak mogę mu to przetłumaczyć? — odpowiedziała Głafira Siemionowna zmieszana. — Mówisz takie słowa, których nie umiem po francusku. — Le tas tre gran! (Filiżanki bardzo



duże) — rzekła do służącego, wskazując na filiżanki. — Purkua gran. (Dlaczego duże?).

— Och madame, c'est toujours comme ça. Vous avez demandé café au lait. (Jak zwykle, madame. Pani żądała z mlekiem.)

— Mówi, że takie filiżanki są potrzebne! — przetłumażyła Głafira Siemionowna. — Widocznie taki zwyczaj. Taki już musi tu być kraj kawowy.

— Powiedz mu coś o praczce.

— Kiedy nie wiem, jak praczka po francusku.

— Jak to nie wiesz? Przecież pokojowe słowa umiesz, a praczka — słowo pokojowe.

— Widocznie zapomniałam.

— A jak my będziemy oddawać bieliznę do prania?

— Wtedy zobaczę w słowniku. Nalej sobie lepiej kawy i pij. Czego siedzisz nad filiżanką?

— Jak tu pić? Tu trzebaby łyżkę stołową i jeść jak zupe. Wiesz co ja myślę? Myślę, że oni naumyślnie podali nam takie wiadra, żeby potem policzyć za trzy parcje kawy, albo i za cztery. Wspomnisz moje słowo, że za cztery porcje ściągną. Rozbój, czysty rozbój!

— Pij lepiej! Przecież właściwie na ten rozbój tu przyjechaliśmy.

Służący stał ciągle i uśmiechał się.

— Voulez vous encore quelque chose, monsieur? — zapytał wreszcie, zamierzając odejść.

Mikołaj Iwanowicz zrozumiał słowo „ankor“ i zawołał:

— Co takiego? Ankor? Jeszcze mało? Przyniósł wiadra z kawą i pyta się, czy nie podać ankor? Chcesz, żebym czterdzieści wiader kawy wypił, czy co? Idź, idź z Bogiem. Widzisz, jaki ma apetyt na nasze pieniądze! Ankor! Prawdę powiedział nam ten kupiec w Kielnie na stacji, że obiorą nas tutaj porządnie! — zwrócił się do żony.

Sługa wciąż jeszcze stał, uśmiechał się głupio i wreszcie rzekł:

— J'aime la langue russe... Oh, que j'aime, quand on parle russe! (Lubię rosyjski język... Och, jak lubię, kiedy mówią po rosyjsku!)

— Głasza! Czego on tu jeszcze śterczy, czego chce?

— Mówi, że bardzo lubi słuchać, jak ktoś mówi po rosyjsku! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna i kiwnęła na służącego: — Ale!...

[Ten przestępował z nogi na nogę i nie wychodził.]

— Votre nom, monsieur, votre carte... — rzekł służący. — Il faut noter chez nous en das...

— Co on mówi? Czego chce?

— Pyta się, jak się nazywamy.

— A, paszport? Zaraz, zaraz!...

— Oh, non, monsieur... Le passeport, ce n'est pas nécessaire. Seulement votre nom, votre carte...

— Mówi, że paszportu nie potrzeba. Prosi tylko o twoją kartę wizytową.

— Jakto nie potrzeba? Głupstwo!... Niech bierze odrazu. Przecież i tak i tak musi zameldować w policji. Przecież przyjechaliśmy nie na jeden dzień. Oto paszport! — położył Mikołaj Iwanowicz na stół książeczkę paszportową.

Służący odsunął ją ręką i twierdził w dalszym ciągu, że paszportu nie potrzebuje, że wystarczy karta wizytowa.

— Daj mu swoją kartę wizytową! Mówi, że paszportu nie potrzeba. Widocznie tu nie trzeba meldować się.

— Jakto może być, żeby się nie meldować? Czy oni nas znają? A może myślą, że my paszportów nie mamy? Bierz, bracišku, bierz! — podał paszport służącemu.

— Pas passeport... Seulement la carte... (Nie potrzeba paszportu, tylko wizytówkę.) — twierdził z uporem służący.

— Czegoś się uparł? Daj mu wizytówkę. Przecież każeś sobie wydrukować francuskie wizytówki?...

Mikołaj Iwanowicz wzruszył ramionami i dał wizytówkę. Służący oddalił się.

— Głasza, wiesz co ja myślę? — rzekł Mikołaj Iwanowicz po wyjściu służącego. — Ja myślę, że w tem kryje się jakaś sztuczka. To nie może być, żeby w hotelu nie żądano paszportu?

— Jaka sztuczka?

— A może chcą ściągnąć co z naszego bagażu? Pójdziemy na miasto, zostawimy rzeczy... Wracamy, a oni nam mówią: — Państwo u nas w hotelu nie meldowali się i żadnych waszych rzeczy nie mamy...

— Też co wymyślisz...

— Więc dlaczego nie wzięli paszportu? W każdym hotelu przedewszystkiem paszport! Jak zejść na dół, zaraz go oddam gospodyni. Jak się zameldujemy porządnie, zaraz będę

spokojniejszy. Wrazie czego mogę nawet do policji iść i żadna sztuczka...

Głafira Siemionowna w ciągu tej rozmowy zdążyła napić się kawy i przebrać.

— Głasza, ubierz się, jak możesz najładniej! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony. Tutaj, braciszku, w Paryżu — najpierwsze elegantki... Stąd do nas, do Moskwy wszystkie mody przychodzą... Nie możemy się powstydzic. Nie możemy, żeby cię tu wzięto za jakąś kucharkę! Nie wzięli naszego paszportu, więc nie wiedzą, żeśmy kupcy... Zresztą tu w Paryżu nawet kucharki pewno ubrane są elegancko.

— Przecież my teraz pojedziemy na wystawę... Co innego, gdyby tak do teatru... — próbowała sprzeciwić się Głafira Siemionowna.

— Tam na wystawie napewno wszyscy wystrojeni są, pierwsza klasa. Przecież od tego jest wystawa. Weź swoją atlasową suknię i płaszcz aksamitny, weź wizytowy kapelusz, broszkę brylantową i bransolety z brylantami.

— Po co?

— Weź, kiedy ci mówię, żeby cię za kucharkę nie wzięli. Przyjechaliśmy do modnego miasta, skąd wszystkie mody pochodzą, a ty chcesz ubierać się w lachmany. Ubierz się jak najpiękniej, a przede wszystkim włóż brylanty. Zresztą będę spokojniejszy, jak będziesz miała brylanty na sobie. Przecież widzisz, że nawet paszportu od nas nie wzięli do zameldowania, więc jak możemy zostawiać brylanty w numerze? Przecież mamy ze sobą brylantów przeszło za cztery tysiące...

— Chyba tylko dlatego.

— Ubierz się, ubierz... Ja wiem, co mówię.

Po kwadransie Głafira Siemionowna przebrała się.

— Ot tak. Doskonale. Teraz nikt nie powie, że kucharka! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — A ja pierścionek z brylantem na palec włożę. Jesteś gotowa?

— Gotowa! Jedziemy na wystawę?

— Naturalnie, prosto na wystawę. Jak po francusku wystawa? Jak powiedzieć dorożkarzowi?

— Alekspozicion.

— Alekspozicion, alekspozicion... No idziemy.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zeszli ze schodów. Na dole Mikołaj Iwanowicz znów na wszelki sposób starał się wsunąć swój paszport do zameldowania, zwracając się tym razem do gospodarza i gospodyni hotelu, lecz ci też nie chcieli go wziąć, tłumacząc, że to jest niepotrzebne.

— Mów mi, co chcesz, a ja czuję, że tu kryje się jakaś sztuczka. — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony, wychodząc na ulicę. — Trzeba się bardzo pilnować!

XXVI.

— Wszyscy święci! Tutaj nawet dorożkarzy niema. Na ładną ulicę zajechaliśmy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony,



gdy wyszli z hoteliku. — Jak się teraz dostaniemy na wystawę?

— Język i do Kijowa doprowadzi! — rzekła odważnie Głafira Siemionowna.

— Głasza, czy ty po francusku też tylko pokojowe słowa umiesz, czy też jeszcze i inne?

— Po francusku znam i inne słowa.

— Znasz też uliczne? Teraz jesteśmy na ulicy, więc potrzebamy troszkę słów ulicznych.

— Naturalnie że znam! Po francusku uczyła nas prawdziwa Paryżanka.

Mikołaj Iwanowicz zatrzymał się i rzekł:

— Bo widzisz, Głasza, może my na wystawę idziemy w złą stronę. Poszliśmy z hotelu na prawo, a może potrzeba było iść na lewo.

— Przecież idziemy tylko do dorożkarza a dorożkarz zawsze nas dobrze.

— Zawsze lepiej zapytać. Widziesz tam nad sklepem wisi blaszana rękawiczka czerwona a przed drzwiami stoi z fają w zębach właściciel, możebyś się go zapytała?

Na drugiej stronie wąziutkiej ulicy przy drzwiach niepokąźnego sklepu z rękawiczkami stał w kamizelce i filcowych pantoflach starszy człowiek i palił fajkę. Małżonkowie poszli do niego.

— Pardon mosie! — zwróciła się do niego Głafira Siemionowna. — Alekspozicion, a druha czy a gosz? (na prawo czy na lewo?)

Francuz bardzo grzecznie zaczął wskazywać drogę, pomagając sobie gestami. Okazało się, że małżonkowie faktycznie poszli w przeciwną stronę i musieli zawrócić. W ten sposób doszli do skrzyżowania ulic i znów zatrzymali się.

— Zdaje się, że rękawicznik rzekł: na prawo? — mruknęła Głafira Siemionowna.

— Pan Bóg go wie! Ja nic nie zrozumiałem. Trzeszczał jak sroka... Trzeba się zapytać.

Na rogu stał sklepik z naczyniami. W oknach stały szklane wyroby, kittliszki, szklanki. Na krześle przed sklepem siedziała staruszką w czerwonym czepku wełnianym i robiła pończochę. Na zapytanie pokazała na lewo i dodała:

— C'est bien loin d'ici, madame. Il faut prendre d'omnibus... (To dosyć daleko — trzeba wsiąść w omnibus).

Skręcili na prawo, przeszli ulicę i wkrótce znaleźli się znów na skrzyżowaniu. Tym razem był to punkt bardzo ludny. Magazyny błyszczały wielkimi kryształowymi szybami.

— Rue La Fayette! — przeczytała napis na rogu Głafira Siemionowna i dodała: — Ta ulica nazywa się: riu Lafajet. Pamiętam, że czytałam o tej ulicy w pewnej powieści... Tak, to znajoma ulica... Patrz, jedzie próżny dorożkarz w białym cylindrze i czerwonej kamizelce. Zawołaj na niego, przecież ja, jako dama, nie mogę...

— Dorożkarz! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Czego krzyczysz po rosyjsku? Trzeba po francusku!

— A niech cię! Zupełnie zapomniałem, że tu po rosyjsku nikt nie rozumie. Jak dorożkarz po francusku?

— Kosze.

— Czy aby napewno? Zdaje się, że to jest obraźliwe słowo? Zdaje się, że „kosze“, to świnią.

— Świnią — koszon, a dorożkarz — kosze.

— A to język... Kosze — dorożkarz, koszon — świnią!... Żeby się tylko nie pomylić.

— Możebyś już zawołał!

— Ej, kosze! Mosie kosze!

— Tak, zanim zdobyłeś się, już wzięli. Widzisz jakiś mężczyzna wsiada... Ty zawsze musisz ze swojemi filozofjami... Patrz znów jedzie... Krzycz!

— Kosze! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i zaczął machać parasolem, lecz dorożkarz pokiwał mu batem i odwrócił się.

— Nie jedzie. Widocznie zajęty.

Znów skrzyżowanie ulic.

— Riu Lafit! — przeczytała Głafira Siemionowna i dodała: — Riu Lafit znam z powieści... Pamiętam doskonale! Pamiętam! Na Riu Lafit przychodziła Anżelika na schadzki z Gastonem i tutaj Gaston zranił sztyletem Żeroma!

— Co za Anżelika? Jaki Gaston?

— Ty nie wiesz... To w powieści... Tak, pamiętam doskonale. Tak, tak... W tem miejscu węglarz, Żak Widal urządził na niego zasadzkę na schodach. Patrz znów dorożkarz! Krzycz! Krzycz!

— Kosze! kosze!

Dorożkarz pokiwał głową przecząco i pojechał dalej.

— Co za diabli, nie chcą jechać? Czyżbyśmy musieli iść piechotą? — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Piechotę zadaleko, nie pamiętasz jak powiedziała ta sfaruszką przed sklepem? Patrz, tam na rogu stoi dorożkarz. Kosze! — zawołała sama. — Alekspozicion?

— Dorożkarz skinął zapraszająco ręką, wskazując na powóz.

— Nie siadaj tak, nie siadaj, bez umówienia? — zatrzymał Mikołaj Iwanowicz żonę, która już stała na stopniu. — Trzeba się umówić, bo znów zedra, djabli wiedzą ile. Kosze! Kombien alekspozicion? — zapytał.

Dorożkarz uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni kamizelki, wyciągnął stamtąd kartę zadrukowaną i podał Mikołajowi Iwanowiczowi, zapraszając do dorożki:

— Prenez place seulement. (Proszę zająć miejsca.)

— Co ty mi papier jakiś wsuwasz? Powiedz mi lepiej, kombien alekspozicion?

— Vous verrez la, monsieur, c'est écrit. (Pan zobaczy, tam napisane).

— Głasza! Co on mówi?

— Mówi, że na arkuszu napisane. Siadaj... To pewno taksa.

— Nie chcę tak wsiadać. Dlaczego ten dorożkarz, który nas dowiózł do hotelu, nie dawał nam żadnej taksy? Alekspozicion... En frank... Francuska złotówka?...

— Och non, monsieur! — pokiwał głową dorożkarz i odwrócił się.

— Siadaj już, bo znów zostaniemy bez dorożkarza! — zaprotestowała Głafira Siemionowna i wskoczyła do dorożki.

— Głasza! Mówię ci, że nie można bez umówienia... Zedrze...

— Siadaj, siadaj!

Mikołaj Iwanowicz, mrucząc, wsiadł do dorożki. Dorożkarz odwrócił się i rzekł:

— Un franc et cinquante centimes et encore pour boire... (Frank pięćdziesiąt centimów i napiwek!)

— Ale, ale!... — machnęła mu ręką Głafira Siemionowna. — Prosi półtora franka i o napiwek! — wyjaśniła mężowi. — Ale, ale, kosze!... Alekspozicion!

— Quelle porte, madame? (Do jakiego wejścia)? — zapytał dorożkarz.

— Tego już stanowczo nie wiem. Ale, ale! Alekspozicion. Pur buar... wuj... Ale!...

Dorożkarz zlekka uderzył konia biczem i ruszył.

XXVII.

Po pięciu minutach dorożkarz odwrócił się do siedzących w dorożce małżonków i rzekł:

— Vous etes entrangers, monsieur? N'est ce pas? (Państwo są cudzoziemcy?)

— Głasza! Co on mówi?

— A kto go wie! Nie rozumiem.

— Przecież to są uliczne słowa, a mówiłaś...

— Ulicznych słów jest dużo. Zresztą może to wcale nie uliczne słowa.

— Etes-vous russe, monsieur, anglais, espagnol?

— Riuss, riuss! odpowiedziała Głafira Siemionowna i przetłumaczyła mężowi: — Pyta się, czy jesteśmy Rosjanie, czy Anglicy.

— Riuss, braciszku, riuss! — dodał Mikołaj Iwanowicz.

— Poganiaj trochę swego konika, przecież nie jedziemy za pogrzebem. Poganiaj! Dostaniesz na „te“, albo na kafe... My, riuss, lubimy potargować się, ale kiedy nas uszanują, nie żalujemy pieniędzy...

— Po co mu to wszystko mruczysz? Przecież on i tak ani słowa po rosyjsku nie rozumie?

— To przetłumacz mu!

— Ale... ale wit. (Prędko.) Nu donon pur buar. Bien donon. (Damy na piwo, dobrze damy).

— Och, à present je sais... Je connais les russes. Si vous etes les russes, vous donnez bien pour boire! (Teraz już wiem... Ja znam Rosjan. Jeśli państwo są Rosjanie, dacie dobry napitek!) — odpowiedział dorożkarz. — Alors il faut vous montrer quelque chose de remarquable. Voila... c'est l'Opera! (Muszę państwu pokazać rzeczy godne uwagi. Oto — opera)! — wskazał biczem na wielki gmach teatru.

— Patrz, to opera. Mikołaj Iwanowicz, widzisz? Widzisz, jaki grzeczny dorożkarz... Opowiada, koło czego przejeżdżamy... A więc to opera. Tu niedaleko musi być i znakomita kawiarnia Risz, w której hr. Klermon poznał się z Klementyną. Klementyna była baletnicą w operze...

— Co za hrabia? Jaka Klementyna?



— Ty nie wiesz... To z powieści... Ta Klementyna później była przyczyną ruiny hrabiego, tak że został mu tylko złoty medaljon, który otrzymał od swojej matki, otóż ten medaljon...

— Co ty za głupstwa opowiadasz?

— To ja tak sobie... Nie chcesz, nie słuchaj... Ach, jak przyjemnie widzieć miejsca, które się zna z książek.

Dorożkarz widocznie nie jechał wprost na wystawę, lecz krążył ulicami, pokazując co chwila:

— Notre-Dame... Palais de Justice...

— I Notr-Dam znam doskonale! — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — O Notr-Dam nieraz czytałam. Patrz, Mikołaj Iwanowicz.

— Na co tu patrzeć? Lepiejby prędzej dojechać do wystawy...

Dorożkarz wjechał na bulwary.

— Bulwar włoski! — rzekł po francusku.

— Ach, to włoski bulwar! — zachwyciła się Głafira Siemionowna. — Ten bulwar figuruje w każdej powieści. Patrz, Kola, ile tu publiczności! Wszyscy siedzą przy stolikach na ulicy, piją, jedzą i gazety czytają. I że policja na to pozwala?... Wprost na ulicy piją... Boże, nawet dorożkarze czytają gazety? Patrz, ten tam, siedzi na koźle i czyta. Widocznie inteligentni ludzie. Mikołaj Iwanowicz, co ty o tem myślisz?

— No... naturalnie... to nie to, co nasi dorożkarze... Ale wiesz Głasza co... Nie mów na mnie teraz: Mikołaj Iwanowicz, a poprostu mów: Mosie Nikola... Paryż... Tak wypada... Przyjechaliśmy do tego znakomitego miasta francuskiego, więc trzeba się troszkę sfrancuzić. Kiedyś wlaźł pomiędzy wrony, musisz krakać jak i one! Wszystko po francusku... Nawet myślę, żeby w jakiej restauracji zjeść na modę francuzką żabkę jakąś.

— Tfu! tfu! Wcale nie usiądę z tobą do stołu!

— Dlaczego? Z kim się wdajesz, takim się stajesz. Jak się sfrancuzić, to sfrancuzić. Jak żaba po francusku?

— Za żadne skarby ci nie powiem.

— Pewno dlatego, że nie wiesz.

— Właśnie, że wiem, bardzo dobrze wiem, ale nie powiem!

— Wszystko jedno, sam w słowniczku zobaczę. Ty myślisz, że taka żaba, to będzie dla mnie wielka przyjemność? Ale naumyślnie... Choćby mnie nawet zemdliło, ale wezmę na odwagę i zjem, żeby później powiedzieć, że żaby jadłem.

— Proszę cię, nie mów o tem... A więc to są te sławne bulwary! Zupełnie inaczej wyobrażałam je sobie. Bu'... de Kapucin... Właśnie na tym bulwarze Giljom Beziusze, przebrany za tragarza z przyklejoną brodą ukrył się, pił z komisarzem policji absynt i nie ten go nie poznał...

— Przestań z temi romansidłami!

— Ach, Mikołaju Iwanowiczu.

— Mosie Nikola! — poprawił Mikołaj Iwanowicz żonę.

— Ach Nikola! jak to przyjemnie... Dziwię się tylko, że Giljom mógł się tu ukrywać wśród tylu ludzi! Przed chwilą dorożkarz wspomniał o Notr-Dam-de-Loret... Tu mieszkała na mansardzie Fanszetta.

— Głasza, przestań... Znów bredzisz?...

Dorożkarz wyjechał na brzeg Sekwany. Głafira Siemionowa ujrzała z daleka wieżę Eifla i zawołała:

— Wystawa!

Do dorożki na stopień zaczęli wskakiwać ulicznicy, proponując kupno biletów wejściowych na wystawę.



— Tam kupimy. Przed wystawą. Może tu są fałszywe jakie bilety? — rzekł Mikołaj Iwanowicz, spędzając uliczników.

Podjechano do wystawy od strony Trocadera.

XXVIII.

Przed wejściem stały tłumy publiczności, która przyjechała w ekwipażach i omnibusach. Wszyscy biegiem dążyli do kas, ażeby jaknajprędzej stanąć w ogonku. W kasach nie sprzedawano biletów, lecz odbierano je. Kupować bilety trzeba było u uliczników, albo u sprzedawców, stojących na ulicy. Tłumaczyło się to tem, że organizacja wystawy wypuściła akcje funduszu wystawowego i do każdej akcji dołączyła dwadzieścia pięć darmowych biletów wejścia na wystawę. Skutkiem tego Paryż zapełnił się biletami, których cena spadła z franka na trzydzieści centimów. Kiedy Mikołaj Iwanowicz z żoną wysiedli z dorożki zostali również oto-

czeń przez sprzedawców biletów: jeden z nich żądał za bilet czterdzieści centimów, drugi po trzydzieści, a jeden ofiarował nawet po dwadzieścia pięć.

— Nie trzeba, nie trzeba! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz i zaczął rozliczać się z dorożkarzem. — Ile mu dać, Głasza? Chciał półtorej złotówki francuskiej?

— Daj mu trzy franki. Chociaż dorożkarz, ale człowiek grzeczny, woził nas po różnych ulicach, pokazywał...

Mikołaj Iwanowicz dał trzy franki, dorożkarz bardzo zadowolony zdjął kapelusz i podziękował.

— Oh, merci, monsieur... A present je vois, que vous etes les vrais russes... (Teraz widzę, że państwo są prawdziwi Rosjanie).

— Boże! Patrz, jaki ogon u wejścia! — zawołała Głafira Siemionowna. — Stawaj prędzej, Nikola, w ogonku! Patrz, ile publiczności. Dziwna rzecz, że policja pozwala sprzedawać bilety przekupniom. Patrz, stójkowy stoi i nic nie mówi.

Stanęli w ogonie i właśnie mijali stójkowego, który ostrzegał publiczność przed złodziejami kieszonkowymi i co chwila wykrzykiwał:

— Gardez vos poches, mesdames, gardez vos poches, messieurs! (Strzeżcie kieszeni!)

— Głasza! Co on mówi?

— A kto go wie.

— Przecież to uliczne słowa, a chwaliłaś się...

Po kwadransie małżonkowie zdołali dobrnąć do kasy.

— Proszę o bilety! — rzekł po francusku kontroler.

— Il fo aszete. Nu navon pa de bilie! (Trzeba kupić. My nie mamy biletów) — odpowiedziała Głafira Siemionowna za męża. — Kombien?



— My nie sprzedajemy biletów. Bilety trzeba kupić na ulicy. Państwo muszą wrócić! — rzekł kontroler, przepuścił małżonków przez wejście i natychmiast wyprowadził ich drzwiami.

— Głasza!, co to znaczy? — zawołał Mikołaj Iwanowicz, znalazłszy się znów na ulicy.

— Nie wpuszczają bez biletów.

— A dlaczegoś nie kupiła w kasie?

— Nie sprzedają!

— Jak to nie sprzedają? Cóż to, my jesteśmy od machochy, czy co? Czy nasze pieniądze gorsze?

— Nie wiem, nie wiem... Ekute? Proszę pana! Nu wulon siur lekspozicion? Nu wulon aszete bilie, a nam nie sprzedają! Bilie, bilie!... Gdzie kupić? U aszete?

Policjant, przed którym to wszystko mówiła, wymachując parasolką, uśmiechnął się i rzekł po francusku:

— Proszę kupić bilety u tego chłopca! Bez biletów państwa nie wpuszczą.

Zawołał chłopca z biletami i rzekł do niego:

— Deux billets pour monsieur et madame!

— Patrzcie państwo! Nawet stójkowy popiera sprzedawców. U nas przekupniów biletów stójkowy chwyta za kołnierz, a tutaj sam ich rekomenduje! — dziwiła się Głafira Siemionowna.

Musiano kupić od chłopca dwa bilety za sześćdziesiąt centymów i po raz drugi stanąć w ogonku na kwadrans.

— Ładne porządki! — pokiwał głową Mikołaj Iwanowicz, kiedy wreszcie znaleźli się poza wejściem.

Razem z publicznością małżonkowie weszli po kamiennych schodach do gmachu muzeum antropologicznego, przeszli przez kurytarz i znaleźli się na tarasie, prowadzącym do parku. Gmach znajdował się na wzgórzu i z tarasu otwierał się przepyszny widok na cały plac wystawy po obu brzegach Sekwany. Przed oczami rozwinął się przepyszny klomb, jaszkrawe kolory kwiatów odcinały się mocno od szmaragdowych trawników, złociły się wysypane piaskiem ścieżki, mnóstwo kiosków najbardziej oryginalnych form, były fontanny, nieco dalej widać było pałace, a wśród nich, jak olbrzym sterczała rudo-czerwona wieża Eifla. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna pomimo woli zatrzymali się i podziwiali panoramę wystawy.

— Piękne! — rzekła Głafira Siemionowna po chwili milczenia.

Długo jechałszy i przenieśliśmy dużo męczarni ale wreszcie przyjechaliśmy na wystawę! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Co robić? Trzeba zacząć oglądać. Chodźmy do wieży Eifla.

— Chodźmy... Tylko ja, Mikołaj Iwanowicz... Na samą wieżę... boję się wchodzić...

— Nie bądź głupia! Pociągmy tu przyjechali? Przecież właściwie przyjechaliśmy tu pociągiem, aby wjechać na wieżę Eifla.

— Głupstwo. Przyjechaliśmy na wystawę, oglądać wystawę...

— Ale zrozum, że być na wystawie i nie wjechać na wieżę, to jest to samo, co być w Rzymie i nie widzieć Papieża. Zrozumieć, tam na wieży pisze się pocztówki do znajomych i wysyła wprost z wieży. Iwan Daniłowicz przysłał nam pocztówkę z wieży, więc i my powinniśmy mu posłać. I innym znajomym też... Obiecałem...

— Pocztówki możesz napisać na dole pod wieżą.

— Nie ten fason. Na wieży mają specjalny stempel. Na wieży mają stempel z wyobrażeniem samej wieży, a jeżeli kto napisze list nie na wieży, to tego stempla niema.

— A pociąg ci ten stempel?

— Żeby wszyscy wiedzieli, że wjechałem na wieżę. Inaczej nikt mi nie uwierzy. Jak chcesz, Głaska, ale na wieżę musimy wejść i pisać pocztówki do znajomych...

— Kiedy... mówią, że wieża... chwieje się?



— Więc coś z tego? Chwieje się, ale nie przewraca. Jak się będziesz bała, możesz się mnie trzymać.

— To przecież wszystko jedno... Jak się przewróci, zginemy oboje...

— Tyle czasu stoi i nie przewraca się a teraz ma się przewrócić? Co ty wygadujesz?

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

— Nie Głaska, proszę cię... Nabierz jakoś odwagi i wejdziemy na wieżę. Musimy koniecznie wysłać pocztówki z wieży do znajomych. Niech nas znają!... Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna na wysokości wieży Eifla tłuką się niby

chmury jakieś! Nie pošemy pocztówek z wieży, nikt nie uwierzy nawet, żeśmy wogóle na wystawie byli. Nie sprzeciwiaj się, kochanie, postaraj się jakoś! — prosił żonę. — Wejdziemy!...

— Dobrze już, dobrze... Ale nie dzisiaj... Nie mogę tak od razu... Pozwól mi troszeczkę przyzwyczać się do wystawy... Przecież przyjdziemy tu jutro i pojutrze, więc mamy czas... — odpowiedziała Głafira Siemionowna i zaczęła schodzić z tarasu.

Kiedy tak, to dziękuję mojej żoneczce. Wejdiesz ze mną na wieżę, ja ci za to piękną suknię jedwabną kupię. Nie pożałuję sześciuset, a nawet siedmiuset francuskich złotych... Kup sobie taką suknię, żeby wszystkie psy wyły, żeby wszystkie nasze znajome w Moskwie podrapały się do krwi z zazdrości, ale pamiętaj, Głaska, nie cofnij się, dotrzymaj słowa! — mruczał Mikołaj Iwanowicz, idąc za żoną.

XXIX.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna chodzili po parku wystawowym, zachwycali się fontannami, zatrzymywali się przed kioskami, których wnętrza zresztą nie interesowały ich zbyt, wstąpili do muzeum antropologicznego, przyjrzeni się manekinom, przedstawiającym byt różnych narodów, wreszcie Głafira Siemionowna rzekła:

— Ale ten Paryż... Mówią, paryskie mody, paryskie stroje, tymczasem chodzimy, chodzimy i nic nadzwyczajnego... Żadnych strojów. Zwyczajne suknie, zwyczajne kapelusze, zwyczajne płaszcze... U nas nawet pokojówka, jak pójdzie na zabawę do ogrodu miejskiego, to lepiej się ubierze, a tutaj przecież wystawa... Wiesz, że ja chyba jestem najlepiej ubrana ze wszystkich. Gdzież ten przechwalany Paryż?

— Prawda, kochanie, prawda. Zauważyłem to samo. A możemy weszli gdzieś przez jakieś tylne wejście, gdzie wpuszczają tylko prosty naród? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Może prawdziwe modnisie są tam! — wskazał ręką na drugą stronę Sekwany.

— Na ulicach Paryża też nie widziałam nic eleganckiego? Sama tandeta. Zwykle suknie, taniuskie kapelusze... Myślałam, że coś tak troszkę na bok, z piórami, z kwiatami, z ptakami, tymczasem nic specjalnego... Nawet porządnych powozów, zaprzężonych w kłusaki, nie widziałam na ulicy. I to Paryż? Wstydy!

— Poczekaj. Wieczorem pójdziemy do teatru, to może tam coś zobaczymy. Przypuszczam jednak, że za rzeką publiczność jest bardziej elegancka. Prostu weszliśmy na wystawę przez złe wejście.

— I co się tyczy tego piękna francuskiego... — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — U nas w Petersburgu wszyscy

krzyczą: — „Ach, Francuzka! Ach, co za szyk! Ach co za gracia! Francuzki pikantne, Francuzki eleganckie! Francuzki cudowne!“ Gdzie te cuda? Gdzie ta pikanterja? Dwie godziny chodzimy po wystawie i nie widziałam nic cudownego. Nawet pięknych twarzy nie widać. Takie sobie, najzwyklejsze kobiety i panny. Patrz, idzie jakaś na tłustych nogach! Patrz, jak brzuch wypięła! Nie kobieta, a armata jakaś.

— Może to jaka Niemka? — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— A co by tu Niemka robiła w Paryżu.

— A co my, Rosjanie, tu robimy?

— Ty zawsze lubisz się ze mną sprzeczać. Niema tu zupełnie przystojnych kobiet, nawet miłych... Pokaż mi chociaż jedną?

— Widzisz, może eleganckie i przystojne Francuzki już dawno obejrzały wystawę i obrzydła im już. Przecież otworzono ją na wiosnę, a teraz już jesień! Zresztą, jestem pewny, że na tamtej stronie rzeki zobaczymy co innego... Jednak, Glasza, już piąta godzina, chce mi się jeść. Trzeba poszukać gdzieś restauracji. Czytałem w gazetach, że na wystawie dużo restauracji, a dotąd nie widziałem ani jednej. Widocznie też na tamtej stronie. Chodźmy na tamtą stronę. Przy tej sposobności obejdziemy naokoło wieżę Eifla. Przynajmniej dziś ją zobaczymy z zewnątrz. Obejrzymy wieżę i poszukamy restauracji.

Głafira Siemionowna spojrzała na męża i rzekła:

— Nie pójde z tobą do restauracji!

— Co takiego? Tak na głodnego mamy tutaj chodzić? Już mi w brzuchu burczy!

— Niech burczy, a ja nie pójde!

— Nie rozumiem! Dlaczego? Przecież i ty chyba jesteś głodna?

— Jestem głodna, ale jak przyjde do domu, poszlę po bulki i wędliny a do restauracji z tobą nie pójde.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego?... A przypomnij sobie, coś mówił o restauracji... Jaką potrawę chciałeś sobie wybrać?... Dlatego właśnie z tobą nie pójde!

— Aha, idzie ci o tę smażoną żabę? Przecież dzisiaj nie będę jadł żaby. Przed samym wyjazdem z Paryża wezmę na odwagę i zjem smażoną łapkę żabią... Wtedy pójde do restauracji bez ciebie...

— Kłamiesz, kłamiesz! Wypijesz za dużo i zaraz każesz sobie żabę podać. Ja cię znam. Po pijanemu każde świństwo możesz zrobić. Pamiętam, jak raz w Moskwie w restauracji założyłeś się z przyjaciółmi i odgryzłeś żywemu karasiowi głowę.

— No, wtedy wszyscy dokazywali. Pięciukow napił się wódki z octem, oliwą i musztardą, a ja zażądałem żywego

Karasia. Nie, Głazza, ja żartowałem, ja dzisiaj nie będę żądał żaby. Może kiedyś, bez ciebie...

— Zaklinj się, że nie będziesz dzisiaj żądał żaby, to pójdę.

— Jak Boga kocham!

— Naprawdę?

— Naprawdę!

— Pamiętaj! Przysiągłeś! No to chodźmy.

I małżonkowie przez most przeszli na drugi brzeg Sekwany.

Po kwadransie stali przed wieżą Elfla i podniósłszy głowy do góry patrzyli, jak podnoszą się do góry windy z publicznością na pierwsze, na drugie i na trzecie piętro, jak na każdym piętrze koło balustrady chodzą ludzie małeńcy, jak mrówki lub muchy.

— Czy i my będziemy musieli w takiej maszynie jechać? — zapytała Głafira Siemionowna ze ściśniętym sercem i zmęczona usiadła na jedno ze stojących przed wieżą krzeseł.

— To nic strasznego! Usiądziesz jak do karety i pojedziesz! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i też siadł obok żony.

— Tak wysoko, to straszne! — wzdychała Głafira Siemionowna.

— Zato napiszemy pocztówki i pochwalimy się przed znajomymi, żeśmy byli pod sameim niebem.

— Nikola! Wieża chwieje się! Widzę doskonale, że chwieje się...

— Ależ nie, zdaje ci się.

— A ja ci mówię, że się chwieje. W tej chwili zatrzy-

Małżonkowie zaczęli sprzeczać się. W tej chwili zatrzymała się przed nimi starsza kobieta w zniszczonej sukni wełnianej, w czepeczku na głowie i z torbą na rzemieniu. Podała im dwa żółte bileciki i mruczała:

— Pour les chaises, monsieur, vingt centimes... pour le repos! (Za krzesła, panie, dwadzieścia centymów, za odpoczynek.)

Mikołaj Iwanowicz wytrzeszczył oczy.

— Co takiego, madam? — Co? Co pani chce?

Kobieta powtórzyła formkę.

— O co pani idzie? Że my ze sobą rozmawiamy? Se ma farn i już! — wskazał Mikołaj Iwanowicz na żonę i dodał, zwracając się do kobiety: — Ale... bo policjanta zawołam.

— Mais, monsieur, vous devez payer pour les chaises! — wsuwała im bilety.

— Bilety? Co za bilety? Nie potrzebujemy żadnych biletów! Głazza! Powiedz jej po francusku i odpędź ją.

— Monsieur doit payer pour les chaises, pour le repos!

— Mówi, że musimy zapłacić za krzesła! — zrozumiała nareszcie Głafira Siemionowna.



— Za jakie krzesła?

— Za te, na których siedzimy

— Po raz pierwszy słyszę coś podobnego. Co to za świństwo! Gdzie to widziano, żeby za krzesła brać pieniądze? Przecież to wystawa, przecież to nie teatr, nie przedstawienie... Powiedz jej, żeby poszła do wszystkich djabłów. Jak diabeł po francusku, sam jej powiem.

— Dwadzieścia centymów, madame... Tylko dwadzieścia centymów. Muszą państwo zapłacić za krzesła! — mówiła w dalszym ciągu kobieta.

— Żąda dwadzieścia centymów. Mówi, że za krzesła się płaci! — wyjaśniła mężowi Głafira Siemionowna i dodała: — Zapłać jej! Czy warto się sprzeczać?

— Djabli wiedzą, co takiego? — skoczył z krzesła Mikołaj Iwanowicz i sięgnął po pieniądze. — Co za nieszczęście, że ja nie umiem po francusku ani jednego przekleństwa, bo bym dał tej babie pieprzu, popamiętałaby mnie! — mruczał, dając pieniądze kobiecie.

XXX.

— Żeby obdzierać ludzi za usiadnięcie na krzesła w ogrodzie — tego to już zanadto! — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz po odejściu kobiety. — Rozumiem, żeby było jakieś przedstawienie, ale nic. Siedliśmy sobie i rozmawialiśmy...

— Patrzyliśmy na wieżę Eifla! Masz przedstawienie! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Przecież za patrzenie na wieżę zapłaciliśmy przy wejściu na wystawę?

— Widocznie tylko za patrzenie na stojaczkę, a tu trzeba płacić za patrzenie na siedząco... Wejdiesz na wieżę — znów będziesz musiał płacić! Za każde piętro zedra osobno. Czytałam w gazetach.

— Tam każą płacić za winę, za to, że pojedziesz do góry. Zawsze to przejażdżka, ludzie starają się, wiozą cię, a tutaj — stoi krzesło i basta... Uszkodziłem je, czy co? Wstawaj!... Nie chcę dłużej siedzieć! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony, powstając. — Zdarli z nas za to, że patrzymy na wieżę, kto wie, może obejrzymy się w drugą stronę, spojrzymy na balon, który ot tam na linie się chwieje i znów każą płacić... Dlaczego, siedząc na krześle, patrzysz na balon?...

— Czego się irytujesz? Widocznie tu takie porządki...

— Ładne porządki! Przecież to poprostu zwyczajne świństwo! Powinni jeszcze brać za to, że się wchodzi do kiosków i ogląda eksponaty? Ładna wystawa, niema co mówić?

— Za kioski też biorą. Przed kwadranssem wstąpiłam do garderoby... Myślisz, że nie wzięli? Dwadzieścia pięć centymów.

— Nie może być?

— Naprawdę! Według taksy... Garderobiana pokazała mi takse.

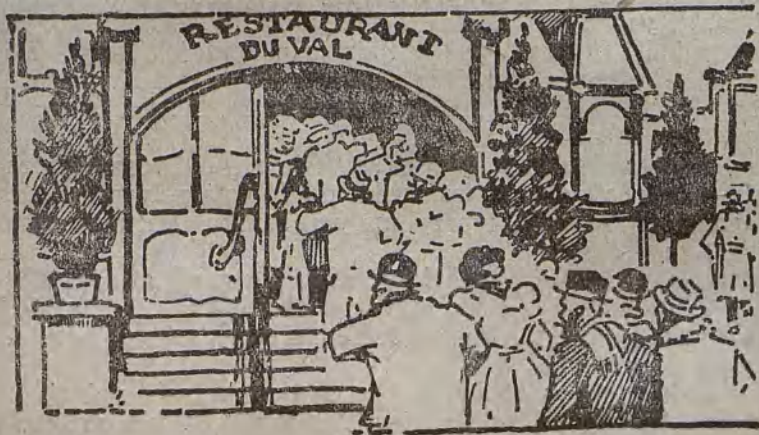
— To oburzające! U nas, jeżeli trafi się jakaś garderoba publiczna dla pań, to możesz śmiało iść do niej bez zapłaty, za darmo, chyba, że sam garderobianej dasz coś na piwo.

— Ja tutaj też dałam na piwo, dałam pur buar, ale dwadzieścia pięć centymów musiałam zapłacić osobno.

— A niech was! Możliwe, że i za wejście do restauracji trzeba będzie zapłacić? Za wejście osobno, a za jedzenie osobno... Chodźmy jednak do restauracji. Okropnie się już wyglodziłem.

— O, widzisz! — rzekła Głafira Siemionowna i pokazała na szyldziku na słupie napis: „Restaurant Duval”. Strzałka wskazywała kierunek.

Małżonkowie poszli i wkrótce stanęli przed gmachem



z tym samym napisem. Przed wejściem panował tłok, trzeba było znów stanąć w ogonku.

— Jezusie, a to narodu! Czy to aby restauracja? — powątpiewał Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież widzisz, że napisane: „Resturant!”

— Ale handelek tu idzie niczego! Wcale dobrze! W ogonku trzeba stawać, w ogonku do jedzenia zasiadać. Niechby który z naszych moskiewskich restauratorów zobaczył taki handelek, pękłby z zazdrości. Stawajmy w ogonku, trzeba zbliżyć się do wejścia. Zobaczymy, co to za restauracja. Prawdopodobnie najznakomitsza na cały Paryż.

— Proszę cię, Nikola, tylko żaby nie jedz!

— Przecież przysięgłem, że nie będę.

Zbliżając się zwolna do wejścia, małżonkowie znaleźli się wreszcie w restauracji. Wielka sala była przepelniona publicznością. Wpuszczano do niej przez wejście tylko tyle osób, ile wypuszczano wyjściem. Stojący przy drzwiach wejściowych Francuz z hiszpańką na brodzie wyciągnął ku małżonkom dwie karteczki.

— Jakto i do restauracji potrzebne wejście? I tutaj bilety? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — A nie mówiłem ci, Głasza?

— Bierz, bierz, nie filozofuj... Do cudzego klasztoru ze swoją regułą nie pchaj się!

— Kombian? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, wyciągając z kieszeni garść pieniędzy.

Francuz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Zapłacą państwo później, później... Proszę wziąć karty.

— Mówi, że potem zapłacisz. Bierz, co dają! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Ale miasteczko! Ale porządeczki! Za wejście do restauracji trzeba płacić? U nas zimą w restauracjach muzyka gra, kataryniarze rozmaici śpiewają, a za wejście nic nie biorą.

W sali wszystkie stoły były zajęte; trzeba było szukać miejsca. Słychać było brzęk łyżek, noży, widelców. Mowa mnóstwa ludzi tworzyła coś w rodzaju szmeru, jaki słyszy się w ulu. Małżonkowie musieliby zapewne długo szukać miejsca, gdyby nie zajął się nimi kelner w smokingu i białym fartuchu z olówkiem za uchem.

— Państwo szukają miejsca?... Oto stół... Proszę iść za mną! — zwrócił się po francusku do Mikołaja Iwanowicza, pociągając go za sobą i przy małym stoliku marmurowym wskazał na krzesła.

Mikołaj Iwanowicz wahał się: siadać, czy nie siadać.

— A za krzesła nie biorą tu osobno? Głasza zapytaj!

— Siadaj, siadaj!.. Przecież nie możemy jeść obiadu na stojąco?

— Założę się, o co chcesz, że tu i za krzesła zedra! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, siadając i pokazując palcem na krzesło, zapytał kelnera: — Kombian za te rzeczy?



Służący naturalnie nie zrozumiał pytania, wziął kartki od małżonków, otrzymane przez nich przy wejściu, położył je na krzesła nakreśliwszy coś uprzednio ołówkiem, podał menu i zatrzymał się w pozie pełnej uszanowania.

— Głasza! Zamówimy najlepiej obiad!... Dine... De dine...

— Nie mamy tutaj obiadów, panie. Tylko a la carte... Muszą państwo wybrać... Proszę kartę! — rzekł kelner po francusku.

— Nie mają tutaj obiadu. Trzeba zamawiać a la carte! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Jakto? W takiej restauracji, gdzie biorą za wejście, żeby nie było obiadów? Porządeczki!...

— Może to i lepiej! — przerwała Głafira Siemionowna. — Bóg wie, czem mogliby nakarmić... Jeszcze ci w obiedzie żabę podsuną. Zjesz, a potem...

— Głupstwa mówisz. Przecież żabę odrazu można odróżnić. Czy nie wiesz, jaka żaba wygląda.

— A jak ci podadzą siekaną, to odróżnisz? Lepiej wybierzmy coś zwyczajnego.

— No, więc... Przedewszystkiem wódka i przekąska. O de wi... O de wi rius i przekąska. Jak przekąska po francusku.

— Przekąska? Nie wiem... O przekasce nie uczono nas.

— Nie mamy wódki rosyjskiej! — odpowiedział służący.

— Może państwo życzą sobie koniak?...

— Nie mają tu wódki! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. — Skąd może być wódka w Paryżu? Proponuje koniak.

— Jakto koniak? Kto pije koniak przed obiadem? Koniak, po obiedzie... bałwany! Za wejście do restauracji biorą, ale wódki z Rosji nie mogą sprowadzić. My ich francuskie wina sprowadzamy... Koniak non! — pokręcił głową Mikołaj Iwa-

nowicz. — Glasza! Przetłumacz mu po francusku to, co powiedziałem o wódce rosyjskiej.

— Nie warto jest o czym mówić?... Lepiej wybierzmy coś do jedzenia.

Wzięła kartę i zaczęła czytać. Garson, któremu znudziło się to wszystko, rzekł wreszcie:

— Może pan powie, jakie wino życzy sobie: zwyczajne, stołowe?...

— Co on się pyta?

— Pyta o wino. Jakie wino?

— Acha... Wę ruż... Butel wę ruż... Widzisz, Glasza, jak ja po francusku...

— Quel vin rouge, monsieur? Un franc, deux francs, trois francs...

— Zrozumiałem, zrozumiałem!... Nie, braciszku, trua frank za mało... to tylko trzy złotówki... dacie jakiegoś octu... Dawaj za rubla, za cztery złotówki... Katr frank... Oprócz tego wę blan en butel. Też za katr frank.

Lokaj poszedł po wino.

— Wybrałam, Mikołaju Iwanowiczu! — rzekła Głafira Siemionowna. — Buljon, somon, t. j. łosoś i befsztyk. Przy najmniej nie oszukają nas.

— Poczekaj! Poczekaj! Ej, lom! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Nie lom, a garson. Tutaj człowiek nazywa się garson.

— Prawda, zapomniałem... Garson!

Służącego już dawno nie było.

XXXI.

— Jestem bardzo ciekawy, ile oni zedrą z nas za to wejście? — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony, siedząc w restauracji i oglądając wręczone mu przy wejściu kartki, które wziął za bilety wejściowe. — Pewno zedrą po rublu...

— Skądże? — Przecież tu wszystko na franki.

— A niechby nawet i po dwa franki... Też za drogo... Nie lubię tak za nic płacić.

— Widocznie trafiliśmy do drogiej restauracji.

— Co za droga restauracja, kiedy nawet stoły nie są nakryte obrusami.

— Pewno taki tu zwyczaj, żeby bez obrusów.

Garson przyniósł dwie butelki i dwa kieliszki, postawił na stole i znów chciał odejść.

— Garson! garson! — zatrzymał go Mikołaj Iwanowicz i zwracając się do żony rzekł: — To dziwne, że ty nie wiesz, jak przekąska po francusku. Dobrze byłoby przed obiadem zjeść coś słonego... Nie wiesz, jak śledź po francusku?

— O śledziu nas nie uczono.

— A może o kawiorze. o kilkach?

— I o tem też nie. Wiem tylko, że ser; fromaż,

— Fromaż, fromaż, garson! — zawołał ucieszony Mikołaj Iwanowicz.

— Quel fromage, monsieur?

— Naturalnie szwajcarski! Głasza, jak szwajcarski po francusku?

— Ach, Boże mój, ciągle mnie męczysz! Szwajcarski — szwajcar prawdopodobnie.

— Fromaż szwajcar.

— Nie znam, proszę pana takiego sera! — odpowiedział po francusku garson.

— Co, fromażu szwajcarskiego niema? Dziwne, No to... poprostu fromaż... fromaż... Poczekaj, poczekaj... A śledzia, Głasza... Wytlumacz mu, że to solona ryba.

— Puason sale. Vu komprene? En petit puason sale...

— Une sardine? Ach, oui, madame!

— Nie sardynkę, lecz śledzia! Zresztą sardynkę też można. Ale śledzia! — starał się wytłumaczyć Mikołaj Iwanowicz. — Ażeby was..., Nic nie rozumieją. No niech będzie. Dawaj sardynkę...

— Ancor puason sale. En ofr puason sale! — dodała Głafira Siemionowna.

— Oui, madame, vous recevez! — odpowiedział garson i znikł, a po chwili zjawił się z dwiema filiżankami zupy i głębokimi talerzami.

— Co to, zupa, braciszku, na początek obiadu? — oburzył się Mikołaj Iwanowicz. — Przedewszystkiem trzeba przekąskę. Sardin, fromaż, śledzia...

— C'est apres monsieur... apres le boullion.



— Jakto apre? Zaraz! Kto będzie jadł po zupie coś słonego? Głasza powiedz mu.

— Apresent, apresent! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

Służący wzruszył ramionami i pobiegł po przekąski.

— Ładna restauracja! Za wejście zdzierają, a trzymają kelnerów, którzy nawet nie wiedzą, że zupy nie daje się na pierwsze danie! — mruzczał Mikołaj Iwanowicz, nie znając zwyczajów francuskich, według których obiad zaczyna się od zupy.

Po chwili służący zjawił się z małąkimi talerzykami, na których leżały dwie sardynki, ser brie i parę ślimaków morskich, t. zw. moules. Głafira Siemionowna, zobaczywszy ślimaki, rzekła: „fuj“ i zakryła twarz serwetką. Spojrzał i Mikołaj Iwanowicz i zawołał:

— Co za ślimaki nam tu dajesz? Precz z tem! — machał rękami. — Żądam od niego śledzia, a on mi jakieś ślimaki taszczy. Precz z tem... My nawet ostryg nie jadamy, a ten ze ślimakami wyjeżdża. Ale! Le rius takie świństwo non manže... Z Bogiem, z Bogiem... I fromaż weź ze sobą. Takiego fromażu też nie jemy.

— Niech i sardynki weźmie! — dodała Głafira Siemionowna. — Nie mam zamiaru jeść takich sardynek, które leżały przy ślimakach... Ale! Il ne fo pa... seleman le buljon. Donne buljon. Ty zawsze coś żadasz, a potem...

Służący stał, zdumiony.

— Przecież państwo żądali? — tłumaczył się.

— Prene... prene... precz. Nu ne manžon pa se szoz.

Służący mruknął coś z westchnieniem i zabrał przekąski do bufetu.

Małżonkowie zabrali się do buljonu.

— Woda, a nie buljon! — rzekła Głafira Siemionowna i zjadłszy dwie, czy trzy łyżki, odsunęła talerz od siebie. — I to ta sławna kuchnia francuska!?

— W restauracji, gdzie za wejście biorą po dwa ruble! — dodał Mikołaj Iwanowicz i rzekł do służącego: — Puason! Prędeż puason...

— Somon, somon... Puason somon! — podkreśliła Głafira Siemionowna.

Podali gotowanego łososa z sosem, lecz bez garnituru. Porcje były takie małeńkie, że małżonkowie nasi o mało nie krzyknęli ze zdziwienia.

— To dwie porcje? Pur de person? — zapytali służącego.

— Oui, monsieur!

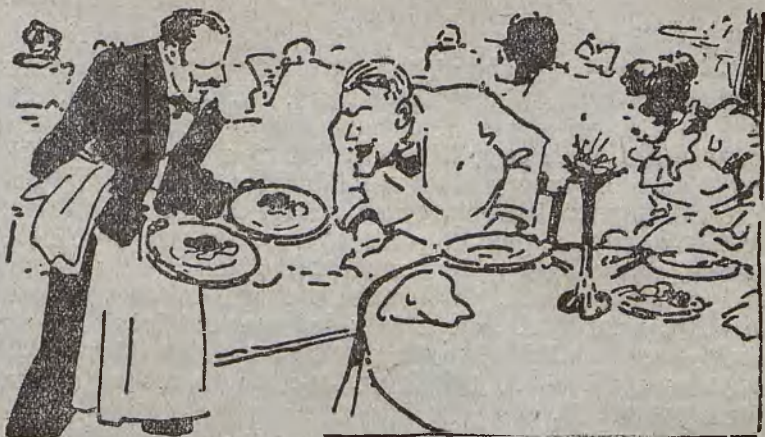
— Przecież to na raz do gęby? A gdzie garnitur? Gdzie kartofle?

— Wuj, wuj... U e pom de ter? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Państwo żądali tylko somon, madame?

— Przecież to się samo przez się rozumie..

— Zaraz przyniosę.



— Daj spokój! Kiedy przyniesiesz! Patrz! Oto twoja porcja.

Mikołaj Iwanowicz nabrał na widelec całą swoją porcję i połknął.

— Ancor puason! Cztery porcje tej puason. Katr porcjon!

— I pòm de ter! — dodała Głafira Siemionowna.

— Queles pommes desirez vous, madame? — zapytał służący.

— Kel pom? Zwykły pòm... gotowany pom.

Służący uśmiechnął się i po pięciu minutach przyniósł cztery porcje lososia, a osobno cały czubaty talerz smażonych kartofli — pommes frites.

— A to osioł! Smażone kartofle do gotowanej ryby daje!
— zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Jedz już, jedz!.. Żeby się tylko najeść! — rzekła żona.
— Nie myślałam, żeby taki głupi naród był w Paryżu.

Porcje befsztyku były jeszcze mniejsze. Małżonkowie już nie protestowali.

— Zupełnie, jak na śmiech! — mruczał Mikołaj Iwanowicz, wziął na raz do ust cały befsztyk, pogryzł go, połknął i zaczął pić wino.

— Ja jestem głodna, Nikola! — skarżyła się Głafira Siemionowna.

— Ja też. Nawet nie czuje, żebym coś jadł. Przecież od rana nic nie jedliśmy, a teraz już siódma. Będziemy musieli za godzinę, za dwie znów coś zjeść. Dopijmy wino i chodźmy poszukać innej restauracji. Zażądamy porcję indyka, gęsinę... Garson! Kombian? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do kelnera i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

Lokaj oddał te same karty, które otrzymali przy wejściu i wskazał na kasę.

Małżonkowie skierowali się ku wyjściu.

XXXII.

— Szesnaście francuskich złotych wzięli za wszystko! — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony, kiedy wyszli z restauracji. — Coś mi się to wydaje za tanio. Policz no! Przecież samego wina wypiliśmy za osiem złotych. Butelkę czerwonego za cztery złotówki i butelkę białego za cztery złotówki, a więc jedzenie kosztowało tylko osiem złotych. Zjedliśmy dziesięć porcji, samego łososia sześć porcji. Co prawda, porcje były takie, że można było całą naraz do gęby włożyć, ale zawsze... Widocznie za wejście do restauracji nie wzięli nic... Nic. Pocóż tedy dali nam te bilety przy wejściu? — rozważał dalej, myśląc wciąż o duvalowskich blokach statystycznych. — A jednak wypada, że to nie była wcale droga restauracja.

— Przestań już... Ciągłe liczysz i liczysz. I tak więcej do tej restauracji już nigdy nie pójde! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Pamiętasz, jak nam jakieś ślimaki podali? Żądam od niego, żeby mi podał rybę, zdaje się, że zupełnie wyraźnie mówię: *puason sale*, a garson przynosi nam ślimaki. Trzeba dobrze zauważyć i zapamiętać tę restaurację, żeby nie trafić tu kiedyś przez pomyłkę raz jeszcze.

Nagle Głafira Siemionowna zobaczyła olbrzymi, gazem oświetlony szyld z napisem po francusku: „Teatr Egipcjan i Arabów“.

— Mikołaj Iwanowicz, patrz, tam teatr arabski... Arabski i egipski... Weźmy bilety i zobaczmy! Pewno coś zajmującego?

— Przecież ani ty, ani ja nie umiemy ani po egipsku, ani po arabsku! — odpowiedział mąż.

— Pewno nie trzeba wcale... Prostu przypatrzymy się. Pamiętasz, jak w Petersburgu byliśmy na przedstawieniu francuskim w „Arkadij“, też nic nie rozumieliśmy.

— Jak chcesz. Możemy wstąpić.

— Naturalnie, chodźmy, weźmy niedrogie miejsca... Nie będzie się nam podobało, pójdziemy sobie. Nawet lepiej, jak posiedzimy niedługo. Trzeba wcześniej pójść do domu. Zmęczyłem się bardzo i ciągnie mnie już do łóżka. Kolację możemy zjeść w hotelu. Przecież w hotelu musi być jakaś restauracja?

— Patrz-no, patrz!... Co to takiego?

Małżonkowie skreśliłi za róg i oczom ich przedstawił się wspaniały obraz fontann, oświetlonych ogniami bengalskimi. Strugi i słupy wody refleksowały wszystkimi kolorami tęczy i rozsypywały się kaskadami brylantów. Wieża Eiffla także była oświetlona matowemi lampjonami na wszystkich piętrach, a z samego czubka tryskało światło łukowej lampy elektrycznej. Obraz był rzeczywiście wspaniały i małżonkowie zatrzymali się.

— Wcale, wcale... Niczego sobie! — pochwalił Mikołaj Iwanowicz.

— Naprawdę prześlicznie! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Patrz, tam z czubka wieży puszczają światło elektryczne...



— To nie elektryka... Nie widziałś elektryki? Pamiętasz u nas na jednym banku powiesili lampę elektryczną? Zupełnie co innego... A to jest... jak się to nazywa?... Acha, magnetyzm. To pewno jest magnetyzm zwierzęcy...

— Głupstwa gadasz. Magnetyzm zwierzęcy — zupełnie co innego. Za pomocą magnetyzmu zwierzęcego usypiają ludzi. Czytałam o tem. To wychodzi z człowieka... z brzucha... Są tacy specjaliści ludzie, którzy mają w sobie magnetyzm zwierzęcy i wypuszczają go... Ludzie tacy nazywają się medjum.

— To ty głupstwa gadasz. Zupełnie co innego. Poplątałaś. Gdzie medjum, tam jest spirytyzm.

— Znowu głupstwo! Spirytyzm — to duchy... Tam wywołują nieboszczyków. t. j. nie prawdziwych nieboszczyków, ale ich cienie, które pukają w stół...

— W takim razie to jest hypnotyzm... Widzisz, jak hypnotyzm...

— Ty się tylko lubisz zawsze sprzeczać. Hypnotyzm — to wtedy, kiedy człowiek kamienieje i można go kląć szpilkami, a to jest elektryczność. Przecież elektryczności też bywają różne. W telefonie też elektryczność.

Małżonkowie zaczęli sprzeczać się, wreszcie Mikołaj Iwanowicz machnął ręką i rzekł:

— Niech będzie po twojemu! Niech będzie elektryczność. Pluje na twoją elektryczność. Chodźmy do teatru popatrzeć na Arabów.

Poszli w kierunku oświetlonego gazem szyldu.

— Zastanów się jednak, kto może tam na wieży wypuszczać z brzucha taki wielki magnetyzm, żeby pół nieba oświetlić? — ciągle jeszcze tłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Dosyć, Głafira Siemionowna, dosyć!... — przerwał jej Mikołaj Iwanowicz. — Znudziło mnie to już.

— Naturalnie, że ciebie to nudzi... A ja o tem w książce czytałam.

— Daj spokój, nie chwal się tem twojem wykształceniem... My też coś czytaliśmy.

— Nie mogłeś tyle czytać, ile ja! W jaki sposób?... Po całych dniach musisz stać w sklepie, a ja w domu siedzę nad książką...

— Wiem, wiem... Takie to twoje książki... O Gastonie, o Bercie, i o Żeremie... o rozmaitych ich awanturach miłosnych...

— Nieprawda, nieprawda! Ja czytuję także uczone książki.

— Daj mi spokój z twoją uczonością. Ładna uczoność! Dowiodłaś mi swojej uczoności. Nawet nie wiesz, jak śledź po francusku.

— Na pensji nie uczono nas nic o śledziach. Ja chodziłam na pensję dla porządnych panien z szlacheckich domów... Czy można pannę uczyć o śledziu? Śledź — to rzecz męska, a nie dla pań... Śledź należy do przekąsek, przekąski podaje się do wódki, a porządne panny wódki nie piją.

— Ale porządne panny wychodzą kiedyś za męża, muszą być gospodyniami, podają mężowi i jego gościom wódkę, więc powinny wiedzieć, jak śledź po francusku...

Nagle ktoś nad samem uchem Mikołaja Iwanowicza klasnął głośno i zaczął krzyczeć po francusku:

— Zaczynamy! Za kwadrans zaczynamy! Panie i panowie!... Uwaga... Oto kasa!... Proszę kupować bilety... Proszę się spieszyć, proszę się spieszyć... Tylko jeden frank!...

Małżonkowie odskoczyli przerażeni. Krzyczał jakiś wysoki człowiek z długimi wąsami, w czerwonym bolero, wyszytem złotem, w niebieskich, szerokich szarawarach i białym turbanie na głowie, zapraszając publiczność do kasy.

— Ażeby cię wszyscy diabli wzięli! Żebyś zdechl! — rozniewał się Mikołaj Iwanowicz i nawet pogroził pięścią wasaczowi, lecz ten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i zapraszał w dalszym ciągu:

— Same nadzwyczajności! Panowie i panie! Coś, czego nie zobaczycie nigdzie... Taniec brzucha!... Panie i panowie! Zaczynamy!

W pobliżu było okienko kasy teatralnej. W kasie siedziała jakaś starsza pani w czerwonym czepeczku i wysuwa-

jąc się z okna, wyciągała bilety w kierunku Głafiry Siemionowny.

Małżonkowie podeszli do kasy.

— Combien? — zapytał Mikołaj Iwanowicz i otrzymał odpowiedź, że za wejście płaci się tylko franka, kupił bilety i wprowadził żonę do teatru.

XXXIII.

Teatr Egipcjan i Arabów, do którego weszli Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, był właściwie jarmarcznią budą, wystawioną tylko na czas wystawy z kurtyną z zielonej wełnianej materji. Krzesła na widowni stały przed barjerami, stanowiącemi coś w rodzaju wąziutkich stołów, na których widz mógł stawiać butelki, szklanki i filiżanki. Nieliczna publiczność siedziała, paliła i piła; jeden piwo, drugie wino, trzeci kawę z koniakiem. Ze wszystkich stron słychać było język angielski. Anglicy pili przeważnie Madere, ciągnąc przez słomki i zającąc kanapki z serem i wędliną. Przedstawienie nie rozpoczynało się. Pomiedzy siedzącymi kręcił się chłopiec i sprzedawał afisze, trzeszcząc coś bez przestanku i zachwalając przedstawienie. Do każdego z wchodzących zbliżali się kelnerzy i proponowali coś do picia. Jeden z kelnerów, nie wiadomo dlaczego, był w czerwonych pantoflach, bez pięt i szlafroku z taniego perkalu. Na głowie miał okręcony ręcznik, co miało wyobrażać turban.

— Boże mój! To przecież nie teatr! Tu wszyscy piją i palą w sali! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Ależ teatr, teatr, tylko z popiciem. To nic nie znaczy... To mi się nawet podoba. Zażądamy też coś do przelknięcia! — uspokoił żonę Mikołaj Iwanowicz i kiwnąwszy na kelnera w szlafroku, zawołał: — Głaska! Patrz, jak się wystroił! W szlafroku i w ręczniku na głowie! Panoczku, czy pan wprost z łaźni wyszedł? A gdzie mydełko?

— Czem mogę służyć, monsieur? — zapytał kelner, który podbiegł, domyśliwszy się, że o nim mowa. — Co państwo życzą sobie? Kawa, koniak, wino?

Mikołaj Iwanowicz przyjrzał mu się i rozczłapał się głośno.

— W jakiej to łaźni pan dobrodziej parzył się?

Kelner myśląc, że gość pyta się go o strój jego, odpowiedział po francusku:

— To strój jednego z plemion, zamieszkujących Egipt.

Małżonkowie, rzecz naturalna, nie zrozumieli ani słowa. Mikołaj Iwanowicz w dalszym ciągu śmiał się głośno i pytał po rosyjsku:

— A jak tam para dzisiaj? Dobra? Ach, ty błaznie, błaznie! Żeby się tak wystroić, jak warjat!

— Czego ty z nim po rosyjsku rozmawiasz? Przecież on

i tak ani słowa nie rozumie! — uspakajała męża Głafira Siemionowna.

— Przetłumacz mu! Przecież o łaźni chyba uczyłaś się po francusku!

— Powiedz mu lepiej, co chcesz pić.

— Kawa, koniak, wino? Co państwo życzą sobie? — powtórzył swe pytanie kelner.

— Glas! Awe wu glas? Aporte glas! Comprene wu? — rzekła Głafira Siemionowna.

— Służę w tej chwili. A dla pana?

— Kafe nuar i koniak! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Kelner, człapiąc pantoflami, pobiegł do bufetu.

Małżonkowie siedzieli. Wkrótce rozsunięto kurtynę i na scenie zaczęli ukazywać się aktorzy. Wyszło dwóch wąsatych mężczyzn, ubranych całkiem na biało, krzyczeli na siebie coś w gardlanem, niezrozumiałem narzeczu i zacięcie machali na siebie szablami. Widocznie zmęczeni się, bo wkrótce wyszli za kulisy. Zjawili się trzech muzykantów na bosaka. Jeden z nich miał bęben, dwóch flety bambusowe. Zatrzymali się przed rampą i zagrali coś monotonnego z akompaniamentem bębna.

— Muzyka z jakiejś opery żałobnej! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Nudy! — odpowiedziała Głafira Siemionowna i nawiązała. — Wybraliśmy sobie ładne przedstawienie...

— Przecież to ty zobaczyłaś ten teatr i wciągnęłaś mnie tutaj.

— Wcale nie ja, a ty.

Małżonkowie znów zaczęli się sprzeczać.

— Poczekaj, wypijemy kawy z koniackiem, może się nam jakoś weselej zrobi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zabierając się do przyniesionej kawy i karafeczki z koniakiem. Wypił pół filiżanki, którą znów napełnił do pełna koniakiem.

Kelner w szlafroku spojrzał z ukosa i uśmiechnął się, widząc, że zawartość karafeczki zmniejszyła się o połowę.

Przedstawienie szło w dalszym ciągu. Muzykanci w dalszym ciągu grali swą monotonną melodię. Z za kulis odezwały się jakieś kobiece głosy i wkrótce wyszły na scenę cztery kobiety w pstrych spódnicach, bez kaftanów, jedynie z napierśnikami okrągłymi, przykrywającymi piersi. Wszystkie były na bosaka, objęły się ramionami ze szyję i szły śpiewając.

— Co to za arabski teatr? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Wszyscy są biali. I aktorki białe i aktorzy biali i muzykanci biali. Zwyczajne oszustwo. Niechby sobie chociaż szuwaksem wysmarowali gęby, żeby byćchoć trochę podobnymi do Arabów.

— Masz słuszość! A jednak przy wejściu Francuz krzy-
czał, że ujrzymy coś nadzwyczajnego. Mówił: remarkabl! —
odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Chyba tylko to nad-
zwyczajne, że kobiety są w pasie nagie, ale to tylko na męski
smak.

— Ale nie na mój! Ja uważam, że jeżeli już ma być
naga...

— Milcz bezwstydniku! — surowo skarciła go żona.

Kobiety, śpiewając, siadły w głębi sceny, skrzyżowawszy
nogi pod siebie; muzykanci ulokowali się koło nich; wrócili
wąsacze z szablami i też usiedli z boku. Muzykanci i śpiew
trwały dalej. Wąsacze z szablami też śpiewali i klaskali do
taktu w dłonie. Z za kulis wypłynęła Murzynka, stara, z gru-
bemi wargami, tłusta, też bosa i też naga w pasie. Wypły-
nęła naprawdę, gdyż prawie nie poruszała nogami i zatrzy-
mawszy się przed samą rampą zaczęła w takt muzyki poru-



szać brzuchem i biodrami, co nie przeszkadzało, że głowa jej,
ręce i szyja pozostawały w zupełnym spokoju.

— Co za obrzydliwość! Co ona robi z tym brzuchem? —
rzekła Głafira Siemionowna i odwróciła się.

— Co się tyczy jej brzucha, to niech go djabli wezmą, ale
za to przynajmniej prawdziwa Murzynka, czarna Arabka.
Przynajmniej to nieoszukane! — odpowiedział Mikołaj Iwa-
nowicz.

— Taniec brzucha!... Znakomity taniec brzucha! — za-
rekomendował stojący przy małżonkach kelner w szlafroku.

Za Murzynką na scenie ukazał się biała kobieta, która
robiła to samo co Murzynka, lecz dla zilustrowania bardziej
efektownego, że głowa i ręce jej pozostają w spokoju, wzięła
trzy butelki z oprawionymi w nie zapalonymi świecami, jedną
z tych butelek postawiła sobie na głowie, a dwie trzymała

w rękę i chodząc po scenie, siadając nawet, nie upuściła świecy.

Głafira Siemionowna splunęła.

— Co za świństwo! Świństwo! Do domu! Do domu! — zawołała, podnosząc się z miejsca.

— Pozwól, duszko, chociaż do końca... — zaczął Mikołaj Iwanowicz.

— Dosyć! Zaraz idziemy!

— Pozwól mi chociaż koniak wypić do końca i zapłacić...

Wylał do filiżanki resztę z karafki i wypił. Stojący koło niego kelner aż drgnął. Po raz pierwszy zdarzało mu się widzieć, żeby ktoś wypił całą karafeczkę wódki, chociaż karafka nie była zbyt wielka.

— Kombian? Za wszystko! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, rzucając na stół monetę pięcio-frankową i otrzymawszy resztę, skierował się za Głafirą Siemionowną, która idąc, pluła i mówiła:

— I to się nazywa teatr! Świństwo, pornografia! — Tfu!

XXXIV.

— Do domu, prędko do domu! — mówiła Głafira Siemionowna, wychodząc z Mikołajem Iwanowiczem z namiotu. — Ledwie stoję na nogach. Co prawda całą noc nie spałam w wagonie i cały dzień byłam na nogach. Przyjeździemy do domu, zażądamy samowarek, sami naparzymy herbatki, napijemy się herbaty z bułeczkami... Dobrze, że mamy swoją herbatę. Całe pół funta ukryłam pod bluzką.

— Żeby tylko w tym hotelu był samowar? — ośmielił się wyrazić wątpliwość Mikołaj Iwanowicz.

— Jakto, u Francuzów? To nie Niemcy! Francuzi, żeby nie mieli samowara! W czasie wystawy międzynarodowej... w Paryżu? W centrum cywilizacji europejskiej? Ja myślę, że tu najwyżej braknie ptasiego mleka, ale pozatem wszystkiego się dostanie. Bierz dorożkę!

— Ty zawołaj dorożkę. Patrz, tam stoi... Kosze!

— Oui monsieur! — odezwał się dorożkarz i podjechawszy zapytał: — Quel rue, monsieur? (Jaka ulica).

Głafira Siemionowna chciała coś powiedzieć, lecz spojrzała na męża z przestachem i zapytała:

— Mikołaj Iwanowicz, gdzie myśmy się zatrzymali?

— Jakto gdzie? W hotelu!

— Dobrze, ale na jakiej ulicy?

— A ja skąd mogę wiedzieć? Przecież to ty po francusku...

— Boże miłosierny! A ja w pośpiechu nie zapytałam, na jakiej ulicy jest nasz hotel.

— Co takiego? Jakto tak?... — rzekł Mikołaj Iwanowicz, też denerwując się. — Jak można być taką głupią?

— A ty jesteś mądrzejszy? Dlaczegoś sam się nie zapytał? Też zapomniałeś...

— Jakto ja? Przecież to ty po francusku mówisz... Spuściłem się na ciebie...

— Bałwan!... Ja jestem twoją niańką? Idjota! Może wiesz przynajmniej, jak się nazywa hotel?

— Skąd ja mam o tem wiedzieć?... Myślałem, że ty... Przecież ty po francusku...

— Czy trzeba znać język francuski, żeby zapytać się, jak się hotel nazywa? Wystarczyło spojrzeć na szyld! Przecież czytać umiesz?

— A ty dlaczegoś nie spojrzała?

— Znów to samo! Jak papuga... ja na niego, a on na mnie...

— Przecież jak przyjechaliśmy do hotelu, widziałaś chyba, dokąd przyjechaliśmy.

— A ty nie widziałaś?... Dorożka była nabita poduszkami i walizkami... byłam tak zadowolona, że nareszcie znaleźliśmy pokój... nie miałam wcale głowy do tego.

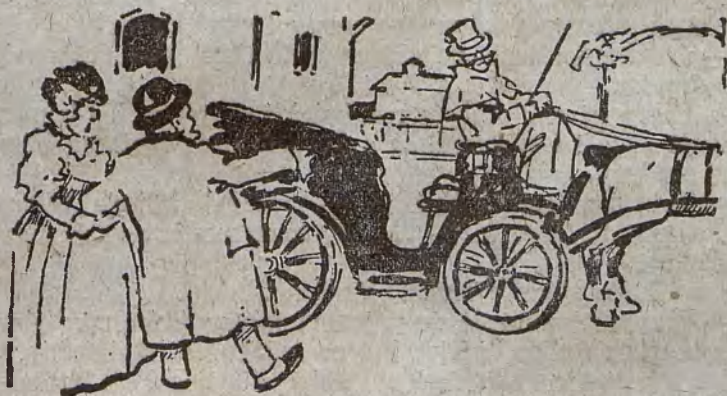
— A widzisz, a na mnie krzyczysz.

— Bo ty jesteś mężczyzna i powinienes być rozsądniejszy.

— Co my teraz zrobimy?

— Straszna sytuacja! Przecież nie możemy wziąć dorożki i kazać jechać do domu, jeżeli nie wiemy, gdzie jest nasz dom.

— Poczekaj... Pamiętam, że naprzeciwko naszego hotelu przed sklepem wisiała czerwona rękawiczka.



— Ja to też pamiętam, ale przecież nie mogę powiedzieć, żeby wioził nas do hotelu tam, gdzie wisi czerwona rękawiczka.

— A może on wie? Spróbuj! Poczekaj... jak po francusku czerwona rękawiczka?

— Gan ruż. Ale nic z tego nie wyjdzie...

— A jednak spróbuję... Koszel!... W hotelu, gdzie gan

ruż... Gran gan ruż. — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do dorożkarza.

— Nie znam takiego hotelu, monsieur! — odpowiedział po francusku dorożkarz. — Quelle rue?... Quel numero?

— Nie wie bestja! Powiedz mu, Głasza, że tam na rogu był jeszcze sklep ze statkami kuchennymi, przed którym siedziała staruszka w czerwonym czepcu.

— En ptit ru... o kuan e la butik awec de wer... (na rogu jest sklepik ze szkłem). Opere de hotel en grand gan ruż de fer... Nu zawn ublie la rin...

— W ten sposób niemożliwem jest odszukanie hotelu państwa! — uśmiechnął się dorożkarz. — Może państwo mają kartę hotelową? Jakiś rachunek może?...

— Non, non... O to idzie właśnie, że non. Nu zawn ublie demande la kart. (Zapomnieliśmy zażądać karty).

— Głasza, przypomnij sobie, przez jakie ulice jechaliśmy. Przecież czytałaś mi nazwy ulic. Tam gdzie jakiś Gaston, czy Żerom szturchnął kogoś sztyletem! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Ach tak! — ożywiła się Głafira Siemionowna. — Riu de Lafajet i riu Lafit. Kosze, se ne pa luan de riu Lafajet i riu Lafit. (To niedaleko od ulicy Lafayett i ulicy Lafit?)

— Możemy jechać! — odpowiedział po francusku dorożkarz.

— Ale fo nie jest na la riu Lafajet i riu Lafit, a chodzi nam o en petit riu...

— Proszę siadać! — zapraszał dorożkarz.

— Siadaj Mikołaj Iwanowicz... Dojedziemy do ulicy Lafajet, wysiadzemy i pójdziemy na poszukiwania. Pamiętam, że to na trzecim czy na czwartym rogu od ulicy Lafajet.

— Na drugim a nie na czwartym! Pamiętam doskonale, że na drugim.

— Co ty wiesz? Ciągłe rozglądałeś się tylko! To ja uważałam na ulice i wspomniałam o Żeromie i o węglarzu Żaku. Siadaj prędzej!

— A to przyjemna historia! — mruczał Mikołaj Iwanowicz, włączając do dorożki. — Jak my teraz w nocy znajdziemy naszą ulicę.

Dorożkarz uderzył konia. Ruszono.

— Przypomina mi się, że w jednej uliczce, którą mineliśmy idąc z hotelu na ulicę Lafajet, był na środku dół wykopany, w którym pracowało dwóch jakichś ludzi w niebieskich bluzach! — rzekła Głafira Siemionowna, przypominając sobie ranny spacer.

— A ja przypominam sobie, że w pobliżu hotelu był parkanik, taki żelazny parkanik z kulkami! — dodał Mikołaj Iwanowicz.

— Łżyj jeszcze łżyj! Parkanik z kulkami widziałam zupełnie w innem miejscu, przy kościele Nort-Dam.

— To ty łiesz! Pamiętam jeszcze, że przy tym parkaniku stał mały chłopiec i hałasował jakąś trajkotką drewnianą.

— Osieł jesteś! Czy można poznać dom po chłopcu z trajkotką? Chłopiec był w dzień, a teraz noc. Chyba nie sądzisz, że chłopiec do nocy stoi na ulicy i kręci swoją trajkotkę!?

— Ja tylko tak, Głasza... Czego ty się gniewasz? I wymyślasz mi tak? Ludzie w nieszczęściu nie wiedzą, jak trafić do domu, a ty wymyślasz...

— Należy ci się, jeszcze zamało! Jezusie! Przecież ty jesteś pijany, przecież ty już nosem klujesz! I to wszystko od tego obrzydliwego koniaku, który wydoiłeś w teatrze!

— Co takiego? Ja pijany? Ani, ani...

— Nie pijany... Całą karafkę wydoić...

— Także była karafka... Mówić wszystko można... Czy to karafka? Czy tak wygląda karafka? Krosta jakaś a nie karafka. W tej twojej karafce nie było nawet porządnej szklanki koniaku...

— Boże mój, Boże! Nawet język ci się płacze. — Z początku nie zauważyłam nawet tego. Co ja teraz będę robiła z pijakiem? Napewno nas zaprowadzą do komisariatu policyjnego.

— Uspokój się, tu niema komisariatów. Tu cywilizacja! W cywilizowanych krajach pijaków nie zabierają do policji.

— Ach ty pijanico!

— Co, ja pijanica? Pardon, madam...

— Milcz!

Wkrótce małżonkowie przyjechali na rue Lafayette. Dorożkarz zatrzymał się.

— A gdzie riu Lafit? — zapytała Głasira Siemionowna?

— To niedaleko stąd, madame.

— Trzeba teraz wysiąść i szukać na piechotę! — rzekła Głasira Siemionowna i zwracając się do męża dodała: — Wychodź! Zapłać dorożkarza.

— Poco wychodzić, niech jedzie przed siebie... — mrucał Mikołaj Iwanowicz naprawdę sennym głosem, lecz wyciągnięty przez żonę wyszedł i zaczął dawać dorożkarzowi pieniądze.

— Jezusie! Ty jesteś taki pijany, że chwiejesz się na nogach. Ululałeś się na dobre! Noc, cudze miasto, pijany mąż... Co ja z tobą teraz zrobię? — zawodziła Głasira Siemionowna.

XXXV.

W samej rzeczy wypity w teatrzyku koniak podzielał usypiająco na Mikołaja Iwanowicza. Trzeba było teraz szukać hotelu, gdzie się małżonkowie zatrzymali, lecz Mikołaj Iwanowicz nie bardzo był zdolny do tego. Zapłaciwszy z trudem dorożkarza, próbował iść po chodniku, lecz nagle zachwiał się, zboczył i wpadł na lustrzaną szybę magazynu z kapeluszami, o mało nie rozbijając jej. Mówił za to chętnie i bez przerwy.

— Sklep z kapeluszami?... Niech mnie zabiją, ale tego sklepu z kapeluszami nie pamiętam... Widocznie źle idziemy! — mruczał pod nosem.

— Co ty pamiętasz? Co ty możesz pamiętać, jak jesteś pijany jak szewc! — dogadywała Głafira Siemionowna już ze łzami w oczach i wzięwszy męża pod rękę starała się go poprowadzić.

— Łżesz! Parkanik żelazny z kulkami pamiętam doskonale. Zaraz za naszym hotelem... A gdzie parkanik z kulkami?

— Chodź, chodź pijaku! Boże, Boże! Co tu robić z pijanym mężem?

— Głasza, ja nie jestem pijany... Przysięgam ci...

— Milcz!

Ale Mikołaj Iwanowicz nie chciał być cicho. Zaczepiał po drodze przechodzących uliczników, zatrzymywał się przed otwartymi drzwiami sklepów z wystawami na stolikach przed oknami; w jednym z takich sklepików kupił czerwoną czapkę sukienną bez daszka z wydrukowaną na niej złotą wieżą Eifla i nawet włożył tę czapkę na głowę a swój kapelusz niósł w rękę.



— Czy ty zdejmiesz z głowy tę błazeńską czapkę, ośle jeden? — krzyknęła na niego Głafira Siemionowna.

— Dlaczego mam zdjąć? To na pamiątkę! Na pamiątkę o wieży Eifla. Niech wszyscy widzą, że rosyjski słowianin, Mikołaj Iwanowicz Iwanow...

— Jest pijany? To prawda! To i tak wszyscy widzą.

— Ja nie jestem pijany! Dlaczego ja mam być pijany? Niech wszyscy widzą, że rosyjski słowianin z dalekich krajów północnych był na wystawie w Paryżu i współczuje Francuzom; Wiw la Frans... Chcesz to ja tu na rogu zawołam na całe gardło: Wiw la Frans!...

— Krzycz, krzycz! Al uprzedzam cię, jeżeli będziesz krzyczał, rzucę cię i ucieknę. Żebyś wiedział, że ucieknę...

— Poczekaj, poczekaj... Chcesz, kupię ci ten czerwony gorset z koronkami, wystawiony tam w oknie?

— Nic już nie chcę! Chodź!

— Dlaczego? Gorset piersza klasa! Rosyjska słowianka w takim gorsecie! A może chcesz ćwiartkę cielęciny? Patrz, na wystawie wisi ćwiartka cielęciny. Głasza! Patrz, patrz! Ćwiartki cielęciny w Paryżu sprzedają w papierowych pantalonach z koronkami. Patrz, jakie mody! Patrz tutaj: mózg cielęcy w ozdobnem pudełku z riuszką kolorową! To się nazywa jątka mięsna! U nas nawet wystawy jubilerów nie są tak strojnie przybrane. Chcesz, kupię ten mózg? Oddamy jutro gospodyni, żeby nam usmarzyła na śniadanie.

— Przedewszystkiem trzeba znaleźć gospodynię! Gdzie ona jest ta gospodyni? Gdzie hotel?

— Poszukaj parkaniku z kuleczkami, a znajdziesz hotel!

— Przestań już z tym parkanikiem z kuleczkami.

— Patrz, wachlarz z pawich piór na wystawie! Chcesz kupię ci ten wachlarz.

— Nic dzisiaj nie chcę, chodź! Ja naprawdę nie wiem już, w którą stronę teraz iść?

— A ja wiem. Prosto! Chodźmy prosto, zaraz będzie parkanik z kuleczkami... Stójkowy! Że rius słowianin de Nord. Głasza, jak po francusku parkanik z kuleczkami? Patrz tam na rogu stoi stójkowy.

Głafira Siemionowna, chcąc uniknąć skandalu, pociągnęła Mikołaja Iwanowicza w jakiś zaułek i ze łzami prosiła go:

— Mikołaj Iwanowicz! Proszę cię, przestań już! Przecież powinienś rozumieć, jakie nieszczęście nas spotkało, zgubiliśmy swoje mieszkanie, nie wiemy, gdzie mamy nocować, a ty udajesz błazna cyrkowego!

— Ja błazna? Ja? Dziedziczny mieszczanin honorowy i kawaler orderu?...

— Poczekaj... Zdaje się, że jesteśmy na dobrej drodze.

— ożywiła się nieco Głafira Siemionowna. — W tym dole pracowało jakichś dwóch ludzi w niebieskich bluzach.

— Pamiętam! Szliśmy... Tak... Teraz jeszcze tylko musimy znaleźć parkanik z kuleczkami.

— Zamknij gębę z tym parkanikiem! Ciągłe jedno i to samo... Ależ tak, tak... To tutaj... Teraz tylko musimy skrócić zdaje się na lewo, a potem na prawo... Chodź trochę prędzej... Ledwie nogami włóczysz...

— Naprzód na lewo, Głasza, a potem na prawo! Albo wiesz co? Chodźmy nocować do innego hotelu! Przecież paszport mam w kieszeni. Jutro odszukamy swój hotel.

— Chodź już, chodź!

I Głafira Siemionowna pociągnęła męża w inną uliczkę.

— Zdaje się, że dobrze idziemy. Żeby tak teraz znaleźć ten magazyn na rogu, gdzie staruszka w czerwonym czepku wełnianym robiła pończochę! — mówiła żona.

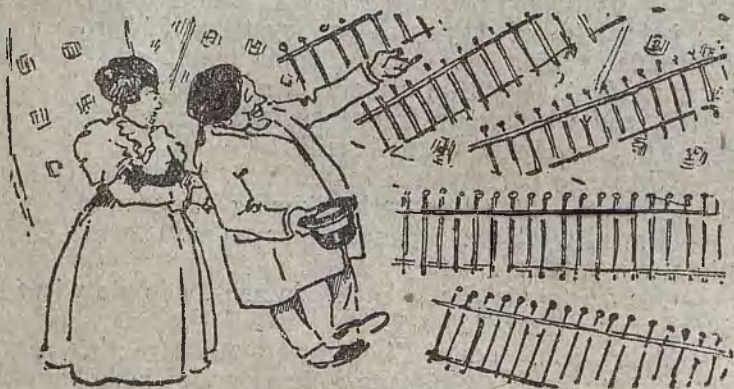
— I parkanik z kuleczkami.

— Znów to samo? Jeżeli na rogu nie będzie sklepu z naczyniami, to źle idziemy.

— Pamiętam jeszcze pieska... Taki mały piesek z zakreconym ogonem... Biegał tutaj i szczekał... Pamiętam doskonale...

— I myślisz, że ten piesek z zakreconym ogonkiem będzie tu biegał i szczekał od rana do nocy? Same głupstwa... Ot co znaczy pijaństwo! Do czego ono doprowadza człowieka?

— Pić — umrzeć, nie pić — też umrzeć! To już lepiej pić!



— Patrz, magazyn z naczyniami! — zawołała z radością Głafira Siemionowna, kiedy zbliżyli się do rogu. Teraz na lewo, na lewo...

— Zaraz powinien być parkanik z kuleczkami... Poczekaj Głasza! Chcesz, kupię ci ten wielki kielich? Zaraz każemy staruszce w czerwonym czepku, żeby nam podała w nim piwa.

— Chodź, chodź... Patrz i rękawiczka żelazna... Chwała Bogu! Znaleźliśmy! Hotel nasz musi być naprzeciwko.

Głafira Siemionowna przeżegnała się z radości.

— Poczekaj, Głasza! — mruczał Mikołaj Iwanowicz. — Przedewszystkiem trzeba poszukać parkaniku z kuleczkami.

Ale Głafira Siemionowna już nie słuchała męża i ciągnęła go w kierunku czerwonej żelaznej rękawiczki, oświetlonej latarnią. Oto już są pod rękawiczką. Ale... dziwna rzecz... Naprzeciw nie widzą żadnego szyldu z napisem: „Hotel“. Głafira Siemionowna ciągnie męża w jedną i drugą stronę, przegląda domy na drugiej stronie, nigdzie żadnego szyldu, żadnego hotelu.

— Boże! Gdzie się nasz hotel podział? Pamiętam doskonale, że naprzeciwko rękawiczki, a tu niema żadnego szyldu! — rzekła wreszcie Głafira Siemionowna.

— Parkanik z ku....

— Milcz! Musimy zapytać się rękawicznika, gdzie tu jest hotel. Może nam powie,

— Doskonale. Wiesz Głasza, co? Chodźmy do sklepu, kupię ci parę rękawiczek. Ten rękawicznik już rano mi się bardzo podobał. Wiesz, ten rękawicznik ma taką twarz, taką twarz, jak prawdziwy pijak...

Małżonkowie weszli do sklepu rękawicznika, który tak jak i rano spotkał ich, ubrany tylko w kamizelce.

— Państwo żądają rękawiczek? — zapytał po francusku.

— Wuj, wuj! Nu aszton de gan. (Kupimy rękawiczki). Lecz dit że wu pri, u e hotel isi? Nu zawon arete dan hotel e nu zawon ublie le numero. A szyldu żadnego niema. Non ekri siur la port. Nu riuss... Nu de Riussi... — mówiła Głafira Siemionowna.

— Państwo szukają chambres garnies, madame?

— Wuj, wuj... Prawdopodobnie szambr garni. Tam en wie mōsier gospodarz i en wiel madam. (Jeden stary gospodarz i jedna stara gospodyni).

— Proszę! Oto drzwi chambres garnies! — pokazał rękawicznik.

A dlaczego ne pa zekri siur la port?

— Chambres garnies nie mają szyldów! Oto drzwi!

— Tutaj, tutaj... Niema szyldu. Chodźmy! — rzekła z radością Głafira Siemionowna.

Kupiwszy rękawiczki, pociągnęła męża ze sklepu. Mikołaj Iwanowicz podał rękę rękawicznikowi i zaczął:

— Riusse franse... Biuwon le wę ruż. Wiw la Frans!...

Lecz Głafira Siemionowna siłą wypchnęła go za drzwi.

Po chwili dzwonił już do zamkniętych drzwi hoteliku. Otworzył im staruszek gospodarz.

W głębi kurytarza stała staruszka gospodyni.

XXXVI.

Wdrapawszy się na IV piętro (po parysku na „troisième“), małżonkowie postanowili napić się herbaty z kanapkami. Właściwie postanowiła napić się tylko Głafira Siemionowna, gdyż Mikołaj Iwanowicz był zupełnie pijany i zdjawszy marynarkę i kamizelkę, próbował tańczyć „taniec brzucha“, który widział w teatrze egipskim. Naturalnie, nic z tego nie wyszło: kiwał się poprostu, jak niedźwiedź na obie strony, lecz nogi stanowczo odmówiły mu posłuszeństwa.

— To nie łatwa sztuka, ten taniec brzucha, zwłaszcza przy mojej korpulencji!

— Przystaniesz nareszcie błaznować, czy nie przestaniesz? — krzyknęła Głafira Siemionowna.

— Pomimo woli przestanę, bo i tak nic z tego nie wychodzi. Widzę teraz, że tylko te mamje egipskie mogą tańczyć takie tańce.

— Błazen! Zupełny błazen! Jak tylko upijesz się, zaraz



udajesz błazna! — rzekła Głafira Siemionowna i zaczęła dzwonić na służącego.

Zadzwoniła raz, zadzwoniła drugi, trzeci, lecz nikt nie przychodził.

— Cóż to śpią już tutaj wszyscy, czy co? — rzekła. — Przecież dopiero jedenasta.

Zadzwoniła po raz czwarty. W kurytarzu rozległ się odgłos kroków i mruczenie jakieś, wreszcie pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał staruszek-gospodarz. Był w białej nocnej mycce, w pantoflach filcowych, w nocnej koszuli i bez kamizelki.

— Co to jest? Co to jest? Co państwo robią? — pytał zdziwiony po francusku.

— Nu vulon buar diu te... Aporte la maszyn diu te, de tas e la teier. E ancor le buterbrot! — zwróciła się do niego Głafira Siemionowna.

— Co takiego? Państwo chcą herbaty? Kuchnia już dawno zamknięta! Cały świat śpi o tej porze... Już jest jedenasta minut piętnaście! — mówił dalej po francusku.

— Winszuję... O jedenastej wieczorem nie można już się napić herbaty? Kuchnia zamknięta, wszyscy śpią... Ładne porządki paryskie! — spojrzała Głafira Siemionowna na męża. — A mnie się pić chce okropnie.

— Co robić, Głasza? Wypijemy chyba buteleczkę czerwonego wina z wodą? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Chciałbyś się jeszcze i w domu urząnać? I ja mam na to pozwalać? Za nic na świecie! Wolę już napić się poprostu zimnej wody z karafki.

— Co to za pijaństwo, jeżeli wino czerwone z wodą...

— Milcz! —

— Staruszek gospodarz, widząc pertaktacje małżonków i zauważywszy niezadowolenie na twarzach swych gości, wyobraził sobie, że Głafira Siemionowna prawdopodobnie jest chora i chce leczyć się herbatą, co u Francuzów jest w modzie wśród rodzin mieszczańskich... Zapytał tedy:

— Etes-vous malade, madame? Alors...

— Jakto malad? Koman malad? Zdrowa jestem, nawet bardzo zdrowa. Ale mį się chce jeść! Że we buar e manże! Czy nie można diu te, a jeśli nie można, to proszę przynieść diu pen, diu ber e de wiand frua (zimne mięso). Że demand frua. La kiuisin e ferme, więc niech pan przyniesie frua. La wiand frua... (skoro kuchnia zamknięta, niech pan przyniesie zimnego mięsa).

— To niemożliwe, madame. Obecnie nie mamy żadnego mięsa... — odpowiedział gospodarz po francusku.

— Co takiego? I de wiand frua niema? Co to za hotel pur wojażer, kiedy nawet zimnego mięsa niema? W takim razie, jeżeli niema la wiand, proszę fromaż. Fromaż i pen blan.

— Jedyńie do dziewiątej godziny, madame, a teraz już mamy po jedenastej, madame! — tłumaczył się gospodarz.

— Mówi, że tylko do dziewiątej można dostać coś do jedzenia! — znów spojrzała Głafira Siemionowna na męża. — Ładny hotel!

— Poprostu szambr garni, a nie hotel! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Poproś butelkę wina czerwonego. Czerwone wino napewno mają. Jeżeli nawet kuchnia zamknięta, to przecież wina nie trzeba smażyć, ani gotować.

— Zrozum, że ja prosiłam już o zimne mięso i o ser, i też nie mają.

— Ale czerwone wino napewno mają. Francuz nie może żyć bez czerwonego wina, muszą mieć. Mosie, wę ruż... aporte wę ruż! Czy można? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do gospodarza.

Ten wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Owszem, paniel Postaram się...

— Widzisz? A widzisz? Czerwone wino mają.

— Ale przecież to tylko do picia, a mnie się chce jeść. Zrozum, mnie się chce jeść! — rzekła Głafira Siemionowna ze złością.

— Poproś więc, żeby ci przyniósł jaką bułkę, jeżeli niema już nic innego. Czerwone wino z bułeczką, to niezła rzecz.

— Że we manże, mosie! — znów zwróciła się do gospodarza Głafira Siemionowna. — Wę ruż, bien. Ale aporte mua chociaż trochę pen blan. Że we supe (Chcę zjeść kolację).

— Co za nieszczęście, że nic nie may dla pani do jedzenia! — odpowiedział gospodarz, kręcąc przecząco głową. — Ale wino i biały chleb przyniosę zaraz. Jedną butelkę? — zapytał.

— De! De! De! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, zrozumiawszy o co pyta gospodarz i pokazał mu dwa palce, dodając: — De butel!

— Non, non!... En... Seleman en! — przerwała Głafira Siemionowna i gniewnie zwróciła się do męża: — Nie dam ci urzynać się tutaj!

Gospodarz był zdumiony.

— Jedną butelkę, czy dwie? — pytał.

— En, en! — pokazała jeden palec Głafira Siemionowna.

Gospodarz oddalił się i po dziesięciu minutach przyniósł na tacy butelkę czerwonego wina, dwie szklanki, duży kawał białego chleba, odrobinę masła i pół tuzina brzoskwiń, dodając:

— Oto, madame, wszystko, co mieliśmy w spiżarni. Bonne nuit, madame! — uklonił się i wyszedł.



Głafira Siemionowna zaczęła smarować masłem wyschnięty od rana chleb i z goryczą rzekła:

— Ładne rzeczy! W Paryżu, mieście, które słynie ze swej kuchni, skąd różni znakomici kucharze jeżdżą do nas, do Rosji, muszę jeść taką kolację... Proszę popatrzeć: czerstwy chleb, jakieś gorzkie masło, zgniłe brzoskwinie...

— Widocznie tutaj w Paryżu ludzie nie jedzą kolacji! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Przecież i u nas, w Rosji są też takie miasta. Naprzykład o mieszkańcach miasta Kaługi mówią, że też nigdy nie jadają kolacji, bo jak się najedzą na obiad, to zaraz idą spać...

— Głupie pijackie żarty! Milczałbyś lepiej!

— Czego ty się gniewasz, Głazza? Mamy czerwone wino, mamy chleb... Chwała Bogu!

— To tobie, pijaku, wystarcza czerwone wino! Ja chcę herbaty! Wobec takich porządków paryskich jutro trzeba będzie kupić lampkę spirytusową, spirytus i imbryk blaszany. Zagotuję sobie wodę, zaparzę herbatę i już. Trzeba też nie zapomnieć jutro kupić bułek i przekąsek na noc.

— Jak ty będziesz kupowała przekąski, kiedy nie wiesz, jak po francusku... Pamiętasz, w restauracji pytałem ci się, jak po francusku przekąski? Pamiętasz?

— Zobaczę w słowniku.

Głafira Siemionowna najadła się chleba z masłem, brzoskwiń, popiła czerwonym winem z wodą i poszła spać. Mikołaj Iwanowicz dopił resztkę wina z butelki i też położył się do łóżka.

XXXVII.

Noc w hotelu spędzili małżonkowie nasi bez żadnych przygód. Rano nastąpił mały incydent z herbatą. Przede wszystkim w hotelu nie było samowara, pomimo, iż o istnieniu takiej „maszyny“ (maszyn de te rius — jak ją nazywała Głafira Siemionowna po francusku) słyszano. A jednak małżonkowie chcieli koniecznie herbaty. Wobec tego zażądali imbryk. Numerowy, który i dzisiaj zjawił się, tak jak i wczoraj, w podartej marynarce, w przydeptanych pantoflach i w kwadratowym berecie z papieru, przyniósł zamiast imbryka kawiarkę blaszaną. Głafira Siemionowna zwymyślała go po rosyjsku od durniów, zasypała do pustej kawiarki swojej herbaty i poprosiła, aby teraznalano na to wrzającą wodę, nazywając wrzającą wodę: „lo chod“. Służący nalał do kawiarki wody zaledwie letniej, skutkiem czego herbata była zaledwie żółtawego koloru i nie można jej było pić. Nawet listki herbaciane nie rozwinęły się w niej. Tym razem służący oprócz durnia, otrzymał od Głafiry Siemionowny także nazwę bałwana. W oczach jego Głafira Siemionowna wylała herbatę z kawiarki do kubła i wsypawszy nowej herbaty, zajrzała do słownika i rzekła do służącego: — A presan il fo buljir, kuir... zaparzyć. Lo bulji... Czy pan nie kompresé pa?

— Bouillir? Ach, oui, madame! — odpowiedział służący i głupio uśmiechnięty oddalił się do kuchni, skąd po pół godziny wrócił z gotowaną herbatą.

Herbatę czuć było starą motłą, była gorzka, czarna jak szuwaks i nie można jej było pić.

— Ach, Etjopy, Etjopy! Gdzie ta wasza wyższa cywilizacja? U nas nawet w najbardziej zapadłej dziurze na wsi umieją zaparzać herbatę, a tu w stołecznym mieście nie umieją! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zwracając się do żony dodał: — Co robić? Będziemy musieli ich głupiej kawy z mlekiem najeść się łyżkami stołowemi z menażek obiadowych. Zamawiaj, Głasza, kawę!

— Kafe o le... Aporte pur de kafe o le! — rozkazała Głafira Siemionowna, wylewając przy służącym do kubła i drugą porcję herbaty i zwracając mu kawiarkę.

Służący uśmiechnął się, pokiwał głową, mruknął coś po francusku i znikł.

Zjawiła się kawa, mleko, chleb biały, masło i menażki z obiadowemi łyżkami.

— Koniecznie muszę kupić maszynkę spirytusową i imbryk do gotowania wody i zaparzania herbaty. Co za dziki kraj? Nawet herbaty zaparzyć nie umieją. To naleją wody ledwie letniej, to ugotują zupe jakąś! — gniewała się Głafira Siemionowna i napiwszy się kawy, zaczęła ubierać się, ażeby jechać z mężem na wystawę.

Tym razem nie ubrała się już, jak wczoraj w jedwabną suknię, ani w płaszcz aksamitny, nie wzięła ze sobą brylantów.

— Nie warto! Niema dla kogo stroić się! Wczoraj na wystawie, sądząc po strojach, musiały być tylko kucharki i pokojówki — mówiła Głafira Siemionowna. — A nawet nie pokojówki... Nasza pokojówka, Afimja, kiedy wychodzi w święto na spacer, ubiera się daleko lepiej...

Ubrała się w zwykły kostjum popielaty wełniany, w płaszcz podróżny, włożyła ten sam kapelusz, w którym jechała w wagonie i wyszła z mężem na ulicę. Tym razem małżonkowie byli już doświadczeni i zażądali od gospodarza kartkę z adresem drukowanym.

— Teraz już nie będziemy błądzić po nocy po ulicach, szukając swego hotelu! — mruczała Głafira Siemionowna zadowolona z siebie. — Gdybyśmy nawet gdzie zabłądzili na jakiej ulicy, zawołamy dorożkarza, pokażemy mu kartę: „Kosze... wuala gdzie... ale... ruszaj!“ I dorożkarz pojedzie. A ciebie proszę, mężu, żebyś nie upijał się dzisiaj, bo wczoraj miałem dosyć twego pijaństwa!

— Wierz mi, Glasza, że i wczoraj nie zaszkodziłoby mi te troszkę koniaku, gdybym był coś zjadł! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — To wszystko z głodu! Pomyśl, cośmy za obiad zjedli! Zupa — uderz łyżką, nawet bańka nie wyskoczy. Porcje ryby — trzeba patrzeć przez szkło zapalające, a befszytk — na raz do gęby. Gdybym tak zjadł porządny talerz kapuśniaku, kawałek wieprzowiny z chrzanem, albo prosiaka z kaszą, nawetbym okiem nie mrugnął.

— No, no... A jednak w teatrze wypileś całą karafkę koniaku. Od tego nawet po porządnym obiedzie można się urząć.

— Musimy jednak dzisiaj zjeść obiad w jakiejś innej restauracji, a nie tam, gdzie wczoraj. Zapłaćmy nawet po osiem franków od nosa bez wina, nawet po dziesięć, ale żeby się najieść chociaż. Dowiemy się, gdzie jest najlepsza restauracja, wejdziemy i zaraz zapytamy się garsona: „kombien kosztuje manże po same uszy?“ Jak po francusku: „po same uszy“.

— Po same uszy? — zamyśliła się Głafira Siemionowna i odpowiedziała: — Nie wiem... Ty zawsze pytasz się o takie słowa, których nas nie uczono. Zresztą można to inaczej powiedzieć, żeby nas zrozumiano... „Gran dine“... Oto chcemy jeść „żiuskisi“ (potąd) i pokażę palcem na gardło. Niby, że chcę się najieść po samo gardło.

— Paniętaj, wytłumacz dobrze garsonowi, jak przyjdziemy do restauracji. „Gran dine“... Doskonale! A jeżeli znów będzie nie dine, a na porcje, to będziemy odrazu żądać wszystkiego po dwie porcje, i zamówimy wiele dań, bo te porcje tu takie maleńkie.

Po pięciu minutach małżonkowie nasi najęli dorożkarza i pojechali na wystawę.

— Jak przyjedziemy na miejsce — rzekł Mikołaj Iwanowicz — natychmiast na wieżę Eiffla!

— Nikola!... Ja... naprawdę... boję się... — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Czy nie widzisz, jaki dzisiaj wiatr na dworze?

— Obawiasz się, że nas zdmuchnie? Kochanie, przy naszej korpulencji? Pozatem przecież na wieży są barjerki.

— A jednak, Nikola, możeby lepiej innym razem... Pozwól mi troszeczkę przyzwyczaić się do wystawy. Dzisiaj pochodźmy sobie tak troszkę koło wieży, a jutro...

— Nie, nie... Dziś! Przecież dałaś mi słowo.

— Słowo dałam, ale nie na dziś.

— Dziś, dziś. Bo na złość w pierwszej restauracji najem się żab.

— No już dobrze, dobrze. Ale na pierwszy dzień wejdźmy tylko na pierwsze piętro, nie na samą górę. Pozwól mi troszkę przyzwyczaić się. Dzisiaj wejdziemy na pierwsze piętro, jutro na drugie...

— Co ty się targujesz? Wleziesz na pierwsze piętro, zobaczysz, że niema żadnego niebezpieczeństwa, sama poprosisz, żeby iść wyżej. Przecież miliony narodu wchodziły już na wieżę i nikogo ani wiatr nie zdmuchnął, ani wogóle nic nikomu się nie przydarzyło. Jak po francusku wieża? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach Boże! O wieży zapomniałam zobaczyć w słowniku! — zawołała Głafira Siemionowna. — Dziś rano przepisałam ze słownika dużo słów francuskich na kawałku papieru, ale o wieży nie przyszło mi na myśl...

— Widzisz, jaka ty jesteś! Przecież wieża jest najważniejszym przedmiotem na całej wystawie.

Rozmawiając w ten sposób, małżonkowie dojechali do wystawy, kupili od chłopców bilety, zapłacili dorożkarza i weszli na wystawę.

— No, błogosław Panie Boże! Zaraz zaczniemy drapać się ponad gwiazdy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, wziął żonę pod rękę i skierował się wprost ku wieży Eiffla.

— Wiesz, Nikola, przez cały czas, jak będziemy jechać na górę, będę się ciebie trzymała pod rękę. Jeżeli naprawdę ma się coś zdarzyć, to już lepiej niech razem...

— Dobrze, dobrze! Trzymaj się, ile chcesz!

— Och, jak ja się boję! Już teraz ręce i nogi trzęsą mi się.

— Zmów pacierz, Głaska.

Małżonkowie podeszli do wejścia na wieżę.

XXXVIII.

Przed kasą, gdzie sprzedawano bilety wejścia i bilety do wind na wieżę Eiffila — ogonek. Trzeba było czekać.

— Widzisz, jak tu ludzie żyją! Gdzie się ruszysz, wszędzie czekaj kolejki. Ogonki i ogonki... cały Paryż w ogonkach! — narzekał Mikołaj Iwanowicz. — Wchodzisz na wystawę — ogonek, na wieżę — ogonek, wczoraj nawet na obiad musieliśmy stać w ogonku.

— Przed wieżą taki ogonek jest nawet naprawdę potrzebny! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Zawsze jest czas do namysłu. Stoisz w ogonku, możesz rozmyślić się! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Wiesz co, Mikołaj Iwanowicz, chodźmy stąd lepiej... Co nam z tej wieży przekłętej przyjdzie? Niech zapadnie się pod ziemię!

— Co ty mówisz? Co ty mówisz? Za nic na świecie! Przeciskaj się, przeciskaj się!

Bilety kupione. Publiczność spieszy się do windy. Przed windą znów ogonek.

— A niech was! Tu w Paryżu prawdopodobnie, chcąc umrzeć, też trzeba stać w ogonku! — splunął Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna trzymała się męża z tyłu za palto i szeptała:

— Kochany Kola, bardzo się boję! Już teraz czuję, jak pod nogami się coś kołysze.



— Jakto? Jeszcze nie wlasz na wieżę i już ci się kołysze? Co ty wygadujesz. Przeciskaj się, przeciskaj się!...

Windy nie było. Właśnie zjeżdżała z góry. Wtem zaskrzypiały bloki, rozległ się hałas kół toczących się po szynach i olbrzymia kareta zaczęła podjeżdżać.

— Patrz, prosto na nas. Aż dech zapiera. A potem, jak zamkną do tego kurnika i zaczną podnosić do góry, jeszcze gorzej będzie! — mruczała Głafira Siemionowna, trzymając się wciąż za palto mężowskie.

— Zmruż oczy, to ci nie będzie tak strasznie!

Trzy razy podnosiła się i opuszczała winda, zanim przyszła kolej na nasze małżeństwo. Wreszcie i oni zajęli miejsca na drewnianych ławkach, drzwiczki karety zasunęły się. Głafira Siemionowna przeżegnała się i zlekka przymrużyła oczy. Rozległ się gwizdek i kareta, głucho stukając kołami o szyny, zaczęła podnosić się do góry. Głafira Siemionowna pomimo woli pisnęła i uczepiła się rękawa męża. Bała się rzeczywiście okropnie, była blada i w oczach miała łzy. Mikołaj Iwanowicz uspakajał ją i mówił:

— Jakaś ty głupia! Co ty robisz! Po co to wszystko? Przecież ja jestem z tobą... Jeżeli nawet spadniemy i zabijemy się, to razem...

Siedzący obok Głafiry Siemionowny długonogi „Anglik” w płaszczu w kratkę, niezmiernie wysokim kapeluszu i jakichś łyżwach z żółtej skóry zamiast obuwia, zaczął szperać zaraz w przewieszanej przez ramię obok wielkiej lornetki torebce, wyjął stamtąd flakon z amoniakiem i mruczac coś po angielsku, podsuwał Głafirze Siemionownie pod nos. Ta odskoczyła od Anglika.



— Wąchaj, wąchaj!... Czego się boisz? Widzisz przecież, że daje ci coś do wąchania! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony. — I powiedz: miersi panu!

— Nie trzeba, nie trzeba! Nie potrzebuję niczego! Sam jesteś przyczyną mego przestachu, a teraz chcesz mnie leczyć.

— Mówię ci powąchaj! To dobrze ci zrobi! Powąchaj, bo niegrzecznie...

— Nie będę wąchała! Skąd ja wiem, czy to nie jakie krople usypiające?

— Co takiego? Także coś! No, to ja muszę powąchać, bo naprawdę niegrzecznie... Bite, mosje! — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do Anglika, wziął w rękę flakonik, powąchał i ze słowami: miersi panu, zwrócił.

Anglik mruknął coś w odpowiedzi po angielsku i też powachał flakonik. Mikołaj Iwanowicz nie rozumiał z tego, co powiedział Anglik, lecz również uważał za stosowne odpowiedzieć:

— Damska pleć!... Rozumie pan, że baby zawsze się boją. Taka już nacja babska i kwita!

Anglik wskazał na barometr, wiszący na ścianie karety i znów coś powiedział po angielsku. Mikołaj Iwanowicz nie został dłużny:

— Tak, tak... Dosyć ciepło... Zresztą ciepło to idzie także z wnętrza, gdyż, rozumię pan, zawsze jakieś wzruszenie... Na kolei wjeżdżasz do tunelu i też ci duch zaprze, a tu, rozumię pan, na taką wysokość...

W ten sam sposób, nie rozumiejąc jeden drugiego ani słowa, zamienili jeszcze kilka zdań, dopóki kareta nie zatrzymała się i konduktor nie otworzył drzwi.

— Doskonale!... Widzisz, przyjechaliśmy!... Jesteśmy na pierwszym piętrze! Czego się bać? — starał się dodać odwagi żonie Mikołaj Iwanowicz, wyprowadzając ją z karety.

— Boże, Boże! Żeby tylko szczęśliwie zejść z powrotem na ziemię! Wszyscy święci pańscy, miejcie nas w opiece, ratujcie... — szeptała Głafira Siemionowna. — Przecież to jednak grzech włączyć na taką wysokość. Przecież za wieżę babilońską ludzie zostali pokarani? Też! — ta wieża...

— Wieża babilońska była dwa razy większa.

— Widziałeś ją? Powiedz, widziałeś ją?

— Nie widziałem, lecz przecież napisane jest, że chcieli do samego nieba...

— Jak nie widziałeś, to milcz!

— Zamilknę, ale uspokój się. Proszę cię, Głásza. Patrz: nikt się nie boi. Tyle kobiet i ani jedna się nie boi. Patrz, pop katolicki chodzi i nawet okiem nie mrugnie. Boże! To przecież całe miasto! Patrz, restauracja, patrz, tam też restauracja...

— Restauracje to ty zawsze zauważysz. Czego innego nie umiesz, ale na restauracje to jesteś majster!

— Przecież nie mogę sobie wykluczyć oczu, kochanie. Patrz, ile narodu! Nawet do barjery nie dostaniemy się, żeby popatrzeć na dół. No i czy wiatr może zdmuchnąć taką masę ludzi. Takich wiatrów niema. Przeciskaj się, przeciskaj za mną! — ciągnął Mikołaj Iwanowicz żonę za rękę, lecz ta nagle zbłądła jeszcze więcej i zatrzymała się.

— Chwieje się!... Czuję, że się chwieje! --- szepnęła.

— Przestań, Głásza... To ci się tylko tak zdaje. No, ruszaj nóżkami, ruszaj! Czegoś przysiadła, jak kura na jajach? Wszyscy weseli, nikt się nie boi, a ty...

— Ci mają widocznie inną duszę, a ja inną...

Małżonkowie z trudnością dostali się do barjery.

— Fu, jak wysoko! A to dopiero pierwsze piętro — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Ludzie, patrz, ludzie, jak robaczki tam na dole... A domy patrz, domy!... Zupełnie, jak z kart. Boże! A jak daleko widać. Sekwana, jak wstążka, a stateczki, jak zabawki. Patrz, tam dalej jeszcze jedna rzeczka. Wiesz co, Glasza, ja myślę, że gdyby popatrzeć w dobra lunetę, to stąd i naszą Nową zobaczylibyśmy...

Głafira Siemionowna milczała.

— Jak myślisz? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz i spojrzawszy na żonę dodał: — Czego stoisz, jak sowa? Przecież żyjesz, jesteś zdrowa, nic ci nie brakuje? Napewno przez lunetę zobaczylibyśmy stąd Nową, a z samej góry nawet i naszą ulicę w Moskwie. Gdzie ten Anglik, co z nami siedział? Możnaby na chwilkę pożyczyć od niego lornetki. Miał dużą lornetkę na brzuchu. Chodźmy! Poszukamy Anglika... Ruszaj nóżkami śmieiej, Glasza, ruszaj... Przecież nie na gorącej blasze stoisz? Patrz, znów restauracja! Patrz przez okno: jakieś Tyrolki usługują w zielonych sukniach. Patrz, co one mają na głowie? Rogi jakieś, czy coś!... Popatrz, Glasza!

— Po co mam patrzeć? To ciebie Tyrolki z rogami interesują, a dla mnie to wszystko — pfuj! — odpowiedziała Głafira Siemionowna z rozdrażnieniem.

— Ja tylko dlatego, że restauracja bardzo ciekawa! — pokazywał Mikołaj Iwanowicz na piwiarnię alzacko - lotaryńską.

— Nie zagaduj, nie zagaduj! Wiem, o co ci chodzi...

— Jakto o co?... To samo przez się... Wdrapaliśmy się na taką wysokość, to nie można nie popić. Pocośmy tedy wleźli tutaj? Pocośmy płacili pieniądze za windę? Czem się pochwalimy w Moskwie, gdybyśmy na takiej wysokości nie wypili czegoś? A tak będziemy mogli mówić: piliśmy pod samymi gwiazdami!... Ach, doskonale... Patrz, tam pocztówki z wieżą Eiffila piszą. Widocznie tu jest poczta... Trzebaby nam też kupić tych pocztówek... Widzisz, tam sprzedają... Przeciskaj się, przeciskaj się! Zaraz kupimy. Możesz i do mamy swojej napisać stąd karteczkę: niby że... kochana mamusi bon žur z wieży Eiffila i że vu pri błogosławieństwu mamusi, a mon mari szle mamusi ukłony.

Małżonkowie przecisnęli się do stolika, za którym starsza kobieta w czarnej sukni sprzedawała pocztówki z podobizną wieży Eiffila.

— Katr... Katr sztuk... Albo nawet nie katr, a sek! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, rzucając na stół monetę pięciofrankową.

— Je vous en prie, monsieur! — odpowiedziała sprzedająca i dała karty i resztę Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Grzeczny naród! Podoba mi się to! Ciągłe „że vu pri“, ciągle „mosje!“ — zachwycił się Mikołaj Iwanowicz.

Teraz, Głasza, idziemy do restauracji, gdzie są te Tyrolki z rogami. Trzeba przecież gdzieś napisać pocztówki, a przy tej sposobności obejrzymy i owe Tyrolki...

— Idź, idź! Twoje szczęście, że nogi mi drżą z przestachu i z przyjemnością chcę usiąść, bo za nic nie poszłabym z tobą do takiej restauracji! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Małżonkowie skierowali się ku piwiarni alzacko-lotaryńskiej.

XXXIX.

Piwiarnia alzacko-lotaryńska, zaślawiona mnóstwem małych stoliczków, była przepelniona publicznością. Przy stolikach pito piwo i pisano pocztówki do znajomych. Pomiedzy stolikami kręciły się kelnerki w wełnianych, zielonych sukienkach i w białych bluzkach z szerokimi, bufiastemi rękawami, w gorsetach. Przybranie głów kelnerek składało się z szerokich wstążek, tworzących kokardę, której końce wyglądały, jak rogi. Kelnerki roznosiły piwo i kałamarze z piórami do pisania pocztówek, lecz dla większości gości nie starczyło kałamarzy i trzeba było pisać ołówkiem. Przy jednym ze stolików zauważył Mikołaj Iwanowicz Anglika, który ofiarował Głafirze Siemionownie amoniak w windzie. Przed Anglikiem leżała cała paczka pocztówek, mogąca mieć około sta sztuk. Anglik siedział przed pocztówką, zamyślił się, prawdopodobnie nad tem, co napisać i końcem pióra skrobał się po głowie. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna usiedli przy stoliku obok.

— De bier! — zamówił Mikołaj Iwanowicz! — De! — dodał, pokazując kelnerce dwa palce i uśmiechając się rzekł: — Ach, ty rogatko, rogatko! Przyznaj się, ilu nadziałas dzisiaj na te swoje rogi? Głasza! Przetłumacz po francusku!

— Zwarjowałeś chyba? — oburzyła się Głafira Siemionowna. — Będzie przy mnie flirtował z jakąś obscurną dziewczyną, a ja mam mu jeszcze tłumaczyć.

— Dlaczego zaraz: obscurna dziewczyna? Przecież to kelnerka! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Dosyć! Alle, madame i aporte de bier!

— Deux boks? — zapytała kelnerka.

— Bier, bier i więcej nic nie potrzeba! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, myśląc, że słowo „boks“ oznacza jakąś potrawę, czy napój. Jakiś bok nam proponuje! — zwróciła uwagę mężowi.

— A może „bok“ znaczy — kałamarz?

— Kałamarz — ankrier! To wiem dobrze. Każdy, kto uczył się na pensji, wie, jak kałamarz po francusku!

— Zapytaj się w takim razie o kałamarz. Przecież będziemy pisali kartki. Hej, kelnerka, pani garsonka! — krzyknął za kelnerką Mikołaj Iwanowicz, lecz ta nie usłyszała.



Po minucie wróciła z dwoma kufłami piwa, które postawiła na stole.

— Lankrier... aporter lankrier! — zwróciła się do niej Głafira Siemionowna.

— W tej chwili nie mamy żadnego wolnego kałamarza, madame! — odpowiedziała kelnerka po francusku. — Może pani wystarczy ołówek? — zaproponowała i wyjęła z kieszeni ołówek.

— Ale, czy aby można ołówkiem pisać karty? — powątpiewał Mikołaj Iwanowicz.

— Niech pan pisze, niech pan pisze! — odpowiedziała służąca, zrozumiałwszy wątpliwości Mikołaja Iwanowicza i dodała: — Tout le monde écrit avec le crayon (wszyscy piszą ołówkiem).

— Pisz ołówkiem! Wszyscy piszą! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Widzisz, ja dlatego, że chciałem także napisać do ekscelencji Aleksieja Piotrowicza, który jest prezesem w ochronce, gdzie ja jestem członkiem zarządu. Może się jeszcze obrazić?

— Sam mówisz, że piszesz karty z pod gwiazd, więc co się ma obrażać? Chwała Bogu, że tu na tej obrzydliwej wieży ołówek można dostać. Pisz, pisz!

Mikołaj Iwanowicz wziął w rękę ołówek i zaczął pisać:

„Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie! Znajdując się na szczycie wieży Eiffla, z głębokiem uczuciem wspomniałem o panu i składam do stóp Waszej Ekscelencji mój niski ukłon, jako prawdziwy słowianin prawdziwemu słowianinowi i piję za pańskie zdrowie w tyrolskiej restauracji“.

Napisawszy pierwszą kartę, przeczytał ją żonie i zapytał:

— Dobrze?

— Po coś wyjechał tu z tem słowiaństwem? — zapytała Głafira Siemionowna.

— On to lubi. Niech ma! No, teraz napiszemy do Mi-

chała Teodorowicza Trynki... Zobaczysz, żona jego wścieknie się ze złości, jak przeczyta tę kartkę. Pamiętasz, jak wszystkich znajomych uprzedziła, że jedzie zagranicę a mąż, zdaje się, ma zamiar czmychnąć przed wierzycielami...

Druga kartka została napisana. Brzmiała ona:

„Szanowny panie Michale Teodorowiczu! Wzniósłszy się na sam szczyt wieży Eiffla z żoną i znajdując się pod samymi gwiazdami, gdzie nawet ptaki nie dolatują, ja i żona ślemy panu ukłony z tej nieogarnionej wysokości, oraz małżonce pańskiej, Oldze Tarasownie. Tam, gdzie siedzimy, snują się chmury i zaczepiają o wieżę. Całą Europę widać jak na dłoni, widzieliśmy nawet przez lornetkę Amerykę. Strasznie trochę, ale bardzo cudownie. Z początku baliliśmy się, lecz teraz przeszło i pijemy piwo. Ukłony sąsiadom-kupcom. Na zdrowie!”

Druga kartka też została przeczytana żonie.

— Co za chmury włożą tutaj na wieżę? Czego ty łziesz? — zapytała Głafira Siemionowna zdziwiona.

— A niech ma! Co za różnica? Główna rzecz, żeby Olga Tarasowna zazdrościła. Zresztą, zdaje mi się, że przed chwilą była tu jakaś chmura...

— Nic takiego nie widziałam. A poza tem o tej Ameryce...

— Przestań, Głaz! Do kogo teraz napisać?... Chyba do Skalkina? — rzekł Mikołaj Iwanowicz i zaczął pisać. Napisał:

„Z dalekich francuskich krajów, wśród szalejącej burzy na wieży Eiffla posyłam ci, Iwanie Łukianowiczu, swój ukłon. Z ledwością weszliśmy. Wiatr tak kiwał wieżę, że aż strach. Jeżeli na okręcie było wam strach, kiedy huśtał was wiatr w czasie waszej wyprawy na morzu Czarnem, to tutaj wszystko jest sto razy straszniejsze. Żona moja nawet zemdląła, lecz uratował ją przy pomocy amoniaku jakiś Anglik, a ja jakby nigdy nic... Wieża Eiffla jest dziesięć razy wyższa od wieży magistratu petersburskiego, a na wierzchu powiewa sztandar. My siedzimy pod samym sztandarem i pijemy wino szampańskie, które tu kosztuje taniej, niż u nas rzepa parzona.“

— Czego ty ciągle łziesz? — zauważyła Głafira Siemionowna, kiedy mąż przeczytał jej i tę kartkę.

— Duszko, a skąd on może dowiedzieć się, że ja łżę? Niech ma!... Tak lepiej... Będą więcej zazdrościć. Przecież Skalkin też chwalił się, że pojedzie na wystawę do Paryża, a nie pojechał! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Do kogoby tu jeszcze napisać?

— Daj spokój z tem pisanem. Daj mnie lepiej jedną kartkę, napiszę do mamy! — rzekła Głafira Siemionowna, wzięła jedną pocztówkę i zaczęła pisać, czytając głośno to, co napisała:

„Kochana Mamusiu! Dzień dobry! Wczoraj szczęśliwie zajechaliśmy do Paryża, a dzisiaj w powietrznej karecie wjechaliśmy na wieżę Eiffla“...

— A widzisz, sama też łziesz? — zwrócił uwagę żonie Mikołaj Iwanowicz. — Nawet rodzoną matkę okłamujesz. Skąd wzięłaś tę powietrzną karete?

— A ta klatka, w której tu jechaliśmy? Przecież po powietrzu...

— Właśnie, że łziesz!... Wcale nie po powietrzu, ale po szynach.

— Ale w górę, w powietrze, a nie na gładkiem miejscu...

— Pisz już, pisz... Pan Bóg z tobą!

— Jeżeli chcesz, mogę skreślić słowo „powietrznej“...

— Nie skreślaj. Dodaj tylko, że ptaki pędziły za nami.

— Nie będę pisać o tem, czego nie było!

— W takim razie, jak napiszę do Tierentiewych, że na wielkiej wysokości napadł na ciebie olbrzymi orzeł i o mało nie zerwał ci kapelusza, lecz ja zabiłem go parasolem.



— Nie, nie... Mama się przestraszy. Mama i tak płakała, kiedyśmy wyjeżdżali i obawiała się o mnie. Trzeba ją uspokoić.

„Ściskam cię z wysokości wieży Eiffa i całuję rączki mamusi i proszę błogosławieństwa rodzicielskiego. Pogoda wspaniała i tutaj na wieży nie jest zupełnie strasznie. Mikołaj Iwanowicz też cię całuje“. Oto wszystko...

— Koniecznie napiszę do Tierentiewych, że orzeł chciał zerwać z ciebie kapelusz, lecz zabiłem go parasolem! — upierał się przy swoim Mikołaj Iwanowicz i dopiwszy piwo, krzyknął na kelnerkę, pokazując na pusty kufel.

— Mamzel garson! Ankor!

XI.

Wyszedszy z piwiarni małżonkowie rzucili napisane pocztówki do skrzynki pocztowej, znajdującej się obok i Mikołaj Iwanowicz rzekł do żony:

— No, teraz na drugie piętro. Odwagi, Glasza! Oto i kasa biletowa!

Przed kasą znów ogonek. Nareszcie dostano się do karetki windy. Tym razem karetką była mniejsza. Głafira Siemionowna nie bała się już bardzo. Gwizdek i winda ruszyła. Znów gwizdek i karetką zatrzymała się. Małżonkowie wyszli z niej. Głafira Siemionowna spojrzała na prawo i na lewo — przed oczami jedynie żelazne barjery wieży, wymalowane na rudo czerwony kolor, a za nimi... powietrze, tylko powietrze... Głafira Siemionowna znów przestraszyła się. Rozstawiła nogi i zatrzymując się, schwyciła kurczowo męża za rękaw.

— Mikołaj Iwanowicz, boję się. Naprawdę czuję, jak wieża się chwieje! — szepnęła.

— Ależ nie, nie... To tylko taki zawrót w głowie. Chodźmy do barjery i popatrzmy na dół.

— Nie, nie... Za nic na świecie! Barjera może się złamać i możemy zlecieć... I na co tu patrzeć?... Weszliśmy i dosyć, zjeżdżajmy na dół...

— Jakto na dół? Przecież jeszcze dwa piętra.

— Za żadne skarby, za żadne miliony wyżej nie pojedę.

— Glasza, jakże to można? Wleźć na drugie piętro i nagle...

— I tak za dużo... Przecież na drugim piętrze — to samo, co i na trzecim i na czwartym, tylko troszkę wyżej... I tutaj naokoło niebo i nic więcej i tam niebo i nic więcej...

— Ale może tam chmury...

— Przecież widziałeś już chmury na pierwszym piętrze i nawet pisałeś o nich znajomym, więc czego chcesz jeszcze?... Już na pierwszym piętrze chmury rozdierały się o wieżę.

— To ja tak tylko... Jak można nie wejść na samą górę? A jeżeli kto zapyta?...

— Możesz powiedzieć, że byłeś na samej górze. Przecież w liście do Skalkina pisałeś, że siedzimy na samym szczycie pod sztandarem i pijemy szampana. No, obejrzyj tu na drugim piętrze, co chcesz obejrzeć i zjeżdżajmy na dół.

Podeszli do stolika, gdzie sprzedawano medale z wizerunkiem wieży.

— Kupmy chociaż kilka medali. Zawsze to będzie coś w rodzaju paszportów z wieży Eiffla, dowód, żeśmy byli na wieży! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i kupił dwa medale.

Przy drugim stoliku kupili także dwa maleńkie modele wieży Eiffla. Zatrzymali się przy teleskopie, przy którym Francuz w kepi zapraszał publiczność do patrzenia na niebo, wykrzykując nazwy planet i gwiazd, które można było widzieć. Zapłaciwszy pół franka, Mikołaj Iwanowicz popatrzał przez teleskop i zawołał:

— Glasza! Tutaj wśród białego dnia można gwiazdy widzieć! Widzisz, jak wysoko jesteśmy! Ach, trzeba będzie koniecznie o tem napisać komuś do Moskwy.

Spojrzała przez teleskop i Głafira Siemionowna i mruknęła:

— Jesť się czem zachwycać? Gwiazdy, jak gwiazdy.



— Ale przecieź w dzień, zrozum-żesz, w dzień!

— Szkła są takie specjalne i już.

— Wyobrażam sobie, że na czwartem piętrze przez taką lunetę możnaby napewno zobaczyć Moskwę, a może i naszą kamienicę? Her mosie, nastaw na Moskwę! Glasza, powiedz mu, żeby na Moskwę nastawił swoją lunetkę!

— Wuar Mosku on pe? (Czy można widzieć Moskwę?)

— zapytała Francuza Głafira Siemionowna. Ten pokiwał głową i odpowiedział po francusku: — Och, nie, madame, to inna rzecz!

— Nie można! Mówi, że nie można!

— Łże! De frank, mosje! Nastaw! — pokazał Mikołaj Iwanowicz dwa franki Francuzowi.

Francuz nie przyjął pieniędzy.

— No, to trua frank. Nie chcesz i trua frank? A to kanajja!

— Chodźmy na dół! — rzekła Głafira Siemionowna. — Zjedźmy na dół i poszukajmy jakiejś restauracji, żeby zjeść śniadanie. Jestem bardzo głodna. Piliśmy piwo, a nic nie jedli.

— Czy naprawdę, Glasza, nie wejdziemy na szczył?

— Za żadne skarby!

Krok za krokiem doszli małżonkowie do windy, która z drugiego piętra zjeżdżała wprost na dół. Stanęli w ogonku, oczekując swojej kolei. Mikołaj Iwanowicz zobaczył tutaj znów stolik z pocztówkami, natychmiast kupił jeszcze jedną pocztówkę i zaraz napisał do Moskwy najbardziej blagierski ze swych listów do jednego ze swych znajomych, Tierentjewa. Pisał on:

„Siedząc na szczycie wieży Eiffla, pijemy na pańskie zdrowie. Naokół nas latają orły i dzikie sępy i starają się nas rozedrzeć na strzępy. Wicher szaleje i kiwa wieżą w jedną i drugą stronę. W tej chwili jeden z orłów rzucił się na kapelusz Głafiry Siemionowny i chciał zerwać go jej z głowy, lecz zabiłem go parasolem. Jesteśmy na tak strasznej wysokości, że nawet w dzień widzimy gwiazdy na niebie, chociaż słońce świeci. Każda najmniejsza gwiazdeczka ma tutaj przeszło trzy łokcie szerokości, a księżyc jest większy od naszych



hiał targowych i widać na nim ludzi i różne zwierzęta. Zaraz zjeżdżamy na dół, bo już nie możemy dłużej tu wytrzymać. Do widzenia.“

Listu tego nie przeczytał Mikołaj Iwanowicz żonie i od razu wrzucił do skrzynki.

Po kwadransie małżonkowie siedzieli już w windzie i po szynach pochyłych zjeżdżali na dół.

— Zjeżdżać z góry wcale się nie boję! — rzekła Głafira Siemionowna. — Zupełnie, jak na saneczkach.

— Ach, Głasza, Głasza! Jakto głupio z naszej strony, żeśmy nie byli na szczycie!

— To nic! W domu i tak będziesz wszystkim opowiadał, żeśmy siedzieli pod samym sztandarem! — odpowiedziała małżonka.

XLI.

Śniadanie tym razem udało się naszym małżonkom, gdyż natknęli się na wystawie na restaurację, gdzie na kryształowych szybach napisane było złotymi literami „Dejeuner 4 frc.“

Głafira Siemionowna przeczytała napis i natychmiast zawiadomiła męża:

— Patrz śniadanie za cztery franki.

— Cztery franki po trzydzieści ośm kopiejek... to według kursu wynosi... rubel pięćdziesiąt dwie kopiejki... — obliczał Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Chodźmy!

Wstąpili. Podano im: rzodkiewkę z masłem, rybę w białym sosie, cielecą główkę ze śliwkami, zielony groszek, pularde z sałatą zieloną, winogrona, gruszki, ser i kawę. Do tego dodano dwie maleńkie karamfeczki wina czerwonego. Nad rybą Głafira Siemionowna zamyśliła się nieco: jeść, czy nie jeść. „A jeżeli zamiast ryby podadzą żabę?“ — przeszło jej przez myśl. Odgarnęła starannie sos widelcem, rozpaproszyła rybę na kawałeczki i dopiero po skrupulatnem zbadaniu i niezalezieniu żadnych „nózek“, zaczęła jeść. W ten sam sposób zbadana została porządnie główka cielecy.

— Ja wiem, że to główka cielecy, ponieważ w karcie napisano „Tet de wo“, ale przecież mogą zamiast główki podać, Bóg wie co. — wyjaśniała mężowi.

— Naturalnie! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Mielśmy raz galowy obiad w Moskwie. W restauracji francuskiej przyjmowaliśmy braci słowian. Podano supę. Patrzę, w supie pływa coś w rodzaju główki cielecy. — Zjadłem. Dość smaczne, choć bardzo pieprzne. Koło mnie siedział Iwan Iwanowicz Anczewskij. W jedzeniu prawdziwy z niego „przemysłowiec“. Dla samego jedzenia jeździł po Europie, żeby pożerać różne różności. Jadł krokodyle marynowane, nie tylko żaby, supę z jaj węzowych wsuwał...

— Przestań, przestań! — rzekła Głafira Siemionowna i skrzywiła się.



— Przecież chyba od samych słów nic ci się nie zrobi. Tedy ów Iwan Iwanowicz, ujrzawszy, jak zjadłem ten kawałek główki cielecej, zwraca się do mnie i mówi: „Jak tam panu żółw smakował? Prawda, doskonale?“ Otworzyłem usta... zaczęła mi ślina postępować do gardła... w głowie uczułem zamęt, ale nic. Jakoś się wstrzymałem. Trzeba było jednak pokazać swoją cywilizację. „Niczego sobie, mówię, apetyczne!“ Ładne apetyczne... z ledwością wysiedziałem na miejscu...

— W takim razie lepiej nie jeść główki cielecej! — odpowiedziała Głafira Siemionowna i odsunęła talerz od siebie.

Mikołaj Iwanowicz jadł i mówił:

— Główka, naprawdę główka cieleca! Patrz, nawet kawałek ucha mam tutaj.

— Przecież ucho ma i żółw.

— Nie ma! Żółw nie ma uszu. Na rynku u nas, w szynku jest akwarjum szklane do ryb z górką z kamieni pośrodku i na tych kamieniach siedzi żółw żywy, widziałem. Zupełnie bez uszu — odpowiedział żonie Mikołaj Iwanowicz i dodał: Ten Iwan Iwanowicz Anczewskij, to dziwny człowiek. Był kiedyś marynarzem, jeździł naokoło świata... Czego ten człowiek nie jadł! Wątrobę foczą, mózg wielorybi, nogę słoniową...

— Mówię ci przestań! Nic nie będę mogła jeść!

Groszek i pularde z sałatą zjadła Głafira Siemionowna bez żadnych badań. Po skończeniu śniadania Mikołaj Iwanowicz, płacąc kelnerowi, rzekł:

— Drogośmy zapłacili, ale przynajmniej najadłem się do syta, po moskiewsku... I za to dzięki.

Wyszli z restauracji i ujrzeni fragarzy w szarych nankinowych bluzach i niebieskich kepi z czerwonym kantem, toczących przed sobą fotele na kołach.

— A może chcesz Glasza pojeździć sobie na Francuzie? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żony, kiwając na jednego z „fotelarzy“.

— W samej rzeczy byłoby nieźle, gdyż zmęczona jestem bardzo, ale wstydzę się! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Jak to wygląda, żeby człowiek człowieka poganiał, jak konia:

— Po pierwsze jesteś dama, a nie człowiek, a po drugie wszyscy tak jeżdżą... Co innego mężczyzna... Ej, lom! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz na „fotelarza“. — Albo, jak tam cię, garson! Nie, nie garson. Jak fotelarz, Glasza, po francusku?

— Czy ja mogę znać wszystkie słowa francuskie, ja jaka Francuzka? Kiwnij na niego, to stanie!

— Ej, ej! Ty koniu na dwóch nogach! Szewalie! — machał parasolem Mikołaj Iwanowicz.

Fotelarz skierował się ku niemu z krzesłem.

— Widzisz, na „szewal“ odezwał się. Widocznie ich tu koniami nazywają? — uśmiechnął się Mikołaj Iwanowicz i wskazując na Głafirę Siemionownę, dodał:

— Pour la dam. Kombian?

— Oh, Monsieur, j'ai sais que madame sera aimable! (Wiem, że pani będzie uprzejma) — odpowiedział fotelarz.

— Ile? Głasza! Ile powiedział?

— Nic nie powiedział.

— Nie można bez targu. Pojem Bóg wie, ile zedrze. No, panie fotelarzu, panie koniu, pani chce pojeździć za jeden frank? Zgoda? En frank? — pokazywał Mikołaj Iwanowicz jeden palec.

— Oui, oui, monsieur... J'ai comprends... Prenez place, madame s'il vous plait. (Rozumiem, proszę łaskawie zając miejsce).

Głafira Siemionowna siadła na fotelu. Fotelarz stanął z tyłu i zapytał, dokąd jechać.

— Dokąd mamy jechać? — zapytała się męża.

— A ja skąd wiem? Gdzie oczy poniosą, niech tam jedzie.

— Prosto, prosto! Tu drua! — zakomenderowała Głafira Siemionowna.



Fotelarz popychał krzesło. Mikołaj Iwanowicz siedł obok i rozmawiał z żoną:

— Przyjedziemy do Moskwy, przynajmniej będziesz mogła się pochwalić: jeździłam na Francuzie. Tym Francuzem będziesz mogła doskonale utrząchną swoją ciotkę, Paraskowję. Pamiętasz, opowiadała ci przecież, że jak jechała do Jerozolimy, do grobu Pańskiego, to jeździła na osłach i na kozłach i na wielbłądach... A ty teraz, jak wrócisz, powiesz

jej żartobliwie: ciocia jeździła i na kozłach i na osłach i na wielbłądach, a ja w Paryżu na Francuzie jeździłam...

— Ale gdzie mamy jechać? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Zapytaj tego fotelarza, co tu jest ciekawego do oglądania.

Głafira Siemionowna pomyślała, ułożyła sobie w głowie zdanie francuskie i zapytała:

— Ekute... Kieskilia isi remarkabl? Montre nu, że wu pri. (Proszę posłuchać... czy tu jest coś nadzwyczajnego? Proszę nam pokazać).

— Oh, oui madame! Les sauvages est-ce que vous avez viu? (Widzieli państwo dzikich ludzi?).

— Co on proponuje, Głasza?

— Dzikich ludzi.

— Dzikich, doskonale! Niech wiezie do dzikich.

— Nu nawon pa wiu le soważ... Ale... Se bien de soważ?

— Oui, Madame, vous verrez quellque chose d'admirable... Ils mangent, il dansent, il chantent, ils travaillent! (Zobaczycie państwo coś cudownego... Jedzą, tańczą, śpiewają, pracują)

— mówił fotelarz i skierował krzesło ku brzegowi Sekwany.

XLII.

Nie dojeżdżając do brzegu, fotelarz nagle krzyknął nad uchem Głafiry Siemionowny.

— L'isba russe! Madame, est-ce que vous avez vu l'isba russe?

— Boże! Naprawdę izba rosyjska! — zawołała Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanowicz, widzisz izbę rosyjską? Trzeba wstąpić!

— Wiadomo... Tutaj napewno i nasi rodacy są. Mosle, na prawo, do izby.

— A drouat, a drouat! — komenderowała Głafira Siemionowna.



Fotelarz położył krzesło ku małemu drewnianemu domkowi z ażurowymi wycinankami, przedstawiającemu coś w rodzaju izby rosyjskiej. Przed domkiem na słupku sterczał domek dla szpaków. Głafira Siemionowna szybko zeskoczyła z fotela i skierowała się do drzwi. Skierował się za nią i Mikołaj Iwanowicz. Naprzeciw drzwi stała lada, a za nią dwie dziewczyny w sukniach, przypominających sarafany, z zaplecionymi warkoczami, z koralami na szyjach. Dziewczyny sprzedawały zabawki, toczone z drzewa, wyobrażające koników, niedźwiedzi, chłopów rosyjskich. Za ladą na pulce widać było tułski samowar, skrzyneczki rzeźbione, obite miedzią i kilka czerwonych koszyczków lubianych, nad półką powieszono ręczniki z wyszytymi czerwona bawełną kogutami na końcach, w kącie wisiał obraz z lampką.

— Nareszcie i nasi prawosławni! Porozmawiamy sobie chociaż po rosyjsku po tym długim poście! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, podchodząc do jednej z dziewczyn w sarafanie. — Dzień dobry rodaczko! Z Moskwy, czy z Pitra? — pytał.

Dziewczyna popatrzała na niego zdziwiona, kiwnęła przecząco głową i rzekła.

— Je ne comprends pas, monsieur...

— Co takiego? Rosyjska dziewczica i po rosyjsku nie mówi?

Dziewczyna patrzyła i uśmiechała się.

— Naprawdę pani nie umie mówić po rosyjsku, czy tylko udaje? Udaje, naturalnie, że udaje! — pytał dalej Mikołaj Iwanowicz.

— Przebrana Francuzka i kwifa. Nawet z jej fizjomordy widzę, że to Francuzka! — rzekła Głafira Siemionowna.

— A niech ich zaraza... Wybudowali izbę rosyjską, a nie mogli rosyjskich dziewcząt sprowadzić. Czy naprawdę, mamsel, nie umie pani ani jednego słowa po rosyjsku?

— Pa ziun sel mo la rius? — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Samowar... Kabak... Tchaaj... Wodka... Lublie salowatca...

— Dosyć, dosyć! — zamachał rękoma Mikołaj Iwanowicz.

— Achetez quelque chose, monsieur! Vous aurez le souvenir d'Izba Russe... (Proszę coś kupić panie! Będzie pan miał pamiątkę po izbie rosyjskiej). — proponowała dziewczyna.

— Idź do diabła! Nawet rozmawiać z tobą nie chcę!

Mikołaj Iwanowicz podszedł do drugiej dziewczyny w sarafanie.

— Też franse? Albo może, co gorzej jeszcze, Niemka? — pytał.

— Nous ne sommes des russes. Nous sommes de Paris!...

— Ażeby was!...

— Voilà le russe... Voilà qui parle russe. (Oto kto mówi

po rosyjsku). — wskazała na warształ łokarski, przy którym siedział młody parobek w czerwonej koszuli wełnianej i lakierowanych czarnych butach i coś majstrował.

Młodzieniec uśmiechał się zachęcająco, więc Mikołaj Iwanowicz podszedł doń.



— Rodak? Rosjanin?

— Tak jest, panie! — odpowiedział ten po rosyjsku. — Z pod Moskwy.

— Ręka! Głasza! Rosjanin... Rodak. Podaj mu rękę... Jeszcześmy w Paryżu nie słyszeli rosyjskiego języka... A wymyślać umiesz po rosyjsku?

— Ojej, jeszcze jak! — uśmiechnął się znowu młodzieniec.

— Mikołaj Iwanowicz... — powściągała męża Głafira Siemionowna.

— Co Mikołaj Iwanowicz? Przecież nie każę mu wymyślać, a tylko pytam go, czy umie, bo mówiąc otwarcie, po tych dziewczicach rosyjskich, to i jemu trochę nie dowierzam.

— Rosjanin, Rosjanin, panie!

— Dlaczego rosyjskich bab, albo dziewczyn nie macie tu ze sobą??

— Tylko kłopot z nimi. Była tu w rosyjskim oddziale jedna i też uciekła.

— Gdzie? Z kim?

— Też z jakimś Rosjaninem. Mówią, że jakiś kupiec z Moskwy. Pojechali do jakichś gór tyrolskich, czy coś takiego. Pojechał się tam podobno leczyć na wątrobę, a ona z nim. To jeszcze było na początku lata.

— Podoba ci się Paryż?

— Jedzenie kiepskie, panie. Kapuśniaku niema, a zupy, istna woda, znudziły mi się... I wódeczki niema.

— Tak, tak, bracie. Z tą wódką kiepsko. Sam się już stęskniłem. Wę ruż pijesz, co?

— Potrochu... Czasami koniak... Tylko, że to już inna muzyka.

— Chodźmy na koniaczka!

— Nie, nie! — zaprotestowała Głafira Siemionowna. — Teraz nie czas na picie! Teraz pójdziemy patrzeć na dzikich ludzi! Przecież jedziemy do dzikich ludzi.

— Ależ Głasza, jak można z rodakiem nie wypić kieliszeczka? Widzisz prawdziwy Rosjanin.

— Innym razem wypijesz. Przecież jeszcze jutro z Paryża nie wyjeżdżamy. Chodźmy.

— Chcieliśmy tylko po jednym kieliszeczku...

— Nie, nie!... Zeszłym razem już dosyć miałam z tobą przyjemności, pijaczyno!

— Eeech! — chrząknął Mikołaj Iwanowicz. — Prawdę powiedziałaś, rodaku, że z babami tylko zawsze kłopot. No, dowidzenia. Spotkamy się jeszcze.

— Życzę powodzenia, wielmożny panie!

Mikołaj Iwanowicz podał rękę parobczakowi i swarząc się z żoną, wyszedł z izby.

Fotelarz wioził dalej Głafirę Siemionownę.

— Uwaga, madame et monsieur! — rzekł nagle po francusku. — Pokażę państwu coś takiego, czego nie ujrzycie nigdzie... Ślizgająca się kolej!... Coś zadziwiającego... Zaraz państwo zobaczą.

Mówiąc to, zatrzymał się przy jakichś szynach.

— Co on mruczy, Głasza? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi o jakiejś niezwyklej kolei.

— Bez lokomotywy, madame! — dodał fotelarz.

— Mówi, że bez lokomotywy.

Jednocześnie rozległ się gwizdek i wzdłuż toru zaczął zbliżać się pociąg, składający się z kilku małych otwartych wagonów, w samej rzeczy bez lokomotywy i kół. Z pod wagonów tryskały strugi wody.

— Skąd ta woda? — dziwił się Mikołaj Iwanowicz. — Jezusie i wagony bez kół! Naprawdę bez kół! Jeżdżą w jakichś żelazkach do prasowania... A to dziwy!

— Czego krzyczysz!... — zatrzymała go Głafira Siemionowna. — Pociąg jak pociąg! Nie rozumiem, czego się tu dziwić?

— Jakto nie rozumiesz? Ostatni wynalazek. Wiesz dla kogo taki pociąg wynaleziono? Napewno dla pijaków! Wiesz, że pociąg idzie, jak na płozach, bez kół. Możesz włączyć do niego zupełnie po pijanemu i nie wpadniesz pod koła. Znakomite zabezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków... Napewno dla pijaków... Zapytaj fotelarza, czy to dla pijaków?

— Także coś... Będzie go pytała o różne głupstwa! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A jak po francusku „pijak“? Sam go się zapytam.

— Alle, mosie fotelarz... Alle... Se asse... Alle pour le soważ...

— Nie wiesz, jak po francusku pijak, dlatego nie chcesz się zapytać. Na pensji uczyłaś się, a nie wiesz jak „pijak“ po francusku! Ładne wykształcenie! — drażnił żonę Mikołaj Iwanowicz.

Fotelarz wiózł dalej Głafirę Siemionownę.

XLIII.

Zapachło czemś — według wyrażenia Heinego — nie mającem nic wspólnego z wodą kolońską. Fotelarz podwiózł krzesło na kołach z Głafirą Siemionowną do glinianych domków z płaskimi dachami, w których zamieszkiwały ludy z północnej Afryki, nazywane przez fotelarza „dzikimi“ (sauvages). Mikołaj Iwanowicz siedł obok fotela Głafiry Siemionowny. Widać było małe parkany, przylegające do domków



i tworzące coś w rodzaju podwórz. Mijali ich wysmukli mężczyźni z plemion arabskich, ubrani w brudne białe łachmany, bosi, z gołymi do kolan nogami, w turbanach często obnażeni do pasa, czarnobrodzi, czarnoocy, z białymi szerokimi zębami. Niektórzy z nich handlowali smażonymi owocami pod płóciennymi płachtami, przymocowanymi do parkanów. Owoce były nawleczone na słomkę. Były to winogrona, migdały, orzechy. Oprócz tego sprzedawano jakieś kolorowe materjały. Słychać było krzyki w kiepskim francuskim narzeczu: „de konfitiur, madame! A bon marsze!“ Wykrzykując nazwy towarów, kłócili się jednocześnie pomiędzy sobą swem gardlanem narzeczem, szczerząc zęby i wymachując pięściami; dla zwrócenia uwagi kupujących głośno uderzali się dłonią po biodrach, gwizdali, a nawet naśladowali pianie kogutów.

— Les sauvages! — oznajmił fotelarz.

— Dzicy ludzie! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, schodząc z fotela. — Trzeba zobaczyć! Chodźmy! Zapłać fotelarza i chodźmy!

Mikołaj Iwanowicz zapłacił fotelarza, poczem małżonkowie skierowali się ku domkom. W pobliżu domków panował brud, wilgoć, miejscami uformowały się małe sadzawki z pomij, wszędzie widać było ogryzki, skorupy orzechów, skóre z owoców afrykańskich, kości.

— To nie prawdziwi dzicy! To coś z gatunku półbiałego! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Prawdziwy dziki człowiek musi być czarny.

Małeńki chłopiec arabski, gołonogi i tylko od głowy do rozdwojenia korpusu pokryty podartym, kiedyś białym, lachmanem, natychmiast schwycił Głafirę Siemionownę za płaszcz i zaczął coś mówić w gardlanem narzeczu, ciągnąc ją ku jednemu z domków.

— Dix centimes, madame! Dix centimes!... — można było zrozumieć po francusku.

Mikołaj Iwanowicz krzyknął mu „won“ i nawet podniósł parasol, lecz chłopiec nie puszczał płaszcza Głafiry Siemionowny, szczyrzył zęby i lypał czarnemi jak węgiel oczkami.

— Gdzie ty mnie ciagniesz? — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna.

— Dziesięć centymów i pani zobaczy nasz dom! — powtórzył chłopiec po francusku.

— Chce nam pokazać swój dom. Czy to nie niebezpieczne?

— Myślę, że nie. W razie czego, widzisz, policjant stoi.

Kierując się za chłopcem, weszli w zaułek jeszcze brudniejszy i wkrótce podeszli do niziutkich drzwi, zawieszonych brudnym podartym dywanem. Chłopiec nagle zatrzymał się przy drzwiach i zagroził je.

— Dziesięć centymów! — rzekł surowym tonem, wyciągając rękę.

— Daj mu, Mikołaj Iwanowicz, miedziaka. Prosi o dziesięć centymów. Masz przecież miedziaki w kieszeni...

— Masz, niech ci djable wezmą, mały djable.

Mikołaj Iwanowicz dał chłopcu miedzianą monetkę dziesięciocentymową. Chłopiec uchylił dywan i przepuścił Głafirę Siemionownę, lecz przed Mikołajem Iwanowiczem znów zagroził wejście.

— Dziesięć centymów, monsieur! — zaczął znów, wyciągając rękę.

— Przecież dałem ci już, djable jeden.

— Dziesięć centymów dla madame, dziesięć centymów dla monsieur...

— Mikołaj Iwanowicz, gdzie ty jesteś? Boję się tu sama! — słychać było głos Głafiry Siemionowny z domku.

— Zaraz, zaraz!... Puść mnie nareszcie, la ko djabelska!

— odepchnął chłopca i siłą wtargnął do domku.

Chłopiec zacząć piszczeć i zawisnął na rece Mikołaja Iwanowicza, krzycząc:

— Dix centimes, dix centimes!..

— A to bezczelna bestja... Poczekaj, daj mi popatrzyć, potem dam ci, może nawet więcej...

— Dix centimes, dix centimes!... — nie przestawał krzy-
czeć chłopiec i nagle wpił się zębami w rękę Mikołaja Iwa-
nowicza.

— Co takiego? Gryźć? Ach ty djabie przeklęty! Masz,
udław się!

Otrzymawszy drugą monetę, chłopiec momentalnie uspo-
koił się, podrzucił ją na rękę i razem z poprzednią monetą,
wrzucił do woreczka, zrobionego z kawałka pasiatej pończo-
chy, wiszącego przy wejściu. Woreczek był już do połowy
nabity miedziankami.

— Jak ci się to podoba? Gryzie mnie, łobuz przeklęty..

— rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony.

— Z dzikimi trzeba postępować ostrożnie. Przecież to
dzicy... — odpowiedziała żona. — Ale po co on nas tu przy-
prowadził? Co tu jest do widzenia?



W samej rzeczy w domku nie było na co patrzeć. Na ma-
cie w rogu siedziała brudna, chuda, stara kobieta w białym
zawoju na głowie, z gołymi nogami, z gołą obwisniętą piersią
i karmiła zupełnie nagie dziecko. Nieco dalej przed warszta-
tem tkackim siedziała z podwinętymi nogami, młoda dziew-
czynka w koralach na szyi i tkła dywanik. W kącie prze-
ciwległym chrapał, leżąc na macie twarzą ku podłodze Arab,
lecz widać było tylko gołe jego nogi z niemożliwie brudnymi
piętami. W domku panował półmrok, gdyż małe brudne
okienko słabo oświeślało jego wnętrze; powietrze było stę-
chłe, czuć było pieluchy dziecinnie i przypalony tłuszcz.

— Tfu! Obrzydliwość! Chodźmy ztąd! — rzekł Mikołaj
Iwanowicz i wyprowadził żonę z domku.

Chłopiec znów zaczął kręcić się przy nich.

— Dix centimes, monsieur... Dix centimes! Pokażę pań-
stwu coś! — krzyczał, wyciągając rękę.

— Co takiego? I za wyjście trzeba płacić? Oho, braciszku, z tego nic nie wyjdzie! — oburzył się Mikołaj Iwanowicz. — Stójkowy! Gdzie stójkowy?

— On jeszcze chce nam coś pokazać. Daj mu miedziaka. Przecież to biedak... żebrak... — rzekła Głafira Siemionowna i wzięwszy od męża miedzianą monetę, dała chłopcu.



Ten, otrzymawszy pieniądze, w okamgnieniu zrzucił z siebie lachmanki i całkiem nagi zaczął wywracać kozły na brudnej ziemi. Głafira Siemionowna splunęła i zaczęła ciągnąć męża z zaułka.

XLIV.

Małżonkowie szli dalej. Coraz częściej mijali Arabów w białych ubraniach. Niektórzy z nich zresztą mieli kolorowe płaszcze. Od czasu do czasu napotymano długie koszule niebieskie, podobne do kobiecych. Z górnych wycięć owych koszul wyglądały smukłe, czarnobrode oblicza w białych turbanach; w dole sterczały z nich brudne stopy gołych nóg; niektórzy z Arabów siedzieli w pobliżu domków z podwiniętymi nogami i poważnie palili fajki na długich cybuchach; kilku z nich stało w pobliżu osiodłanych osłów i krzyczało coś w niezrozumiałym języku, błyskając czarnymi jak węgiel oczami i wskazując na — ty, uderzało w siodła; w ten sposób widocznie zapraszali publiczność do wsiadania. Jeden schwytał nagle Głafirę Siemionownę za rękę i zaczął ciągnąć do swojego osła.

— Aj! aj! Mikołaj Iwanowicz! Co on robi! — pisała Głafira Siemionowna, wydzierając się szczerzącemu wesoło zęby Arabowi w zielonej koszuli.

Mikołaj Iwanowicz zamierzył się na niego parasolem.

— Ja ci pokażę, czarna mordo, co to znaczy chwytać kogo za ręce! — oburzał się. — Gdzie policjant? Mosie po-jant! Isi... Wene isi! — zaczął kiwać palcem na stojącego daleko policjanta a kiedy ten zbliżył się, zaczął mu się skarżyć: — O to ten lotr... Głasza, jak lotr po francusku?



— Ależ nie potrzeba, nie potrzeba... Chcesz skandal urządzić? Przestań!

— Jak to przestań?... Trzeba go nauczyć. Powinno bydle posiedzieć za to.

— Daj spokój. Chodźmy. Patrz, publiczność się zaczyna gromadzić.

— Niech się gromadzi! Ja nie daruję. Set łotr ble... Co za nieszczęście, ani jednego przekleństwa nie umiem po francusku! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, lecz pomimo to w dalszym ciągu wyjaśniał policjantowi: — Set koszon chwyte ma fam ze mę za to miejsce... wuala... set... — pokazał na pierś. — Prene go na policję, prene... se świętucha jakiegoś...

— Mikołaj Iwanowicz, ja odchodzę. Przestań!

— Poczekaj! Se ma fam a on chwyte, czy to można? Policjant zbliżył się do Głafiry Siemionowny.

— Co on zrobił pani? — zapytał po francusku.

— Rien! (Nic.) — odpowiedziała Głafira Siemionowna i poszła przed siebie.

Mikołaj Iwanowicz z konieczności musiał pójść za nią.

— Dziwię się bardzo... — mruczał. — Umieć po francusku i nie poskarżyć się na tego drania... Zadowolona jesteś pewno, że złapał cię za rękę i tylko przez kokieterję krzyknęłaś.

— No więc co? Jestem zadowolona... Nie chcę robić skandalu i zwracać na siebie uwagi. Wyrwałam mu się, więc chwala Bogu!

Mikołaj Iwanowicz pomału uspokoił się, lecz gdy z żoną mijali Arabów trzymał parasol na pogotowiu. Domki z gliny stawały się coraz rzadsze, widać już było piętrowe domy z płaskimi dachami, wkrótce ukazała się jakaś wieża... Rozpoczęła się ulica Kairska, wybudowana na wystawie. Spotkali znów jakiegoś Araba z osłem, drugiego, trzeciego... Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna ustępowali im z drogi,

Nagle ujrzeni Anglika w płaszczu w kratki z kilkoma pelerynami i w czapce z daszkiem z przodu i z tyłu, jadącego na osle. Przed osłem biegł Arab w koszuli i prowadził go za uzdę. Za Anglikiem ukazała się również na osle Angielka w niebieskiej sukni i w kapeluszu z zielonym wualem gazowym.

— Te Arabcy z osłami, to coś w rodzaju dorożkarzy. Osły służą do jazdy! — domyśliła się Głafira Siemionowna. — Czego mogliśmy się spodziewać po dorożkarzu? I u nas dorożkarze chwytają ludzi za rękę.

— A niech cię!... Naprawdę dorożkarze. A ja myślałem, że to jakaś kawalerja arabska, w rodzaju naszych ułanów, czy huzarów. Patrz Glasza, wiele osób jeździ na osłach, nawet panie. Patrz, tam jakaś tłusta paniusia z wielkim brzuchem jedzie. Patrz, patrz... Widzisz wielbłąda? Będzie można i na wielbłądzie pojeździć.

— Naturalnie! Przed chwilą krzyczałeś na Araba z osłem a teraz już chcesz na wielbłądzie jeździć.

— Wcale nie, tylko tak sobie... A zresztą, gdybyś zdecydowała się siąść na osła, to jabym z tobą też pojechał.

— Także coś...

— Dlaczego nie? Przecież ludzie jeżdżą. Byliśmy na wystawie, więc trzeba wszystkiego spróbować. Przed chwilą zaprzęgaś do swego wózka Francuza, dlaczego nie masz wsiąść na osła.

— Nie mów głupstw.

— Co za głupstwa? Na wielbłądzie nie proponuję ci, na wielbłądzie musi być niebezpiecznie, bo duży, ale osiel... nieduże zwierzę.

Na lewo na piętrowym domu z płaskim dachem widać było szyld, głoszący po francusku: „Cafe-Restaurant“. Na dachu widać było mężczyzn i damy siedzących przy stolikach i pijących coś. Przy stolikach snuli się Arabi w białych turbalach, białych szarawarach i czerwonych kurtkach.

— Patrz, Glasza, na dach wleźli! Na dachu siedzą! — wskazał Głafirze Siemionownie Mikołaj Iwanowicz. — Widocznie arabska restauracja. Chodźmy napić się kafei.



— Wiem o co ci chodzi? Znów z koniakiem? Rozumiem.

— Ależ nie... W arabskiej restauracji, myślę, nawet nie mają koniaku, przecież Arabowie są mahometanie i alkohol jest dla nich zakazany.

— Naszym Tatarom też nie wolno pić, a w Petersburgu w tatarskiej restauracji trzymają wódkę. W tej tatarskiej restauracji zawsze największe pijatyki się odbywają.

— Tylko kawy, Głasza! Kawa musi być tutaj doskonała, arabska, mokka... Jak to można, być u Arabów i nie spróbować ich kawy! Chodźmy... I muzyka gra.

Przez półotwarte drzwi dochodziły jakieś dźwięki flelu i bębna.

— Obiecujesz pić tylko kawę? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Kawę, kawę... Conajwyżej trochę czerwonego wina z wodą. W mahometańskiej restauracji muszę trzymać się po mahometańsku! — obiecywał Mikołaj Iwanowicz.

— Spróbujemy... Chodźmy!

Małżonkowie weszli do kawiarni.

XLV.

Kawiarnia, do której wstąpili nasi podróżnicy, była jednocześnie kabaretem. W głębi pokoju widać było maleńką estradę z dekoracją, wyobrażającą kilka palm daktylowych na pustyni. Pod dekoracją siedział z podwiniętymi nogami Arab w białej koszuli i dudlił na długim fleciku coś monotonnego. Obok niego siedział inny i akompaniował mu na bębnie, uderzając weń to palcem, to pięścią, to łokciem. Wkrótce z za kulis „wypłynęła“ tancerka, cała zadrapowana w białe szerokie szaty. Widać było tylko wierzchnią część twarzy z czarnymi oczami i stopy gołych nóg. Cały taniec jej polegał na tem, że stapała drobnutko na jednym miejscu, przeginając się powoli figurą na jeden bok lub na drugi, od czasu do czasu wyginała się mocno do tyłu, wywracając oczami tak, że chwilami widać było tylko białka.

— Patrz jak ją wzięło! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, siadając z żoną przy jednym ze stolików naprzeciw estrady.

Zbliżył się czarnobrody Arab w białym turbanie, w białej koszuli bez paska i w białych szarawarach, zawiązanych pod gołymi kolanami, w pantoflach na chudych, pokrytych włosiem nogach i postawił tackę z dwiema szklankami wody i dwoma talerzykami z jakąś konfiturą.

— Dziękuję, braciszku, miersi! Słodkiego nie używam! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Dlaczego? Chciało ci się pić, możesz się napić! Woda z konfiturami doskonale robi na pragnienie! — odezwała się Głafira Siemionowna. — Done, done!... — zwróciła się sama do Araba, wzięła z tacki szklanki, łyżeczki i talerzyki z konfiturami. Masz, pij? —

— Wiesz, Głasza, być na wystawie paryskiej i doić zimną wodę z konfiturami? Oj, oj, oj! Nie warto było po to tu jechać!

Mikołaj Iwanowicz pokiwał smutnie głową.

— A czego chcesz? Przecież sam powiedziałeś, że nie będziesz pił żadnego alkoholu.

— Może tak czegoś arabskiego?

— Wiem, o co ci chodzi. Arabskiego? Koniaku arabskiego pewno?

— Dlaczego zaraz koniaku. Napewno mają jakieś arabskie wino. Kelner, czy macie wę arab?

— Arab patrzył na niego zdziwionemi oczami i nie rozumiał pytania, wreszcie zaczął mówić coś jakimś niezrozumiałem narzeczem, wtrącając od czasu do czasu słowa francuskie.

— Nie rozumiesz! Ech! — westchnął Mikołaj Iwanowicz. — Głasza, wytłumacz mu!

— Z jakiej racji będę mu tłumaczyć o winie, jeśli dałeś mi słowo, że w mahometańskiej restauracji będziesz zachowywał się po mahometańsku. Mahometanie przecież nie piją wina. Pij wodę z konfiturami.

Mikołaj Iwanowicz liźnął konfitur i wypił łyk wody. Arab zniknął na minutę i znów zjawił się z dwoma talerzykami, na których leżały owoce ocukrzzone.

— Co on tu ciągle jakieś słodyczne przynosi? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Daj chociaż kawy, mosie kelner! Kawy, rozumiesz!

— Uj, uj... Kafe apre! — pokiwał głową Arab.

Głafira Siemionowna wzięła i talerzyki z owocami.

— Zapytałabyś się przynajmniej, poczemu to wszystko. Napewno obedrą później. — zauważył mąż i zadał Arabowi pytanie: — Kombien?

— En frank.

Arab pokazał jeden palec, znikł i zjawił się po raz trzeci, niosąc na talerzykach po świeżej gruszcze.

— Poco to? Nie żądaliśmy gruszek. Dawaj kafe! Kafe nuar. Niese gruszki won, niese z powrotem i przyniese kafe! — machał rękoma Mikołaj Iwanowicz.

— Tu... tu. Pur tu en frank. (Za wszystko jeden frank.) Starał się wyjaśnić Arab, pokazując na szklanki, na talerzyki z konfiturami, owoce ocukrzzone i gruszki.

— Za wszystko jeden frank! Jedz! — rzekła do męża Głafira Siemionowna.

— Będę takie świństwa pożerał! To babskie jedzenie.

Mikołaj Iwanowicz odwrócił się.

Arab zjawił się po raz czwarty i tym razem przyniósł na tacy dwie filiżanki czarnej kawy.

— Nareszcie! — Mikołaj Iwanowicz spróbował kawy.

lecz natychmiast rzekł: — Przecież on przyniósł nam jakichś fusów od kawy. Kpi sobie, czy co? Patrz, same fusy.

— Widocznie tak po arabsku! — zauważyła Głafira Siemionowna. — Pij!

— Nie mogę pić takiego świństwa. Kto pije fusy? W arabskiej restauracji i żeby fusy dawali! Kelner? Garson! Arab! Jak cię tam? Chodź tutaj! Wene isi!

Arab tym razem przyniósł nargile do palenia, postawił z ukłonem u nóg Mikołaja Iwanowicza i wsunął mu w rękę rurkę, zakończoną bursztynem.



— A niech was! Fajkę mi przyniósł... Przyniósł tureckie nargile i zmusza mnie do palenia...

— Pal, pal! Przecież papierosy palisz?

Mikołaj Iwanowicz zaciągnął się, puścił dym i rzekł:

— Zupełnie teraz wyglądam, jak ten Turek, którego malują u nas na szyldach sklepów z papierosami. Trzeba tylko jeszcze nogi podwinąć pod siedzenie.

— Patrz, tam na kanapie pod ścianą siedzi jakiś jegomość w czerwonym fezie z podwiniętymi nogami. Widzisz, ubrany jak i ty, tylko fez ma czerwony. Siadaj na kanapę z założonymi nogami!

— Ach Głasza, Głasza, ciągle wymyślasz... Mosie Arab! Mosie Arab! Macie koniak? Wu zawę koniak? — zapytał nagle Mikołaj Iwanowicz.

— Co takiego? Nie dam ci pić koniaku! — podwyższyła głos Głafira Siemionowna.

— Tylko kieliszek, maleńki kieliszeczek! Koniak wu zawę?

— Koniak? Uj, uj... — zakiwał głową Arab.

— Tak a porte en ver! Tylko jeden kieliszeczek, Głasza. Naleję do tej wody i wypiję. Chce mi się bardzo pić a zwykłej wody nie mogę przełknąć.

— Świnia jesteś! Słowa nie umiesz dotrzymać!



Arab przyniósł karafeczkę koniaku i kieliszek, jednak Mikołaj Iwanowicz nie mierzył koniaku na kieliszki, a wprost dopełnił szklanekę po brzegi, spojrzał na żonę, uśmiechnął się i mruknął:

— Uch, omyliłem się! A to wszystko dlatego, że ciągle gadasz.

Wypił duszkiem wodę z koniakiem i zaczął płacić. Za wszystko wzięli trzy franki.

W głowie Mikołaja Iwanowicza szumiało przyjemnie. Rozweselił się. Koniak zrobił swoje. Głafira Siemionowna nachmurzyła się i milczała. Wyszli z kawiarni.

XLVI.

Zmierzchało się. Zaczynało się już robić ciemno, kiedy małżonkowie nasi obeszli szereg budowli wschodnich, tworzących ulicę Kairską. Trzeba było pomyśleć o obiedzie.

— Chce mi się jeść! A tobie? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie, że tak. Cały dzień na nogach, cały dzień wałęsam się po wystawie, więc nic dziwnego, ale nie jedźmy obiadu na wystawie, a chodźmy gdzieś na miasto.

— Dobrze! A teraz na zakończenie przejedziemy się na osłach i każemy podjechać wprost do wyjścia.

— Nie, nie! Za nic na świecie! Co za pomysły? — sprzeciwiała się Głafira Siemionowna.

— Dlaczego? Osły biegną powoli. To nie to, co konie. Oprócz tego za uzdę wiedzie ich zawsze ich osli dorożkarz. Niebezpieczeństwa żadnego, jak Boga kochoam.

— Boję się!

— Czego się boisz, kochanie? Przecież widziałas, jak jakaś Angielka jechała z zupełnym spokojem. I jeszcze jaka Angielka, widziałas z jakim brzuchem?... Dojedziemy sobie spokojnie do wyjścia, siądziemy w prawdziwą dorożkę i ka-

żemy się wieźć do najlepszej restauracji. Czy niedobrze?... A wieczorem do teatru.

— Widzisz, Mikołaj Iwanowicz, ja nigdy nie jeździłam wierzchem.

— Ale to przecież osioł a nie koń! — namawiał żonę Mikołaj Iwanowicz. — Patrz nawet małe dziewczynki jeżdżą. Patrz, jak dziewczynka pięknie jedzie! — pokazał żonie elegancko ubraną dziewczynkę 12-letnią w krótkiej sukience i czarnych pończochach. — A jutro nie pójdziemy na wystawę, tylko na miasto, do sklepów, żeby poszukać dla ciebie suknie paryskie. Jak się nazywa ten magazyn, który ci rekomendowali w Moskwie?

— Magazyn de Luwr.

— Właśnie, właśnie... Ale teraz pojedziemy sobie na osłach. Proszę cię! Wiesz, dlaczego cię proszę? Chcę się pochwalić przed Skalkinami. Dziś wieczorem jeszcze napisałbym do niego pocztówkę, że jeździliśmy na osłach z dziwnym przewodnikiem arabskim, który śpiewał pieśni arabskie, że osioł oszalał, i popędził w kierunku rzeki... Jeszcze chwila i zginęłabyś w falach, lecz rzuciłem się za tobą i na brzegu przepaści zatrzymałem oszalone zwierzę...



— Przytrzymawszy go za ogon! — dodała złośliwie Głafira Siemionowna.

— Poco za ogon? Za uzdę!... Z narażeniem własnego życia schwyciłem go za uzdę...

— Ach, Mikołaj Iwanowicz, jak ty lubisz kłamać! Co to za brzydka maniera.

— To nie kłamstwo, kochanie. To tak, poprostu dla większego zainteresowania.

— Jak tak koniecznie chcesz, to pojedziemy. Ale wiedz, że ja nie znajduję w tem żadnej przyjemności.

— Jak to żadnej?... Ej mosie z osłem! Mosie Arab! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz na stojącego pod ścianą poganiacza z osłem. Ten widocznie nie zrozumiał wołania, gdyż nie poruszył się nawet.

— Poczekaj, poczekaj! — zatrzymywała męża Głafira Siemionowna. — Ja naprawdę się boję!... Właściwie boję się nie tyle osła, ile tego czarnomazego przewodnika. Może znów złapie mnie za rękę... Strasznie nahlalni...

— A czy ja mam parasol od parady? Jeżeli co takiego, nie pożaluję parasola, połamię mu na łbie na kawałki... Wreszcie przecież i policjant i publiczność... Ej, mosie osłętnik! Osieł! — znów krzyknął Mikołaj Iwanowicz i zapytał żonę: — Jak osieł po francusku?

— Lan.

— Ej, lan! isi... Mosie lan! Zajeżdżaj!

Arab zauważył wreszcie, że kiwają na niego, podprowadził osła i wyszczerzył zęby.

— Do wyjścia! Do bramy, gdzie la port! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Tylko musisz nam jeszcze sprokurować drugiego osła. En lan pur ma fam i en lan pur ma mua. Głasza! Przetłumacz-żesz mu.

— De lan! Il fo nu de lan! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna i pokazała Arabowi dwa palce.

Ten natychmiast wsadził dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie.

Z za jakiegoś węgla ukazał się drugi Arab z osłem i zbliżył się ku małżonkom.

— Siadaj, Głasza!... Pozwól, pomogę ci, podsadzę! — pomagał Mikołaj Iwanowicz. — Oprzyj się na mnie dobrze i włącz na siodło.

Mikołaj Iwanowicz pochylił się, Głafira Siemionowna jedną ręką schwyciła się za siodło a drugą oparła o ramię Mikołaja Iwanowicza, szukając nogą strzemienia, gdy nagle krzyknęła:

— Aj, aj! Arab za nogę... za nogę mnie łapie.

— Co robisz archikanalio, protobestjo, świńska mordo?! — krzyknął na Araba Mikołaj Iwanowicz i podniósł parasol. — Za nogę?... Za pie chwyte... Jeżeli zaraz, arabska małpo...

Arab siedział w kucki, szczerzył zęby i mówił coś po swojemu, pokazując na dłoń. Wreszcie przemówił w łamanym języku francuskim:

— Mete pie, madam, mete pie...

— Ach, on chce, żebym mu nogę na rękę postawiła! — zawołała Głafira Siemionowna. — Dlatego chwycił mnie za nogę. Ale i tak, jakim prawem śmie samowolnie łapać mnie za nogę! Mikołaj Iwanowicz podsadź mnie wreszcie na tego osła.

Ale zanim Mikołaj Iwanowicz rzucił na ziemię parasol i zabrał się do Głafiry Siemionowny, Arab chwycił ją w objęcia i jak piórko posadził na siodle.

— Stój! Stój kanalio! — zaczęła krzyczeć Głafira Siemionowna, lecz już siedziała na osie.

Arab wydał jakiś dźwięk gardlany i pociągnął osła za uzdę.

— Poczekaj! poczekaj! Razem pojedziemy! — wołał na niego Mikołaj Iwanowicz i pospiesznie gramolił się na swego osła, lecz jakoś obsuwał się ciągle i dopiero podszadzony przez Araba usiadł i krzyknął:

— Jazda! Rozstąpcie się góry i doliny! Hopla! Doganiajmy żonę!



XLVII.

Dojechawszy na osłach do bramy małżonkowie wzięli dorożkę. Dorożkarz natychmiast odwrócił się i zapytał, jak zwykle, po francusku:

— Jaka ulica, monsieur? Jaki numer?

— Nie do numeru, nie potrzebujemy żadnych numerów... Na obiad chcemy jechać... Dine! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Montre, u on pe tre bien dine. Me tre bien! (Proszę nam pokazać, gdzie są dobre obiady!) — dodała Głafira Siemionowna.

— Oui, madame! — rzekł dorożkarz i ruszył.

Po kilku minutach odwrócił się i zaczął mówić po francusku:

— Zdaje mi się, że państwo są cudzoziemcami... A co państwo będą robić po obiedzie? Prawdopodobnie pójda państwo do teatru? Prawda? W takim razie polecam państwu teatr „Eden“. Nadzwyczajny!

— Słyszysz, Mikołaj Iwanowicz, jaki uprzejmy dorożkarz? Nawet teatr rekomenduje! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Kosze! Kel teatr wu zawe di?

— „Eden“, madame! To niedaleko od opery!

— Operę tam śpiewają? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żonę.

— Nie, nie! Mówi tylko, że teatr jest niedaleko od opery. Pamiętasz, przejeżdżaliśmy koło teatru opery, więc to tam gdzieś w pobliżu...

— Zapytaj jednak, jakie tam przedstawienia. Może tam znów te tańce brzucha, to niech idzie z nimi do diabła.

— A kaskilia dan seŕ teatr?
nowna.

— Ballet, madame!

— Balet tam przedstawiają.

— Słyszę, słyszę. Sam zrozumiałem. Tak przyzwyczaiłem się już do francuskiego języka, że sam dużo rozumiem... A jednak zapytaj go, Głasza, jaki balet? Bo może znów jakiś brzuszny balet. Tutaj w Paryżu widać moda taka... Byliśmy w trzech teatrach i wszędzie taniec brzucha.

— Masz rację! Te tańce brzucha są wstrętne.

— Wstrętne, nie powiedziałbym, ale ciągle jedno i to samo...

— Proszę cię, milcz! Kosze! Kę balet dan seŕ teatr?

— Excelsior! Coś nadzwyczajnego!

— La dans de wentr?

— Ależ nie, madame. Coś zachwycającego. Wielki corps de ballet... Ale muszą państwo już teraz postarać się o bilety.

W ciągu 10 minut dorożkarz dowiózł małżonków do teatru, znajdującego się w niewielkim zaułku za Wielką Operą. Nad teatrem wisiał szyld: „Eden“. Na drzwiach wisiały olbrzymie afisze ze scenami baletu „Excelsior“. Na afiszach tych był i pociąg z lokomotywą, i okręt, skały, palmy, masa nawpółnagich tancerek a pośrodku tego wszystkiego na jednej nodze stała widocznie primabalerina, z której sypały się iskry.

— Afisz jakiś strasznie reklamisty, coś w rodzaju naszych bałaganów! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Co to szkodzi, weźmy dwa bilety. Dorożkarz chwalił balet. Tutaj dorożkarze wszystko wiedzą! — zauważyła Głasza Siemionowna.

— Nie bierz tylko Głasza drogich miejsc.

— Jakto?... Chcesz może siedzieć na galerji, na strychu? Ja chcę się lepiej ubrać, widzieć lepsze towarzystwo, bo przecież na tej wystawie sama hołota.

Zatrzymano się przy kasie. Mikołaj Iwanowicz szukał pieniędzy. Z okna kasy wyrzała elegancka pani ze złotym sztyletem we włosach zamiast szpilki.

— Kupuj krzesła, Głasza. Nie wiem, jak po francusku krzesła.

— Ja też zapomniałam... Wiem jak stołki — „szez“ ale wszystko jedno... De szez, madam, combien sa kut?

— Co pani żąda? — zapytała po francusku kasjerka.

— Szez... To jest nie szez, a takie z oparciem, z rączkami... De szez awek le men. Komprene wu.

— Prawdopodobnie pani żąda fotele.

— Fotele, fotele!... Wuj... Wszystkie pokojowe słowa pamiętam a tego zapomniałam.

— Fotele na parterze, czy fotele na balkonie?

— Nie, nie... Na dole... An ba...

Kupiwszy bilety, małżonkowie pojechali na obiad. Do-
rożkarz podwiózł ich przed jakiś gmach i rzekł po francusku:

— Tutaj dają dobre obiady. Będą państwo zadowoleni.
To pasaż. Proszę wejść do środka i zaraz państwo zobaczą
restaurację.

Restauracja była urządzona wspaniale, lecz obiad nie
smakował małżonkom, pomimo, iż składał się z ośmiu dań.
Zupa była wodnista; zamiast ryby podano krewetki (raczki
morskie) w sosie prowansalskim, których Głafira Siemionow-
na nie jadła; mięso na kawałku grzanki było tak miniaturowe,
że Mikołaj Iwanowicz wziął odrazu całą porcję do ust. Na-
stępnie podano karczochy w jakimś białym sosie, pół skrzy-
dełka pulardy z sałatą, budyń, melon i kawę. Do obiadu
należał także kielich ponczu mrożonego. Wzięto za to wszy-
stko, nie licząc wina, po 6 franków od osoby.



— Gdzież ta zachwalana francuska kuchnia? — zapytał
Mikołaj Iwanowicz, dopijając resztki czerwonego wina. —
Wzięli za obiad po 6 franków, co na nasze pieniądze wypada
po dwa ruble 40 kopiejek a nie jestem ani syty ani głodny.
U nas za dwa ruble możesz się najeść do pełnienia, a tutaj
naprawdę jestem ani głodny ani syty. Wiesz, że ja zwykle
po obiedzie lubię sobie chrapnąć trochę, a tutaj nawet mi się
spać nie chce. Ech, z jaką przyjemnością zjadłbym sobie teraz
porządnego kapuśniaczku z boczkiem, prosiaczka ze śmietaną
z chrzanem, kawałek gęsiny z jabłkami... Tutaj tego niema...

Mało jedzą te Francuzy, mało... Patrz siedzi tam jakiś Francuz!... Jest syty, po twarzy widać, że syty. Siedzi i w zębach dłubie. Chleba dużo zezarł przy obiedzie, czy co? Boże zmiłuj się! Dają zupeł bez pasztecików, bez pierożków. Gdzie to widziane? U nas, w rosyjskiej restauracji, jak przyniesie kelner do zupy kawał „kulebiaki“, to nie wiesz, z którego końca zacząć — taki duży. Dali po dwa denka od karczochów i 10 groszków zielonych. A u nas pięć, sześć takich karczochów podają ci jako garnitur do kotleta. Tutaj to uchodzi za osobne danie. Do mięsa dali trzy pałeczki z kartofla i to się nazywa garnitur. U nas garnitur: grzyby, marchewka, kalafiory, szpinak... A może sobie zamówić całą pularde? Naprawdę chce mi się jeść.

— Daj spokój! Po teatrze się najesz! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Przy twojej korpulencji to nawet lepiej nie najadać się za dużo... Zapłać za obiad i jedziemy do domu. Muszę się przebrać do teatru. Napewno w teatrze wszyscy będą elegancko ubrani.

— Spróbujęm jutro iść do jakiejś innej restauracji. Przecież musi być w Paryżu jakaś restauracja, gdzie każą płacić drogo, ale karmią do syta? Niech wezmą za obiad osiem franków, nawet dziesięć, ale niech dadzą się najieść! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i zawołał: — Garson! Kombien?

Zapłaciwszy rachunek wstał i patrząc na służącego, rzekł doń, potrząsając głową:

— Niebardzo bien ten wasz dine. Mało... Pe... Tre pe... Riuss lubi manże boku... Komprene? Głasza, przetłumacz mu!

— A niech go! Chodźmy! — odpowiedziała Głafira Siemionowna i skierowała się ku drzwiom restauracji.

XLVIII.

Według afisza przedstawienie rozpoczynało się o godzinie 8-mej. Małżonkowie przyjechali o 7 min. 45, lecz wejście do teatru było jeszcze nieoświetlone, pomimo, iż przed teatrem było już sporo publiczności, wśród której spacerował policjant. Mikołaj Iwanowicz podszedł do drzwi — drzwi zamknięte.

— Kescese? A może odwołali przedstawienie? — zwrócił się do żony.

— A skąd ja mogę wiedzieć?

— Zauważ stójkowego!

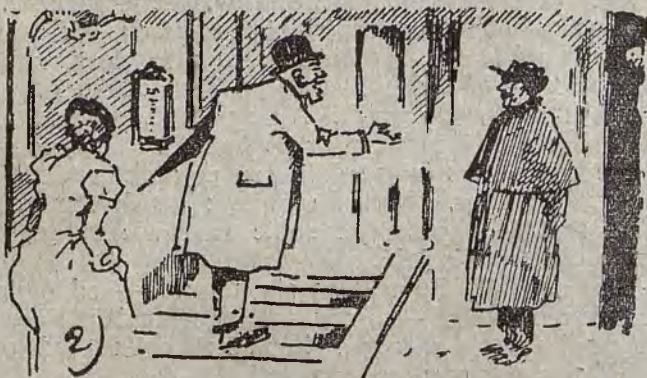
— Jak go mogę zapytać, kiedy nie umiem po francusku słów teatralnych. Zresztą publiczność czeka przed teatrem, więc napewno przedstawienie odbędzie się.

— A może tylko tak stoją? Przecież i my stoimy, a nic nie wiemy.

Do teatru prowadziło troje drzwi. Mikołaj Iwanowicz podszedł do drugich drzwi, spróbował otworzyć i zaczął pukać pięścią. Z poza drzwi rozległ się głos męski,

— Kto się tam awanturuje? Bez awantur!

— Zamknijcie, zamknijcie! — słychać było ze wszystkich stron po francusku.



— Wiem, że ferme, ale purkua ferme?

— Otwierają zwykle dopiero kwadrans po ósmej. Trza czekać! — odpowiedział policjant.

— Otwierają dopiero o ósmej minui 15! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Jakto? Przecież na afiszu stoi wyraźnie, że o ósmej! Nie podoba mi się to!

— Policjant mówił.

Trzeba było czekać na ulicy, co nie należało do przyjemności, gdyż zaczął padać deszcz, a Głafira Siemionowna była w eleganckiej sukni jedwabnej, białych rękawczkach i w ażurowym kapeluszu z kwiatami. Mikołaj Iwanowicz otworzył parasol i mruczał:

— Co za świństwo! Przyjechaliśmy do teatru na kwadrans przed rozpoczęciem przedstawienia a tu nie puszczają. A może jest jakie drugie wejście? Może to wejście jest tylko na galerję, na tanie miejsca? Głasza, zapytaj policjanta!

— P... ter il ja en otr port? — zwróciła się Głafira Siemionowna do policjanta, lecz otrzymawszy przeczącą odpowiedź, zakomunikowała o tem mężowi.

— Dziwne, że nawet dorożką nikt nie zajeżdża! — dziwił się w dalszym ciągu Mikołaj Iwanowicz.

Publiczności przybywało. Wszyscy przychodzili na piechotę. Mężczyźni mieli zawinięte spodnie, wszyscy starali się stanąć pod daszkiem przy głównem wejściu, więc wkrótce zrobiło się ciasno.

— Pilnuj broszki brylantowej, Głasza, żeby nie ściagnęli! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

Stojący w pobliżu nich starszy jegomość w czarnym filcowym kapeluszu z małąkimi bokobrodami, jakie noszą urzędnicy rosyjscy, uśmiechnął się na te słowa i rzekł po rosyjsku:



— Niech pan poradzi małżonce, żeby kieszeni też pilnowała. Tu, w Paryżu — mnóstwo kieszonkowców!

— Jezusie! Rosjanin? — zawołał z radością Mikołaj Iwanowicz. — Bardzo przyjemnie, bardzo mi przyjemnie! Głasza! Rosjanin!... Niech pan sobie wyobrazi, że już przedtem serce moje przeczuło, że pan jest Rosjanin...

— Może dlatego, że palę rosyjskie papierosy z dwugłowym orłem na bibułce?

— Ależ nie... Nie zauważyłem ani orła, ani papierosa. Poprostu twarz pańska wydała mi się rosyjską... Wie pan... oblicze pańskie... Pozwoli pan się przedstawić: Mikołaj Iwanowicz Iwanow, kupiec moskiewski, a to moja żona. Boże, jak przyjemnie jest spotkać się z rodakiem zagranicą.

Mikołaj Iwanowicz schwycił nowego znajomego za rękę i silnie nią potrząsnął. Ten z kolei przedstawił się małżonkom:

— Radca kolegjalny, Sergjusz Stepanowicz Pieriedriagin!

— Właśnie, właśnie... Oblicze pańskie odrazu mi się wydawało takim... kolegjalnem... Wie pan... takie podstawowe, solidne... Tutejsi Francuzi to naród drobny, gdzie mu tam do naszej solidności, a co się tyczy ich porządków, to niech ich wszyscy diabli wezmą. Choćby oto — przedstawienie wyznaczili na godzinę ósmą, a teatr zamknięty i nawet nieoświetlony pomimo, iż do ósmej brakuje tylko 5 minut.

— Tak, tak!... To wszędzie tutaj. Taki zwyczaj: otwierają teatry dopiero przed samym początkiem przedstawienia. Oszczędność na gazie! — odpowiadał radca.

— Przecież już jest przed samem przedstawieniem! Zaraz będzie ósma.

— Ogłaszają o ósmej, a zaczynają dopiero około w pół do dziewiątej.

— Co takiego? Jeszcze pół godziny mamy czekać? — Przecież żona zupełnie przemoknie. Ubrała się w najlepszą swoją suknię...

— Zupełnie niepotrzebnie. Tu w teatrach nikt nie pokazuje tualet. Im prościej, tem lepiej.

— A więc gdzie pokazuje się ubrania?

— Jakby to panu powiedzieć... Na wyścigach, może i w teatrze, ale chyba w Wielkiej Operze.

W tej chwili błysnęło jaskrawe światło: zapaliły się lampy elektryczne przy wejściu.

— Chwała Bogu! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Teraz prawdopodobnie puszczą zaraz do teatru.

— Tak za jakieś 10 minut. Tutaj trzeba przyjeżdżać przed samym początkiem przedstawienia. A nawet parę minut po określonym czasie... Ja już przyzwyczailem się do tego, ale dzisiaj jadłem obiad na wystawie i postanowiłem iść do teatru na piechotę, więc omyliłem się w czasie i też musiałem czekać — opowiadał p. radca.

Wreszcie drzwi otworzono i publiczność wfargnęła do teatru.

— Pan gdzie siedzi? — zapytał radcę Mikołaj Iwanowicz.

— Na balkonie!

— Co za szkoda, że nie razem! A my w fotelach na dole. Rodaku! rodaku! Możeby tak razem na kolacyjkę? Może w antrakcie spotkamy się na kurytarzu i umówimy?

— Dobrze, dobrze!

Radca wchodził już na schody.

XLIX.

Dwie damy w średnim wieku, mocno upudrowane i uróżowane, ściśnięte w gorsety i obleczone w czarne suknie wełniane z kolorowymi kokardami na piersiach i w białych czepkach rzuciły się ku małżonkom, kłaniając się ustawicznie i zaczęły zdejmować z nich płaszcze. Jedna z nich z tyłu schwyła Mikołaja Iwanowicza za rękaw palta i za kołnierz, druga zabrała się do Głafiry Siemionowny. Stało się to wszystko tak szybko i nieoczekiwanie, że Mikołaj Iwanowicz zawołał:



— Przepraszam, madamy, przepraszam! Keskesese? O co paniom chodzi?

— Pańskie palto, pański parasol! — mówiły damy po francusku.

Głafira Siemionowna przetłumaczyła mężowi.

— Z jakiej racji mam im oddawać palto i parasol? Lepiej oddać szatnemu? U e kapeldyner? *) — szukał na kurytarzu woźnego z szatni.

Damy zaczęły mówić po francusku, długo i szybko, zapewniając, że rzeczy będą dobrze przechowane.

— Djabli ich wiedzą, co one mruczą? Głasza, zapytaj: Keskesese one same? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Może to są właśnie kapeldynerki?

— Nie może być. Gdzie to widziano, żeby baby były kapeldynerami. Zapytaj keskesese.

— Wu zet de kapeldiner? Wu wule kasze nofr abi? (Pani chce schować nasze ubranie) — zapytała jednej z dam Głafira Siemionowna.

— Oui, madame, oui... Laissez seulement... Tout sera bien garde! Votre parapluie, monsieur?

— A to dziwne rzeczy! A ja myślałem, że to taka sama publiczność, jak i my. Nawet zdziwiłem się, że jakaś obca dama łapie mnie za kołnierz i za rękaw. Nu, prene madam, prene! Oto i le kalosz! A niech ich! Baby zamiast kapeldynerów?... Kombien za ubranie? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, sięgając do kieszeni po pieniądze.

— Co łaska pańska! — odpowiedziały panie po francusku z ukłonem kokieteryjnym. Mikołaj Iwanowicz wyjął półfrankową monetę i zapytał:

— Asse?

— Och, oui, monsieur, merci, monsieur...

Znów ukłony, jedna z dam nawet „zrobiła oko“ do Mikołaja Iwanowicza.

— A niech ją djabli! Wiesz, ta malowana zrobiła do mnie oko! Widziałeś?

— Głupstwa gadasz!

— Jak Boga kocham! Tak spojrzała, wiesz i uśmiechała się. Nie, to nie są kapeldynerki. Żeby tylko nasze palta nie zginęły.

— Przecież oddajemy za numerem!

Głafira Siemionowna, rozebrawszy się, zaczęła poprawiać suknię jedwabną i dama w czarnej sukni przysiadła w kuuki, aby jej pomódz. Zobaczywszy jakąś niedokładność, wyjęła z gorsu szpilkę i zręcznie przyszpiliła.

— Napewno kapeldynerki! — rzekła Głafira Siemionowna, kiedy dama, zajrzawszy do biletów, zaczęła prowadzić ich na miejsca.

*) W Rosji w teatrach była wszędzie tylko męska obsługa w libelii.

— Oto, monsieur et madame! — wskazała na dwa fotele i dodała: — Wesołej zabawy!

Małżonkowie zaczęli rozglądać się po sali. Widownia była wspaniała, w maurytańskim stylu, zrobiła na nich duże wrażenie. Piękne połączenie rozmaitych barw i złota pieściło oko; pod ścianami i w pobliżu kolumn stały olbrzymie karjatydy, tak artystycznie polichromowane, że zdawały się żywymi istotami.

— Ale za to teatr — pirsza klasa! — wyrwało się mimo woli z piersi Mikołaja Iwanowicza.

W tej chwili do małżonków podkradła się trzecia kapeldynerka z żywą różą na piersi zamiast kokardy i nachyliwszy się, zaczęła coś manipulować w pobliżu ich nóg.



— Keskesese? Co pani chce, madam? — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

Ujrzał, że dama podkłada pod stopy Głafiry Siemionowny maleńką poduszczkę.

— Tak będzie wygodniej pani! — rzekła i pochylając się do samego ucha Mikołaja Iwanowicza, szepnęła: — Proszę mi dać coś, monsieur... Niech pan będzie łaskaw...

— Dała mi poduszkę pod nogi i prosi coś za to... — tłumaczyła Głafira Siemionowna. — Daj jej coś!

— A niech was wszyscy djabli wezmą! Ze wszystkich stron naciągają! — kiwał głową Mikołaj Iwanowicz i dał kapeldynerce pół franka. — Wsuwa ci pod nogi poduszkę, a ja myślę sobie, czego ta baba łapie mnie za nogi!... Ale teatr-pirsza klasa! — zachwycił się w dalszym ciągu.

W tej samej chwili stanęła przed nimi czwarta kapeldynerka i przymrużając kokietyrnie podczernione oczy i uśmiechając się, wsuwała mu do ręki jakąś kartę, mówiąc:

— Le programme de ballete, monsieur...

— Program? Wuj... A jak on napisany? a la riuss, czy a la franse?

— Naturalnie, że po francusku! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Jeżeli po francusku, to po jakiegodjabła mam go kupować? I tak nic nie zrozumieć. Alle, madam, alle!... Nie potrzeba. Nie dla nas napisane — machnął Mikołaj Iwanowicz ręką, lecz kapeldynerka nie odchodziła. Podniosła oczy do góry tak, że było widać białka, uśmiechnęła się jeszcze uprzejmiej i szepnęła: — Co łaska, monsieur... Niech pan będzie tak dobry... Dwadzieścia centymów, dziesięć centymów...

— A to natrętna! To widocznie jakieś francuskie cygany, czy co?... Nie mam drobnych, madam, został mi tylko jeden miedziak. O!... — pokazał Mikołaj Iwanowicz dziesięć centymów.

— Merci, monsieur, merci! — rzekła kapeldynerka i schwyła monetę.

— Ale baby... Nawet nie pogardza miedziakami a ubrana, jak jaśnie pani.

Głafira Siemionowna siedziała na fotelu i przez przyniesioną ze sobą lornetkę oglądała łoże. Mikołaj Iwanowicz też błądził okiem po górnych piętrach. Zauważyła to zaraz piąta kapeldynerka i w tej samej chwili zaczęła wsuwać mu w rękę lornetkę, mówiąc:

— Proszę, monsieur... Pan będzie uprzejmy... Co łaska.

— A niech was!... — zawołał Mikołaj Iwanowicz! — Nie chcę, nie potrzeba! Nic mi więcej nie potrzeba.

Umalowana kapeldynerka nie odchodziła i dopraszała się o datek w dalszym ciągu.

— Cyganki, zupełnie cyganki! — mruczał Mikołaj Iwanowicz, obszukując kieszenie spodni i pokazując, że są puste. Wreszcie rzekł: — No, patrz, babo przekłeta... Widzisz, że rien.

— Masz tutaj miedziaka, bo nie odczepi się! — rzekła Głafira Siemionowna i poszukawszy w kieszeni, dobyła dziesięć centymów.

— Merci, madame, merci... — podziękowała kapeldynerka schwyła miedziaka i za chwilę zaczęła już manipulować przy innym widzu.

Zwolna teatr zapełniał się publicznością. Na górnych piętrach widać było mężczyzn, siedzących bokiem na barjerze, co bardzo dziwiło małżonków. Stroiła się orkiestra i wreszcie zagrała, a po chwili kurtyna podniosła się do góry.

L.

Rozpoczęło się przedstawienie fantastycznego baletu „Excelsior”. Dekoracje były wspaniałe, także kostjumy, lecz tańczyła właściwie tylko primabalerina, grająca główną rolę. Reszta uczestniczek baletu, pomimo iż i one były ubrane w krótkie spódniczki baletowe, pozowały jedynie z girlandami

kwiatów w rękach, z szarfami gazowemi, ze strzałami, z chorągiewkami, lecz nie tańczyły. Podnosiły to prawe nogi, to lewe, pochylały się naprzód lub do tyłu i nic więcej. Wreszcie zwróciło to uwagę Mikołaja Iwanowicza.

— Ciekawa rzecz, że tańczy tylko jedna tancerka, pokazuje co umie, a inne włóczą się po scenie bez celu i tylko nogi zadzierają. U nas w balecie wszystkie skaczą, wszystkie się starają, a tutaj ten cały ich kordebalet stanowi coś w rodzaju umeblowania.



— A jednak jakie to piękne i bardzo ciekawe. Popatrz tylko, jaka wspaniała wystawa! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— A ja ci powiadam, że u nas balet lepszy. Teatru takiego niema, ale balet lepszy.

— Zdaje ci się! Patrz, patrz! Przyniosły drabinki i weszły na nią. Patrz, jak wysoko stoją i machają rękami. Przecież to cała góra z ludzi.

— To prawda... Ale samego tańca, samego ruchu tanecznego niema żadnego. Uważaj tylko. Jedną tancerka stara się, poci, para z niej już idzie, a nikt jej nie pomaga. Balet powinien składać się z tańca, wszystkie tańczą, wszystkie podskakują, wszystkie kręcą się, to rozumiem....

— Pewno już taki obyczaj...

Zmieniło się kilka obrazów bez antraktu i wreszcie kurtyna opuściła się. Małżonkowie zaczęli obserwować publiczność.

— Bardzo się dziwię, że i tutaj nikt z publiczności nie jest ubrany elegancko. Okazuje się, że jestem znów ubrana najlepiej ze wszystkich! — rzekła Głafira Siemionowna. — Nawet zwykłych modnych sukien niema a wszędzie jakaś tandeta. Tandeta... Gdzież te przechwalane francuskie mody?...

Na wystawie nie widzieliśmy ich, w teatrze też nie. I to w jakim teatrze? Na przedstawieniu baletu. U nas właśnie na przedstawienia baletowe każdy stroi się, jak na wesele. Patrz, tam na lewo siedzi jakaś, zupełnie jak od koryta. Paltocik nicowany i przerabiany z pięć razy, na głowie jakiś kapelusz pognieciony. Naprawdę przed samym odjazdem podarowałam naszej pokojówce sto razy lepszy od tego. I to się nazywa Paryż!...

— Widocznie moda nie pozwala ubierać się strojnie do teatru! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Więc gdzie się ubierać? Na wystawę nie, do teatru nie, więc gdzie? Przecież Paryż uważany jest za stolicę mody dla całego świata.

Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się.

— Znasz przysłowie: szewc zawsze bez butów chodzi! — rzekł on. — Paryż przygotowuje stroje dla innych, a sam chodzi skromnie ubrany. Na jedno jeszcze zwróć uwagę: siedzimy na przedstawieniu baletowym, a gdzie są oficerowie? Ani jednego oficera w całym teatrze. Rozejrzyj się! Nawet w pierwszym rzędzie nie widać ani jednego oficera, nie mówiąc już o generałach... Popatrz..., tylko cywilne łysiny i brody.

Głafira Siemionowna rozejrzała się uważnie i rzekła:

— Naprawdę, zupełnie niema oficerów.

— A widzisz... A u nas na balecie cały pierwszy rząd zajęty szczerlnie przez generalicję... Chodźmy jednak na kurytarz. Trzeba by zobaczyć się z rodakiem, którego poznaliśmy przed teatrem.

— Tak, tak... To człowiek, który zna Paryż — odpowiedziała Głafira Siemionowna. —

W następnym antrakcie małżonkowie spacerowali po wspaniałem foye i szukali rodaka.

LI.

Znaleziono go wkrótce, gdyż też ze swej strony szukał on małżonków.

— Jak się państwu podobał balet?

— Niczego sobie! Dekoracje wspaniałe, kostjумы też, ale co się tyczy tańców, to u nas daleko lepiej... Przecież tutaj tylko jedna baba tańczy a reszta wałęsa się po scenie, macha rękami i uśmiecha się.

— Tu zawsze tylko tańczy jedna tancerka a reszta stanowi cordebaleť.

— Co za cordebaleť, do diabła z takim kordebaletem! Niech pan przypomni sobie, jak u nas w balecie tańczą. Wyskoczą takie dwie sztuczki, odmachają nogami, co potrzeba, a za nimi, patrzysz, już cztery i fikają jeszcze lepiej. Nie skończyły jeszcze, już w innym kolorze wyskakują ich sześć sztuk, jeszcze ciekawszy taniec zawodzą, a za tą szóstką leci

ósemka, za ósemką — dziesiątka i dopiero wtedy ukazuje się pani balerina, pierwszy sort i zaczyna pokazywać prawdziwe sztuki baletowe. To rozumiem, to balet! Ale proszę pana, pozwoli pan dla zapoznania się lepszego zaproponować sobie kieliszczyk czegoś?... — rzekł Mikołaj Iwanowicz do rodaka. — Gdzie tu bufet?

— Tu niema bufetu!

— Co takiego? W teatrze żeby nie było bufetu? Co pan mówi?

— W niewielu tylko teatrach w Paryżu są bufety. Jeżeli nawet są, to nie w samym teatrze, lecz przed teatrem; wejście z ulicy.

— Ładne porządki paryskie! Teatry bez bufetu, zamiast kapeldynerów jakieś wymalowane baby natrętne...

— A czy wie pan, co to za kobiety, które pełnią tu funkcje kapeldynerów? Większość z nich, to były aktorki, statystki, tancerki. Zestarzała się, roztyła, uciekł kochany przyjaciel, los się znechał i oto z za kulis wychodzi się tutaj, aby odbierać płaszcze. Niektóre z nich, być może, na tej samej scenie wyskakiwały i wytrząsały kolorowymi szarfami a teraz, kiedy roztyły się i stały się sześciopudowymi manekinami, skakanie skończyło się! Otóż dyrekcja, biorąc pod uwagę ich poprzednie zasługi, pozwala im zastępować w kurytarzach kapeldynerki i zarabiać od publiczności.

— Acha, to te zawracanie oczu pozostało im jeszcze z ich aktorskiej przeszłości! Ale jakie to natrętne?

— Tak, każdy widz musi zapłacić swoją daninę. Chcesz, czy nie chcesz, coś musisz dać... Nawet z martwego wyduszą. Zresztą... zadawałnają się dziesięciocentymówkami, a przecież to na nasze pieniądze zaledwie trzy kopiejki.

— Po teatrze jednak pójdziemy gdzieś na kolację? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Niema gdzie. Wszystko zamknięte. Tu w Paryżu o jedenastej wszystkie restauracje są już zamknięte.

— Niemożliwe! Wszystkie?

— Są dwie, trzy restauracje, otwarte w nocy, lecz tam zdzierają za wszystko podwójną opłatę.

— Głupstwo! Jedźmy! Żeby tylko zjeść kolację i z porządnym rodakiem pogawędzić. Tyle czasu już nie widziałem Rosjanina, więc nie będę się targował o ceny w restauracji...

— Widzi pan... Niebardzo wypada tam jechać do tych restauracyj z żoną.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tam w nocy bywają tylko wyłącznie damy.. lekkiego prowadzenia. Tam po teatrze jeździ się tylko z takimi damami.

— Mikołaj Iwanowicz, pojedziemy tam! — zawołała nagle Głafira Siemionowna. — Chciałam zobaczyć, jak wyglądają paryskie damy lekkiego prowadzenia,

— Co ty wygadujesz? — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz. — Jak możesz?

— Dlaczego nie? Czy kto zna nas w Paryżu? Przecież nas nikt nie zna.

— Ależ przecie samą cię mogą wziąć za jakąś...

— Niech biorą! Co z tego? Przecież ja będę z mężem, z tobą.

— Co ty mówisz, Głasza? Co ty wygadujesz?

— Chodźmy, Mikołaj Iwanowicz. Z mężem żona wszędzie może iść.

— A jak cię złapie jakiś pijany i pocałuje, a ja go za to w mordę i co?... Skandal, bójka... Nie, nie...

— Naprawdę nie wypada pani tam jechać! — rzekł rodak.

— Ech, jacy wy jesteście nudni! Nie zobaczę nic na prawdę paryskiego. Przecież Paryż słynie właśnie z tego? — mruzczała Głafira Siemionowna.

— Daj spokój... Nie mów głupstw! — rzekł już poważnie Mikołaj Iwanowicz i znów zwrócił się do rodaka. — Ależ przecież są tutaj i familijni ludzie. Gdzie oni jadają kolację?

— W większości wypadków tutaj nie jada się kolacji. Późny obiad — prawie o godzinie ósmej wieczorem, więc kto myśli o kolacji? Jeżeli jednak ludzie familijni chcą jeść co w nocy, to wcześniej kupują sobie coś z zimnych przekąsek i jedzą w domu.

— Szkoda jednak, że nie możemy z panem iść na kolację.

— Możemy za to jutro zjeść razem obiad! — odpowiedział rodak. — Będą państwo jutro na wystawie? Wyznamy sobie jakiś punkt i spotkamy się.

— Wie pan, sprzykrzyła nam się już ta wystawa. Tylko chcemy pochodzić trochę po sklepach. Żona chce sobie coś kupić w magazynie de Luwr.

— Doskonale. Ja tam też będę. Tam się spotkamy. O której godzinie?

— Około jedenastej.

— Pewno pan będzie kupował coś z jedwabi dla żony? Proszę zapytać się o oddział jedwabi na drugim piętrze, tam się spotkamy.

Rozległ się dzwonek, zwiastujący rozpoczęcie przedstawienia.

— Dzwonią już, zaraz rozpocznie się akt. Chodźmy na swoje miejsca! — rzekł rodak i pożegnawszy się z małżonkami dodał: — A więc do jutra w magazynie Luwru! Do widzenia.

Małżonkowie też poszli na widownię.

LII.

Nie było jeszcze jedenastej godziny, kiedy przedstawienie w Edenie skończyło się. Małżonkowie poszli do domu. Chcieli właściwie jechać, lecz przed teatrem nie było żadnego

dorożkarza, skutkiem czego musieli iść na piechotę. Zresztą odległość od teatru do mieszkania była niewielka. Tym razem Głafira Siemionowna prowadziła już męża z całą pewnością: wczorajsze nocne poszukiwanie hotelu nauczyło ją orjentować się w ulicach. Znała plac Wielkiej Opery i przylegającą do niego ulicę Lafayette, znała także przecznice. Oto i sklepik z naczyniami na rogu, jeszcze niezamknięty. Przypomniało się małżonkom, że mieli kupić maszynkę spirytusową i blaszane czajniki dla zaparzania herbaty, więc wstąpili do sklepu i kupili. Wstąpili także do sklepu gastronomicznego, gdzie kupili kielbasy i sera. W sklepie był również chleb, którego kupiono cały funt. W ten sposób wracali do domu z kolacją. Ale nie mieli spirytusu, na którym mogliby ugotować herbatę, a nie wiedzieli, gdzie kupić można spirytus, zresztą nie wiedzieli również, jak się spirytus nazywa po francusku.



— Co robić, będziemy musieli pójść spać bez herbaty! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i westchnąwszy ciężko, dodał: — Ech ty, życie paryskie! I mówią jeszcze — cywilizacja!

Wejście do hotelu było, jak i wczoraj, już zamknięte. Zadzwonili. Znow otworzył im gospodarz bez marynarki w samej kamizelce i pantoflach. Na platformie, przy schodach stały dwa łóżka składane i na każdym z nich z pod kołdry sterczała głowa w białym czepku nocnym. W jednej z głów przy świetle słabo palącego się gazu małżonkowie poznali głowę służącego, usługującego im w numerze.

— A wę róż można a prezan dostać? On pe? — spytał Mikołaj Iwanowicz gospodarza.

Ten skrzywił się, lecz odpowiedział, że można. Widocznie życie w tym małym hoteliku kończyło się zupełnie około jedenastej godziny i goście oraz służba o tym czasie już spała.

— Kiedy przechodzili koło łóżka służącego, ten podniósł nieco głowę, podobną do sfinksa i rzekł po francusku:

— Świeca i zapaliki stoją pod drzwiami.

— Co on takiego mruczy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Coś o świecach i o zapalkach!

Dostawszy się po słabo oświetlonych schodach na górę, w samej rzeczy znaleźli na podłodze koło drzwi miedziany lichtarz z niedopałkiem świecy i kupkę zapalek siarkowych. Zapalili świecę i weszli do pokoju. Wkrótce zjawilo się i wino. Przyniósł je sam gospodarz, postawił na stół i rzekł z wymówką po francusku:

— Musze pana uprzedzić, monsieur, że o jedenastej godzinie kończymy już naszą pracę. Trzeba odpocząć. Dobranoc, monsieur et madame! — uklonił się i wyszedł.

— Co on powiedział? — znów zwrócił się do żony Mikołaj Iwanowicz.

— Nic nie zrozumiałam!

— Ach, Francuzka, Francuzka! Czegoś ty się uczyła na tej swojej pensji.

— Naturalnie, że nie uczyłam się tych słów. Poza tem na pensji tłumaczyliśmy zawsze z francuskiego ze słownikiem w rękę.

Rano, kiedy małżonkowie nasi obudzili się, pierwszą myślą ich była herbata.

— Głasza! Możeby tak herbatki zaparzyć! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, przeciągając się w pościeli. — Przecież przez cały czas pobytu zagranicą ani razu nie napiliśmy się porządnej herbaty. Nie wiem, jak ty, ale ja już poprostu tęsknię za herbatą. Przyzwyczaiłem się przełknąć codziennie 10 — 12 szklaneczek a tu ani jednej! Zawołaj służącego i wytłumacz mu, na Boga, żeby kupił butelkę spirytusu do maszynki.

— Zaraz zobaczę w słowniku, jak spirytus po francusku! — rzekła Głafira Siemionowna, zajrzała do książki i odpowiedziała: — Spirytus — espri... Espri de wen.

Małżonkowie ubrali się i zadzwonili na służącego, który zjawił się w swoim wiecznym berecie z papieru i filcowych pantoflach.

— Służę, monsieur! — stanął w wyczekującej pozycji i uśmiechał się niemądrze.

— Puwe wu aszete pur nu en butel espri de wen? (Czy pan może kupić dla nas butelkę spirytusu?) — zadała mu pytanie Głafira Siemionowna.

Ten uśmiechnął się jeszcze głupiej i odpowiedział.

— L' esprit de vin... C'est la boisson russe?... Oui, madame... (Spirytus... to rosyjski napój?... Tak pani.)

Wyszedł i po kwadransie wrócił zdyszany z butelką spirytusu i dwoma kieliszkami na tacy.

— Patrz, Mikołaj Iwanowicz, jemu zdaje się, że my będziemy pić ten spirytus! — zauważyła Głafira Siemionowna, uśmiechając się. — Purkua le wer? Il ne fo pa le wer. (Nie potrzeba kieliszka.) — zwróciła się do służącego.

Ten znów głupio uśmiechnął się i zapytał po francusku:

— W jaki sposób pani będzie piła spirytus bez kieliszka?

— A to osiel! — zawołała Głafira Siemionowna. — Czy my to będziemy pili? Czy to pur buar? Se ne pa pur buar!

— Jakto nie do picia? Ja czytałem, madame, że Rosjanie z wielką przyjemnością piją spirytus, że to jest rosyjska wódka.

— To jakiś idjota! Alle, alle!... Naprawdę on myśli, że my będziemy pili spirytus... Se pur fer te... Komprene wu? Pur te.

I Głafira Siemionowna pokazała służącemu kupione poprzedniego wieczoru imbryki blaszane i maszynkę.

— Ach! — rzekł uśmiechnięty służący, nie odchodząc: — Muszę zobaczyć, jak się przygotowuje herbatę po rosyjsku, madame.

— Alle, alle!

Lecz służący stał i uśmiechał się w dalszym ciągu.

— Pardon, madame, il faut voir...

Głafira Siemionowna nalała spirytusu do maszynki, zapaliła, nalała do imbryka wody z karafki i postawiła go na ogniu.

Służący kiwał głową i mówił:

— To ciekawe, to ciekawe... herbatą po rosyjsku... to ciekawe... A czy to prawda, madame, że w Petersburgu chodzą po ulicy niedźwiedzie i nigdy niema lata a zawsze pada śnieg? — zapytał nagle Głafiry Siemionowny, lecz ta nie zrozumiała jego pytania.



— Może się domyślisz, co on mruczy, Mikołaj Iwanowicz. I wypędź go. Mówię mu, alle, alle, a on stoi i mruczy.

— Garson! Won! Idź do djabła! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i energicznie wskazał mu drzwi.

Krok za krokiem, ciągle oglądając się i kiwając głową, służący oddalił się za drzwi.

— Dzicy ludzie! Zupełnie dzicy ludzie! — rzekła Głafira Siemionowna. — I to się nazywa Paryż! A u nas mówią o Paryżu, że tutaj największe wykształcenie!...

Woda w cieniutkim imbryku blaszanym zagotowała się wkrótce i Głafira Siemionowna, zasypawszy herbatę do małego czajnika, zalała ją wrzątkiem. Po upływie minuty małżonkowie z nabożeństwem prawie zabrali się do picia herbaty.

— Wczoraj z wieczora zjadłem troszkę słonej wędliny, więc rankiem z przyjemnością udelektuję się herbatą po uszy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, wypiwszy szklanke i zabierając się do drugiej.



— Naturalnie! Sto razy to lepsze, od tych pomyi kawowych, które trzeba jeść łyżkami stołowymi z menażek.

Pili herbatę ze szklanek, znajdujących się w numerze przy karafkach z wodą, bez podstawków i z jedną tylko łyżeczką, zabraną na drogę z domu. Żeby nie rozpalać na nowo ciekawości służącego co do picia spirytusu i przygotowywania herbaty po rosyjsku, nie wzywano go więcej i nie żądano nakrycia do herbaty.

LIII

Napiwszy się do syta herbatki z kanapkami, małżonkowie zaczęli wybierać się na spacer po sklepach. Głafira Siemionowna ubrała się skromnie, w zwyczajną wełnianą kienkę i skromniuski płaszczyk z lekkiej materji.

— Naprawdę nie warto ubierać się tutaj przyzwoicie, temo dla kogo. Damy tutejsze... sama chołota, wszystko pomięte, poplamione,... — mówiła do męża, jakby tłumaczyć się.

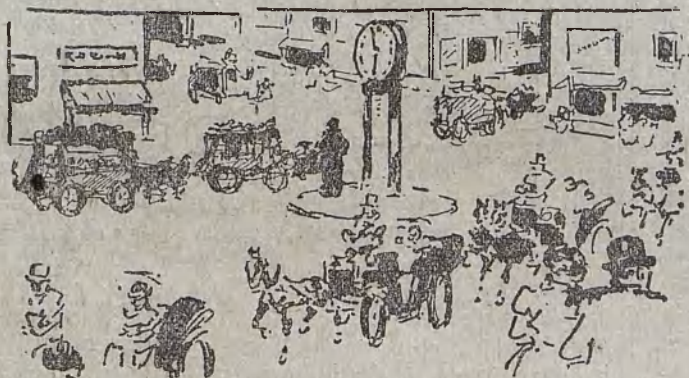
Zeszedłszy na dół, zapytali się gospodyni, jak daleko jest do „magazynu de Luwr“.

— Niedaleko, madame, niedaleko! — odpowiedziała gospodyni i zaczęła wyjaśniać zapomocą gestykulacji drogę do sklepu a później pokazała ją jeszcze na planie Paryża, wiszącym na ścianie kantorku.

— Zrozumiałaś coś? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Nic nie zrozumiałam, oprócz tego, że magazyn musi być niedaleko. Jakoś trafimy. Język i do Rzymu doprowadzi! Przyjrzymy się troszeczkę wystawom na ulicach.

Kiedy małżonkowie wyszli z hotelu i znaleźli się wkrótce na ulicy Lafayette, ruch uliczny był już olbrzymi. Zegar miejski, stojący na słupie na skrzyżowaniu ulicy, wskazywał wpół do jedenastej. Hałasowały olbrzymie omnibusy, przepełnione publicznością, jedna za drugą ciągnęły dorożki konne, wozy, zaprzężone w parę koni, strzelały baty jak wystrzały z broni palnej, śpieszyli się, wpadając co chwila jeden na



drugiego i przepraszając się nawzajem, przechodnie; przed otwartymi sklepami z wystawami rozmaitych towarów na stolikach przed drzwiami sprzedawcy i sprzedawczynie wołali na przechodniów, zapraszając ich, wykrzykiwali ceny towarów i nawet potrzásali w powietrzu samemi towarami.

— Tout en soie... Quatre vingt centimes le metre! (Wszystko jedwabne... Osiemdziesiąt centimów za metr.) — krzykliwym głosem wywoływała milutka dziewczyna w czarnej sukni i w białym fartuszk, wymachując kawałkiem czerwonej wstążki jedwabnej.

— Aucune concurrence! (Żadnej konkurencji!) — krzyczał basem jakiś wysoki wosacz, pokazując w drzwiach sklepu przechodzącej publiczności kapelusz filcowy a jednocześnie na dowód, że kapelusz się nie boi deszczu, polewał go wodą z karafki.

Przed niektórymi z tych wystaw ulicznych, zwłaszcza takich, gdzie na każdym towarze były wypisane ceny, stały tłumy publiczności, przewracały towar, targowały się, zagradzając całkowicie trotuar tak, że zwykli przechodnie musieli pomimo woli przechodzić na jezdnię. A na jezdni wśród przejeżdżających dorożek, omnibusów i wozów lawirowali handlarze uliczni z pudełkami, koszykami, i ręcznemi wózkami, sprzedając owoce, cukierki, jarzyny i t. p. przedmioty. Handlarze ci wykrzykiwali:

— V'la d's artichauts? Ma botte d'asperges! Des choux des haricots! Des poireaux des carotes! (Karczochy, szparagi, groszek zielony, marchew!)

Do tych krzyków musimy dołączyć okrzyki chłopców - uliczników, roznoszących maleńkie kartki z ogłoszeniami różnych magazynów i wciskających je przechodniom, krzyki chłopców - gazeciarzy, wymachujących gazetami i wykrzykujących treść całego dziennika. Jakiś chłopiec - gazeciarz, machając rękoma, tak silnie trącił niechcący Głafirę Siemionową, że ta zeskoczyła z trotuaru na jezdnię:



— A to łobuz! Dlaczego policjant nie pilnuje porządku i nie przepędzi takich andrusów!

— Rzeczywiście nieporządek! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, grożąc uciekającemu chłopcu parasolem. — A co najwięcej mnie gniewa, to to, że nie mogę takiego drania, jak się należy, zwymyślać, bo nie umiem po francusku. Ej Głasza, Głasza! — zwrócił się do żony: — Żebyś mnie chociaż nauczyła ze cztery słowa francuskie, wiesz, takie mocniejsze, żebym mógł porządnie nawymyślać, jak potrzeba.

— Jak ci mogę powiedzieć, kiedy sama nie umiem... Przecież na pensji nie uczono nas słów wymyślających. U nas na pensji nawet dwie generalskie córki się uczyły. Wszystko było na bardzo delikatnej stopie i nikt nie myślał uczyć nas żadnych przekleństw...

— Masz rację... Ale jednak powinnaś wiedzieć, jak na przykład „drań“ po francusku.

— Nie wiem!

— A hołota?

— Też nie wiem. Mówię ci, że na bardzo delikatnej bardzo stopie.

— Wymyślać po rosyjsku nie warto, bo i tak nic nie rozumie! — rozmyślał Mikołaj Iwanowicz. — Nie wiesz nawet, jak „bydle“ po francusku?

— Nie wiem. Wiem, że świnia — koszon, wiem jak osiel,

jak krowa, ale jak bydlę, nie wiem. Powinno ci na razie wystarczyć: osieł i świnia.

— Co dla takiego oberwańca, jak ten, który cię przed chwilą popchnął, znaczy „świnia“, albo „osieł“? Trzebaby mu podsunąć coś mocniejszego, żeby poczuł.

— Ale tymczasem tylko... Jutro zobaczę w słowniku, może znajdę jakieś inne przekleństwa. Ciociaż... „koszon“, to wcale niezłe słówko.

Wypadek, o którym wspomniał Mikołaj Iwanowicz, nie kazał na siebie długo czekać. Z za węgła wyskoczył jakiś obdartus z koszykiem, napełnionym rybami. Z okryciem: „Il arrive, il arrive, l'marquereau!“ (Idą już makrele!) wpadł na Mikołaja Iwanowicza i chociaż natychmiast przeprosił go, rzekłszy: „pardon monsieur“, lecz Mikołaj Iwanowicz wygarbił mu jednak „koszon“. Usłyszawszy to, oberwaniec z daleka krzyknął mu ironicznie: —

— Dziękuję, monsieur, za uprzejmość!

— Mało mu, draniowi? — rzekł groźnie Mikołaj Iwanowicz i poprosił żonę, żeby mu przetłumaczyła, co powiedział oberwaniec.

— Dziękuję ci za uprzejmość! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Za jaką uprzejmość?

— A za to, żeś go koszonem nazwał. Daje ci naukę grzeczności. Popchnął cię, to prawda, ale zaraz przeprosił, a ty na niego: koszon.

— A to drań!

Mikołaj Iwanowicz zwrócił się do oberwańca i zdala pogroził mu pięścią. Oberwaniec uśmiechnął się i też pogroził pięścią Mikołajowi Iwanowiczowi.



— Patrzcie, jeszcze śmie mi pięścią grozić! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i chciał ścigać oberwańca, lecz Głafira Siemionowna zatrzymała go za rękaw.

— Daj spokój!... Znowu skandal chcesz zrobić?... Daj spokój. Może wyjść bijatyka. Spluń na niego i już!

Małżonkowie wyszli na plac Wielkiej Opery.

LIV.

Na placu Wielkiej Opery otoczyli małżonków ze wszystkich stron przekupnie, sprzedający bilety na najbliższe przedstawienia operowe. Przekupnie nie chcieli się odczepić od nich nawet wtedy, kiedy małżonkowie podeszli do policjanta i zaczęli rozpytywać go, w jaki sposób dostać się do Luwru. Dziwiło ich to, że policjant nie karmił przekupniów.

— Widocznie tutaj wolno handlować biletami teatralnymi? — zauważyła Głafira Siemionowna. — Na oczach policjanta proponują ci bilety, a policjant nawet okiem nie mrugnie.

Policjant bardzo uprzejmie pokazał im drogę do Luwru i małżonkowie ruszyli dalej, lecz w tej chwili zdarzył się mały wypadek. Wysłuchawszy wyjaśnień policjanta, małżonkowie zapomnieli mu podziękować. Ten, widocznie obrażony z tego powodu, zawołał na nich i kiedy małżonkowie odwrócili się, przyłożył rękę do daszka kepi, kiwnął głową i rzekł ironicznie po francusku:

— Dziękuję za uprzejmość!

Głafira Siemionowna zrozumiała, o co chodzi i przetłumaczyła mężowi.

— A to osieł! Za co mu mam dziękować? Przecież on dla tego tam stoi, żeby drogę pokazywać, za to mu płaca! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Widocznie tu we wszystkim taka delikatność, taka drażliwość!

— Ładna delikatność, ładna drażliwość, kiedy ze wszystkich stron popychają cię na ulicy, dorożkarze nie odpowiadają na twe pytanie, a odwracają się, gdy są zajęci, albo nie chcą jechać, przekupnie różne świństwa pod nos ci podsuwają, przed chwilą jeden z tych sprzedawców na ulicy podstawił mi pod sam nos parę kaloszy, proponując kupno, a potem jeszcze uderzył podeszwą o podeszwę prawie przed samą moją twarzą. U nas gniewamy się na naszych sklepikarzy na rynku, zatrzymujących klientów przy drzwiach swych sklepów, a tutaj jeszcze gorzej.

Wypytyując o drogę, małżonkowie dotarli wreszcie do sklepu Luwru i weszli w jedno z jego szeroko otwartych drzwi. Jeszcze przed sklepem zwrócił uwagę ich tłum ludzi, który stał przed wiszącym w drzwiach szyldem nad olbrzymim stołem, głoszącym: „occasion“ t. zn. sprzedaż okazyjna. Mężczyźni i kobiety grzebali w leżącej na stole kupie przeróżnych towarów: wstążek, koronek, chusteczek, wstawek, haftów i czytali przypięte szpilką ceny. Subjekt z ołówkiem za uchem pilnował tylko publiczności i co chwila wykrzykiwał po francusku:

— Ceny wypisane!... Proszę wybierać!... Ceny stałe!... Trzeba było przeciskać się przez ten tłum.

W sklepie też było ciasno. W kilku miejscach widać było szyldy z napisami: kasa nr. 1, kasa nr. 2 i t. d. Towary leżały



na ładach, całemi stosami stały na podłodze, leżały na etażerkach, wisiały na ścianach. Czego tam nie było? Kawalki przeróżnych materji, całe kupy rekawiczek, kobiecych gorsetów, gotowych ubrań, wstążek, obuwia, wokół tego wszystkiego — tłumy publiczności. Naturalnie przeważała płeć piękna. Subjekci i sprzedawczynie, ubrane na czarno, wszyscy z ołówkiem za uchem, zaledwie wydażali odpowiadać na pytania. Jeden subjekt sprzedawał od razu dwum trzem, kupującym. Pomimo olbrzymiego pomieszczenia było gorąco, duszno; brak było powietrza.

— Ale magazyn, machina, pirsza klasa! — pomimo woli wyrwało się Mikołajowi Iwanowiczowi, kiedy małżonkowie znaleźli się w sklepie.

— Czytałam w jednej książce, że tutaj pracuje przeszło tysiąc subjektów i sprzedawczyń — odpowiedziała Głafira Siemionowna, której oczy rozbiegały się poprostu po stosach towarów.

— No, kupuj, co ci potrzeba! Za wejście na wieżę Eifla asygnowałem ci 400 franków.

— Asygnowałeś 500. Bardzo ładnie! Już zaczynasz naciągać... Pięćset, pięćset, bardzo dobrze pamiętam, że pięćset. A nawet zdaje mi się, że sześćset...

— O co ci idzie! Kupuj! Patrz jeden z subjektów uwolnił się troszeczkę od narodu, zapytaj go, o co ci potrzeba.

— Jak to, o co mi potrzeba. Wszystkiego mi potrzeba, ale przedtem muszę się dobrze rozejrzeć. Boże mój, jak tanie są te chusteczki z wieżą Eifla! Po 60 centymów. Co to na nasze pieniądze?Policz no.

— Dwadzieścia dwie, dwadzieścia trzy kopiejki. Ale to nic niewarte. Tandeta!

— Jakto tandeta? Na podarunki doskonałe. Przyjedziemy z zagranicy, więc trzeba krewnym i znajomym coś poprzywozić.

— Kup sobie naprzód suknię porządną. Przecież obiecałem ci suknię.

— Suknia potem. Antande, monsie, kombien kuł se muszar? — zapytała Głafira Siemionowna przebiegającego subiekta z całym naręczem towaru, wskazując na chusteczki.

— Ceny są wypisane! — odpowiedział subjekt, nie zatrzymując się,



— Monsie, monsie! wene sisi. Żewe asze! — zwróciła się do drugiego subiekta, zawijającego coś w papier.

— Ceny są wypisane, madame! Trzeba tylko wybierać... Proszę uprzejmie! — odpowiedział subjekt, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Niegrzeczni są ci futejsi subiekci. Ani jeden nie poruży się nawet. Proszę panów, kto wreszcie sprzedaje? — krzyknęła Głafira Siemionowna po rosyjsku.

Nikt nie odpowiedział. Subjeci zajęci byli każdy swoją pracą, ten zawijał coś w papier, ten coś zapisywał, tamci gdzieś biegli...

— Wybierz sobie, co ci potrzeba, a potem będziemy się targować! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Nie wypada jakoś bez subiekta wybierać sobie!... Wyobrażam sobie, ile tu nakradną przy takich porządkach? — rzekła Głafira Siemionowna i zaczęła grzebać w rozłożonym towarze, co chwila wykrzykując: — Boże mój, jakie to tanie! Przecież za te hafty u nas musielibyśmy dwa razy tyle zapłacić! Patrz, po franku!... To po 40 kopiejek, a u nas za rubla takiej wstawki nie kupisz. Mikołaj Iwanowicz wezmę 6 sztuk.

— Po co to bierzesz? Przecież to tandeta.

— Tandeta? Może i tandeta, ale za to jak tanio? Przecież to prawie za darmo. A te chusteczki kolorowe.

— Po co ci takie chusteczki? Przecież nie będziesz ich nosiła?

— Będę, będę. Przecież jeżeli inni noszą... Ty także powinnaś taką chustkę nosić na szyi, jak idziesz do łaźni. Patrz ten kapelusik wezmę. Patrz: tylko dwa franki. Co prawda z bawełnianych koronek, ale...

— Głasza, przecież nie będziesz nosiła takiego świństwa.

— Ach Boże mój! Podaruję komuś! Ach! jakie tanie rękawiczki! U nas trzy razy droższe... Rękawiczek musimy kupić więcej! Mój numer 6 i $\frac{1}{4}$.

Powoli wybrano całą kupę rozmaitych niepotrzebnych rzeczy. Głafira Siemionowna wskazała na nią subjektowi i rzekła:

— Peie! Il fo peie! Kombien! (Płacić! Ile!)

Subjekt rozłożył towar i zaczął obliczać, spisując poszczególne cyfry na papierku. Razem wypadło 42 franki, 30 centymów.

— Czterdzieści dosyć! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Karant! Asse karant, a resztę powinniście nam ustąpić! Przecież to wszystko tandeta?

— Nous avons des prix-fixes, monsieur!

— Znamy wasze priksfiksy! I przy priksfikсах wszędzie ustępują. Karant i więcej nie dam! Karant!

— Och, non, monsieur!

Subjekt, który już zaczął zawijać wybrany towar w papier, rozwinął go z powrotem.

— Nu prenon, nu prenon! Karant de e trand santim osi! — rzekła Głafira Siemionowna do subjekta i krzyknęła na męża: — Tu się ludzie nie targują.

— Głupstwo! Nawet na tamtym świecie ludzie się targują.

Subjekt zaprowadził ich do kasy.

LV.

Małżonkowie weszli po żelaznych schodach na drugie piętro magazynu, zajęte przeważnie na składy gotowych ubrań męskich i damskich. Nie było tutaj t. zw. „okazji“, nie było też i tłumów. W oddziale ubrań damskich subjekci i sprzedawczynie byli ubrani bardziej elegancko i zachowywali się grzeczniej, niż na dole. Większość subjektów miała na sobie czarne fraki, twarze ich były jakoś specjalnie kwitnące, broda i wąsy starannie wyczesane i wypomadowane; w powietrzu czuć była zapach delikatnych perfum. Wogóle subjekci ci przypominali raczej tanomistrzów: stawali przed kupującymi paniami w jakichś pięknych, napewno wcześniej wystudjowanych pozach, przy odpowiedzi pochylali jakoś specjalnie głowę, jak to czynią konie w maneużu. Sprzedawczynie również nie były zupełnie podobne do pańienek, usługujących na dole. Wszystkie były ubrane wprawdzie na czarno, ale w suknie najmodniejszych ostatnich fasonów. Niektóre miały na głowie eleganckie stroiki koronkowe. Było to coś w rodzaju żywych modeli: służyły one za szyld dla całego oddziału.

Małżonkowie najprzód zwiedzili całe piętro, zanim dostali się do oddziału damskich sukien i „confections”. Głafira Siemionowna zachwycała się na każdym kroku, co chwila zatrzymywała się i kupowała mnóstwo niepotrzebnej tandety. Mikołaj Iwanowicz, który nosił za nią zakupione towary przypominał już jakieś juczne stworzenie. Kiedy znaleźli się wreszcie w oddziale gotowych sukien damskich, Mikołaj Iwanowicz zaczął skarżyć się:

— Dobrzeby gdzieś usiąść! — rzekł, gdyż zobaczył rozstawione tu i ówdzie krzesła. — To mnie tylko powstrzymuje, że w tym głupim Paryżu za posiedzenie na krześle trzeba płacić. Zresztą niech ich wszyscy diabli, zapłaciłbym, tylko nie wiem, ile.

— Siadaj, siadaj! — Możesz tu posiedzieć i odpocząć, bo właśnie przyszliśmy do tego oddziału, gdzie będę dłużej wybierała! — rzekła Głafira Siemionowna. — Właśnie jesteśmy w oddziale gotowych sukien. Widzisz tam w tych szafach! Patrz, patrz, co za cuda! — zawołała nagle, wpadając w zachwyty na widok jakiejś sukni balowej.

W tej chwili jak z pod ziemi wyrosła przed nią wysoka sprzedawczyni w czarnej sukni jedwabnej z olbrzymimi bułami na ramionach, dochodzącymi prawie do uszu i z wielkim kołnierzem a la Marja Antonina. Gdyby nie żółty centymetr ceratowy, zwieszający się przez ramię, możnaby ją naprawdę wziąć za jakąś tragiczną aktorkę w roli królowej.

— Model tej sukni, madame, otrzymał na obecnej wystawie wielki złoty medal! — rzekła po francusku. — To jest ostatnie słowo mody paryskiej...

— Że we en rob de sua nuar! — zwróciła się Głafira Siemionowna do sprzedawczyni. — Chciałabym kupić czarną suknię jedwabną! — wytłumaczyła mężowi.

— Hm!... — mruknął Mikołaj Iwanowicz i położywszy paczki z zakupami na stole, wycierał czoło i twarz chustką od nosa.

Był rzeczywiście strasznie spocony.

— Pokażę pani w tej chwili coś nadzwyczajnego! — rzekła znów sprzedawczyni po francusku i krzyknęła: — Mademoiselle Elise! Madame Peroquet!

Natychmiast podbiegły do niej dwie inne sprzedawczynie na rozkaz jej zaczęły się obracać przed Głafirą Siemionowną, jak manekiny.

— Niech pani wybierze fason, madame... Ten, czy ten? — mówiła sprzedawczyni po francusku, wskazując na obie suknie się jej koleżanki. — A to jest trzeci fason! — dodała i zaczęła się powoli okręcać przed Głafirą Siemionowną.

Głafira Siemionowna zrozumiała, o co chodzi, lecz nie mogła się zdecydować na fason.

— I seř bien, i seř bien! — odpowiedziała. — Seř osi bien... Il fo regarde trua fason.

— Bardzo proszę... Pani będzie łaskawa spocząć... Czy to pani małżonek? — wskazała na Mikołaja Iwanowicza.

— Wuj, mon mari!

Sprzedawczyni zaproponowała krzesło Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Proszę usiąść... Prawdopodobnie będzie pan musiał posiedzieć dłużej... kobiety wogóle nie prędko decydują się na wybór kostjumu. Żeby się panu nie nudziło, proszę ostatni numer „Figaro“. Proszę uprzejmie!



— Miersi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, ciężko usiadł na wskazanem krześle i otwierając podany mu numer gazety francuskiej, zaczął przeglądać go, udając, że coś rozumie.

W trakcie tego sprzedawczyni wyciągała z szaf suknie, pokazywała je Głafirze Siemionownie i trajkotała bez ustanku, lecz Głafira Siemionowna ciągle była niezdecydowana.

— Że we z frendzelkami... Komprene? Z takimi frendzelkami... Garni awec frendzelki... — starała się objaśnić. — Awec frendzelki e osi awec pasmatri.

— Proszę pani, kto teraz nosi takie rzeczy?

— Non, non... Że wiu o teatr. Dużo, dużo, boku pasmanteri. Boku.

— Mademoiselle Goudin! — znów zawołała sprzedawczyni.

Zjawiła się czwarta niewysokiego wzrostu, korpulentna paniusia. Wskazując na nią, główna sprzedawczyni wyjaśniła Głafirze Siemionownie po francusku: — Oto ostatnie słowo mody w dziale przybrania dżetowego. Figura p. Gaudin przypomina nawet troszkę pani figure, mademoiselle ma taki sam piękny biust, jak i pani. Gdybyśmy jeszcze więcej dodali siutaziu i dżetów, wyglądałoby to na przesadę i kompromitowałoby firmę. Powinna pani przymierzyć tę sukienkę. Voyons, madame... Aylez la bonte de venir ici.

Sprzedawczyni przerzuciła suknie przez ramię i zaprosiła Głafirę Siemionownę za parawan do przymiarki. Kiedy Głafira Siemionowna znalazła się za parawanami, sprzedawczyni wybiegła stamtąd i rzekła uprzejmie do Mikołaja Iwanowicza:

Monsieur może przysunąć krzesło do parawanu i rozmawiać z madame, żeby zbytnio nie nudziło mu się.

Naturalnie było to powiedziane po francusku, więc Mikołaj Iwanowicz nic nie rozumiał i patrzył na sprzedawczynię, jak wół na nowe wrota. Ta, widząc, że gość jej nie rozumie, zaczęła go zapraszać gestami i nawet postawiła drugie krzesło przy samym parawanie. Mikołaj Iwanowicz pokręcił głową ze zdziwienia i przesiadł się. Sprzedawczyni weszła za parawan i tam w dalszym ciągu trzeszczała bez ustanku.

— Głasza! Czy ty chociaż kropelczkę rozumiesz z tego, co ona trzeszczy? — zapytał żony Mikołaj Iwanowicz.

— O to właśnie chodzi, że bardzo mało rozumiem, ale czuje, że chce mnie zagadać.

— Właśnie, właśnie... Mnie się też zdaje, że ona chce cię zagadać. Nie poddawaj się bardzo. Jeszcze jedno chciałem cię prosić, przecież to taki magazyn, gdzie wszystko jest. Wszystko mają. Możebyś się zapytała jej, czy nie ma tu czego do wypicia? Okropnie mi się chce coś wypić.

— Nie wypada jakoś... — odpowiedziała Głafira Siemionowna z za parawanu. — Widzisz, w magazynie mód...

— Przecież w tym sklepie sprzedają i wino! Sam widziałem. Co prawda nie widziałem, żeby pili, ale na butelki. Więc możeby mi sprzedali buteleczkę czerwonego wina. Czego się nie robi dla dobrego kupującego, Przecież kupimy tutaj nie za jeden grosz. Zapłacimy im porządnie... Zapytaj, Głasza!

— Język mi odmawia posłuszeństwa. Zlituj się, przecież to nie szynk.

— Więc co z tego? W Petersburgu kiedyś w składzie sukna posyłał dla mnie po piwo, kiedy zobaczyli, że kupuję za przeszło sto rubli.

— Pocierp trochę. Potem dwa razy tyle się napijesz. Nie będę ci przeszkadzała.

— Oj dola moja dola! Najedliśmy się w domu wedlin i sera i teraz w ustach mam jakąś pianę z pragnienia! — westchnął Mikołaj Iwanowicz i rozwinawszy ponownie „Figaro“, wetknął weń nos.

LVI.

Minęło przeszło pół godziny, a Głafira Siemionowna wciąż jeszcze przymierzala suknie za parawanem. Mikołaj Iwanowicz zaczął już ziewać a nawet drzemać troszeczkę.



— Głasza! Prędko tam skończysz?

— Jaktó prędko? Nie mogę jakoś wybrać doład fasonu. Głównie rozchodzi się o to, że sprzedawczynie mnie nie rozumie, a ja jej. Wszystkie słowa, dotyczące strojów kobiecych, znam doskonale, a jednak tu w Paryżu są widać jakieś specjalne słowa, których nas nigdy nie uczyli. — tłumaczyła Głafira Siemionowna z za parawanu.

— W takim razie to, może, i za godzinę nie skończysz z tym fasonem?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem... Wybiorę sobie suknię, a potem będę musiała wybrać jakiś płaszczyk. Chciałabym kupić taki płaszcz do teatru, a oprócz tego potrzebuje kapelusz... Przecież nie mogę być w Paryżu i nie kupić kapelusza modnego.

Mikołaj Iwanowicz podrapał się po głowie.

— Wiesz, to może jabym się przeszedł po magazynie i poszukał wczorajszego rodaka. On też napewno chodzi i szuka nas. Pójdę poszukam go.

— Mikołaj Iwanowicz, ja się boję tu sama.

— Czego się masz bać? Przecież ja wrócę. Zostawie przy tobie wszystkie paczki, weź je tam do siebie za parawan.

Mikołaj Iwanowicz wstał z krzesła i zaczął spacerować po magazynie. Po przejściu kilku oddziałów w samej rzeczy natrafił na rodaka, który kupował sobie palto nieprzemakalne.

— Ach, kochany panoczek! Gdzie to się pan podziewał? A ja pana szukałem, szukałem i nie mogłem znaleźć! — rzekł rodak na widok Mikołaja Iwanowicza.

— Żona wlaźła do oddziału damskich sukien i utknęła tam na długo. Siedzi za parawanem i wybiera fasony. Z babami zawsze kłopot, wie pan... Rodaku! A możebyśmy tak poszli coś wypić? Mam śmiertelne pragnienie. Wróćmy za pół godziny...

— Pójdziemy, pójdziemy! Akurat naprzeciwno sklepu jest kawiarnia.



Rodak nie znalazł odpowiedniego palta, więc wkrótce Mikołaj Iwanowicz razem z nim znalazł się w kawiarni.

— Przelknijemy chyba po kufelku piwka? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Po co piwka? W Paryżu trzeba pić czerwone wino! — odpowiedział rodak i zamówił butelkę wina.

Trącili się. Zaczęto mówić o tem, jak spędzić wieczór i gdzie zjeść obiad.

— Wieczorkiem dobrze byłoby wyszukać jakiś zakładzik w guście, wie pan, pikantniejszym... Coś zajmującego, coś naprawdę takiego, wie pan, z jakimiś dziewczynkami śpiewającymi... — mówił Mikołaj Iwanowicz, uśmiechając się i mrużąc na rodaka. — Przecież są chyba takie zakłady w Paryżu.

— Naturalnie, że są! Jest dużo takich zakładów, ale z żoną jakoś nie bardzo panu wypada... Żona przeszkadza panu! — odpowiedział rodak.

— Wiem o tem doskonale, ale żona moja pod tym względem nie jest bardzo tchórzliwa.

— To i co z tego? Może być nawet bardzo nietchórzliwa, ale co pan będzie robił w jej obecności, w takim zakładzie ze śpiewającymi dziewczynkami, jak pan mówił.

— Naturalnie...

— Kto do Paryża przyjeżdża z żoną? Ech! Z żoną jest pan ciągle jakby w charakterze urzędowym, ciągle jak na służbie... W ten sposób nie może pan poznać Paryża. Ech, żeby nie to, tobym panu pokazał Paryż.

— Naturalnie...

— I kto to pana namówił, żeby do Tuły jeździć ze swoim własnym samowarem?

— Nie rozumiem! O czem pan mówi?

— Przecież do Tuły, gdzie są największe fabryki samowarów, nikt nie jeździ ze swoim samowarem, więc i do Paryża nikt ze swoją babą nie jeździ, bo tu i tak jest ich za dużo.

— A, tak, to pan o tem... ma pan rację. Trudno jednak.

Wziąłem jarzmo na szyję, muszę go nosić. A gdziebyśmy dzisiaj obiad zjedli? Pan przecież zna dobrze Paryż?

— Naturalnie, że znam. Jestem już tu po raz drugi.

— Możebyśmy gdzie poszli, gdzie karmią, wie pan, tak naprawdę, bo te tutejsze obiady... strasznie jakieś rzadkie.

Rodak zamyślił się.

— Jedli już państwo w jakiej pasztecarni? — zapytał Mikołaja Iwanowicza.

— Co za pasztecarnia?

— Wie pan, takie nieduże garkuchnie, gdzie pieką wszystko na rożnach. Coś w rodzaju sklepu gastronomicznego. Wybierzemy sobie po kawałku jakiegoś mięsa, czy ptaka i taki specjalista odrazu w naszych oczach upiecze to dla nas.

— Wie pan, że to niezły pomysł. Możemy wybrać odrazu coś większego i raz przynajmniej najeść się porządnie, bo wie pan, w tych tutejszych restauracjach te ich porcje czasami są nie większe od dzioba kurzego. A można kazać upiec całego indyka?

— Całą świnię panu upieka, jak pan każe.

— Doskonały pomysł! No, a teatr. Jaki teatr? Żeby coś zabawnego, wie pan...

— A byli już państwo w amerykańskim cyrku? Widzieliście woltyżerkę i walki dzikich Indian?

— Skąd? Przecież dopiero trzy dni, jak przyjechaliśmy do Paryża.

— Jedźmy w takim razie do cyrku. To za miastem...

— A więc zjemy indyka w pasztecarni, a potem do cyrku na Indian! Doskonale!

Wypiwszy butelkę czerwonego wina, rodacy wrócili z powrotem do sklepu.

Głafira Siemionowna w dalszym ciągu wybierała coś za parawanem.

— Głasza! Jesteś tam jeszcze?

— Jestem, jestem!... Wyobraź sobie, że dotąd jeszcze nie mogę się zdecydować na fason! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, wychodząc z za parawanu.

LVII.

Ostatecznie Głafira Siemionowna straciła na wybór prawie cały dzień. Było już około czwartej, kiedy zdecydowała się nareszcie. Wybrała: wspaniałą gorset, pelerynę balową, dwie suknie jedwabne, kapelusz. Ponieważ, jak już wiemy, Głafira Siemionowna miała figurę dość zażywną, przeto gotowe suknie nie zupełnie pasowały na nią i potrzebne były małe poprawki. Sprzedawczynie obiecały na drugi dzień przysłać wszystko do hotelu razem z zakupionymi poprzednio drobiazgami. Mikołaj Iwanowicz zapłacił rachunek i zaczął spieszyć się na obiad.

— Jedźmy prędko na obiad! Strasznie jestem głodny. Chciałbym chociaż raz w Paryżu zjeść obiad, jak się należy. Po rosyjsku. A nie jak zwykle dopiero o siódmej wieczorem. Co to za obiad? To kolacja, a nie obiad! Widzisz, Glasza, pan rodak tu nam rekomenduje taki... sklep gastronomiczny z rozmaitemi specjalnościami, pieczonemi na różnie, gdzie można zjeść dużo i dobrze.

— Jakto? Sklep gastronomiczny? Czyś ty zwarjował?
— zdziwiła się Głafira Siemionowna.

— Niech pani nie boi się samej nazwy! — tłumaczył rodak. — Zobaczysz pani, że to zupełnie coś innego, niż u nas. Można obejrzeć surową prowizję, wybrać sobie, co się podoba i natychmiast to wszystko pani usmażą, czy ugotują. Jedźmy! Możemy jechać omnibusem.

Po wyjściu ze sklepu małżonkowie z rodakiem siedli do omnibusu i po kwadransie wchodzili już do pasztecjarni.

Pasztecjarnia składała się z wielkiej sali z mnóstwem małych stolików marmurowych. W głębi widać było dwa



ogromne kominy: w kominach tych na rożnach mechanicznych piekło się mięso, pulardy i zwierzyzna. Kapiący na węgle tłuszcz napelniał wnętrze sali czadem. Przy samych kominach było aż ciemno od czadu i białe kurtki i berety kucharzy na tle płonących węgli w kłębach dymu wyglądały naprawdę imponująco. Coś syczało, trzeszczało, skrzypiała wentylacja, słychać było szcęk talerzy. Pod jedną ścianą na ladzie była prawdziwa wystawa prowizji: leżały surowe oskubane już indyczki, pulardy, gęsi, olśniewające swą białością, przybrane koronkami z wyciętego i ufryzowanego papieru; leżało mięso w koronkowych papilotach, cielece, ćwiartki baranie, ubrane również kwiatami z rzepy, z marchwi, z buraków...

Kiedy małżonkowie weszli do pasztecjarni przy stolikach marmurowych, pomimo wczesnej jeszcze, jak na Paryż, pory obiadowej, siedziało już około trzydziestu osób, piło i

jadło. Usługiwały kobiety w brązowych sukniach, białych fartuchach i czepkach.

Głafira Siemionowna, wszedłszy, zmarszczyła nos i rzekła:

— Jak tu czuć czadem.

— Widzi pani, prawdziwi znawcy ten czad właśnie uważają za największy przysmak.

— Bo to naprawdę przyjemnie, jak się człowiekowi chce jeść! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — W tej chwili właśnie jestem taki głodny, że sam bym zjadł całą gęś.

— Zjemy! Tutaj, proszę mi darować, tylko żarłoki chodzą! — rzekł rodak.

Zbliżyli się do wystawy z prowizacją i zaczęli oglądać leżące na marmurowej ladzie mięso i ułożone w esy floresy, ptactwo na liściach kapuścianych. Uwagę Mikołaja Iwanowicza zwróciła olbrzymiego wzrostu gęś hiszpańska.

— Patrz, co za gęś! Krokodyl, a nie gęś! Możeby nam tę gaskę usmażyli?

— Przecież pan mówił o indyczce? — odpowiedział rodak. — Oto indyczka, przypominająca hipopotama.

— Księżę oczy, popie gardło, co zobaczy, toby żarło! I na indyka mam apetyt i do tej gaski czuję pociąg prawdziwy! — oblizywał się Mikołaj Iwanowicz. — Głafira Siemionowna! A możebyśmy tak zamówili i gęś i indyczkę?

— Mikołaj Iwanowicz! W trójkę nie damy rady.

— Nie wiem, jak ty, ale ja w ciągu mego pobytu za granicą tak się wygłodziłem, że mógłbym zjeść całego wieprza. Zmiluj się, te porcje wielkości dziesiątki miedzianej! A zresztą, gdybyśmy nawet nie zjedli, to co? Głowy nam za to nie zetną.

— Możecie państwo zjeść pół indyka i pół gęsi, a resztę kazać sobie zawinąć w papier i wziąć do domu! — zauważył rodak.

— Doskonały pomysł! Czego nie dojemy, zabieramy na kolację do domu! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zwracając się do stojącego obok przystojnego wąsacza-kucharza, rzekł: — Le gęś i set indyczka pur nu i żeby wszystko było tre bien!

Rodak wytłumaczył kucharzowi, jak się należy, po francusku.

— Naprawdę panie? Na trzy osoby? — pytał po cichu kucharz, wytrzeszczając oczy.

— To co, że na trzy osoby? Że pur trua? Co nie zjemy, weźmiemy ze sobą! — odpowiedział Mik. Iwanowicz. — Ale myślę, braciszku, że niewiele weźmiemy. Poczekaj, poczekaj!... — zatrzymał kucharza, który zdjął już z marmuru gęś i indyczkę i chciał iść ku kominom. — Ancor la wiand... Mięsa trzeba trochę... Przecież nie można zupełnie bez mięsa...



— Daj spokój, Mikołaj Iwanowicz! Nie damy rady! — zwróciła mu uwagę Głafira Siemionowna.

— Mamusiu, tak się wygłodziłem w tym Paryżu... Jak pan myśli, panie rodaku, możeby jeszcze tak kazać sobie usmażyć ten mostek ciełący?

— Mostek ciełący, gęś, indyk! Naprawdę nie damy rady...

— Nie wiem, jak wy, ale ja dam. Cieszę się naprawdę, że nareszcie dostałem się do prawdziwego jedzenia.

— Dosyć, dosyć. Teraz musimy się zapytać, jaką zupę mają dzisiaj.

— A może tak kapuśniaczek?

— Nie, nie! Tego w Paryżu nie dostanie pan za żadne pieniądze. Jaką zupę macie dzisiaj? — zapytał rodak kucharza i otrzymawszy odpowiedź, wytłumaczył: — Tylko buljon i zupę z zielonego groszku. Jak państwo chcecie, ale ja uważam, że przy gęsi i indyku wystarczy filiżanka buljonu.

— A ja zupę grochową!... Mosie kucharz, dla mnie zupa piure... On — buljon, a że — piure! — tłumaczył kucharzowi Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Zawsze zupa grochowa — sytniejsza. A więc: le indyk, le gęś i zupa piure i buljon. Ach, stój, czekaj! Ankor salata! Boku salaty.

Z góry delektując się smacznym obiadem, Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się i zatarł ręce z zadowoleniem.

— A winka czerwonego dadzą nam tutaj, panie rodaku? — zapytał.

— Ile pan chce. A zamiast wódki, napijemy się koniaku! — odpowiedział rodak.

LVIII.

Kiedy małżonkowie z rodakiem zasiedli przy stole, podbiegła do nich mile uśmiechnięta kobieta w brązowej sukni, białym fartuchu, białym czepku i zaczęła rozstawiać talerze na stole.

— A obrus? A obrus gdzie? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Tutaj nie dają serwet! — odpowiedział rodak. — Czysty biały stół marmurowy jest lepszy, niż brudna serweta. Hygiena i czystość! Niech pan się przyjrzy dobrze talerzom. Takim talerzem można doskonale wbijać gwoździe w ścianę. Niech pan patrzy, jaki gruby.

— Koniak, madam, koniak!... Aporte!... — popędzał kelnerkę Mikołaj Iwanowicz.

— Koniak? Teraz? — zapytała zdziwiona kelnerka po francusku. — Przecież panowie chyba najpierw coś zjedzą?

— Tak, tak... To po rosyjsku! — wytłumaczył jej rodak. — W Rosji zawsze pije się mocne trunki przed jedzeniem a nie po jedzeniu. To poprawia apetyt. Proszę przynieść karafkę koniaku i porcję sera.

Przyniesiono koniak. Mężczyźni zaczęli pić. Służba w paszteciiarni obserwowała ich z daleka i wzruszała ramionami, spoglądając na siebie i wskazując oczami na gości. Podano zupę. Nasi panowie wypili po koniaczku i przed zupą. Widząc to, służba o mało nie parsknęła śmiechem; wszyscy odwrócili się, wstrzymując się z trudem od śmiechu. Zauważył to Mikołaj Iwanowicz.

— Co oni za miny wyprawiają? — zapytał rodaka.

— Francuzi nie piją koniaku przed jedzeniem. Tutaj zawsze pije się koniak po jedzeniu i dlatego te usługujące paniusie tak patrzą się na nas i dziwią się.

— Idiotki! Jest na co patrzeć!

Wreszcie zjawiły się indyk i gęś, dopiero co zdjęte z różnów, syczące jeszcze w własnym tłuszczu, rozszerzające wspańiałe, rozpalające apetyty, zapachy. Niosły je dwie kobiety na dwóch półmiskach. Z tyłu siedł kucharz z nożami za pa-



sem i z olbrzymią salaferą z sałafą. Kobiety i kucharz mieli uśmiechnięte gęby od ucha do ucha. Kucharz nie wytrzymał i rzekł po francusku:

— Zobaczymy, panowie!... Trzeba mieć dobry apetycik, ażeby to wszystko zjeść.

Głafira Siemionowna westchnęła gniewnie:

— Ach, jak ja nie lubię mieć z pijakami do czynienia!

— A czy ja jestem pijany, czy co? Czyśmy wogóle coś pili? Czy to głupstwo, cośiny wypili, można nazwać wogóle piciem?

Nastąpiła pauza.

— Proszę cię tylko, Mikołaj Iwanowicz, nie zadawaj się bardzo z tymi dzikimi! — znów zaczęła Głafira Siemionowna. — Znam cię dobrze i wiem, że jak masz muchę w głowie, to i z dzikimi będziesz pił. I co tutaj w tym Paryżu za moda na tych dzikich. Miasto z wyglądu dosyć wykształcone, a gdzie się nie ruszysz, wszędzie dzicy i dzicy.

— Wystawa, proszę pani! Narody zjechały się z całego świata! — odpowiedział rodak. — Europejczycy już znudzili się a dzicy — nowość. W samej rzeczy tu w Paryżu wielka moda na dzikich.

Rozmawiając w ten sposób, doszli do stacji. Pociągi kolejki okólnej odchodziły co kwadrans, więc nie musiano długo czekać. Rozległ się dźwięk trąbki, obwieszczającej zbliżanie się pociągu, zaturkotały koła i pociąg, sycząc parą, zajechał przed stację. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i rodak szybko weszli do małego wagonu i zajęli miejsca. Dźwięk trąbki i pociąg znów ruszył. Szedł powoli, co pięć minut zatrzymywał się na stacjach, wpuszczając i wypuszczając pasażerów. Małe wagony i częste zatrzymywania się na małych stacjach poprawiły humor nieco rozgniewanej już Głafiry Siemionowny, gdyż uśmiechnęła się i rzekła:

— Ten cały pociąg, to jak zabawka dla dzieci.

— Pociąg ten krąży naokoło całego Paryża i obejmuje go jak pas, dlatego też nazywa się „pasem“ („ceinture“). — objaśniał rodak. — Pociąg ten nie ominie żadnego z przedmieść. Musimy się jednak przygotować do wyjścia, gdyż na następnej stacji schodzimy. Przygotujcie się państwo!

— Co za przygotowania? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Przekasę mamy, a coś do picia znajdziemy tam na miejscu — rzekł, pokazując paczkę z resztkami ptactwa. — Nie gniewaj się, Głasza, ale muszę poczęstować kawałkiem gęsi jakąś dziką babę indyjską. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak dzicy ludzie jedzą.

Głafira Siemionowna machnęła ręką i odwróciła się.

Pociąg zatrzymał się.

Towarzystwo nasze wyszło na platformę, całkowicie oblepioną olbrzymimi afiszami, głoszącymi o wielkiem wojennem przedstawieniu trupy czerwonoskórych Indian i białych amerykańskich cowboyów. W czterech kątach afisza były farbami wymalowane ucięte głowy, nadziane na piki. Chłopcy w olbrzymich czapkach reklamowych sprzedawali programy przedstawienia, wymachując nimi i wykrzykując po francusku:

— Specjalne przedstawienie! Spieszcie się, spieszcie się państwo! Tylko siedem dni w Paryżu! Nadzwyczajne przedstawienie! Prawdziwi Indianie! Spieszcie się państwo!

LX.

Prowadzeni przez rodaka małżonkowie wyszli po schodach na jakąś ulicę, przeszli przez jakiś plac i wkrótce weszli do ogrodu. Przy wejściu wzięto od nich po franku. Ogród składał się z dużych trawników, słabo porośniętych drzewami i krzakami. Tu i ówdzie widać było wśród krzaków stożkowate szałas Indian. Z niektórych stożków wydobywały się kłęby dymu. Przed szałasami bawiły się półnagie dzieci o brązowych twarzach i długich, czarnych jak wrona, prostych jak druty, włosach. Na jednym z trawników szczypał trawę chudy bawół; przy jednej z chatek był przywiązany na sznurku pies. Wszystko było jaskrawie oświetlone gazem.

Zdała dochodziły dźwięki orkiestry.

— Trzeba się pospieszyć, w cyrku przedstawienie już rozpoczęło się! — rzekł rodak.

Minęli jaskrawie oświetlony namiot z napisem „Restaurant“.

— O! i mamy gdzie wypić! Doskonale! — zauważył Mikołaj Iwanowicz. — Panie rodaku! Czy nie ma tu jakiegoś specjalnego dzikiego napoju? Chciałbym spróbować coś dzikiego. Przecież Indianie nie wierzą w Mahometa, więc wolno im łyknąć od czasu do czasu coś mocniejszego?

— To już potem, potem. Chodźmy teraz do cyrku prędzej! Widzi pan, publiczności już niema w ogrodzie, wszyscy już siedzą w cyrku.

Ukazał się wielki parkan drewniany, za którym znajdował się cyrk.

W parkanie były okienka kas, gdzie sprzedawano bilety. Musiano znów zapłacić. Za pierwsze miejsca wzięto po dwa franki i całe towarzystwo zajęło miejsca.



Wydobył z za pasa olbrzymi nóż, zapytał się, czy ma rozebrać ptaki i otrzymawszy potakującą odpowiedź, rozebrał je w sposób rzeczywiście artystyczny. Mikołaj Iwanowicz zabrał się do gęsi, Głafira Siemionowna i rodak rzucili się na indyka.

— Dobrze usmażyli, co? — z tryumfem zapytał rodak.

— Cudownie! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz z zapanowanymi ustami.

Kucharz i usługujące kobiety stali w pewnem oddaleniu i ciekawie przyglądali się jedzącym, uśmiechając się i szepcząc pomiędzy sobą. Koło kucharza stały już nie dwie kobiety, a zebrało się ich pięć, czy sześć. Widać było, że cała ta grupa sprzecza się pomiędzy sobą, czy cudzoziemcy zjedzą wszystko, czy nie. Ale jedzenia było za dużo. Pierwsza odsunęła od siebie talerz Głafira Siemionowna. Wkrótce po niej przestał jeść rodak. Najdłużej wytrzymał Mikołaj Iwanowicz, który jadł jeszcze przez czas jakiś, kładąc kolejno do ust to kawałek gęsi, to kawałek indyka, lecz wreszcie i on otarł usta serwetą i rzekł:

— Assel! Teraz wien róż. Teraz pobawimy się czerwonym winkiem. To rozumiem! To był obiad! Prawdziwy obiad! — rzekł zadowolony. — Dziękuję, rodaku, że pokazałeś pan nam takie miejsce, gdzieśmy się mogli najeść porządnie.

Wziął go za rękę i potrzęsął.

Wśród służących i kucharzy można było zauważyć poruszenie.

— Mówilem, że to jest za trudne! — rzekł kucharz-wasacz i otrzymał od drugiego kucharza jakąś srebrną monetę.



Widocznie kucharze założyli się pomiędzy sobą i kucharz-wasacz wygrał zakład.

Rodak zawołał na usługującą kobietę i wytłumaczył jej, żeby zawinęła w papier resztki jedzenia, co ta spełniła. Podając na stół pakiet z resztkami, rzekła po francusku:

— Państwo w trójkę nie zjedli połowy dwóch ptaków, a dwa miesiące temu był u nas jeden Anglik, który sam zjadł dużą gęś.

Rodak natychmiast przetłumaczył małżonkom to, co powiedziała kelnerka.

— Co to znaczy? Jabym też zjadł całą gęś, gdybym po obiedzie mógł zdrzemnąć się ze dwie godziny, tymczasem my musimy zaraz iść do teatru! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, nalewając sobie i rodakowi czerwonego wina. — No wypijmy na cześć zjedzonej gęsi. Porządna była nieboszczka! Trąćmy się, rodaku.

— Bardzo chętnie. Musimy jednak uczcić również i indyka, właściwie indyczkę... Też była wielkich zasług nieboszczka...

— Na cześć gęsi i indyczki!... Dzięki nim po raz pierwszy najadłem się zagranicą.

Mikołaj Iwanowicz i rodak tręcili się i pociągęli z kielichów.

LIX.

Już zrobiło się ciemno, kiedy kompania nasza skończyła swój obfity, choć mało urozmaicony obiad. Mikołaj Iwanowicz i rodak wypili sporo wina i mieli różowe humory. Mikołaj Iwanowicz chciał pić jeszcze, lecz rodak powstrzymał go.

— Dosyć, dosyć! Czas już iść do cyrku na przedstawienie Indian. Możemy się spóźnić! — rzekł. — Do cyrku kawałek drogi. Trzeba jechać za miasto. Pojedziemy tam koleją żelazną, ale i do stacji kawałek drogi. A co do wypitki, to przecież i w cyrku możemy...

Zabrali ze sobą resztki gęsi i indyczki i ruszyli ku stacji, do której naprawdę trzeba było iść kilkanaście minut.

— Czy to naprawdę dzicy Indianie, ci, którzy będą dawali przedstawienie? — zainteresowała się Głafira Siemionowna.

— Dzicy, dzicy! — odpowiedział rodak. — 250 koni, 200 jeźdźców, bawoły, psy, masa kobiet i dzieci, a wszystko to strzela, walczy... Mówią, że niektóre Indjanki są bardzo przystojne! — dodał i pchnął łokciem Mikołaja Iwanowicza, migając nań okiem, lecz natychmiast przypomniał sobie, że idzie z nimi i Głafira Siemionowna, więc umilkł.

Mikołaj Iwanowicz w odpowiedzi też dał kułaka w bok rodakowi.

— Psf... Samowar idzie... — rzekł przypominając powiedzenie rodaka, że do Tuły nie jeździ się z własnym samowarem.

— Co za samowar? — zapytała Głafira Siemionowna, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Tak... Tak sobie... O co ci chodzi? My tak pomiędzy sobą.

— Zdaje mi się, żeś za dużo wypił koniaku i już zaczynasz? Co za samowar zobaczyłeś?

— Masz tobie... Już pojechałaś... Teraz cię już nie zatrzymam, wiem.

Przedstawienie już się zaczęło. Na arenie pod otwartym niebem galopowało na gorących choć niepokąźnych konikach około dziesięciu ludzi w szarych kapeluszach z szerokim rondem, w kolorowych koszulach, z karabinami na plecach. Wykrzykiwali głośno, wymachiwali arkanami i ścigali uciekającego przed nimi konia. Po trzech kręgach naokoło areny, jeden z cowboyów zarzucił lasso na konia i zatrzymał go. Schwytyany koń wyrwał się, stawał dęba, wyrzucał kopytami. Zarzucono drugie lasso i trzecie i zwałono go na ziemię.

— Czy oni przedstawiają rozbójników? — zapytała rodaką Głafira Siemionowna.

— Myśliwych w stepach amerykańskich. Schwytyli dzikiego konia, powalili go a teraz nakładają mu uzdę.

Za dekoracją, wyobrażającą wzgórza i rozrzucone na nich domki wioski amerykańskiej, nagle rozległy się dzikie okrzyki. Myśliwi, zajęci dotąd ujeżdżaniem dzikiego, po raz pierwszy — rzekomo — dosiadanego konia, porzucili go, wskoczyli na konie i znów zaczęli galopować po arenie. Krzyki za wzgórzami wzmocniły się, zmieniły w wrzask i wreszcie z poza wzgórz ukazali się galopujący na nieosiadłanych koniach Indianie z powiewającymi długimi włosami i przerzuconymi przez plecy pasiatami płaszczami. Indianie ścigali myśliwych.

— Oto rozbójnicy! Rozbójnicy - Indianie! Napadają na myśliwych! Patrzcie państwo, ścigają ich! — objaśniał rodak.

Rozległy się wystrzały, szczęk broni, kilku jeźdźców spadło z koni. W dymie prochowym Indianie i myśliwi zmieszali się w jedną kupę. Kiedy dym nieco przerzedził się, myśliwi mieli już związane ręce, Indianie uprawdzali ich wraz z końmi za dekorację, wyobrażającą wzgórza z wioską. Na koniu jednego z Indian, pomiędzy szyją końską a jeźdźcem - Indianinem, leżał myśliwy z zwieszonymi rękami i nogami. Inny Indianin ciągnął za sobą innego myśliwego na arkanie.

— Do widzenia, panowie myśliwi! Indianie zwyciężyli i teraz zrobią sobie z was pieczonkę! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Czy naprawdę ich zjedzą? — zapytała pośpiesznie Głafira Siemionowna.

— A jak chciałeś? Zname rzeczy! Przecież to ludożercy. Z jednej nogi zrobią befszytk, z drugiej kotlety, z trzeciej sznycle jakieś... — żartował Mikołaj Iwanowicz.

— Nie żartuj! Czy ich naprawdę będą jeść?

— Nie, nie! Przecież to tylko przedstawienie. Ktoby im pozwolił w Paryżu zajmować się ludożerstwem! — uspakajał Głafirę Siemionownę rodak.

— Naturalnie... Bo ja już myślałam...

Skończyła się pierwsza część przedstawienia. Pomiedzy

rzędami zaczęli przebiegać kelnerzy z tacami, proponując publiczności piwo, karafeczki z koniakiem, owoce i kanapki. Chodził również chłopiec - Indianin w niebieskich spodniach z lampasem złotym, w narzuconym na ramiona kocu pasiastym i proponował publiczności zlepione kawałki jakichś osmażonych w cukrze ziaren różowych, mruczając coś po angielsku. Zresztą w przemówieniu tem można było zrozumieć także pewne słowa francuskie: „vingt centimes”. Zatrzymał się również przed naszymi małżonkami i wciskał im po kawałku.

— Czy to do jedzenia? — pytał Mikołaj Iwanowicz. — Powiedz mi, czy to do jedzenia? Manże?

Chłopiec nie zrozumiał i powtarzał ciągle: „vingt centimes”.

— Naturalnie że do jedzenia! — odpowiedział za niego rodak. — Widzi pan, wszyscy jedzą. To coś amerykańskiego. Trzeba spróbować.

Kupił kawałek, odgryzł, rozżuł i wypluł.

— Bez żadnego smaku! — rzekł.

Spróbowali również małżonkowie i też wypluli.

— Wie pan, to dzikie przedstawienie zupełnie nie jest interesujące! — rzekła Głafira Siemionowna, ziewając i zasłaniając usta ręką. — Nudy!

— Konie jednak pełne temperamentu... Indianie jeżdżą znakomicie, są zręczni... Przecież to są rzeczy bardzo interesujące! — odpowiedział rodak.

— Daj pan spokój... Nasi kozacy takie sztuki jeszcze lepiej na koniach potrafią! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

LXI.

W samej rzeczy przedstawienie Indian było jednostajne i niezajmujące. W pierwszej części Indianie ścigali myśliwych, napadali na nich i bili się z nimi, w następnej części robili to samo, napadając na furgon z emigrantami europejskimi. Głafira Siemionowna ziewała coraz szczerzej, ziewał również Mikołaj Iwanowicz, nie pozostawał za nimi w tyle i rodak.

— Chodźmy lepiej pospacerować po ogrodzie, podejdziemy do domków Indian, zobaczymy, jak oni żyją! — rzekł wreszcie Mikołaj Iwanowicz! — Nie warto tutaj dłużej patrzeć. Ciągłe jedno i to samo. Napatrzyliśmy się dosyć. Ponadto w ogrodzie mamy restaurację... Wstawaj, Głazza.

— Naturalnie, że lepiej pospacerować po ogrodzie! — zgodziła się Głafira Siemionowna, wstając z miejsca.

Wstał również bez słowa sprzeciwu i rodak. Cała trójka wyszła z cyrku i skierowała się ku domkom indyjskim.



W szałasach indyjskich gotowano kolację. Pozostałe w domu kobiety przygotowywały jedzenie dla swoich mężów, galopujących w tej chwili na arenie. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i rodak podnieśli filcową zasłonę i weszli do jednego z szałasów. Z początku nic nie widzieli w dymie. Na środku paliło się ognisko na ziemi, a nad ogniskiem wisiał kociołek z gotującą się kaszą. Przy ognisku siedziały w kucki dwie kobiety: stara i młoda. Stara mieszała drewnianą łyżką kaszę w kotle, młoda, mając w ręku niewielki nożyk w kształcie sierpa, krajała mięso na drobne kawałeczki, przyczem czyniła to wprost na ziemi na udeptanej trawie. Obie kobiety miały tylko na sobie krótkie i nadzwyczaj wąskie spódnice w pasy i brudne koszule bez rękawów. Nogi miały bose. Stara miała nadto głowę obwiązaną kolorową chustką, młoda nie miała nic na głowie, za to na szyi nosiła kilka sznurów paciorków kolorowych. Widząc wchodzących cudzoziemców, kobiety zaczęły mówić coś do siebie gardlanem narzeczem. Wreszcie młoda strzeliła okiem w stronę Mikołaja Iwanowicza, podniosła się z ziemi, podeszła do niego, oparła mu ręce na ramionach i uśmiechnęła się.

— Mosie... Aszete absant... Aszete absant pur nu... — rzekła i zaczęła pieszczotliwie klepać Mikołaja po policzkach.

— Odejdź! Precz odemnie! — machał Mikołaj Iwanowicz rękami i cofał się.

Lecz kobieta nie dała za wygraną. Chwyciła go za ręce i zaczęła przyciągać ku sobie, jakby starając się, żeby ją pocałował.

— Czego przyczepiłaś się, brudasie! — mruczał Mikołaj Iwanowicz, starając się uwolnić ręce z rąk kobiety, lecz ta była dość silna i opierała mu się. Trzymała w dalszym ciągu jego ręce, ścisłała coraz mocniej i powtarzała wciąż ten sam frazes:

— Aszete absant pur nu, aszete absant!

— Ona prosi, żeby pan kupił jej absyntu! — przetłuma-
czył rodak.

Mikołaj Iwanowicz spojrzał z ukosa na żonę. Ta już od
pewnego czasu bladła i czerwieniła się naprzemian i wresz-
cie rzekła:

— Co to za natrętna dziewczka! Mikołaj Iwanowicz!
Czego stoisz i trzymasz ją za ręce! Chodźmy stąd!... Ruszaj
się!

— To ona mnie trzyma, a nie ja ją!... Puść mnie, bru-
dasie! — szarpnął się, wyrwał jedną rękę, lecz kobieta trzy-
mała go tem mocniej za drugą i szczerząc białe zęby, mruzczała
w dalszym ciągu:

— Aszete absant, aszete absant!

— Mikołaj Iwanowicz! Co to za komedia? — podwyż-
szyła głos Głafira Siemionowna. — Przecież ci powiedziałam,
żebyś wyszedł!

— Kochanie!... Przecież ona mnie trzyma...

Zaczął iść w kierunku wyjścia i ciągnął za sobą kobietę,
która przypuszczając, że Mikołaj Iwanowicz zdecydował się
wreszcie kupić jej wódki i zaprowadzi ją zaraz do restauracji,
objęła go drugą ręką za szyję, pocałowała i rzekła:

— Mersi, mersi... Allon, allon...

To już było ponad siły Głafiry Siemionówny. Podniosła
do góry parasol i z krzykiem: „Ach ty podła mordo indyjska“!,



uderzyła kobietę po głowie. Indjanka wrzasnęła. Przeko-
nawszy się, że uderzyła ją Głafira Siemionowna, puściła rękę
Mikołaja Iwanowicza, rzuciła się na Głafirę Siemionównę i
schwyciła ją za płaszcz na piersiach, błyskając oczami i mru-
cząc niezrozumiałe słowa. Ale Głafira Siemionowna też była
zła, więc nie cofała się: schwyciła Indjankę za koszulę i też
wymyślała:

— Ty?... Chwytać mnie?... Mnie?... Ach ty, bestjo in-
dyjska! Wydrapię ci ślepią!... — krzyczała.



— Głasza! Daj spokój! Przestań! — rozpoczął Mikołaj Iwanowicz i chciał odciągnąć żonę od Indjanki, lecz było już zapóźno...

Nagle Głafira Siemionowna i Indjanka schwyciły jedna drugą za włosy i padły na trawę, drapiąc jedna drugą i bijąc.

— Boże! Co się dzieje! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i rzucił się na pomoc żonie. — „Panie rodaku! Co pan stoisz z założonymi rękami? Pomagaj pan, trzeba je rozerwać! — krzyczał, zwracając się do rodaka.

Rodak zaczął pomagać. Siadł poprostu na Indjance i starał się oderwać rękę jej od Głafiry Siemionowny, lecz w tej chwili z szalasu wypadła stara Indjanka i ujmując się za młodą zaczęła walić pięściami po plecach rodaka, Głafirę Siemionownę i Mikołaja Iwanowicza. Rozpoczęła się ogólna bijaćka. Na domiar wszystkiego na odgłos walki i krzyków z restauracji wybiegli kelnerzy, jak z pod ziemi wyskoczyli chłopcy - Indjanie.

Z wielką trudnością rozerwali bijące się kobiety, zdyszane i w dalszym ciągu grożące sobie:

— Wstrętne zwierzę indyjskie! Bandytka! Dziewka uliczna! W moich oczach śmie całować mego męża. Ja ci pokażę, lajdaczko! — krzyczała Głafira Siemionowna.

Krzyczała również coś Indjanka, pokazując zaciśnięte pięści.

Zmięty kapelusz Głafiry Siemionowny i złamany parasol leżały na trawie.

— Co za wstyd!... Co za wstyd! Głasza! Głasza! Przestań nareszcie! — prosił Mikołaj Iwanowicz, oddając Głafirę Siemionowną pod opiekę rodaka, który tak jak i ona miał zmięte ubranie i stracił w bójkę kapelusz. Mikołaj Iwanowicz szukał kapeluszy i parasola.

Kelnerzy i świadkowie walki trzymali się za boki ze śmiechu.

LXII.

Kiedy małżonkowie oprzytomnieli jakoś, zaczęły się wzajemne wymówki.

— To wszystko przez ciebie! Ty tego chciałeś, nau-myślnie lałeś do tych dzikich... O niczem innem nie mówię, tylko o tych dzikich, teraz się napewno cieszysz, jesteś bardzo zadowolony, że wyszedł z tego taki skandal! — mówiła z płaczem Głafira Siemionowna.

— Kochanie, tyś wszystkiemu winna! Przecież ty pierwsza wyróżnęłaś Indjanę parasolem po łbie! — odpowiedział mąż.

— Wyrznęłam, wyrznęłam, ale było za co. Jak ona śmie zbliżać się do ciebie! Przecież całowała się z tobą! Czy nie widziałam? Przy żonie, przy prawowitej żonie nie wstydzisz się, podła, robić takich rzeczy!

— A skąd ona wiedziała, że ty jesteś moją żoną?

— Co? Chcesz ją jeszcze bronić? Wiem, wiem, byłeś bardzo zadowolony z tego, że chciała się z tobą całować! Naturalnie, tego ci było potrzeba. Szkoda tylko, że nie palnęłam parasolem i ciebie po łbie.

— Wcale nie chciałem tego, wcale nie byłem zadowolony. Co za przyjemność całować się z brudną, cuchnącą babą. Cebulą od niej jedzie o wiorstę.

— Milcz! Wy to lubicie! Wam każda kobieta, najbardziej cuchnąca i brudna podoba się, byle tylko nie była wasza żona!

— Ach, Głasza, Głasza! Jaka ty jesteś niesprawiedliwa! Chciałem poprostu nakarmić tę Indjanę resztkami gęsi. Nigdy nie widziałem, jak dzicy ludzie jedzą, a ty...

— Dosyć, dosyć! Pomówimy w domu. Jedźmy do domu!

— Uspokój się naprzód, kochanie, uspokój się. Przecież nie możemy w tym stanie jechać do domu. Wstąpmy najprzód tutaj do tej restauracji. Napewno mają tam tualetę, gdzie będziesz mogła doprowadzić do porządku suknię, potem napijemy się czegoś zimnego! — namawiał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Co takiego? Po takim skandalu mam jeszcze iść do restauracji? Zwarjowałeś chyba. I tak już wszyscy kelnerzy śmieją się z nas. A co będzie, jak pójdziemy do środka.

— Napewno nie będą się śmiali. Tutaj wydaje im się to śmieszne, ale kiedy zastanowią się nad tem, to domyślą się, że to nie skandal, a poprostu... nieporozumienie. Chodźmy, Głasza, do restauracji. Musisz się uspokoić trochę.

— Za żadne skarby! Nie mogłabym patrzeć w oczy służbie! Przecież kelnerzy widzieli całą walkę.

— Wielkie rzeczy! Kto nas tu zna? Przecież nas tu nikt nie zna.

— Nie, nie, nie proś nawet! Do domu!

Głafira Siemionowna zaczęła poprawiać i doprowadzać do porządku ubranie. Rodak, rozmawiający dotąd o czemś z garsonem w restauracji, zbliżył się do niej i zaczął ją też namawiać.

— Ja bym też radził pani wstąpić do restauracji i uspokoić się trochę. W tej restauracji są osobne gabinety. Możemy wziąć osobny gabinet... Jeśli pani obawia się wyśmiewań służby restauracyjnej, to nie ma pani racji. Rozmawiałem z nimi, wszyscy kelnerzy współczują pani i są oburzeni na Indjanke. Okazuje się, że to nie pierwszy wypadek. Zdarzało się już coś podobnego. Wszyscy kelnerzy mówią, że te Indjanki są strasznie natarczywe... Wszystkie one są alkoholczkami, jak tylko ukaże się jakiś cudzoziemiec, zaraz natarczywie domagają się od niego absyntu. Kelnerzy nawet dziwią się, że policja dotąd nie wmieszała się w te sprawy.

— Niech pan się nie stara zagadać mnie! Do domu jedziemy! — nie dała się przekonać Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanowicz, czego stanąłeś? Idziemy do wyjścia! — krzyknęła na męża.

Mikołaj Iwanowicz podniósł z trawy paczkę z resztkami gęsi i indyczki i powoli skierował się ku wyjściu ogrodu. Za nim szedł rodak, za rodakiem Głafira Siemionowna.

— I gdzie takie skandale są możliwe, żeby dzikie dziewczki rzucały się na żonatych mężczyzn w obecności żon? W Paryżu! W najbardziej cywilizowanym mieście, Paryżu! — dowodziła w dalszym ciągu. — Ładne miasto! A niech się zapadnie takie miasto. Słuchaj Mikołaj Iwanowicz! Jutro wyjeżdżamy z tego przekłętogo Paryża! — zwróciła się do męża.

— Ależ kochanie, przecież jeszcze nie obejrzelśmy dobrze wystawy. Nie widzieliśmy oddziału sztuki.

— Niech diabli wezmą całą wystawę!

— Zapomniałaś jednak, że w Luwrze zakupiłaś suknie i że te rzeczy będą gotowe dopiero na pojutrze.

— Pójdę jutro do sklepu i będę prosiła, żeby mi przygotowały wszystko na wieczór. Do wieczora wykończą wszystko a w nocy — marsz do domu.



— Chociaż ze trzy dni wartoby jeszcze pobyc na wystawie! — prosił Mikołaj Iwanowicz.

— Żeby mieć znowu z dzikimi do czynienia? Dziękuję! Do domu, do domu, do domu!

— Sama jesteś sobie winna! Nie trzeba było tej baby walić parasolem. Sam bym się uwolnił od niej.

— Ty? Ty uwolnił? Ty byłeś zadowolony! Miałeś w oczach takie djabelskie ognie, cieszyłeś się... Dlatego nie wytrzymałam. I wogóle jak można wytrzymać, żeby przy prawowitej żonie takie dzikie babsko chciało całować męża.

Głafira Siemionowna szybko skierowała się ku wyjściu. Przy wyjściu, gdzie było więcej światła, Mikołaj Iwanowicz zauważył, że żona ma podrapany i zakrwawiony policzek. Powiedział jej o tem i dodał:

— Przyłóż chusteczkę do policzka. Widocznie Indjanka zdrapała ci jakiś pryszcz na twarzy i do krwi...

— Nie przyłożę! Na złość, nie przyłożę! Żebyś miał wyrzuty sumienia! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Nie pojechano do domu kolejką. Przy wejściu do ogrodu stał dorożkarz. Mikołaj Iwanowicz najął dorożkę i usadził żonę. Kiedy żegnał się z rodakiem, ten szepnął mu:

— Mówiłem panu, że do Tuły nie jeździ się z własnym samowarem i oto ma pan jeszcze jeden dowód. Gdyby nie miał pan dzisiaj przy sobie samowara, w osobie pańskiej małżonki, nie mielibyśmy żadnych nieprzyjemności i spędzilibyśmy napewno przyjemny wieczór, może nawet w towarzystwie tych dzikich Indjanek. Dowidzenia! Znam pański adres i jutro rano postaram się odwiedzić państwo! — dodał, żegnając się z Mikołajem Iwanowiczem i z Głafirą Siemionowną.

LXIII.

Na drugi dzień rano, kiedy Mikołaj Iwanowicz zbudziwszy się, przeciągnął i otworzył oczy, Głafira Siemionowna już dawno wstała. Siedziała w halce, nocnym kaftaniku przed lustrem i pudrowała twarz. Ujrawszy, że mąż zbudził się, odwróciła się do niego i rzekła:



— To bydle w trzech miejscach zadrapało mi policzek. Podła bestja! No, ale ja jej też dałam dobrze parasolem. Zdaje mi się, że podbiłam jej oko i rozciąłam wargę. Szkoda tylko, że parasolka pękła. Ale za to tobie, Mikołaj Iwanowicz, dziwię się bardzo...

— O co ci idzie, kochanie?

— O to, że każda spódnica jest ci milsza od żony.

— Co ja jestem winien? Przecież sama widziałaś, że jak tylko weszliśmy do chaty, złapała mnie za rękę...

— Kłamiesz, kłamiesz! Byłeś zadowolony. Inny dał by jej zaraz porządnie po pysku i zaprowadził do policjanta.

— Winszuję ci! Dziękuj Bogu, że w pobliżu nie było policjanta, bo po tej bitwie napewno nocowalibyśmy w komisarjacie.

— Za co?

— Za zakłócenie spokoju publicznego i obrazę porządku...

— Przecież ona pierwsza zaczęła. Jak ona śmie zakłócać publiczny spokój prawowitej żony? To właśnie jest obraza spokoju.

— Za to, że ktoś chce się całować, niema kar, ale za to że ktoś wali parasolem, są. Ty pierwsza zaczęłaś walić. Ty pierwsza parasolem...

— Dostyc, dostyc! Powtarzam ci, że nie mam zamiaru pozostawać dłużej w tym podłym Paryżu, gdzie na każdym kroku spotyka się dzikich ludzi. Dziś pójdziemy do Luwru, poprosimy, żeby suknie moje były gotowe na wieczór, albo na jutro rano i hajda z Paryża.

— Kochanie, przecież właściwie nie widzieliśmy jeszcze Paryża.

— Dziś weźmiemy dorożkę i pojeździmy po Paryżu. Na wystawę nie pójde za żadne skarby świata, bo tam dziki na dzikim jedzie i dzikim pogania. Wiedz o tem! Przedewszystkiem chcę obejrzeć „dzielnicę łacińską“. Co to za dzielnica? W każdej francuskiej powieści czytam o tej dzielnicy łacińskiej a nie widziałam jej jeszcze. To musi być ciekawe. Tam właśnie mieszkała kwiaciarka Marietta, tam...

Mikołaj Iwanowicz chciał coś powiedzieć, lecz Głafira Siemionowna nie pozwoliła mu.

— Milcz, milcz! Każdy porządny człowiek po wczorajszym skandalu wolałby milczeć przez skromność, a ty...

— Przecież skandal zrobiłaś ty, a nie ja...

— Dostyc!

I Głafira Siemionowna nie pozwoliła mówić mężowi.

Przygotowawszy w domu herbatę i napiwszy się jej, około godziny 12-tej wyszli z hotelu. Była niedziela. Paryż świętował. Sklepy i magazyny były na wpół zamknięte. Na ulicach nie było prawie zupełnie widać ludzi w roboczych ubraniach. Nie widać było również wolnych dorożek, pomimo, iż po obu stronach ulicy ciągnęły one sznurami jedna za drugą.

Omnibusy były przepełnione publicznością, zwłaszcza kobietami w kolorowych, świątecznych ubraniach. Głafira Siemionowna ciągle jeszcze zagniewana i zdenerwowana szła naprzód a Mikołaj Iwanowicz za nią. W ten sposób minęli dwie, trzy ulice...

— Rzecz dziwna, że niema ani jednej dorożki! — rzekła z gniewem Głafira Siemionowna.

— Święto! Wszystkie zajęte! Naród się bawi! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Wiesz, ja myślę, że ten twój magazyn de Luwr też dzisiaj zamknięty.

— Kłamiesz. kłamiesz! Naumyślnie tak mówisz, żeby dłużej zostać w Paryżu. Zresztą, czy Luwr zamknięty, czy nie zamknięty, jedziemy do niego.

Na rogu jakiejs przecznicy była niewielka restauracyjka. Kilka stolików stało przed restauracją na trotuarze a przy nich siedziała świąteczna publiczność: ciemne marynarki z krótkimi fajeczkami w zębach, kolorowe, jaskrawe, widocznie świąteczne stroje kobiet. Niektóre z kobiet miały bukietiki żywych kwiatów, przypięte do bluzek. Publiczność piła kawę, czerwone wino, jadła kanapki. Przed restauracją stała dorożka. Dorożkarz, korpulentny, średniego wieku człowiek z świeżo wygoloną, czerwoną twarzą przywiązywał właśnie koniowi torbę z obrokiem.



— Kosze! Wu zef libr? (Jest pan wolny?) — zapytała Głafira Siemionowna dorożkarza.

Dorożkarz zdjął elegancko cylinder i odpowiedział po francusku:

— Nie jestem zajęty, madame, ale trzeba zjeść śniadanie, il faut que je prenne mon cafe. Jeżeli zgodzą się państwo poczekać zanim nie zjem śniadania, jestem do usług. Potrwa to najwyżej kwadransik... Może państwo zajmą tutaj miejsca i każą sobie coś podać. Ja w tej chwili...

Oddaliwszy się od dorożki, dorożkarz podał nawet krzesło Głafirze Siemionownie. Taka uprzejmość dorożkarza zdziwiła ją. Uśmiechnęła się i rzekła: „mersi!”

— Bardzo śmieszny dorożkarz! — zwróciła się do męża. — Prosi żebyśmy poczekali, zanim nie zje śniadania. I jak to grzecznie zrobił. O! mogliby się od niego pouczyć nasi dorożkarze. Widzisz, nawet krzesło mi podał. Co robić, trzeba będzie poczekać na niego, gdyż niema wolnych dorożek a nie mam wcale zamiaru biegać na piechotę. Siadaj! Załadamy też coś na przekąskę. Chce mi się jeść!

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna usiedli przy stoliku w pobliżu drzwi do restauracji. Dorożkarz wszedł do restauracji i wróciwszy, usiadł przy sąsiednim stoliku, żując coś w zębach.

— Pogodę mamy dzisiaj śliczną, madame, prawda? — zwrócił się do Głafiry Siemionowny z uśmiechem.

Ta nie odpowiadała, lecz dotknęła kolaniem nogi męża.

— Boże mój, nie tylko siadł koło nas, ale rozmawia z nami o pogodzie! — rzekła.

— Głasza, tylko nie bij się, nie urządź aby znowu skandalu!...

— Co za skandal? Przecież on grzecznie... Nie wiem tylko, czy mam mu odpowiadać, czy nie, jeżeli jeszcze zacząć mówić. Przecież to jednak dorożkarz...

— Odpowiadaj, jeżeli tylko będziesz umiała! Przecież nic ci nie ubędzie.

Kobieta w białym czepku, fartuchu, z bukiecikiem na piersiach przyniosła na stół dorożkarza kawałek chleba, masła i parę rzodkiewek. Dorożkarz zabrał się do jedzenia.



LXIV.

W oczekiwaniu zajętego śniadaniem dorożkarza małżonkowie kazali podać sobie kilka kanapek i butelkę czerwonego wina i z zaciekawieniem przyglądali się dorożkarzowi, który siedząc obok nich, jadł śniadanie, składające się z rzodkiewek z chlebem z masłem. Zjadłszy rzodkiewki, zażądał kawałka sera i szklankę czerwonego wina i znów zabrał się do jedzenia.

— Rzodkiewka... ser... Patrz... patrz... On je zupełnie, jak

jakiś arystokrata! — zauważyła cicho Głafira Siemionowna. — Patrz, jak tutaj w Paryżu żyją sobie dorożkarze, nawet czerwone wino piją przy śniadaniu.

Dorożkarz prawdopodobnie zauważył, że małżonkowie rozmawiają o nim, gdyż uśmiechnął się i kiedy Głafira Siemionowna wzięła do ust kawałek kanapki z wędliną, kiwnął głową i rzekł:

— Bonne appétit, madame!

Głafira Siemionowna podziękowała kiwnięciem głowy i rzekła do męża:

— Widzisz, rozmawia z nami, wciąga nas w rozmowę... Słyszałeś, jak przed chwilą życzył mi dobrego apetytu?

— Politura francuska! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Prawdopodobnie i oni mają dorożkarzy grubjanów. Ten tylko musi być jakiś inteligent.

Dopijając wino czerwone, dorożkarz, jakby uniewinniając się przed małżonkami, że zatrzymuje ich, znów zwrócił się do Głafiry Siemionowny po francusku:

— Jeszcze filiżaneczka kawy, madame i jestem do rozporządzenia państwa.

— Patrz, nawet kawę będzie pił po śniadaniu. I to się nazywa dorożkarz? — dziwiła się Głafira Siemionowna i przetłumaczyła mężowi to, co jej powiedział dorożkarz.

Posługująca kobieta przyniosła dorożkarzowi wielką filiżankę kawy z mlekiem, którą ten powoli zaczął pić łyżeczką. Przeklnawszy kilka łyżek, zwrócił się ponownie:

— Pan nie mówi po francusku?

Mówiąc to, kiwnął głową w stronę Mikołaja Iwanowicza.

— Non... En pe il kompran, me ne parl! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Il me semble, madame, que vous êtes russes? Oko dorożkarza paryskiego nie omyli się nigdy w takim wypadku. Państwo napewno są Rosjanie?

— Wuj, nu som rius!

Dorożkarz zlekka uniósł cerafowego cylindra, mlasnął językiem i rzekł:

— Brave nation!... Muszę powiedzieć państwu, że nasza sympatja do Rosjan...

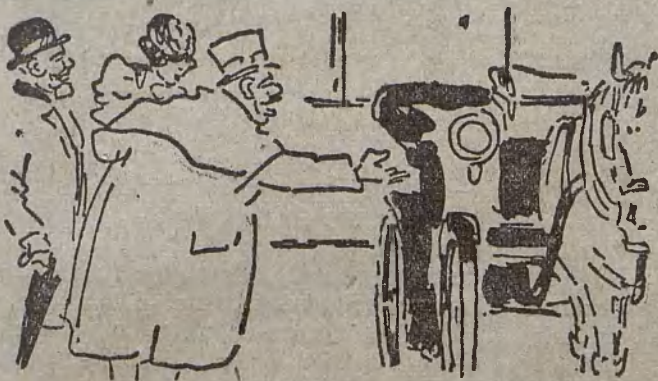
Wreszcie dorożkarz duszkiem wypił resztę kawy, położył na stół pieniądze za śniadanie i wstając, rzekł:

— Do usług pani dobrodziejki. Dziękuję bardzo za uprzejmość, że państwo poczekali na mnie. Proszę do mego ekwipażu!

Małżonkowie wstali z za stołu. Przodem szła Głafira Siemionowna. Kiedy zbliżyli się do dorożki i Głafira Siemionowna chciała postawić nogę na stopień, dorożkarz uprzejmie podał jej rękę. Głafira Siemionowna zatrzymała się zdumiona, nie wiedząc co robić.

— Niech pan! się oprze, madame! Niech pan! się oprze o moją rękę! — mówił dorożkarz i dodał: — Widzę, że towarzysz pan! jest pan! mężem; wszyscy mężowie — to niedbali kawalerowie.

Głafira Siemionowna oparła się o rękę dorożkarza i podziękowawszy mu, siadła do dorożki.



— Jak ci się podoba ten dorożkarz? — trąciła łokciem męża, siedzącego obok niej. — Boże, ten człowiek przypomina raczej jakiegoś hrabiego, a nie dorożkarza.

— Chce dostać na piwo i dlatego podlizuje się.

— Widziałeś jednak, jak zręcznie podał mi rękę, zupełnie, jak oficer jaki. Zachciej zauważyć, że to już jest stary człowiek.

— Politurowany! Słany się jeszcze lepiej wypoleruje, niż młody.

W trakcie tego dorożkarz siadł na kozioł i ruszył.

— Zadziwiająca rzecz, jaki elegancki dorożkarz! — nie mogła uspokoić się Głafira Siemionowna. — Wiesz, że on nawet skrytykował ciebie za to, że nie podałeś mi ręki przy wsiadaniu.

— Trzeba mu było za to nawymyślać porządnie. Jakie prawo ma taki drań śmiać się z pasażera?

— No, no... Proszę cię... Trzeba było tak wczorajszej babie nawymyślać, ale wtedy nie byłeś takim zuchem, a teraz chcesz takiego politurowanego człowieka bezcześcić.

— Jak on śmie wyśmiewać się z pasażera przy rodzonej żonie?

— Daj spokój, Mikołaj Iwanowicz! Daj spokój! Żałuję nawet, że ci to powiedziałam.

Pojechano do Luwru.

— Oto magazyn „de Luvre“! — rzekł odwracając się dorożkarz. — Dziś niedziela, więc jest zamknięty, ale jutro stanowczo radzę państwu zwiedzić go.

— Koman ferme? Ach, kom se domaż! — zaczęła Gła-



fira Siemionowna. — Mikołaj Iwanowicz magazyn zamknięty!
— zwróciła się do męża.

— A nie mówiłem ci?

— Kogo mam teraz poprosić, żeby moje rzeczy były na dziś wieczorem gotowe? Stanowczo nie chcę dłużej pozostawać w Paryżu. Kosze! On pe zapukać en pe a la port? Pe tetr otworzą. Może uwrir? Wuj?... Przecież muszą tam być jacyś dyżurni subjekci? Arete, kosze!

Głafira Siemionowna wyszła z dorożki i zaczęła szukać dzwonka przy drzwiach, lecz nie znalazła. Zapukała do drzwi zamkniętych.

— Zbytecznie się pani trudzi, madame. Dziś nie otworzą!
— rzekł dorożkarz. — Dziś cały personel świętuje, spaceruje gdzieś za miastem, na świeżem powietrzu, załatwia swoje sprawy sercowe...

Zapukawszy jeszcze kilka razy, Głafira Siemionowna z powrotem siadła do dorożki i zagniewana rzekła do męża:

— Co robić? Będziemy musieli jeszcze zostać przez jeden dzień w Paryżu, ale zapamiętaj to sobie porządnie, że na wystawę do tych przeklętych dzikusów nie pójde za żadne skarby!... Kosze! Kartie Laten, że wu pri! — rzekła dorożkarzowi.

LXV.

Jechano prawie krokiem. Dorożkarz co chwila zwracał się do pasażerów swoich, wskazywał na jakiś gmach i mówił bezustanku. Twarz jego to uśmiechała się, to przybierała poważny wyraz, czasem mówił o czymś z zachwytem, czasem ze smutkiem, chwilami młaskał językiem i kiwał głową. Widać było, że naprawdę zachwyca się Paryżem.

— Mówi, jak jaki aktor, ale djabli wiedzą, co to wszystko znaczy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Rozumiesz coś, Głaska?

— O to idzie, że mało. Bardzo żałuję. Jeszcze nazwy kościołów i ulic nie rozumiem. Niedawno naprzykład przejeżdżaliśmy koło giełdy, na której zgrał się markiz de Klermont.

— Co za markiz de Klermont?

— Ach, to z jednej powieści. Pamiętasz, czytałam ci o tem?

— A, niech cię! A ja już myślałem, że jakiś prawdziwy.

— Markiz zrujnował się na giełdzie, a potem stał się pucybutem. Przecież ty nawet sam czytałeś.

— Czy można wszystko pamiętać. Ty znasz moje czytanie. Położę się na kanapie, otworzę książkę, a po minucie już chrapię. Dla mnie czytanie, to jak proszek nasenny.

— A ja wszystko pamiętam, co czytałam. Dlatego też Paryż mnie tak interesuje. O wszystkich ulicach paryskich czytałam już w różnych powieściach. Dlatego też jadę do Dzielnicy Łacińskiej, ponieważ wszystkie ulice w tej dzielnicy znam na pamięć.

Wjeżdżano właśnie w Dzielnicę Łacińską. Dorożkarz odwrócił się i rzekł po francusku:

— Tutaj zaczyna się Dzielnica Łacińska.

— Tak, tak... I na ulicach już nie tak dużo ludzi, jak w centrum miasta — rzekła Głafira Siemionowna, z ciekawością rozglądając się na prawo i na lewo. — Mersi, kosze, mersi... Tutaj mieszkają studenci, gryzетки, robotnice różne, kwiaciarki... — zwróciła się do Mikołaja Iwanowicza.

— Hm... — ziewnął Mikołaj Iwanowicz.

— Czy to cię naprawdę nie interesuje, Nikola? Mnie to sto razy więcej interesuje, niż ta cała wystawa.

— Boulevard St. Michel! — oznajmił dorożkarz, kiedy wjechali w jakąś szerszą ulicę.

— Ach, to bulwar Sent - Miszel! — zawołała Głafira Siemionowna. — Właśnie wyobrażałam sobie, że jest taki. Zupełnie, jak Wielki Prospekt w Petersburgu. Ach, ile ja się naczytałam o bulwarze Sent - Miszel, okropnie dużo. To tutaj właśnie szwaczka Klotylda poznała się ze studentem medycyny Maline. Tutaj też musi być gdzieś niedaleko mała restauracja, w której spotkali się poraz pierwszy i jedli śniadanie. Właścicielką tej restauracji była ciotka Pate. Widzisz, jak ja wszystko pamiętam.

— Głasza, mnie się zdaje, że ty masz gorączkę!

— Nie mów głupstw!... Tam nawet był dokładny opis... Przy wejściu wisiał zegar, a nad zegarem rogi jelenie... Ot gdybyśmy teraz weszli do jakiejś małej restauracji, zaraz bym poznała, czy to ta.

Mikołaj Iwanowicz ożywił się.

— Jak chcesz. Wstąpmy... Czerwonego wina napiję się z przyjemnością. Można też poczęstować dorożkarza.

— Poczekaj, przecież musimy najprzód poszukać takiej restauracji. Kosze! Wu sawe u e restorant de tant Pate? — zapytała Głafira Siemionowna dorożkarza.

— Quel numero, madame?

— Pyta się o numer domu... Czy ja wiem? Że ne se pa.

— Alors il faut chercher. C'est un restaurant russe?

— Jakto rissime? Franse! Ta ciotka opisana jest jako bardzo dobra kobieta. Kiedy Klotylda miała nieszczęście i urodziło się jej dziecko, ciotka Pate wzięła do siebie niemowlę i karmiła je koziem mlekiem. A Klotylda była chora i leżała w szpitalu. Widzisz, ja wszystko pamiętam...

— Boulevard St. Germain! — wskazał biczem dorożkarz.

— I bulwar Sen-Žermen doskonale pamiętam. Tutaj na mansardzie mieszkał ten... jak go tam...

— Glasza, przestań!

— Jakto mam przestać? To tak przyjemnie przypominać sobie... Był w aptece prowizorem...

— La rue des Ecoles. La rue Saint - Jacques — wykrzykiwał dorożkarz.

— Wszystko, wszystko pamiętam... Wszystko znam.

— C'est la Sorbonne.

— Ach, Sorbona! To Sorbona? Mikołaj Iwanowicz, patrz na Sorbonę. Tutaj uczył się i Żozef i Lazar... Patrz, patrz... Tutaj u jakiegoś handlarza - antykwariusza znaleźli rękopis z XVI stulecia, w którym Żozef wyczytał, iż jest on potomkiem księcia Owernji i sukcesorem wszystkich jego milionów.

— Hm... hm... Wiesz Glasza — nudna jesteś!

— Przecież to bardzo ciekawe, jeśli ktoś czytał.

— Ależ zrozum, kobieto, że ja nie czytałem, a zresztą w powieściach same brednie.

— Brednie? A patrz, tam, pod parkanem żelaznym stoi antykwariusz przy stoliku z rozłożonymi książkami... Zupełnie, jak było w powieści... Widocznie to jest prawda, a nie brednie! Czy widzisz handlarza książek?

— Dobrze już, dobrze. Lepiejbyś znalazła tę małą restaurację, o której mówiłaś.

— Naturalnie, ty byś tylko ciągle chciał w restauracji siedzieć! Jak cię nie wstydy?

— Znow na mnie? Przecież ja dla ciebie chciałem, głupia babo.

— College de France! — wskazał dorożkarz na gmach.

— I Koleż de Frans pamiętam doskonale. Powinna tutaj być mała oberża pod nazwą „Róg obfitości“! Ot, ot... Napewno ta! — ożywiła się Głafira Siemionowna, wskazując na dość podejrzanego wyglądu szynczek, przed którym stało dwóch jakichś jegomościów w szarych bluzach i czarnych czapkach.

— Wstąpmy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Wstąpiłabym, ponieważ tutaj grawer Karo przegrał w kości swoją żonę do malarza Briule, ale nie jestem pewna, czy to ta sama restauracja.

— Zapytał się dorożkarza!

— Zapytałabym się, ale nie wiem, jak po francusku róg obfitości. Kosze, kosze! Koman on non set tawern? — zwróciła się Głafira Siemionowna do dorożkarza, który odpowiedział po francusku:

— Nie wiem, madame... Jeżeli jednak chcą państwo odwiedzić restaurację, w której jest jedna pani, mówiąca po rosyjsku, to tam.

Dorożkarz pokazał na niewielką restaurację po drugiej stronie ulicy.

— Co on mówi? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Wskazuje restaurację, w której jest podobno jakaś dama, mówiąca po rosyjsku.

— Koniecznie trzeba wstąpić! Dlaczego nie każesz mu zatrzymać się? Ta dama jest Francuzka czy Rosjanka?

— Kosze! Se tiun dam france, ki parl riuss? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Tak, tak, madame... Ona była w Petersburgu...

— Francuzka, ale była w Petersburgu!

— Doskonale! Kosze! Stój! Stój!

— Kosze! Arete! Il fo wuar set dam.

Dorożkarz uderzył konia i podjechał do niepokąźnego szyneczku.

LXVI.

Restauracyjka, do której weszli małżonkowie była naprawdę skromnym szyneczkiem. Oprócz alkoholu sprzedawano tam również chleb, jajka, rzodkiewki; wszystko to leżało na marmurowej ladzie razem z blaszanymi lejkami, służącymi do nalewania wina do butelek. Za ladą stała bardzo otyła, starszego wieku już kobieta z wysokim grzebieniem i z wiankiem pereł na włosach. Kobieta ta była wysokiego wzrostu, brunetka, z niewielkimi łukowatymi czarnymi brwiami, widocznie mocno podmalowanymi i z maleńkimi wąsami na wierzchniej wardze. Mięsiste jej ręce z tłustymi palcami, pokryte taniemi pierścionkami, zaledwie schodziły się



na brzuchu. Ściągnięte gorsetem piersi wyglądały jak góry. Ubrana była w czarną wełnianą suknię. Przed ladą stało dwóch chudych Francuzów w zniszczonych surdutach, jeden z cienkimi sterczącymi wąsami, drugi z kozią bródką i flirtowali z nią. Szyncek składał się tylko z jednego pokoju z brudną podłogą, na której leżały ogryzki rzodkiewek, skorupy od jajek i t. p. Na ścianach wisiały kiepskie litografje w starych, upstrzonych przez muchy drewnianych ramach; wśród nich były także tanie obrazki jaskrawe, przedstawiające np. rozstrzelanie słonia w czasie oblężenia Paryża, ilustrowana mapa Europy, na której zamiast Rosji narysowany był niedźwiedź olbrzymi a na miejscu Niemiec — chełm pruski z ostrzem na czubku i t. p. Czuć było zapach wina. W pokoju było kilka stołów, lecz zajęte były tylko dwa. Przy jednym dwóch Francuzów bez marynarek grało w domino, przy drugim samotny jakiś gość w kapeluszu twardym na głowie czytał „Petit Journal“; przed nim stała butelka wina. Usługę pełniła b. młoda dziewczyna w ceratowym fartuszk z woreczkiem u pasa. Wszedłszy do restauracji, Głafira Siemionowna zatrzymała się w niezdecydowaniu.

— To jakiś szynk... Czy wypada nam tu wchodzić? — rzekła, patrząc zukosa na Francuzów, siedzących bez marynarek przy dominie i dymiących cienkimi papierosami „caporal“.

— No więc co, że szynk? Kto nas tu zna? Za to zobaczymy Francuzkę, mówiącą po rosyjsku! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Siadaj tu przy stoliku!

Kiedy małżonkowie usiedli, podbiegła do nich usługująca dziewczyna i zatrzymała się w wyczekującej pozie.

— No, kto tu u was mówi po rosyjsku? Pani, mamzelko, czy kto inny? — zwrócił się do niej Mikołaj Iwanowicz.

— Comprends pas, monsieur! (Nie rozumiem) — odpowiedziała służąca.

— Jakto nie kompran? A nam powiedziano, że tutaj mówią po rosyjsku?



— Nu som riuss e kosze nu za di, ke isi parl riuss!

— Ah, oui! C'est ca! — uśmiechnęła się dziewczyna i zwracając się do tłustej kobiety, stojącej za ladą, krzyknęła: — Madame Bavolet! Voila des personnes russes, qui desirent vous voir! (Oto Rosjanie, którzy chcą widzieć panią.)

Tłusta kobieta uśmiechnęła się i wypływając z za lady, podeszła do stołu:

— Ach, que j'aime les russes! Monsieur et madame sont de Petersbourg ou de Moscou? (Ach jak ja kocham Rosję! Państwo z Petersburga, czy z Moskwy?) Ja byłam w Petersburgu i Moskwie i dotychczas zachowałam najpiękniejsze wspomnienia o Rosjanach! — mówiła po francusku.

— Za pozwoleniem, przepraszam, madam! — zatrzymał ją Mikołaj Iwanowicz. — Czy pani mówi po rosyjsku?

— Tak, ja mówię po rosyjsku, mais a present c'est tres difficile pour moi. Madame parle francais? — zwróciła się do Głafiry Siemionowny.

— Wuj, madam, en pe! — odpowiedziała Głafira Siemionowna niechętnie.

— Powiedz jej, żeby przysiadła się do stołu! — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz.

— Prene plas, madam!

Kobieta wzięła krzesło i przysiadła się do stolika.

— Ja jestem artystką! — mówiła dalej po francusku. — Ah, monsieur, gdyby pan wiedział, jaki ja miałam cudowny głos, ale zaziębiłam się, zachorowałam i straciłam swój kapitał. Byłam śpiewaczką... Miałam angażement i przyjeżdżałam śpiewać do Petersburga. Byłam także w Moskwie. Vous devez savoir jardin de Demidoff? „Djemidoff-sad!“ — wstała dwa słowa po rosyjsku. — To była moja arena! Ah, monsieur, Rosjanie umieją cenić talenty, umieją cenić artystów...

— Czy pani jednak umie mówić po rosyjsku, czy nie? — znów zatrzymał ją Mikołaj Iwanowicz.

— Och, oui, monsieur! Je me souviens de quelques mots... (przypominam sobie kilka słów: isvostschik... vino... vodka... barschtsch... coulebiac... O, co za smaczne danie — kulebiak! Kulebiak avec losos....

— Przecież to tylko słowa... A mówić pani nie umie? Parle riuss?... Nie komprene?

— Tak, tak!... Mówiłam po rosyjsku! — ciągnęła dalej gospodyni po francusku, lecz wskutek braku praktyki zapomniałam. Są tutaj rosyjscy studenci i często przychodzą do mnie. Ah, wtedy wspominamy o Rosji. Vodka... boułka... samovar... na tschaj... Tri roubli na tschaj... C'est pour boire...

— Niebardzo jednak pani umie po rosyjsku! Pe rissime, pe, pe.

— Oui, oui, monsieur. A present j'ai oublie... Mais votre madame vous traduit. (Teraz zapomniałam, ale pańska pani

przetłumaczy panu.)... Ech, troika! Ach, co to za cudowna rzecz — troika!

— Głasza! Co ona opowiada?

Głafira, jak mogła, przetłumaczyła mężowi.

— Ach, więc ona była artystką? Dlatego wspomina o ogrodzie Demidowa! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Bardzo przyjemnie, madam! — wyciągnął rękę do tłustej pani. — „Jak przyjemnie“ po francusku? — zwrócił się do żony.

— Szarman!

— Szarman, szarman, madam, że pani jest artystką!

Korpulentna paniusia ożywiła się i też wstrząsnęła mocno rękę Mikołaja Iwanowicza.

— Tak, ja byłam artystką! I jaką artystką?! Zasypywano mnie kwiatami! — mówiła dalej po francusku, poczem dodała, znizywszy głos: — A teraz muszę tutaj siedzieć w takich warunkach. Trzymam tutaj bufet, un petit cabaret... To mój bufet. Jestem właścicielką i chwala Bogu, jestem zadowolona.

— Pies ją wie, co ona gada! Zresztą naplujmy na to! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Madam! Wu — artist, a nu — marszand... Biuwon!

— Co pan każe podać?

— Wen ruż i na zakąskę winogrona. Ale bien wen.

— Du bon vin? Il faut chercher, monsieur. Mademoiselle Marie! — zwróciła się do dziewczyny i dając jej duży klucz, zaczęła jej mówić coś po francusku. — Zaraz, monsieur, zaraz pan dostanie! — rzekła do Mikołaja Iwanowicza i znów zaczęła wspominać o Rosji, o Petersburgu, o Moskwie, mieszając rosyjskie słowa w rodzaju: „gostinoj dwor, pirogue ruse, kwasse, tschelowek, vodka, cosak“.

Po pięciu minutach dziewczyna przyniosła bufelkę wina i postawiła na stole.

— Voyons, monsieur, c'est quelque chose d'extraordinaire! — rzekła, uderzywszy dłonią po butelce i rozlała wino do kieliszków.



LXVII.

Madame Bavolet, właścicielka maleńkiej winiarni, okazała się bardzo gościnną gospodynią. Nalawszy wino do kieliszków, zawołała zachrypniętym głosem altowym:

— Ah, que j'aime les russes! Ah, que je suis bien aise de voir monsieur et madame! Buwons sec! Avec les russes il faut boire a la russe! (Ach jak ja kocham Rosjan! Ah, jak się cieszę, że widzę pana i panią! Wypijmy do dna: z Rosjanami trzeba pić po rosyjsku). — Twoje zdrowie duschka! — rzekła wreszcie trzy rosyjskie słowa, trąciła się kieliszkami z małżonkami, wypila jednym tchem duży kielich wina, przewróciła go sobie na głowę i zadzwoniła nim o grzebień.

— Eh, baba! Pije, jak stary! — pomimo woli rzekła Głafira Siemionowna, patrząc zdziwiona na właścicielkę. — To szmata jakaś!

— Daj spokój, nie zaczynaj! Zawsze człowiek, który był w Rosji... Zawsze przyjemnie... Widzisz, jak chwali Rosjan! — uspakajał żonę Mikołaj Iwanowicz i też wypił duszkiem swój kielich.

Głafira Siemionowna tylko umoczyła usta. Zauważyła to natychmiast właścicielka winiarni.

— O, nie, madame! Tak nie wolno. Tak Rosjanie nie piją! Trzeba pić do dna! — mówiła gospodyni do francusku i zaczęła zmuszać Głafirę Siemionownę, ażeby ta wypila do dna.

Głafira Siemionowna wymawiała się. Gospodyni nastawała coraz bardziej. Zaczął bronić żonę i Mikołaj Iwanowicz.

— Jak głowa po francusku? — zapytał żony.

— La tet!

— Ona jest malad! Na głowę malad, na la tet! — zwrócił się do Francuzki, wskazując ręką na głowę żony.

— Mais c'est du bon vin, madame, que je vous donne. Od tego wina nigdy nie będzie panią bolała głowa. Czy państwo znają monsieur Petrchivsky a Petersburg? Przypuszczam, że teraz jest już pułkownikiem... Ah, jak myśmy się z nim wesoło bawili w Petersburgu! To był bardzo wesoły czło-



wiek i bardzo lubił popić. Et meme tres riche... Beaucoup d'argent... Dużo pieniędzy...

Trzeszcząc bez przestanku, zaczęła znów przypominać sobie ulice i francuskie restauracje w Petersburgu.

— Nevskij prospect... Grand Morskaja... Restaurant Samarkand... — myślę, że teraz te wszystkie ulice i restauracje w Petersburgu są jeszcze piękniejsze, niż były dawniej. Nieprawdaż, monsieur? A Neva, Neva? Co to za rzeka przepiękna!

Małżonkowie jako tako rozumieli Francuzkę i odpowiadali jej, kalecząc język francuski, wplatając dużo słów rosyjskich i gestykulując ustawicznie, chociaż Głafira Siemionowna zaczęła się już nudzić. Towarzystwo zbyt rozmownej eks-spiewaczki niezbyt jej się podobało.

Tymczasem eks-spiewaczka odpowiadała dalej po francusku:

— Wszyscy moi koledzy po scenie mają teraz swoje kapitały a ja za resztki, które mi zostały, otworzyłam ten bufet... Tak, monsieur... Mogłam zrobić karierę, lecz strata głosu, strata figury (pokazała na swoją szerokość)...

Nie dokończyła, machnęła ręką i po chwili dodała:

— Et a present je suis une pauvre veuve et rien de plus...

— Wdowa! Ona jest wdowa! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna mężowi słowo „veuve“. — Mówi, że jest biedna wdowa.

— Wdowa? Widzisz, jaka szczerą! Całe życie swoje nam opowiedziała! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i klapnawszy poufale Francuzkę po ramieniu, dodał: — Lubię w ludziach szczerą! Głasza! Jak szczerą po francusku? Przetłumacz!

— Nie wiem!

— Widzisz, nic nie wiesz. Za duszę ludzi cenię, madam, za duszę! Wu komprene? Non? Może powiesz mi przynajmniej, Głasza, jak dusza po francusku?

— Dusza — lam!

— Za lam, madam, cenię ludzi, za pani lam! Za dobra ciepłą duszę. Pur wotr bon lam.

Francuzka zrozumiała, wyciągnęła rękę i mocno uściśnawszy prawicę Mikołaja Iwanowicza, rzekła:

— Dziękuję, monsieur... Dziękuję... „Blagodariu“ (dziękuję)... Widzi pan, przypominałam sobie jeszcze jedno słowo rosyjskie.

Mikołaj Iwanowicz chciał nalać z butelki, lecz butelka była już pusta. Zauważyła to Francuzka i rzekła:

— To była moja butelka, monsieur... To była moja butelka dla podróżnych Rosjan, których adoruję. Teraz może pan zażądać, co panu się podoba.

— Tę pierwszą butelkę ona postawiła, jako gospodyni! — przetłumaczyła mężowi Głafira Siemionowna. Widzisz, jaka sprytna! Jeszcze dotąd nikt zagranicą nie ugaszczal nas niczem.

Gościnność tłustej Francuzki podziałała uspakajająco na Głafirę Siemionownę, której się coraz więcej nie podobało w winiarni.

— Mersi, madam! — dziękowała Głafira Siemionowna. — Coprawda nie chce mi się już wcale pić, ale wypada, żebyś także postawił butelkę. Trzeba jej podziękować za gościnność.

— Naturalnie! Naturalnie! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i zawołał: — Butelkę szampana! Madam! Szampań!

W winiarni nie było wina szampańskiego, lecz tłusta Francuzka posłała służącą i wkrótce zjawiała się butelka szampana. Gospodyni natychmiast otworzyła ją i zaczęła nalewać do kieliszków.

— Za zdrowie Francuzów! Pur le franse! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Vive la France! Vive les francais! — odpowiedziała Francuzka, wstała z krzesła, wyprostowała się i podniosła efektownie, teatralnie kielich do góry.

Na toast „vive la France“ zwrócili uwagę również Francuzi, grający bez marynarek w domino i też krzyknęli „vive la France“. Mikołaj Iwanowicz natychmiast zażądał jeszcze dwa kieliszki i zaproponował Francuzom, żeby wypili z nimi. Francuzi przyjęli zaproszenie i krzyknęli: „Vive la Russie“. Wszyscy siedli przy jednym stoliku. Dorożkarz, oczekujący na ulicy małżonków, słysząc wesołe toasty w winiarni, też zaglądnął do szynku. Mikołaj Iwanowicz zażądał i dla niego kieliszek. Jednej butelki nie wystarczyło i trzeba było posłać po drugą.

— De butel, de! Dwie butelki! — wołał Mikołaj Iwanowicz do wychodzącej służącej.

Głafira Siemionowna pociągnęła go za rękaw.

— Dosyć, dosyć! Nie potrzeba więcej! Daj lepiej moją szklanekę dorożkarzowi. Ja i tak pić nie będę! — mówiła Głafira Siemionowna, lecz Mikołaja Iwanowicza nie można już było zatrzymać.

— Nie wypada, Głaszeńka, nie wypada! Pijemy za Rosjan, pijemy za Francuzów, więc nie wypada, żebym oszczędzał na butelce! Zatrzymuj mnie w innym wypadku, ale tym razem nie mogę cię usłuchać, nie wypada! — odpowiadał.

Kiedy zjawily się dwie nowe butelki szampana, dorożkarz też przysiadł się do stolika. Starał się coś odpowiedzieć Mikołajowi Iwanowiczowi, wskazując palcem na swoją pierś i powtarzając słowo „royaliste“, lecz ani Mikołaj Iwanowicz, ani Głafira Siemionowna nic nie mogli zrozumieć, o co mu chodzi. Tłusta madame Bavolet ożywiała się coraz więcej. Z początku zaczęła się sprzeczać z jednym z Francuzów bez marynarki, wspominając z zachwytem o cesarzu Ludwiku Napoleonie i ściskając rękę dorożkarzowi, potem zwróciła się do małżonków i zaczęła znowu mówić o Petersburgu, skończyła wreszcie na tem, że wzięwszy do ręki kielich, stanęła na środku sklepu i zachrypniętym barytonowym jakimś gło-

sem zaśpiewała popularną piosenkę kabaretową: „Ah que j'aime les militaires“. („Jak ja kocham żołnierzy“.)

Śpiew był obrzydliwy, madame Bavolet co chwila kaszlała i spluwała, pomimo to jednak Mikołaj Iwanowicz i męska część towarzystwa byli zachwyceni.

— Brawo! Brawo! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz po każdym kupiecie i klaskał głośno w dłonie.

Głafira Siemionowna była już rozgniewana nie na żarty i ciągle przypominała, że czas już jechać do domu, lecz Mikołaj Iwanowicz nie zwracał na nią już najmniejszej uwagi i widząc, że przyniesione dwie butelki też opróżniły się, zaczął walić jedną z nich o marmurowy blat stolika i krzyczeć na służącą:

— Ankor szampań! Ankor de bufel! Za Francuzów zawsze chętnie wypije!

LXVIII.

Uczta, urządzona przez Mikołaja w winiarni tłustej madame Bavolet z każdą chwilą stawała się huczniejszą. Wypito już osiem butelek szampańa, na stole zjawił się koszyk z piękną gruszkami i winogronami. Towarzystwo, składające się z naszych małżonków, tłustej pani Bavolet, dwóch Francuzów bez marynarek i dorożkarza ożywiało się coraz więcej. Wyjątek stanowiła Głafira Siemionowna, która oddawna błagała już męża, żeby jechać do domu, lecz ten nie rozumiał jej prośb. Jakto zazwyczaj bywa wśród ludzi podnieconych alkoholem, wszyscy mówili jednocześnie i nikt nie słuchał sąsiada. Rosyjska mowa Mikołaja Iwanowicza jaskrawie wyróżniała się wśród potoku francuskich słów jego współtowarzyszy. Nikt go nie rozumiał, lecz jemu się zdawało, że rozumieją go wszyscy. Z Francuzami bez marynarek już dawno nastąpiło ściskanie się za ręce, poklepywanie po ramionach, jeden z Francuzów nawet, co chwila mówiący coś o Alzacji i Lotaryngji, pocałował się z nim. Pito za zdrowie Rosjan, za zdrowie kozaków, a potem niewiedomo dlaczego za zdrowie saperów. Ostatni toast wzniosła sama madame Bavolet, która znów stanęła na środku restauracji i przybrawszy teatralną pozę zaśpiewała drugą piosenkę kabaretową, tym razem na cześć saperów: „Rien n'est sacre pour un sapeur“ (Nic świętego dla sapera).

Znów krzyki „brawo“, znów oklaski, pomimo że śpiew był naprawdę... pod psem. Porządna doza wypitego wina zniszczyła resztki głosu tłustej pani Bavolet, ale oklaski podobaly się jej bardzo. Tak przyjemnie przypominały jej one dawną przeszłość teatralną. Jak stary koń kawaleryjski, który słysząc dźwięk trąb i bębnow zaczyna maszerować w takt, ciągnąc beczkę z wodą i w sztuczny sposób przebierać nogami, tak i madame Bavolet, słysząc oklaski, prostowała się wspaniale i przyciskała ręce do serca, kłaniając się na wszystkie strony. Raz nawet, przypominając sobie stary zwyczaj teatralny, posłała zawzięcie bijącemu oklaski Mikołajowi Iwanowiczowi ręką pocałunek, dodając: „Pour mon bon russe!“ Głafira Siemionowna zaczęła wienić się i rzekła:

— Jak chcesz, ale albo zaraz wyjdiesz stąd, albo ja pojedę sama.

— Zaraz, Głaszeńka, zaraz... Poczekaj chwilkę... Przecież to po raz pierwszy udało nam się spotkać w Paryżu prawdziwych ludzi z gorącym sercem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Ludzi z duszą, przyjemnych ludzi.

— Ależ zrozum, że mnie się chce jeść! Jestem głodna, przecież dziś nie jedliśmy obiadu. W tym szynku niema nic, oprócz zgniłych jajek i rzodkiewki, a to przecież nie obiad.

Zauważywszy, że Głafira Siemionowna chce wychodzić, madame Bavolet podskoczyła do niej i zaczęła ją namawiać, żeby nie opuszczała towarzystwa.

— Me nu vulon dine. Nu navon pa ancor dine ożurdiui! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Diner? Vous n'avez pas diner, madame? Alors tout de suite je vous procurerai le diner! (Obiad? Pani jeszcze nie jadła obiadu? W tej chwili sprokurujemy pani obiadek!)

Posłano po obiad.

Wkrótce zjawił się gotowany homar, szynka i pasztec na zimno. Głafira Siemionowna była coraz bardziej zagniewana, więc skosztowała zaledwie trochę szynki, żeby nieco zaspokoić pierwszy głód, który jej w samej rzeczy dawał się coraz bardziej we znaki. Francuzi bez marynarek narzucili się na homara.

Tymczasem teatralne przedstawienia madame Bavolet szły swoją koleją. Za pierwszą piosenką poszła druga, trzecia, czwarta, z dodatkiem podrzucania falban spódnicy i efektownych gestów teatralnych. Następnie zaczęły się aryjki z operetek. Razem z madame Bavolet chciał śpiewać także jeden z Francuzów bez marynarki, lecz ponieważ oboje byli pijani, więc nic z tych duetów nie wychodziło. Skończyło się na tem, że madame Bavolet puściła się w rezultacie w kankana: grube jej cielsko niezręcznie podskakiwało w niewielkiej przestrzeni pomiędzy stolikami, przewracając krzesła i uderzając się o stoły. Ciężkie, tłuste, prawie słoniowe nogi z trudem unosiły się nad podłogą, pomimo to jednak jeden z Francuzów zaczął tańczyć z nią razem. Madame Bavolet traciła już oddech, lecz nie przestawała w dalszym ciągu podskakiwać. Mikołaj Iwanowicz przyglądał się tańcom, przyglądał, wreszcie i on nie wytrzymał.

— To było franse, a ja wam pokażę a la rius! — zawołał i puścił się kozaka po sali.

Tego było już zawiele dla Głafiry Siemionowny. Rozplakała się głośno i wybiegła z winiarni.

— Głasza! Głasza! Gdzie idziesz? Poczekaj trochę! — rzucił się za nią Mikołaj Iwanowicz i zaczął prosić, żeby została.

— Nie! Nie mam już siły. Dosyć! — rzekła przez łyzy, stojąc na progu szynku i zawołała, odwracając się, na dorożkarza: — Kosze! Że we do domu... Że we a la mezon. Wene zisi e parton a la mezon.

Dorożkarz wybiegł za Głafirą Siemionowną i mruczając z współczuciem „Madame est malade? Je vois, que madame est malade“! — zaczął podsadzać ją do dorożki.

— Pozwól mi chociaż zapłacić rachunek! Pojadę z tobą! — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— Czort! Djabeł! Bydlę bezduszne! Nie chcę z tobą jechać! Zostań tu z tą pijaną bandą! Całuj się z tą nahalną babą... Na zapłacenie dorożkarza sama znajdzie jakieś pieniądze. Zobaczę, jak bezemnie dasz sobie radę w Paryżu bez francuskiego języka. Kosze! Alle! Alle, kosze! — krzyczała Głafira Siemionowna do dorożkarza, który już zdążył sięść na kozieł.

— Przecież ja mogę w tej chwili... — mruczał Mikołaj Iwanowicz. Madam! Combien? Ile arżan? — krzyknął do Francuzki, zwróciwszy się twarzą do bufetu, lecz dorożka już ruszyła i stangret popędzał konia. — Głasza! Głasza! Poczekaj! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz wślad za odjeżdżającą dorożką.

Z dorożki nie było żadnej odpowiedzi i odległość pomiędzy nią a Mikołajem Iwanowiczem zwiększała się z każdą chwilą.

Na ulicę wybiegli madame Bavolet i Francuzi bez marynarek i zatrzymali się koło Mikołaja Iwanowicza.

— Madame est partie?... Il me semble, que madame est capricieuse, mais ne pleurez pas, nous nous amuserons bien! *) — mówiła madame Bavolet, jakby drwiąc nieco z Mikołaja Iwanowicza i wzięwszy go pod rękę, zaprowadziła z powrotem do winiarni.

LXIX.

Pozostawwszy sam z kompanją Mikołaj Iwanowicz znalazł się już zupełnie... bez języka. Pomimo wszystko Głafira Siemionowna była jednak jego tłumaczką, zaś liczba słów francuski, jakie on umiał była niezmiernie ograniczona i składała się przeważnie ze słów „bufetowych“, jak sam je nazywał. Pomimo to pijatyka trwała w dalszym ciągu. Musiał rozmawiać z swoimi współtowarzyszami na migi, co zresztą okazało się niezbyt trudnem. Wskutek wielkiej ilości wypitego wina język poruszał się mu już z trudnością, lecz mimo to mówił bez przestanku i — o dziwo — współtowarzysze jakoś go rozumieli. A mówił o wszystkim: o Moskwie, o Petersburgu, o swoim domowym pożyciu, o żonie, o handlu.

— Ma fam bien fam, lecz nie lubi buar wen. Non buar wen! — objaśniał nagły odjazd Głafiry Siemionowny, przyczem pokazywał palcem na butelkę i kiwał przecząco głową.

— Oh, monsieur! Presque toutes les femmes sont de cette facon. (Prawie wszystkie kobiety są tego samego rodzaju) — odpowiedział mu jeden z Francuzów bez marynarki.

— Żonaci mężczyźni tak samo jak zameżne kobiety to —

*) Pani odjechała? Zdaje mi się, że pani ma kaprysy, lecz niech pan nie płacze, zabawimy się.

nieszczęśliwi ludzie. Wiem to po sobie! — połakiwała roz-czerwieniona na twarzy madame Bavolet. — Teraz jestem wdową i za nic nie sprzedalabym swojej wolności!

Miała roztrzepane włosy, wysoki grzebień ze sztucznymi perłami zjechał na bok, cała twarz była spocona, uczernione brwi rozpląły się na czole. Była już zupełnie pijana, lecz ciągle jeszcze trącała się z Mikołajem Iwanowiczem i powtarzała:

— Buvons sec, monsieur! (Pijmy do dna!)

— Pó co musje? Dlaczego musje? Trzeba po rosyjsku. Trzeba a la rius. Ja — Mikołaj Iwanowicz! — ~~uknął~~ się palcem w piersi.

— Oui, oui... je me souviens... Pełr Iwanitsch, Ivan Iwanitsch...

— Mikołaj Iwanowicz!

— Nicolas Ivanitsch... Buvons sec, Nicolas Iwanitsch. Et votre nom de famille?

— Marszan Iwanow!

— Moi je suis aussi marchand. Je suis gantier! (Ja także jestem kupcem. Ja jestem rękawicznikiem)! — zaprezentował się jeden z Francuzów.

I na wyjaśnienie swoich słów wyciągnął z kieszeni spodni rękawiczki.

— Rękawicznik? Rękawiczkami handlujesz? Rozumiem! A ja jestem marszan od lin i sznurków. Oto...

Mikołaj Iwanowicz zaczął szukać sznurka, znalazł go wreszcie na butelce od wina szampańskiego i pokazał.

— A lina oto.

Oderwał szpagat z butelki i pokazał palcem grubość liny. Francuzi zrozumieli.

— Tiu marszan i że marszan — de marszan. Daj rękę! — mówił dalej Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę do Francuzów.

Następowało „vive la France“!, „vive la Russie!“ i znów wszyscy pili.

— A la riuss! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zaczął całować się ze wszystkimi. — Po rosyjsku trzy razy! Trua, trua...

Madame Bavolet specjalnie gorąco całowała się z nim swemi grubemi tłustemi wargami.

Sklepik już dawno był zamknięty. Wino lało się jak rzeka. Wypito mnóstwo. Mikołaj Iwanowicz stopniowo zaczął tracić przytomność.

Co potem nastąpiło, Mikołaj Iwanowicz przypominał sobie z trudem. Jechano gdzieś w jakimś powozie dużym, czteroosobowym. On, Mikołaj Iwanowicz siedział na tylnem siedzeniu razem z panią Bavolet, która miała na głowie olbrzymi

kapelusz z szerkiem rondem i całą fontanną piór. Francuzi siedzieli naprzeciwko. Pamięta jakiś ogród oświetlony gazem, coś w rodzaju teatru, mocno dekolowane kobiety, które śpiewały i tańczyły, przypomina sobie dźwięki orkiestry, przypomina tłum, przypomina jakieś tańce dziwne, przypomina sobie, że jedli coś w jakimś pokoju czerwonym ze złotymi ozdobami, przypomina sobie, że siedział pod rękę z jakąś Francuzką, ale nie z madame Bavolet, ale z jakąś chudą, ostronosą blondynką... Wszystko to pamiętał, jak przez sen.

Nie wiedział, kiedy i w jaki sposób wrócił do siebie do hotelu, lecz obudził się w swojej pościeli, w której leżał wprawdzie bez surduta i kamizelki, ale zato w butach i spodniach. Głowa bolała go strasznie. Otworzył oczy i zobaczył, że na dworze świeci jaskrawe słońce. Głafira Siemionowna w nocnym kaftaniku i spódnicy stała odwrócona do niego tyłem i układała coś w walizie. Mikołaj Iwanowicz zamknął z powrotem oczy, udał jeszcze przez czas jakiś śpiącego i kombinował, w jaki sposób ma rozpocząć rozmowę z żoną, kiedy trzeba będzie wstać z łóżka, lecz nic nie mógł wymyśleć. Głowa stanowczo odmawiała mu posłuszeństwa. Leżąc tak bez ruchu czas jakiś, wyciągnął ostrożnie rękę w kierunku nocnego stolika, ażeby wziąć zegarek i zobaczyć, która godzina. Udało mu się to wreszcie i był okropnie zdziwiony, dowiedziawszy się, że jest już trzecia po południu. Kiedy kładł zegarek z powrotem na stolik dewizka zadźwięczała na marmurowym blacie i łóżko skrzypnęło... Zajęta nad otwartą walizą Głafira Siemionowna odwróciła się i ujrawszy, że Mikołaj Iwanowicz już nie śpi, nachmurzyła brwi i rzekła:

— Ach, zbudziłeś się, nędzniku!

— Daruj, Głasza!... Przebaczone!... Przecież to ty jesteś winna, że się tak stało — mruknął Mikołaj Iwanowicz, starając się nadać swej mowie jaknajwięcej czułości i słodyczy, lecz po wczorajszym pijaństwie głos miał zachrypnięty.

— Milcz! Ja ci pokażę, jak ja jestem winna! Jeszcze śmiesz się tłumaczyć, pijanico jedna! — przerwała mu Głafira Siemionowna.

— Przebaczone aniołku, czuję, że jestem winien.

— Nie śmieję nazywać mnie swoim aniołkiem. Nazywaj aniołkiem tę tłustą szmatę, z którą piłeś przez całą noc i całowałeś się, a odemnie wara!

— Z kim ja się całowałem? Z kim?

— Milcz! Ja wiem, żeś się całował z całym tuzinem łajdaczek i pił przez całą noc.

— Głasza! Głasza! Jak można? Jak się Boga nie boisz?... — rzekł Mikołaj Iwanowicz, podnosząc się z pościeli i czując, że w głowie mu się jeszcze kręci.

Głafira Siemionowna nie wytrzymała. Siadła na otwartej walizie, zakryła twarz rękoma i gorzko zapłakała.

LXX.

Głafira Siemionowna płakała a Mikołaj Iwanowicz wstał z łóżka i zaczął doprowadzać do porządku swój strój. Nie przychodziło mu to z łatwością. Po wczorajszem pijaństwie chwiał się na nogach, głowa ciążyła mu, jak kocioł żelazny, oczy nie znosiły światła dziennego i łzawiły się, język w ustach twardy, był jak skóra. Mikołaj Iwanowicz umył się starannie, wypłukał usta, lecz i to nic nie pomogło. Spróbował zapalić papierosa, lecz zaczęło mu się robić słabo. Rzuciwszy niedopalonego papierosa, kaszlnął porządnie i zbliżył się do Głafiry Siemionowny.

— Precz! — zawołała żona, podnosząc rękę do góry. — Nie zbliżaj się do mnie! Idź do swoich łajdaczek!

— Do jakich łajdaczek? Co ty mówisz?

— Do tych, od których dostałeś te „suweniry“ na pamiątkę.

Mówiąc to, Głafira Siemionowna podeszła do jego palta, wiszącego na gwoździu przy drzwiach i zaczęła wyjmować z kieszeni: puszek od pudru, bilet wizytowy z napisem „Blanche Barbier“ i adresem, świadczącym, że mieszka ona na bulwarze Włoskim pod takim i takim numerem, korek szklany od butelki z perfumami, zmiętego motyla z gazy i aksamitu i dodała:

— Przypatrz się! Co to jest? Skąd masz to wszystko?

Mikołaj Iwanowicz wytrzeszczył zdziwiony oczy... Nic nie rozumiał.

— Stanowczo nie rozumiem, skąd się to wzięło! — odpowiedział, lecz w tej samej chwili zrozumiał, że można się jakoś wyłgać, więc dodał: — Ah, ah... Tego motyla kupilem dla ciebie, ale widocznie zmiął mi się w kieszeni. Wyglądał bardzo ładnie...

— Dziękuję! Bardzo dziękuję! I ten korek od butelki też dla mnie pan kupił? I ten bilet wizytowy z nazwiskiem jakiejś Blansz i adresem także dla mnie?

— Kochanie, to widocznie adres jakiejś krawcowej... Tak, tak, krawcowej. Nie pamiętam dobrze, byłem pijany, mówię szczerze, że byłem pijany, ale to pamiętam, że to jest adres bardzo dobrej i taniej krawcowej, którą mi zarekomendowała dla ciebie madame Bavolet.

— Uf, jakoś się wykręciłem! — pomyślał Mikołaj Iwanowicz, lecz Głafira Siemionowna uśmiechnęła się jadownicie i rzekła:

— Nie łżyj, nędzniku, nie łżyj!

Sięgnęła do drugiej kieszeni w palcie i wyciągnęła z niej długą, czarną, mocno już zniszczoną i zacerowaną w kilku miejscach rękawiczkę o siedmiu guziczkach i zapytała:

— Czy i tę starą rękawiczkę dla mnie kupiłeś?

— Stanowczo nie wiem, skąd mógłbym mieć tę rękawiczkę. Chyba że ten Francuz, z którym siedzieliśmy i piliśmy razem, wsadził mi ją do kieszeni przez pomyłkę.

— Coraz lepiej! Coraz lepiej! Wychodzi na to, że ów Francuz nosi rękawiczki kobiece powyżej łokcia! Mógłbyś już przynajmniej łąć inteligentniej a nie mówić takich głupstw, wiem doskonale, że musiałeś się zadawać z różnemi łajdaczkami i nabrałeś od nich różnych świństw na pamiętkę. Znam was, mężczyzn, doskonale! Pozwoli mi się pan jednak zapytać, co pan zrobił z pieniędzmi? — zapytała nagle Głafira Siemionowna, następując na niego: — Przedwczoraj wieczorem miałeś w portmonetce 40 złotych monet, a teraz masz tylko dwie. 38 niema. To znaczy, że w ciągu jednej nocy wydałeś 760 franków. I może pan chce, żebym uwierzyła, że w tym brudnym szynku tej tłustej baby wydałeś aż 760 franków?

— Czy naprawdę zostały tylko dwie monety?

— Dwie, dwie!... Proszę! — rzekła Głafira Siemionowna, wyciągając z pod poduszki swego łóżka portmonetkę Mikołaja Iwanowicza i wyjmując z niej dwie monety po 20 franków.

— Nie pamiętam! Stanowczo nie pamiętam... Musiałem chyba zgubić. Kijem tego, kto nie pilnuje swego! Szampan, któryśmy pili, nie był wcale drogi, zaledwie po 5 czy 6 franków za butelkę... Nie rozumiem... Byłem pijany, przyznaję się.

— A ja rozumiem... Te 700 franków zabrała owa Blansz i inne łajdaczki! — zawołała Głafira Siemionowna z gniewem i podsunęła Mikołajowi Iwanowiczowi pod nos bilet wizytowy. — Tak, ona, ona!... A co to za krawcowa, zdażyłam się już dowiedzieć. W czasie, kiedyś spał, byłam na bulwarze Włoskim i dowiedziałam się, co to za krawcowa jest, ta pani Blansz Barbie.

— Stanowczo, kochanie, nic nie rozumiem. Nie pamiętam, ponieważ byłem pijany, jak szewc. Ten bilet mogłem dostać od tego Francuza, z którym piłem; Francuz mógł również ukraść mi pieniądze. Kto go tam wie, co to za Francuz. Jaki djabeł szepnął ci wczoraj, żeś koniecznie chciała zajrzeć do szynku tej tłustej baby?

— Naturrrralnie! Teraz ja jestem winna. Przecież sam mnie prosiłeś, byśmy wstąpili.

— Nieprawda. Ja tylko ustąpiłem twemu żądaniu. Przecież ty szukałaś w dzielnicy Łacińskiej restauracyjki pod „Rogiem obfitości“.

— Ja szukałam nie dla tego, żeby upijać się, ale dla tego, żeby obejrzeć miejsce, w którym według pewnej powieści grawer przegrał żonę do malarza. Chciałam mieć jakieś pojęcie o takich restauracyjkach w dzielnicy Łacińskiej, a ty zaraz rozpocząłeś pijaństwo.

Mikołaj Iwanowicz zrobił smutną minę i rzekł, rozwodząc rękoma:

— Djabeł mnie opętał, Głasza! Przebacz! Więcej to się już nigdy nie powtórzy.

— Nie, tego ci nigdy nie przebaczę!... Przy pierwszej sposobności odpłacę ci taką samą monetą.

— Co takiego? — zapytał z przestrochaniem Mikołaj Iwanowicz.

— Ty piłeś i ja będę pić! Też wynajdę sobie jakiegoś kawalera. Ty znalazłeś sobie jakąś Blansz, ja sobie wynajdę jakiegoś Alfonsa.

— Nie mów głupstw, Głasza, nie mów! — pogroził żonie palcem Mikołaj Iwanowicz.

— Mów zaraz: gdzie włóczyłeś się do szóstej rano?

— Nie pamiętam. Stanowczo nie pamiętam. Byłem w tym szynku, a potem jeździliśmy gdzieś z całym towarzystwem, ale gdzie, nic nie pamiętam.

— Dobrze, dobrze! To była twoja pierwsza i ostatnia hulanka w Paryżu. Pakuj swoje rzeczy. Dziś wieczorem wyjeżdżamy z Paryża.

— Ależ Głasza? Jak można?... A oddział lin i sznurków na wystawie. Nie widziałem przecież jeszcze swojej specjalności? Nie widzieliśmy wystawy obrazów...

— Nie chcę o niczem słyszeć. Precz z tego Paryża! Czy masz przynajmniej tyle pieniędzy, żeby zapłacić za hotel i kupić bilety?

— Pieniądze mamy. Ale, ale, w jaki sposób mamy dzisiaj wyjechać, kiedy nie otrzymałem jeszcze pieniędzy?...

— Od kogo? Jakich pieniędzy?

— Od tego rodaka, z którym poznaliśmy się w teatrze Eden. Zapomniałem ci powiedzieć, że pożyczyłem mu 300 franków na jeden dzień, obiecał mi je wczoraj oddać.

Mikołaj Iwanowicz, przyznawszy się do tego, przerwał, lecz Głafira Siemionowna zawołała:

— A to osieł! Czy kto widział takiego osła? Daje pierwszemu lepszemu 300 franków. Dlatego to nie zjawił się on u nas ani wczoraj ani dzisiaj. Co za osieł!

— Nie mogłem, Głasza, odmówić. Cały dzień spędziliśmy jak przyjaciele...

— Wszystko jedno! Jedziemy dzisiaj! Co z woza spadło, to przepadło!

— Ależ twoje rzeczy przecież, kupione w magazynie Luwr...

— Ofo one! — rzekła Głafira Siemionowna, wskazując na dwa pudła tekturowe. — W czasie twego snu pojechałam po nie i przywiozłam. Jedziemy! A nie zapomnij zapłacić służbie hotelowej, która cię dzisiaj rano wносиła do numeru. A temu Francuzowi, który cię tu przywiozł w powozie, zapłaciłam za powóz i za jego kapelusz, który podobno zerwałeś mu i rzuciłeś do Sekwany.

Mikołaj Iwanowicz westchnął:

— A to funt! Czyżbym naprawdę był tak pijany?

— Nawet słowa „mama“ nie mogłeś wymówić. Potem rozbiliś na dole w hotelu lustro butelką, też trzeba będzie zapłacić.

— Boże! — zawołał Mikołaj Iwanowicz — pokręcił głową i chciwie zaczął pić wodę z karafki.

LXXI.

— Czego stoisz jak bałwan i jak gęś lykasz wodę? — krzyknęła Głafira Siemionowna na Mikołaja Iwanowicza. — Zadzwoni na służącego i zażądaj rachunek. Zupełnie nie żartuję, że dziś wieczorem wyjeżdżamy!

— Dobrze, aniołku, dobrze, zaraz! — odpowiedział mąż. — Dopiero co wstałem! Dobrze-by było napić się herbaty i zastanowić trochę nad tem wszystkim. Przypuszczam też, że należałoby zjeść obiad.

Wstydził się trochę patrzeć w oczy żonie i chętnie oddałby się gdzieś, schował, ale na nieszczęście mieli tylko jeden pokój i schować mógłby się tylko za szczyt łóżka. Zapalił papierosa i siadł na kanapie przed okrągłym stołem. Za chwilę znów rozległy się okrzyki Głafiry Siemionowny.

— Cóż to się pan tak rozsiadł? A nie łaska zagołować herbaty, jeżeli komuś się koniecznie chce pić? I pospiesz się, przecież imbryk i czajnik też muszą być zapakowane do walizy. To są nasze rzeczy i chyba ich tutaj nie zostawimy.

— Kochanie, ugotuj mi sama herbaty! Wiesz, że ja to niebardzo umiem robić. To nie męskie zajęcie.

— Tak, tak! Za to męskie zajęcie jest wałesanie się nocą po różnych spelunkach i całowanie z rozmaitemi napotkanemi łajdaczkami. A żona musi rzeczy pakować, musi herbatę gotować...

— Daj spokój, Głaska. Za twoje dobre serce kupię ci, co chcesz. W drodze powrotnej zatrzymamy się w jakimś mieście i możesz kupować, co ci się podoba.

Głafira Siemionowna zlekka uśmiechnęła się.

— Chytry lisek z pana dobrodzieja! — rzekła. — Jeszcze jedną rzecz jednak muszę ci zakomunikować. Żebyś wiedział... w powrotnej drodze nie mam zamiaru znowu błąkać się po rozmaitych Dyrszałach i Kenigsbergach. Mam wstręt do tej drogi, na której bez telegramu nie można dostać nic do jedzenia, ani picia. Cała ta płatanina niemiecka obrzydła mi do grobowej deski. Jest inna droga. Dzisiaj w magazynie de Lawr spotkałam się z pewną rosyjską damą. Ona mi opisała tę drogę i nawet zanotowała na karteczce. Pojedziemy przez Szwajcarję na Wiedeń, a z Wiednia wprost do Petersburga. Oto notatka. Trzeba wsiąść do wagonu na dworcu Liońskim i brać bilety do Genewy, z Genewy do Wiednia, a stamtąd do Rosji.

— Jak chcesz, kochanie, jak chcesz! — zgodził się Mikołaj Iwanowicz i zręcznie pochwyciwszy rękę żony, ucałował ją. — Pojedziemy tą drogą, którą sobie życzysz. Muszę jednak zwrócić ci uwagę na to, że Niemców nie będziemy mogli w żaden sposób pominąć, bo w Wiedniu też są Niemcy.

— Wszystko jedno, zawsze to będzie inna droga. Ta rosyjska dama, z którą rozmawiałam, tłumaczyła mi, że droga ta będzie daleko przyjemniejsza i łatwiejsza, gdyż wśród konduktorów spotyka się dużo słowian, którzy rozumieją po rosyjsku. Oprócz tego po drodze zobaczymy góry szwajcarskie i tyrolskie, o których już dawno marzyłam. Dużo bardzo czytałam o tych górach.

— Dobrze, dobrze!

Głafira Siemionowna zaczęła gotować herbatę.

— Zawołaj służącego i zażądaj coś do jedzenia! — zwróciła się do męża. — Musimy się pośpieszyć. Informowałam się już, pociąg odchodzi o siódmej wieczorem, a teraz już jest trzecia.

Mikołaj Iwanowicz przekonawszy się, że żona już się udobruchała, ożywił się nieco i zadzwonił. Zjawił się służący w swoich filcowych pantoflach i berecie papierowym, zatrzymał w drzwiach i uśmiechnął, patrząc na Mikołaja Iwanowicza.

— *Ca va bien monsieur?* (Jak się pan czuje?) — zapytał, mrugając okiem na Mikołaja Iwanowicza i pokazując swoją podrapaną rękę. — *C'est votre travail d'hier.* (To pańska wczorajsza robota).

— Głasza! Co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Pokazuje, żeś mu rękę podrapał, kiedy cię prowadził na górę.

Mikołaj Iwanowicz zawstydzil się.

— No, no... napewno sam się podrapał. Powiedz mu, Głasza, co chcesz, żeby nam przyniósł! — zwrócił się do żony.

— Nu wulon manże! — rzekła Głafira Siemionowna do służącego.

— Obiad dajemy dopiero o szóstej godzinie, madame, a śniadanie już się skończyło! — odpowiedział służący po francusku.

Okazało się, że w hotelu nie można było dostać nic do jedzenia, ponieważ kuchnia nie gotowała a la carte i tylko dwa razy na dzień przygotowywała odpowiednią ilość śniadań i obiadów.

— Ładny hotel! — zawołała Głafira Siemionowna. — Cóż robić, będziemy jedli przekąski. Mamy jeszcze resztki gęsi i indyczki od pozawczoraj.

Kazała podać jedynie sera, chleba i zażądała rachunku:

— Alle i aorte nu rachunek. Jak rachunek po francusku, zapominałam. Wu komprene, rachunek? Rachunek! *Kombien nu dewon peje pur tu?*

— Ach, pani żąda rachunek za pobyt w hotelu. W tej chwili madame! — odpowiedział służący po francusku.

Znikł i za chwilę zjawił się z serem, chlebem i nakryciem.

— Mal a la tete? — zapytał Mikołaja Iwanowicza, widząc

że ten pociera czoło ręką. — C'est toujours comme ça, quand on prend beaucoup de vin le soir. (Ból głowy? To tak zwykle bywa, gdy ktoś za wiele wina pije wieczorem.)

— Patrz, do czego się doprowadziłeś, nawet służący w hotelu śmieje się z ciebie, żeś był wczoraj pijany i pyta się, czy cię nie boli głowa.

— Co takiego? Śmieje się? Won!

Mikołaj Iwanowicz wstał z kanapy, spojrzał groźnie na służącego i zacisnął pięści. Służący wyskoczył za drzwi jak fryga.

Małżonkowie zabrali się do jedzenia, lecz Mikołaj Iwanowicz po wczorajszej pijatyce nie miał żadnego apetytu. Głafira Siemionowna sam jadła gęsinę i indyczkę.

— Czego nie jesz? — zapytała męża.

— Jakoś mi się nie chce.

— Aha! Masz skutki pijaństwa!

— Nie wymawiaj mi już, Głasza, nie wymawiaj.

Staruszek właściciel hotelu sam przyniósł rachunek i położył go na stole przed małżeństwem. On też z wielkiem zaciekawieniem przyglądał się Mikołajowi Iwanowiczowi. Widocznie nie często zdarzało mu się spotykać do tego stopnia pijanych ludzi, gdyż w pewnej chwili nie wytrzymał i zapytał Mikołaja Iwanowicza z uśmiechem:

— Votre sante, monsieur? (Pańskie zdrowie?)

Mikołaj Iwanowicz zrozumiał i gniewnie machnął ręką.

— No, no, no... Bez poufałości! Odwal się pan! — rzekł.

— Ty stary djabie napewno także nieraz bywałeś pijany! Napewno z tysiąc razy.

Gospodarz postął jeszcze chwilę, potem wyszedł z pokoju. Małżonkowie zaczęli przeglądać rachunek.

LXXII.

Wypisany na długim arkusiku ze wszystkimi szczegółami rachunek kończy się sumą dość znaczną.

— Boże! A to naliczyli! I co za? Przecież myśmy tutaj tylko spali, nic nie jedli! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

Wziął rachunek, przejrzał go, lecz po chwili oddał Głafirze Siemionownie.

— Nie dla nas napisane! Przeczytaj, Głasza!

Głafira Siemionowna przejrzała rachunek i rzekła:

— Straszne gryzmoły, nic nie mogę przeczytać.

— Ja myślę, że oni tak naumyślnie nagryzmolili, żeby trudniej było zrozumieć! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Może jednak coś niecoś zrozumiesz.

— Tutaj jest szambr... To za pokój... po dwanaście franków.

— Tak umówiliśmy się. W porządku.

— Jakto?... Umówiliśmy się po dwanaście franków z dwoma łózkami, a tutaj za drugie łóżko doliczono nam po franku za dzień. Zdaje mi się, że to za łóżko. Tak, tak. Wyrażnie za łóżko.

— Jakim prawem te łajdaki liczą nam za łóżko? Szkoda! Ach, jaka szkoda, że nie umiem wymyślać po francusku.

— Poczekaj, poczekaj... Tutaj trzy razy policzono za świece. Bużi de serwis i poprostu burzi. Za pierwsze — dwa franki, za drugie — pięć franków. A przecież spaliliśmy wszystkiego tylko dwie świece.

— A to łajdaki!

— Nie rozumiem, dlaczego dwa razy nam te świece policzono? Czyżby te pierwsze dwa franki wzięli za ten niedopalek, który dawano nam wieczorem na dole, jak wracaliśmy w nocy, ażebyśmy nie połamali nóg na schodach? To już do niczego niepodobne. Boże! Za bieliznę pościelową osobno policzyli.

— Nie może być?

— Osobno, osobno! Piękny rachuneczek. De cafe o te trzy franki. Wiesz, za każdą filiżankę kawy z mlekiem liczyli nam po półtora franka.

— To rozbój na czystej drodze!

— Gorzej, niż rozbój! Patrz dalej: en serwis te, de serwis te, wyobraź sobie, że za to, żeśmy brali od nich naczynia do herbaty, parę bułek i troszeczkę masła, za każdym razem liczyli nam po dwa franki.

— Naprawdę? Ładny narodek! A jak spotkają człowieka i poznają, że to Rosjanin, to zaraz krzyczą „wiw la rusi!“

— Dlatego też krzyczą „wiw la rusi“, bo mogą zedrzeć z człowieka siedem skór. Poczekaj, poczekaj... Tutaj jeszcze jest: papie a letr. Pamiętasz wzięłeś dwa arkusiki papieru i dwie koperty, żeby napisać list, dwa franki policzyli.

— Nie może być?

— Patrz! Za dzisiejszy kawałek sera, ten który zjedliśmy przed chwilą — cztery franki.

— Ach łajdaki, łajdaki!

— Nawet znaczki pocztowe do listów policzyli po pół franka. Dwa razy tyle, ile kosztują. Patrz znowu, znowu: serwis, serwis i wciąż po dwa franki. To chyba już za służbę? Pewno za służbę.

— Za tego idjotę w papierowej czapce.

— Pewno za niego. Boże! Za zapalki... De alumeť... Za zapalki też osobno policzyli.

— A za papierową czapkę służącego nie policzyli osobno? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Nie.

— A za filcowe jego pantofle?

— Nie, nie! Za to napisali dwa franki za coś, czego nie rozumiem... Może to za to, że cię prowadzono pod rękę po schodach?

Mikołaj Iwanowicz stracił rezon.

— Dosyć, dosyć! — machnął ręką. — Znowu mnie klujesz?

— Aha! Nie ludbisz! A jednak za zbite lustro pięćdziesiąt

franków będziesz musiał zapłacić. Widzisz, widzisz... tu napisane.

— Kiedy ja zbiłem lustro? Nie, tego rachunku nie zapłacę. Nie mogę pozwolić się ograbiać. Djabli wiedzą, co oni tu napisywali! — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz.

— Daj spokój! Nie urządzaś skandalu! Jeżeli nie żał ci setek franków na pijatykę z łajdaczkami, nie urządzaś skandalu z powodu dziesięciu, piętnastu franków. Wszyscy musieli wstać, żeby cię zaprowadzić do pokoju.

Mikołaj Iwanowicz westchnął, zamilkł i zaczął szukać zapasowych pieniędzy, które miał zamknięte w walizie. Głafira Siemionowna obserwowała go czas jakiś, wreszcie rzekła:

— Całe twoje szczęście, żeś wczoraj nie miał ze sobą wszystkich pieniędzy, bo napewno twoi mili przyjaciele i przyjaciółki zostawiliby ci w portmonetce tylko dwie złote monety. Ah, ty mordo pijacka!

— Zapomnij już, Głasza, zapomnij!

Po dwóch godzinach małżonkowie w podróżnych ubraniach wychodzili z pokoju, ażeby sięść do dorożki i jechać na kolej. Służba hotelowa wynosiła poduszki, walizy i paczki. W kurytarzu i na schodach zjawily się nowe służące i służący, których dotąd małżonkowie nasi w hotelu nawet nie widzieli. Wszystko to kłaniało się i wyciągało rękę, ażeby otrzymać napiwek.



— Fill de chambre du troisieme! (Pokojówka z trzeciego piętra) — mówiła jakaś kobieta w bronzowej sukni i białym czepku.

— Monsieur ce moi, qui... — zaczął z głupim uśmiechem na ustach służący w papierowej czapce i filcowych pantoflach, lecz nie skończył i pokazał Mikołajowi Iwanowiczowi swoją podrapaną rękę.

Głafira Siemionowna w milczeniu dawała każdemu po pół franka.

Na dole przy drzwiach wejściowych pożegnało małżonków gospodarstwo. Staruszka grzecznie dygnęła i rzekła:

— Bon voyage, monsieur et madame! — Bon voyage!

— Rabusie! Żebyście zdechli! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Staruszek-gospodarz, myśląc, że Mikołaj Iwanowicz za coś mu dziękuje, też uważał za stosowne mu podziękować:

— Merci, monsieur, merci, monsieur... — powtarzał i wsuwał Mikołajowi Iwanowiczowi w rękę całą paczkę kart reklamowych swego hotelu.

LXXIII.

Wśród poduszek i waliz jechali małżonkowie nasi ulicą Lafayette w zamkniętej karetkę na dworzec Ljoński i patrzyli przez okna na ruch uliczny, żegnając się z Paryżem. Głafira Siemionowna żegnała się nawet głośno:

— Żegnaj, Paryżu, żegnaj! — mówiła. — Być może nie zobaczymy się już nigdy. Miałam tutaj dużo nieprzyjemności, mimo to jednak jesteś mi tysiąc razy miłszy od Berlina.

— Co za nieprzyjemności, Głaszeńka? Takie nieprzyjemności można wszystko z chlebem zjeść! — próbował wtrącić swoje słowo Mikołaj Iwanowicz.

— Milcz! Wszystkie te nieprzyjemności były przez ciebie! Skandal z Indjanką, pijaństwo w dzielnicy Łacińskiej.

— Przestań, Głasza... Znowu zaczynasz?... Przecież już jedziemy do domu! Skończone! Stój! Stój, kosze! Kosze! Stop! — zawołał nagle Mikołaj Iwanowicz i zaczął pukać w okno karety.

— Co ci się stało? — zapytała zdziwiona Głafira Siemionowna.

— Zobaczyłem rodaka. Trzysta franków... Winien mi trzysta franków! — mruczał Mikołaj Iwanowicz i wysunawszy się z okna karety zawołał:

— Panie rodaku! Rodaku! Panie radco kolegajny!

Na rogu jakiegś przecznicy w pobliżu oświetlonego okna sklepowego stał w samej rzeczy rodak w swoim kapeluszu z szerokim rondem, ten sam, z którym poznali się małżonkowie przed teatrem „Eden“. Stał przed wystawą i oglądał towary. Słyszac wołanie „rodak“ odwrócił się, lecz ujrzawszy wychylonego z karety Mikołaja Iwanowicza, nasunął pośpiesznie kapelusz na czoło i znikł za rogiem ulicy. Mikołaj Iwanowicz wyskoczył z karety, pobiegł za nim, lecz za rogiem ulicy wszelki ślad rodaka zginął. Postawszy trochę i rozejrzawszy się na prawo i na lewo, Mikołaj Iwanowicz wrócił do karety.

— Wyobraź sobie, uciekł świntuch! — rzekł do żony.

— A ty myślałeś, że on będzie taki głupi, żeby czekać na ciebie. Osieł jest do tego, żeby dawał, mądry bierze...

— A zapewniał mnie, drań, że odda nazajutrz! „Tylko do jutra. — mówił. — Jak otrzymam jutro od bankiera pieniądze według przekazu, zaraz panu odniosę“. To było w kawiarni

naprzeciwno Luwrowskiego magazynu, kiedyśmy pili razem wino... I czy to nie dziwna rzecz: jedyny Rosjanin, z którym poznaliśmy się w Paryżu i musiał nas naciągnąć.

— Masz naukę na przyszłość. W podróży nie należy wierzyć każdemu napotkanemu człowiekowi. Targowałeś się o każdą drobnostkę, żalowałeś na dorożki, jak sknera, a dla jakiegoś nieznajomego człowieka odrazu znalazłeś trzysta franków.

Na dworzec przybyto bez żadnych przygód. Tragarze w niebieskich bluzach wzięli od nich walizy i oddali na bagaż. To samo chcieli zrobić z poduszkami, zapewniając, że takie duże przedmioty nie wolno przewozić w wagonach osobowych.

— Ce n'est pas permis, madame. Vous verrez, que ce n'est pas permis! (To nie wolno! Państwo zobaczą, że nie wolno) — mówili.

— Czego pan kłamie? To nieprawda! Przyjechaliśmy tutaj z temi poduszkami i wieźliśmy je w wagonie. Par tu dan la wagon, awiek nu dan la wagon. Non, non... Koman don nu puwon dormir san kusan? Non, non. (Jak możemy spać bez poduszek?)

Pomimo to tragarze, oddawszy walizki na bagaż, nie chcieli zanieść poduszek do wagonu i małżonkowie musieli nieść je sami.

— Nie rozumiem, dlaczego nie chcą zabrać poduszek do wagonów? — dziwiła się Głafira Siemionowna, zwracając się do męża.

Sprawa się wyjaśniła wkrótce i w sposób bardzo prosty. Przed stojącym już na peronie pociągiem wożono na maleńkich wózkach niewielkie podusieczki i pasiate kołdry, które za jeden frank wynajmowano pasażerom. Wózki te popychali tacy sami tragarze, jak ci, którzy zajęli się rzeczami małżonków i wykrzykiwali:

— Pour se reposer! Pour ce reposer! (Do spoczynku.)

— Widzisz, jakie mądrale ci tragarze! Naumyślnie nie chcieli zabrać naszych poduszek do wagonu, żebyśmy musieli wynająć sobie poduszki od ich towarzyszków. Myśleli prawdopodobnie, że uwierzymy im i oddamy poduszki na bagaż. Ale nie trafili na durniów! — mówiła Głafira Siemionowna.

— Naturalnie, naturalnie! Napewno to wszystko jedna spółka! — potaknął Mikołaj Iwanowicz.

Przy wejściu do wagonu nie czyniono im żadnej trudności, jedynie konduktor spojrzał zezem na olbrzymie poduszki, uśmiechnął się i zapytał Mikołaja Iwanowicza:

— Vous etez les russes, monsieur? N'est pas?

— Wuj, wuj, le riuss! — odpowiedziała Głafira Siemionowna za męża.

— Oh, widzę to doskonale, madame! — mówił w dalszym ciągu po francusku konduktor, uśmiechając się coraz weselej i ukazując na poduszki. Następnie zażądał biletów i dodał:

— Państwo jadą prosto do Genewy i dlatego nie radzę siadać do tego wagonu. W Dijon z tego wagonu musieliby państwo przesiadać do innego. Proszę za mną, pokażę państwu wagon, z którego nie będzie trzeba się przesiadać.

Widząc, że go nie bardzo rozumieją, kiwnął na nich palcem, odebrał sakwojaż i poduszki i pomógł przenieść się do innego wagonu, gdzie usadowiwszy ich, rzekł raz jeszcze:

— Ot, teraz, w tym wagonie zajadą państwo wprost do Genewy.

— To mi się podoba! To po naszemu! To na rosyjski sposób! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i podziękowawszy konduktorowi, wsunął mu w rękę franka.

— Merci, monsieur! — podziękował konduktor i dodał po francusku:

— O ja znam dobrze Rosjan i ich zwyczaje!

Pociąg stał jeszcze na stacji kwadrans i wreszcie po trzech dzwonekch ruszył.



LXXIV.

Oprócz małżonków w przedziale wagonu siedzieli: korupulentny, okragły człowieczek z króciutką bródką na pełnem obliczu i cieniutki Francuz w jaskrawym krawacie z czarnemi cieniuśkami. wąsikami.

— Bardzo, bardzo się cieszę, że nie będziemy jechać nocą sami w przedziale i możemy być spokojni, że nie okradną nas rozbójnicy — rzekła do męża Głafira Siemionowna. — Zawsze lepiej w czwórkę. Pamiętasz, jak jechaliśmy z Kielnu do Paryża i całą noc byliśmy sami? Pamiętasz, jak było strasznie? A teraz, jeżeli nawet uśniemy, to oni nie będą spać.

— Bardzo być może, ale nie jestem pewny, czy tym ludziom też można bardzo dowierzać! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Skąd wiesz, że ci dwaj Francuzi, to nie złodzieje? Zaśniemy a oni podsuną nam chloroformu pod nos i obrabują nas.

— Co ty wygadujesz? Zupełnie niepodobni są do rozbójników! — rzekła z przestraczem Głafira Siemionowna.

— Co to znaczy, że niepodobni? Że ubrani trochę lepiej? Przecież na kolejach złodzieje zawsze się lepiej ubierają...

— Ach, Kola, czego ty mnie straszysz? Znow będę drżała ze strachu przez noc całą.

Bardzo się bać niema czego. Trzeba tylko trzymać się ostro i pilnować się. Spać możemy na zmianę: z początku ty pośpisz trochę, potem ja...

— Wiem, że też uśniesz, jeżeli ja usnę. Znam cię, śpiochu.

— Każda liszka swój ogon chwali... Dla pewności wyjmę rewolwer i włożę go do bocznej kieszeni. Niech chociaż widzą, że mamy broń.

Mówiąc to, Mikołaj Iwanowicz z poważną wielce miną wydobył rewolwer z sakwojażu i schował go do bocznej kieszeni. Tłusty Francuz spojrział na Mikołaja Iwanowicza i rzekł z uśmiechem:

— C'est l'ami de voyage? (To przyjaciel podróży?)

— Wuj! Dobra przekąska! Każdy będzie zadowolony! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i poklepał się zadowolony po kieszeni.

Po dziesięciu minutach tłusty Francuz zaczął ziewać, pochylił się ku Głafirze Siemionownie i rzekł jej: „Pardon, madame“, zdjął obuwie, nałożył podróżne pantofle, na głowę włożył miękką czapeczkę czerwoną i skurczywszy się w kąciку, zaczął sapać i chrapać. Francuz w jaskrawym krawacie krzepił się i walczył z sennością. Kilkakrotnie wyjmował z kieszonki kamizelki okrągłą lakierowaną bombonierkę, z której brał maleńkie cukierki i kładł do ust.

— Widzisz, jaki łasuch! — zauważyła Głafira Siemionowna i dodała: — Nie, ci Francuzi nie wyglądają na zbrodniarzy.

— Dlaczego? — sprzeciwił się Mikołaj Iwanowicz. — Dlatego, że jeden śpi, a drugi połyka cukierki? To nic nie znaczy, kochanie. Może to wszystko dlatego, żeby uśpić nasze podejrzenia.

— Znow zaczynasz mnie straszyć! Dlaczego mnie straszysz? Ja naumyślnie staram się uspokoić, a ty....

— Uspokajaj się, jak chcesz, a ja mówię, że trzeba się pilnować!

Po upływie jeszcze pięciu minut Francuz z cienkimi wąsikami rozpoczął rozmowę. Uniósł zlekka kapelusza przed Głafirą Siemionowną i zapytał:

— Madame et monsieur sont les russes?

— Wuj, mosie! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Pozwoli mi pani — mówił dalej po francusku — przedstawić się, jako Francuz, który bywał już nieraz w Rosji.

Jestem komiwojażerem, przedstawicielem firm i bardzo niedawno bawiłem przez tydzień w Petersburgu i przez tydzień w Moskwie. Zachwycony jestem Rosją. „Le isvostschik, le samovar, le troika, le vodka, le mougiks...” Wszystko to widziałem, wszystko to zachwycało mnie... — trzeszczał Francuz, przypominając sobie rosyjskie nazwy niektórych ulic w Petersburgu i w Moskwie.

Głafira Siemionowna słuchała i milczała.

— Je crois, que madame parle francais? — upewnił się w pewnym momencie. (Sądzę, że pani mówi po francusku?)

— En pe, monsieur! — odpowiedziała i zwracając się do męża przetłumaczyła mu to, co zrozumiała z rozmowy Francuza.

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie, ale nie radzę ci z nim za bardzo... Djabli go wiedzą, co to za człowiek. Może łże, że jest z handlowej klasy! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Mordę ma nie bardzo handlową.

Po upływie kilku minut Francuz wyjął bombonierkę i poczęstował Głafirę Siemionownę cukierkami. Głafira Siemionowna wahała się i spojrzała pytająco na męża.

— Bierz, bierz! Nie zaszkodzi ci... Sam jadł przecież, więc bez trucizny.

Głafira Siemionowna wzięła cukierek i włożyła do ust.

Po upływie pół godziny Francuz z wąsikami zdjął z siatki dwie niewielkie walizki i otworzywszy je, zaczął pokazywać Głafirze Siemionownie modele towarów tych fabryk, z ramienia których jeździł po różnych miastach. Były to duże odcinki drogich koronek, staniczki, halki i t. p. Francuz pokazywał i mówił ceny.



— Ah, jakie to piękne! — zachwycała się Głafira Siemionowna. — I jak tanio! Kola! Kola! Patrz, cały żabot koronkowy za 60 franków. Przecież u nas za taki żabot trzeba zapłacić najmniej sześćdziesiąt rubli, ale, co mówię i za sto

się nie dostanie! — mówiła do męża i zwracając się do Francuza, zapytała:

— On pe aszeŭe sze wu? (Czy można kupować od pana?)

— To tylko modele, madame. Według tych modeli otrzymujemy zamówienia i wogóle sprzedajemy tylko en gros, ale ten żabot mam w dwóch egzemplarzach i jeżeli się pani podoba, mogę go jej ustąpić po cenie fabrycznej.

— Kola, przypomnij sobie, żeś nie zaglądał jeszcze swojej winy za wszystkie twoje świństwa w Paryżu. Powinieneś kupić mi ten żabot. Przypomnij sobie, że obiecałeś mi prezent za twoje awantury. Chodzi tylko o sześćdziesiąt franków! — zaczęła domagać się Głafira Siemionowna.

— Widzisz, Głasza, nie bardzo chciałbym przy nim wyjmować pieniądze! — szepnął Mikołaj Iwanowicz. — Może te towary, to też tylko taki sposób na uśpienie naszej podejrzliwości. Może chce poprostu dowiedzieć się, gdzie chowam pieniądze, żeby potem tem łatwiej nas ograbić.

— Co ty mówisz? Głupstwo! Ten Francuz zupełnie nie przypomina rozbójnika.

— W takim razie kupuj. Jak chcesz.

Mikołaj Iwanowicz sięgnął ostrożnie do kieszeni i nie wyjmując pugilaresu zdołał jakoś wydobyć trzy monety dwudziestofrankowe, które oddał Francuzowi.

Francuz w dalszym ciągu przebierał towary. Po koronkach przyszła kolej na jedwabie, po jedwabiach na wstążki... Skończyło się na tem, że Głafira Siemionowna zapłaciła Francuzowi sto dziesięć franków.

— Djabli przynieśli tego kusiciela! — mruczał z gniewem Mikołaj Iwanowicz.

LXXV.

Głafira Siemionowna była zachwycona zakupami. Oglądała je po kilka razy, podnosząc do światła lampy, umieszczonej w suficie, a komiwojażer, podkrecając cienkie wąsiki, chwalił swoje towary.

— Te koronki, to znakomite Chantilly! Nie imitacja, a prawdziwe Chantilly! — mówił po francusku.

— Widzę, widzę, że szantili... Ja się znam na tem... — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Mersi, monsie, boku mersi! — i podała rękę Francuzowi.

Komiwojażer mocno uściśnął rękę, zajrzał jej głęboko w oczy i rzekł:

— Jestem zachwycony, że mogłem zadowolić rosyjską damę. Wogóle bardzo lubię Rosjan, a rosyjskimi paniami jestem poprostu oczarowany.

— Bardzo elegancki i uprzejmy człowiek! — rzekła Głafira Siemionowna do męża. — Nadzwyczaj elegancki, a ty podejrzewałeś go, że to rozbójnik.

— Może być, może być! Ale ty z nim, Głasza, nie bardzo tego... — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Tymczasem komiwojażer mówił bezustanku i przeplatał mowę swoją mnóstwem komplementów, nie zdając sobie nawet sprawy, czy jego towarzyszka rozumie go. Stopniowo stał się jakby kawalerem Głafiry Siemionowny. Kiedy ta opierała się o poduszkę. Francuz natychmiast zaczął poprawiać ją, zdjął z siatki maleńkie pudełko z próbkami towarów i podstawił je Głafirze Siemionownie pod nogi. Na jednej ze stacji kupił soczystych gruszek i poczęstował swą towarzyszkę, na następnej stacji zjawił się koszyczek z winogronami... Musiała co chwila za coś mu dziękować. Mikołaj Iwanowicz słyszał tylko ciągle „mersi monsieur“, przyglądał się żonie i widząc jej uśmiechnięte oblicze, zwrócone do komiwojażera, tracił coraz bardziej humor.

Około dwunastej Głafira Siemionowna zapytała męża:

— Czy my nie zjemy kolacji dzisiaj? Chce mi się jeść.

— Nie wiem! Zapytaj się swego Francuza! — odpowiedział z gniewem.

— Jakto „swojego“ Francuza? — obrazila się Głafira Siemionowna. — Dlaczego on jest „mój“.

— Naturalnie, że twój! Zmamiłaś go. Z obrzydzeniem patrzę, jak się z nim migdalisz. Jakiś głupi subjekeina francuski, a ty przed nim różne miny stroisz...

— Mam mu może język pokazać? Przecież muszę mu podziękować za jego uprzejmość.

— We wszystkim trzeba znać miarę!

— A ja nie chcę znać miary! Będę z nim flirtowała namiętnie. Zaraz go się zapytam, czy można będzie gdzie zjeść kolację... Dit mua, monsieur... Wu ne sawe pa, siur kel station on pe supe ozurdiui? — zwróciła się do Francuza.

— Ah, madame, to nie trudno. Pociąg prawie się nie zatrzymuje, lecz spróbuje... Spróbuje, może uda mi się namówić konduktora, żeby kupił coś dla pani zimnego w bufecie, jak zatrzymamy się na jakiejś stacji trzy minuty. Sera, zimnego mięsa i wina.

— Mersi, monsieur, mersi! — podziękowała Głafira Siemionowna Francuzowi i przetłumaczyła jego słowa mężowi.

— Niech się stara o kolację dla ciebie! Dla mnie nie potrzeba! Nie jestem głodny.

— Naturalnie po wczorajszym pijaństwie... Napewno w ciągu trzech dni będziesz jeszcze czuł wstęt do jedzenia.

— Przestań ze swojemi głupimi uwagami! Milczałabyś lepiej!

— Nie chce milczeć!

— No to obejmuj się ze swoim subjekeinem i zostaw w spokoju.

— Osieł! Zazdrosny osieł!

— A ty oślica!

Małżonkowie zaczęli się kłócić nie na żarty. Francuz wojażer patrzył zdziwiony. Z tonu rozmowy zrozumiał, o co

chodzi i upewniwszy się przedtem od Głafiry Siemionowny, że mąż nie rozumie po francusku, zaczął mówić:

— Ah, ci mężowie! Ci mężowie — to straszni ludzie. Pani małżonek prawdopodobnie gniewa się, że sprzedałem pani troszeczkę towaru i zmusiłem go w ten sposób do wydania pieniędzy. Oh, mężowie nie umieją cenić swoich żon! Mają rację ci, co mówią, że prawdziwa miłość trwa tylko do ślubu. Piszą o tem we wszystkich powieściach. Jak tylko kobieta zostanie żoną mężczyzny, miłość się kończy a mąż zmienia się w tyrana. Nieprawda?

Wszystko było powiedziane po francusku, lecz — o dziwo — Głafira Siemionowna zrozumiała mniej więcej treść jego słów i odpowiedziała:

— Muj, monsieur.

W mowie Francuza Mikołaj Iwanowicz usłyszał kilkakrotnie powtórzone słowo: „l'amour“. Wiedział, że „l'amour“ znaczy miłość, więc nie wytrzymał i rzekł:

— Jakiem prawem to bydlę śmie mówić z zamężną kobietą o miłości! L' amour, l' amour!... Powiedz mu, żeby zapomniiał o tej swojej „l'amour“ bo go zmuszę do tego po swojemu...



Głafira Siemionowna też wybuchła:

— Zdaje mi się, że szukasz awantury! — rzekła. — Nie rozumiesz języka i chcesz się na wstyd narażać. Mówi o miłości, ale w zupełnie innem znaczeniu.

— Co mnie obchodzi w jakim znaczeniu! Nie chcę, żeby jakieś francuskie bydlę mówiło z moją żoną o miłości! Wiedz o tem!

— Ależ on mówił o miłości męża do żony.

— Nie ma prawa tego mówić przy mnie! — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz.

— Czego wrzeszczysz? Czego się awanturujesz?

— Bo tak chcę! Będę wrzeszczał! Będę się awanturował. Siadaj tu koło mnie... Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała, Siadaj zaraz? Siedź i milcz!

Mikołaj Iwanowicz wyrwał poduszkę z za pleców Głafiry Siemionowny i położył ją koło siebie. Głafira Siemionowna zaczęła mrugać zalzawionemi oczyma, lecz przesiadła się.

Francuz zrozumiał, że małżonkowie pogniwiali się i zamilkł, lecz kiedy pociąg stanął na jakiejś stacji, przypomniał sobie, że miał się postarać o coś do zjedzenia dla damy rosyjskiej, wyskoczył więc z wagonu i po minucie, wróciwszy, rzekł do Głafiry Siemionowny:

— W tej chwili, madame, przyniosą pani coś do zjedzenia i wypicia.

Pociąg ruszył i podczas ruchu w oknie ukazało się kepi konduktor, który opuścił okno i podał do przedziału zawinięte w papier przekąski, butelkę wina i szklanę.

— S'il vous plait, madame! — rzekł komiwojażer z lekkim ukłonem, wskazując na konduktora.

— Nie trzeba! Nic nie trzeba! — rzekł gniewnie Mikołaj Iwanowicz, lecz Głafira Siemionowna przerwała mu:

— Jakto nie trzeba? Zdaje mi się, że pan chce mnie zamorzyć głodem? Chce mi się jeść! — wzięła od konduktora butelkę i kanapki i zapytała: — Combien?

— Trois francs, madame! — odpowiedział konduktor.

— Prenez katr frank. Se pur buar.

W gardle dusiły ją łyzy. Trzeba było podziękować komiwojażerowi za jego grzeczność. Wreszcie wzięła na odwagę i nie odwracając się, rzekła:

— Mersi, monsieur!

Mikołaj Iwanowicz siedział pochmurny i milczał. Wreszcie rzekł do żony:

— Chciało ci się jeść, więc jedz!

Nie było odpowiedzi. Głafira Siemionowna ukryła twarz w poduszkę i płakała.

— Jak nie chcesz jeść, to ja się napiję wina! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i nalawszy sobie szklanę wina, wypił duszkiem.

Dopiero po upływie pół godziny, wyplakawszy się dostatecznie, Głafira Siemionowna wytarła ukradkiem łyzy i odwróciwszy się od męża, zaczęła ukradkiem jeść kanapki.

Komiwojażer spał, albo też udawał, że śpi.

LXXVI.

Po posiłku małżonkowie już nie kłócili się, lecz nie rozmawiali ze sobą. Mikołaj Iwanowicz, wypiwszy butelkę wina, pomimo, iż poprzednio twierdził o konieczności zachowywania ostrożności, zaczął drzemać i wkrótce usnął na dobre. Głafira Siemionowna starała się nie spać, patrzyła na migające w ciemnem oknie światelka, lecz i ona wreszcie, ziewnąwszy

raz i drugi, zasnęła mocno, ukołysana równomiernym hałasem kół.

Kiedy obudziła się, pociąg stał na jakiejś stacji. Świtało. Komiwojażer i tłusciutki Francuz już nie spali. Tłuscioch ziewał i zdjawszy pantofle, nakładał obuwie. Komiwojażer, stojąc, przeglądał się w maleńkiem lusterku, czesał i podkręcał wąsiki.

— Ostałnia stacja przed Genewę. Za piętnaście minut będziemy na miejscu! — rzekł do Głafiry Siemionowny, kłaniając się uprzejmie i zapytał, czy odpoczęła dobrze.

Głafira Siemionowna mruknawszy „mersi“ zaczęła budzić męża. Ten otworzył oczy i patrzył nieprzytomnym wzrokiem na żonę.

— Trzeba będzie przygotować nasze rzeczy, zaraz przyjeżdżamy! — rzekła.

— Dokąd?

— Do Genewy!

Mikołaj Iwanowicz spojrzał z pod oka na czeszącego się komiwojażera. Znów nachmurzył się i zapytał:

— To bydlę też do Genewy jedzie?

— A skąd ja wiem? Nie pytałam go o to.

— Napewno do Genewy. To widać! Wiesz co, Głaska: nie chciałbym zatrzymywać się w Genewie. Niech ją djabli wezmą! Jedźmy dalej!

— Jakto, niech ją djabli wezmą? Przecież w Genewie jest Szwajcaria. Są te góry alpijskie. Zobaczymy w naturze te szwajcarskie widoki, które wiszą u nas w salonie.

— Co tam góry! Co za widoki! Pluję na to wszystko! Góry zobaczymy z okien wagonu! Pluję na to! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i znów spojrzał ukradkiem na komiwojażera.

— Jak chcesz, to pluń, a ja nie pluję. Chcę koniecznie widzieć Genewę i Alpy. Bardzo niedawno czytałam dużo o Genewie. Tutaj markiz de Furma spędził swój miesiąc miodowy z Leonją. Jeździli po jeziorze w nocie księżycowe.

— Znów z jakiejś powieści? A niech to wszyscy djabli...

— Możesz wzywać wszystkich djabłów, ale w Genewie się zatrzymamy na jeden dzień. Musisz to zrobić za swoje awantury paryskie.

— Znów za awantury? Przecież za te awantury kupiłem ci już za sto siedemdziesiąt franków wstążek i różnej tandety. Awantury! Zadziwiająca rzecz, jaką pani ma dobrą pamięć! Lapiejbyś zastanowiła się nad swoim postępowaniem! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i znów spojrzał z podełba na komiwojażera.

— Proszę cię, nie mów głupstw! Wiem, o co ci chodzi, ale uważam, że to jest i głupie i wstrętne. Musimy się koniecznie zatrzymać w Genewie.

Głafira Siemionowna zaczęła pakować poduszki i wiązać je paskiem. Pociąg podjeżdżał już do Genewy. Było zupełnie widno. Przez mgłę poranną widać było zarysy gór, których szczyty pokrywały chmury. Kobiety w niebieskich sukniach i słomkowych kapeluszach szły wzdłuż plantu kolejowego na roboty z grabiami na ramionach i z plecionymi koszami na plecach. Na prawo i na lewo ciągnęły się winnice z rozrzuconymi wśród nich murowanymi domkami. Mikołaj Iwanowicz patrzył na to wszystko ponurym wzrokiem i gniewnie przygryzał wargi.

Pociąg zaczął zwalniać i wreszcie zatrzymał się na stacji.

— Szanowna pani romanistko! W jakim języku mówią tutaj: po francusku, czy po niemiecku? — zapytał jadowicie żony Mikołaj Iwanowicz.

— Usłyszysz, to się dowiesz!

Pociąg zatrzymał się. Małżonkowie zabrali rzeczy i zaczęli wychodzić. Głafira Siemionowna miała w ręku sakwojaż i dwie poduszki. Komiwojażer podbiegł do niej i chciał jej pomóc.



— Nie trzeba! Alle! — zatrzymał go gestem Mikołaj Iwanowicz. — Widzisz jaki usługny! Pewno chciałby coś ściągnąć!

— Zupełny osieł! — z westchnieniem rzekła Głafira Siemionowna.

Wyszli z wagonu. Podbiegł tragarz i pokazując swój numer na piersi, wziął poduszki i sakwojaż, poczem zapytał po francusku:

— Do jakiego hotelu życzą sobie państwo?

— Aha! Znów po francusku! Dobrze, już dobrze! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Uważaj jednak Głafira Siemionowna i zapamiętaj sobie, że dłużej, jak na jeden dzień nie zatrzymuje się tutaj.

Przy wyjściu ze stacji zatrzymał ich jakiś starszy człowiek w marynarce, z cygarem w ustach, oraz jakiś człowiek w bluzie, pytając po francusku:

— Co państwo tam mają? Proszę otworzyć! — rzekł człowiek w marynarce, wskazując na sakwojaże.

— Monsieur le visiteur des douanes. (Rewident komory celnej)! — zarekomendował go tragarz.

Małżonkowie nie rozumieli i patrzyli zdziwieni jedno na drugie. Człowiek i tragarz pokazywali małżonkom na migi, że trzeba otworzyć sakwojaże. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zjawił się komiwojażer i zaczął mówić coś po francusku do celnika, wskazując na małżonków. Celnik wysłuchał i nie oglądając bagażów małżonków, rzekł im uprzejmie: „allez“, przepuszczając ich przez drzwi.

— Widocznie komora celna!? — domyśliła się Głafira Siemionowna.

— A ja skąd mogę wiedzieć? Wiem tylko jedno, że ten parszywy bałwan, ten arogant z wąsikami stanowczo ani na krok od nas nie odstępował i wtrąca się do naszych spraw! — rzekł rozdrażniony Mikołaj Iwanowicz, kiwając głową na komiwojażera.

— Przecież nam pomógł? Przecież przez niego nas przepuścili bez rewizji.

— Nie chcę żadnej jego pomocy!

Przed dworcem stali portjerzy rozmaitych hotelów z błyszczącymi napisami na czapkach.

— „Otel de Riussi!“ — przeczytał Mikołaj Iwanowicz po francusku na czapce jednego z portjerów i dodał z westchnieniem: — Chwała Bogu! Nareszcie napotkaliśmy hotel rosyjski! Ej, człowieku! Zabieraj nasze rzeczy! — machnął ręką na portjera. — Numerek porządny!... Ile u was w „Otel de Riussi“ kosztuje przyzwoity numerek z dwoma łózkami?

Portjer zabrał rzeczy małżonków, lecz na pytanie odpowiedział:

— Comprends pas, monsieur!

— Co takiego? Portjer z hotelu „Rosja“ i nie umiesz mówić po rosyjsku? Niema co mówić! Ładna Rosja!

— Przecież to portjer! Może w hotelu mówią po rosyjsku. — zauważyła Głafira Siemionowna. — Chodźmy!

Poszli za portjerem, który poprowadził ich do karety hotelowej, usadził w niej i wskoczył na koziele. Kareta pomknęła szeroką ulicą z wielkimi szaremi domami, skręciła za pierwszym rogiem i zatrzymała się. Nie jechano nawet sześciu minut.

— Nie daleko! Już jesteśmy na miejscu? — rzekł zdziwiony Mikołaj Iwanowicz, wysiadając z karety. — Nie warto było nawet jechać! Doszlibyśmy doskonale piechotą. Naciągacze! Naumyślnie tumania ludzi, żeby zedrzeć po dwa franki za karete.

— Wychodź, już wychodź! Z powodu czterech franków umiesz wymyślać, ale na pijatykę w Paryżu, nie żał ci było siedmiuset franków!

LXXVII.

Hotel „Rosja“ — był jednym z najwspanialszych hotelów w Genewie. Małżonkowie wstąpili do hallu i zaczęło się zwykle dzwonięcie. Portjer zadzwonił w olbrzymi dzwon, wiążący w hallu, na co odpowiedział mu gdzieś inny dzwonek, poczem na wszystkich piętrach zadzwoniły małe dzwonki elektryczne. Zjawił się, niewiadomo skąd, jak z pod ziemi oberkelner we fraku, z ołówkiem za uchem, ze schodów zbiegał kelner zwykły z serwetką w rękę, wyskoczył chłopiec w granatowej liberji, z mnóstwem złotych guzików i galonów. Wszyscy stanęli przed małżonkami, kłaniali się na rozmaite sposoby i zapraszali gestami na górę, mruczając coś po francusku i po niemiecku:

— Kto tutaj z was mówi po rosyjsku? — pytał Mikołaj Iwanowicz, wchodząc z żoną po schodach. — Rusisz! Rusisz!... Rius sprechen!

Okazało się, że w hotelu nikt nie mówił po rosyjsku.

— Ładna Rosja! Jakiem prawem nazywacie się Rosją? Przecież to oszukaństwo! Ludzie jadą do was, aby korzystać z języka rosyjskiego, a tutaj nikt nic nie rozumie!

Dostali pokój za ośm franków. Pokój był wspaniały. Oberkelner, który pokazywał im wszystko, wychwalał widoki przed oknami.

— Przed oczyma będą państwo mieli Jezioro Genewskie i pokryty śniegiem Mont Blanc! — rzekł, podprowadzając małżonków do okna.

— Co do widoków, Pan Bóg z niemi! Zobaczymy później! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Teraz chodzi o to, żeby tak można coś buar, manże a la russ. Czy można te a la russ? Te awiek samowar!

— Oh, oui, monsieur! — ukłonił się oberkelner i chciał odejść.

— Stój, stój! Jeszcze nie wszystko!... Przyjechaliśmy do Szwajcarii, więc chcemy spróbować sera szwajcarskiego. Fromaż szwajcar a porte!

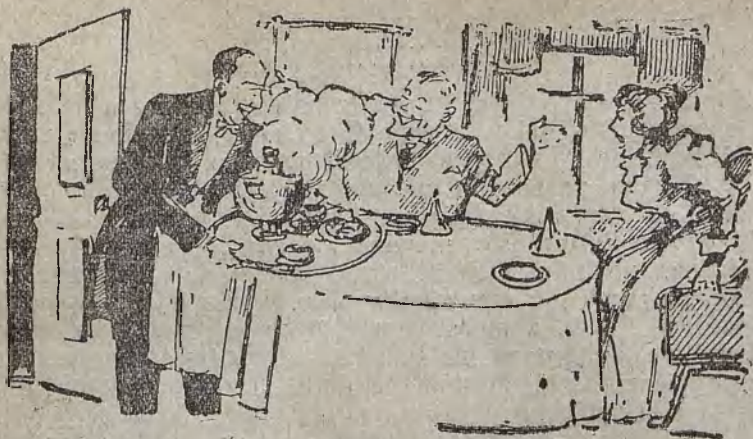
— Fromage de suisse? — poprawił go kelner. — Oui, monsieur.

Po kwadransie małżonkowie umyli się i uczesali. Zjawiła się herbata, podana wspaniale w platerowanym samowarze ze śmietanką, z cytryną, z konfiturami, z bułkami, z masłem, i nawet z talerzykiem świeżego miodu. Podano również kawałek sera. Mikołaj Iwanowicz przyjrzał się i rzekł z zadowoleniem:

— Wspaniale! Pierwszy raz za granicą podali nam herbatę po ludzku! Ci Szwajcarzy, to jednak zuchy! Bien, bien! — rzekł do kelnera, pokazał na herbatę i poklepał go po ramieniu.

Kelner uśmiechnął się z uszanowaniem i opuścił pokój.

— I służba tutaj jakaś czysta. Wszyscy we frakach! To



nie to, co nasz służący z Paryża w papierowej czapce i filcowych pantoflach! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Patrz i miódka nam podali! Znają nasz smak rosyjski! — pokazał Mikołaj Iwanowicz na miód. — Szkoda tylko, że podlecycie nie mówią po rosyjsku.

Zaczął od spróbowania sera, lecz rozczarował się.

— Przecież to nie żaden szwajcarski ser? Zupełnie się nie udał! Żadnej ostrości! Zwyczajny krowi ser, a nie szwajcarski!

— Rzeczywiście, że zwyczajny krowi ser! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, spróbowałwszy też kawałek. — Widocznie chciałeś wszystko a la russ, więc podali ci sera rosyjskiego.

— Głupstwo... Wyraźnie im powiedziałem, żeby dali fromaż szwajcar... Nie, widocznie zawsze tak jest, że szewc bez butów chodzi, a krawiec z podartymi rękawami. Prawdopodobnie dobry ser szwajcarski wysyłają tylko do Rosji.

Napiwszy się herbaty, małżonkowie ubrali się i wyszli, ażeby obejrzeć miasto, lecz ledwie znaleźli się na schodach, już spotkali się oko w oko z komiwojażerem. Stał w świecącym cylindrze, w żółtych rękawiczkach i z uśmiechem ukłonił się małżonkom. Mikołaj Iwanowicz odwrócił się.

— A niech cię wszyscy djabli! Znów ten bałwan... A to się przyczepił!... Sterczy, jak bielmo na oku! — mrucał zagniewany. — A to nahałna bestja!

Dobry humor Mikołaja Iwanowicza, odzyskany przy śniadaniu, zniknął odrazu.

Na dole spotkał małżonków oberkelner i kłaniając się grzecznie, rzekł po francusku:

— W naszym hotelu obowiązuje tabledo: śniadanie o pierwszej, a obiad o piątej. Jeśli państwo chcą zaszczycić nas, proszę zapisać się wcześniej.

Głafira Siemionowna przełumaczyła mężowi słowa oberkelnera i rzekła:

— Zjedzmy chyba obiad tutaj. Prawdopodobnie karmia tutaj dobrze?

— Żeby znów spotkać się z komiwojażerem? Nie chcę, stanowczo nie chcę! — oburzył się Mikołaj Iwanowicz na żonę. — Wolę zjeść najgorszy obiad w najbardziej parazywym szynku, żeby nie spotykać tego durnia. Obrzydł mi, jak gorzka rzepa!

LXXVIII.

Genewa, w której połowa mieszkańców składa się za-
zwyczaj z cudzoziemców, bywa zwykle pustą na jesieni; po-
dróżnicy nie zatrzymują się; bogaci cudzoziemcy, zamiesz-
kujący w niej na stałe, wyjeżdżają na południe. Tak było i
obecnie. Ulice były puste, restauracje, kawiarnie i magazyny
bez klientów. właściciele ich stali na progach, palili cygara i
fajki i ziewali od czasu do czasu. Spacerujących było bardzo
niewiele. Od czasu do czasu przechodził ktoś, lecz pospiesz-
nie, widać było, że spieszyli się w jakimś interesie. Z po-
czątku nie widać było nawet dorożek i napotykali tylko wozy
ciężarowe. Wszystko to zdziwiło bardzo małżonków, którzy
pamiętali jeszcze ruch i ożywienie paryskich ulic i bulwarów.

— Co to znaczy? Czy to aby Genewa? — rzekła wresz-
cie Głafira Siemionowna, rozglądając się na wszystkie strony.
— Wszyscy tak chwalili Genewę, mówili, że to takie wspa-
niałe miasto, a tutaj, jak na pustyni. A w książkach, co nie
czytałam o Genewie? Mikołaj Iwanowicz, czy to aby Ge-
newa?

— Genewa, Genewa! Sam czytałem napis na stacji.

— To zadziwiające! A gdzie ten Mont Blanc? Nie wi-
dzą Mont Blanc!

— Patrz, tam góry! — wskazał Mikołaj Iwanowicz.

Małżonkowie zbliżali się do mostu.

— Mont Blanc według opisu musi być biały, cały pokryty
śniegiem i lodem, a tutaj nic nie widzę. Najzwyczajniejsza góra
i już! A na wierzchu chmury! — mówiła dalej Głafira Sie-
mionowna.

— Dzień dzisiaj jest pochmurny, więc pewno Mont Blanc
jest tam za chmurami.

— Nie, to nie Genewa, to stanowczo nie Genewa. Czy-
tałam w książkach, że widok gór w Genewie jest nadzw-
yczajny, a tutaj nie widzę żadnych widoków. Najzwyczaj-
niejsza góra i już!

— No więc co, że najzwyczajniejsze? Tem lepiej: nie po-
doba ci się, więc wyjedźmy wcześniej z Genewy! — rzekł
zagniewany Mikołaj Iwanowicz.

Podeszli do mostu i Głafira Siemionowna, spojrzawszy na
wodę w jeziorze, zawołała:

— Niebieska woda! Nie, to Genewa, to Genewa! Od-
razu poznałam po tej niebieskiej wodzie! Ta woda niebieska
wszędzie jest opisana. Patrz, jaka nadzwyczajna woda: nie-

bieska i jaka przeźroczysta! Patrz, Mikołaj Iwanowicz, przecież tu głębia, a widać dno! Patrz, nawet na dnie leży talerz rozbity.

— A niech go diabli wezmą!

Mikołaj Iwanowicz ziewnął i odwrócił się

— Ale, co za woda! Co za woda! Prześliczna! — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Dlaczego, Mikołaj Iwanowicz, woda tutaj jest niebieska? Czyż to możliwe, żeby od natury woda była niebieska?

— A może tu gdzie jest fabryka, gdzie farbują maferje i potem spuszcza ją do jeziora wodę farbowaną.

— Co ty mówisz? Czyż można zafarbować tyle wody! Przecież to całe jezioro! — zaprzeczyła Głafira Siemionowna. — Patrz, patrz? statek płynie, a tam dwie łódki z żaglami.

Mikołaj Iwanowicz znów ziewnął.

Małżonkowie przeszli przez most i znaleźli się na bogatej ulicy, przepelnionej wspaniałemi magazynami z lustrzanemi wystawami. Wszędzie wystawy przepelnione modną galanterją i różnemi drobiazgami. Głafira Siemionowna straciła panowanie nad sobą. Zatrzymywała się przed każdym oknem i wołała:

— Ah, co za cudowne rzeczy! Ah, jakie prześliczne rzeczy! Przecież tu są ładniejsze rzeczy, jak w Paryżu! Mikołaj Iwanowicz, jak chcesz, ale za twoje paryskie awantury musisz mi pozwolić tutaj zakupić rozmaitych drobiazgów na prezenty, chociażby tylko za sto franków?

— Znów za paryskie awantury? Czy nie skończysz już z tem? W wagonie musiałem od tego aroganta kupować koronki za awantury, a teraz znówu! Z jednego wołu nie wolno ściągać siedmiu skór! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna straciła humor.

— Dobrze, już dobrze. Nie mogę wrócić z podróży bez prezentów. Ten komiwojażer stanął zdaje się w naszym hotelu — mruknęła. — Pójdę do niego i poproszę, żeby mi sprzedał kilka próbek na prezenty. Mam jeszcze na szczęście dwie złote monety.



Mikołaj Iwanowicz wybuchnął.

— A ja ci nie pozwalam! Słyszysz? Nie pozwalam i już! — zawołał głośno. — Jak pójdziesz do komiwojażera, wyciągnę cię stamtąd za warkocz, możesz wiedzieć...

Głafira Siemionowna w odpowiedzi zamrugła oczami, wreszcie splunęła i zaczęła biec po trotuarze, a Mikołaj Iwanowicz za nią.

— Głasza, gdzie lecisz? Nie rób głupstw! Proszę cię, nie rób głupstw! — tłumaczył jej, starając się zrównać się z nią i zająrzeć jej w twarz, lecz kiedy zrównał się z nią, Głafira Siemionowna uderzyła go rączką od parasolki po rękę.

Przechodnie zatrzymywali się i zdziwieni patrzyli na nich. Właściciele magazynów i subjekci, widząc przez okna scenę, też wybiegali ze sklepów i patrzyli za nimi. Dobięglszy do jakiegoś bulwaru, Głafira Siemionowna usiadła na ławce, zakryła oczy chustką i zaczęła płakać.

— Brutal! Bandyta! Rozbójnik! Jeździ po Europie i pokazuje, komediant, swoją cywilizację, a naprawdę, jak dziki azjata, jak zwierz, znęca się nad własną żoną!...

Mikołaj Iwanowicz przysiadł się do niej i zaczął przepraszać:

— Głasza, przestań! To wszystko głupstwo! Żartowałem tylko! Czy nie wiesz, że jak człowiek jest zły, to różne głupstwa gada! — mruczał Mikołaj Iwanowicz.

Skończyło się na tem, że Głafira Siemionowna jakoś pocieszyła się i przestała płakać. Mikołaj Iwanowicz zaprowadził ją do różnych magazynów, gdzie nakupiła różnej tandety galanteryjnej za dwieście franków. Kupiono jakieś koszyczki plecione, jakieś przyciski z kamieni alpejskich, patarafkę pod lampę, jakieś broszki z muszelek, szpilki ze sztucznymi kamieniami, krawatki, domki szwajcarskie, wycinane z drzewa itp. Wszystko to odesłano do domu.

Po zakupach małżonkowie zaczęli szwendać restauracji, ażeby zjeść obiad.

LXXIX.

Restauracja, do której weszli małżonkowie, była najbardziej elegancką na całym wybrzeżu. Kelnerzy ubrani byli, nie jak w Paryżu w smokingach i białych fartuchach, lecz we frakach, białych kamizelkach i białych krawatach. Przy wejściu wyszedł na spotkanie małżonków prawdopodobnie sam gospodarz, okrągłutki człowieczek w marynarce, bardzo podobny do rosyjskiego kupca: wypukły brzuszeczek z masywną złotą dewizką, podstrzyżona krótka bródka, czerwona jedwabna chusteczka, stercząca z bocznej kieszeni i nos, jak cebula. Różnica polegała jedynie na tem, że na głowie miał granatową czapkę sukienną w rodzaju mycki, jakich kupcy rosyjscy nie noszą. Ukłoniwszy się małżonkom, gospodarz zaczął mówić coś po francusku i zaprowadził ich na pierwsze piętro, gdzie ulokował w wielkiej sali za olbrzymim, bogato zasta-

wionym stołem. Usadowiwszy gości, gospodarz jeszcze raz ukłonił się i zapytał po francusku:

— Zdaje mi się, że madame et monsieur są Rosjanie?

— Wuj, wuj... Le riuss!... — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Postaramy się zadowolić państwa. Znamy wymagania rosyjskich podróżnych!... Każą państwo przygotować dla siebie obiad?

— Wuj, wuj, dine! — kiwnął Mikołaj Iwanowicz, zrozumiawszy słowo „obiad“. — A po czemu u was obiady? Kom-bien?

— Kel pri le dine? — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Od sześciu do dwudziestu franków, madame. Mogę służyć państwu sześciu daniami. Proszę mi tylko określić cenę i postaram się zadowolić państwa i przystosować się do ich smaku! — starał się wyjaśnić Głafirze Siemionownie, słuchającej go bardzo uważnie.

Głafira Siemionowna zrozumiała i przetłumaczyła mężowi.

— Dziwna restauracja! — dodała. — Po ile franków zamówimy obiad?

— Niech dadzą po ośm franków! Zobaczymy, co też nam podadzą na nasz smak! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. Wybrano również wino czerwone.

— Et l'eau de vie russe? Vodka? — zapytał gospodarz.

— Jakto jest i wódka? Rosyjska wódka? Nie może być? — krzyknął radośnie Mikołaj Iwanowicz.

Gospodarz uśmiechnął się i milcząc potwierdził kiwnięciem głowy.

— Kochany panie gospodarzu! Że wu pri! Jeżdżę i jeżdżę po tej zagranicy i nie widziałem nawet kieliszka wódki rosyjskiej, a tutaj nagle w Szwajcarii wódka? Miersi panu!

Mikołaj Iwanowicz wyciągnął nawet rękę do gospodarza i mocno uściśnął mu dłoń. W sali było niewiele publiczności.



Na drugim końcu stołu siedziały dwie Angielki z wystającymi zębami w towarzystwie starszego Anglika. Kończyli już śniadanie, czy obiad i jedli kompot z owoców, starannie zapijając go wodą sodową z trzech sapiących syfonów. Oprócz Anglików przy osobnym stoliku siedział cienki, jak tyczka oficer z rudymi wąsami, jak dwie szpilki, ubrany w granatowy mundur z niezwykle wysokim stojącym czerwonym kołnierzem. Przed oficerem stał kieliszek likieru i talerzyk z gruszką; oficer czytał gazetę.

— Czy długo będziemy czekali na obiad? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żony. — Możeby tak zażądać papieru i atramentu i napisać list do Skrzypkinów. Napiszemy, że siedzimy wśród śniegów i lodów na szczycie Monblanu.

— Po co? Z jakiej racji?

— A niech się dziwią. Z wieży Eiffla napisaliśmy, więc teraz trzeba z Montblanu.

— Na wieży Eiffla byliśmy, a na Monblan nawet nie mamy zamiaru jechać.

— Wielka historia! Pluję na to! Niech nam dowioda, że nie byliśmy na Monblanie! Byliśmy i już! Znaj naszych! Ale jak się będą złościć, jak przeczytają... Myśmy tylko jeździli do sąsiedniego klasztoru na odpust, a Iwanowie włązili i na wieżę Eiffla i na Monblan. Ja napiszę!

— Jak chcesz! Jak chcesz, to napisz! — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna.

Zażądano papieru, koperkę, pióro i atrament i Mikołaj Iwanowicz zabrał się do pisania.

— Gotowe! Wszystkiego dziesięć, piętnaście wierszy. Z naszej strony to tylko zwyczajna grzeczność, ale wyobrażam sobie, jak się Skrzypkinowie będą złościć. Gwarantuję ci, że pokłóca się ze sobą. Wiesz przecież, że Skrzypkin obiecał żonie, że zabierze ją zagranicę, a pojechali na odpust do klasztoru! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i przeczytał list:

„Oto jesteśmy w Szwajcarii, Kochany Sergiuszu Timofiejewiczu i Marjo Iwanowna! Przyjechaliśmy do Genewy i natychmiast hajda na śnieżne i lodowe góry. W obecnej chwili siedzimy na szczycie najwyższej góry, na Monblanie i pijemy poncz, witając Was z takiej wysokości. Mróz okropny, piętnaście stopni! Nawet Głafira Siemionowna musiała wypić szklanekę ponczu w obawie zmarznięcia“

— Dlaczego i mnie tam przyplatałeś? Pisz o sobie... — przerwała mu Głafira Siemionowna.

— Nie przeszkadzaj! ..., w obawie zmarznięcia. Śniegu, jak myślę, musi tu być na jakieś pięć metrów głębokości i nie topnieje on nigdy. Tak bardzo wysoko, że z góry absolutnie nic nie widać. Straszliwa gra przyrody! Bardzo żałujemy, że nie jesteście z nami! Do prędkiego zobaczenia.“

Zapieczętował kopertę i służący odniósł list do skrzynki.

— Już z góry cieszę się, jak będą źli, że bez nich siedzimy na Monblanie! — dodał Mikołaj Iwanowicz, uśmiechając się.

Podano wódkę i przekąskę: sardynki, śledzia, kielbasę, jakąś rybę wędzoną, słoiczek z pasztetem strasburskim. Wódka była naprawdę rosyjska w małej pękatej buteleczce z rosyjską etykietą Smirnowa z Moskwy.

— Boże! Naprawdę po rosyjsku! I przekąska... jak malowanie! — zachwycił się Mikołaj Iwanowicz. — Nawet wódka moskiewska. Jak chcesz, Głasza, ale powinnaś się napić kieliszeczek.

— Z jakiej racji? Przecież wiesz, że ja nigdy nie piję.

— Zagranicą powinnaś uczcić w ten sposób wódkę rosyjską. Przecież jesteś chyba patriotką?

— Nie, nie! Pij sam!

— Naturalnie, że wypiję. Nasza kochana, rodzona, rosyjska, prawosławna! — mówił Mikołaj Iwanowicz, oglądając z uśmiechem butelkę, pogładził ją nawet ręką, wreszcie nalał sobie kieliszek i wypił z prawdziwym zadowoleniem.

LXXX.

Obiad w rosyjskim stylu, podany małżonkom przez gospodarza, składał się z rakowej zupy z grzankami, ryby turbot, miniaturowych befsztyków, kalafjotów, pieczonej kury, lodów i owoców z kawałkiem sera. Stary Szwajcar widocznie nieraz już miał do czynienia z rosyjskimi podróżnikami, więc dogodził małżonkom. Nawet wybredna Głafira Siemionowna jadła wszystko, oprócz ryby.

— Bóg wie, co to za ryba!

Zato resztę obiadu pochwaliła bardzo.

Mikołaj Iwanowicz, wypijwszy cztery kieliszki wódki, był w wesołym humorze, przestał się boczyć na Głafirę Siemionownę; oboje byli weseli i rozmawiali ze sobą, gdy nagle przy końcu obiadu do sali wszedł... komiwojażer. Tym razem był specjalnie elegancko ubrany. Na rękach miał świeżutkie rękawiczki ciemno żółtego koloru z czarnymi szwami i świeża róża w butonierce. Na widok komiwojażera Mikołaj Iwanowicz poczuł, jak gdyby go ktoś oblał zimną wodą. Przerwał nawet w środku rozpoczęte zdanie i nachmurzony mruknął do Głafiry Siemionowny:

— Znow ten czort lezie do nas! Proszę cię, Głafira, nie rozmawiaj z nim ani słowa!

Komiwojażer, ujrawszy małżonków, uklonił się grzecznie i siadł przy wielkim stole akurat naprzeciwko nich, rzekłszy uprzednio: „Bonne appetit“.

— Żebyś się udławił ością rybą, zarazo lakierowana! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku i odwrócił się.

— Po co ty to robisz? Po co? — powściągała męża Głafira Siemionowna.

— Jakto, po co? Dla tego, że jest nałreć i drań!

— Dlaczego drań? Przecież nie zrobił nam nic złego?

— Jeszcze tego b. kowało? Niechby nam co zrobił, to bym mu dał!

Komiwojażer słuchał i nie rozumiał ani słowa, zauważył jednak, że małżonkowie rozmawiają ze sobą w tonie podniesionym, pomimo, iż Głafira Siemionowna próbowała uśmiechać się.

— Jedz prędzej swoje lody! Jakby naumyślnie żujesz je i żujesz! Owoce zabierzemy ze sobą i zjemy po drodze! — pospieszał Mikołaj Iwanowicz żonę i krzyknął na służącego: — Rachunek! Kombien peje?

Komiwojażer widząc, że małżonkowie zabierają się do wyjścia, uśmiechnął się, jak mógł najpiękniej i wyjąwszy różę z butonierki, ofiarował ją Głafirze Siemionownie. Ta zarumieniała się, spojrzała na męża i zawahała się: wziąć, czy nie wziąć.

— Nie śmieć brać! — groźnie krzyknął Mikołaj Iwanowicz, obrzucając ponurem spojrzeniem Francuza.

— Non, non! Il ne fo pa... Że ne we pa. Mersi! — wstydliwie dziękowała Głafira Siemionowna, odpychając ręką wyciągniętą różę.

Komiwojażer nastawał w dalszym ciągu. Mikołaj Iwanowicz wyciągnął rękę, wydarł Francuzowi różę i rzucił ją na ziemię.

— Monsieur!... — krzyknął Francuz.

— Obejdzcie się bez monsieur! Natręt!... Wstawaj Głafira Siemionowna! Idziemy! — mówił Mikołaj Iwanowicz, wstając z za stołu. — Zapłacimy rachunek przy wyjściu.

Głafira Siemionowna czuła, że zemdleje za chwilę.

— Ah, co za skandal! Ah, co za brutal! — szeptała, idąc za mężem.

Do Mikołaja Iwanowicza podszedł Francuz i zaczął mu coś głośno mówić po francusku.

— Precz! Czego do mnie leziesz? Nie zaczepiam cię! — mówił mu prosto w oczy Mikołaj Iwanowicz.

Francuz cofnął się i zaczął rozmawiać z jakimś starszym gościem, siedzącym przy stoliku w oczekiwaniu obiadu i obserwującym z zaciekawieniem całą scenę. Mikołaj Iwanowicz, przeklinając co chwila, płacił rachunek, podany przez lokaja. Rzucił na stół dwie złote monety i czekał na resztę. Otrzymawszy resztę i dawszy lokajowi dwa franki na piwo, zauważył, że Głafiry Siemionowny niema już w restauracji. Wybiegł prędko i zobaczył ją na ulicy. Szła pospiesznie, kierując się do domu. Dopędził ją po chwili. Płakała.

— Czego ryczysz? Zaraz przyjdziemy do domu, żeby się spakować i jechać dalej! — rzekł zagniewany. — Precz z tej Genewy! Dosyć tego! Doprowadzisz do tego, że ten Francuzik będzie cię chciał całować przy mnie!

— Czy ja jestem co winna?

— A może nie? Może nie widziałem, jakieś miny do niego stroiła w wagonie! Nic dziwnego, że mu się przewróciło w głowie. Jak się nie wstydzisz! Jakiś migdałowy Francuzik zaczął mówić jej rozmaite głupstwa, a ona zaraz roztopiła się, jak wosk.

— Turek! Zazdrosny Turek! Baszybuzuk! — mówiła z płaczem Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz nastawał na natychmiastowym wyjeździe i tegoż dnia około piątej byli już na stacji kolei i siedzieli w pociągu, wzięwszy bilety bezpośredniej komunikacji do granicy. Głafira Siemionowna gniewała się na męża i siedziała odwrócona doń plecami. Spróbował z nią mówić, lecz odpowiedziała mu: „Idź do diabła!”

Do odejścia pociągu pozostawało jeszcze pięć minut. Mikołaj Iwanowicz otworzył okno przedziału i wyglądał na peron, patrząc na pchającą się publiczność, na tragarzy kolejowych, niosących pledy i sakwojaże, gdy nagle wśród tłumu zauważył komiwojażera, który biegł od wagonu do wagonu i zaglądał do okien. Mikołaj Iwanowicz aż usta otworzył z podziwu.

— Czy diabli nadali! Czy ten nafręt znów z nami pojedzie w wagonie? — rzekł głośno i zwracając się do żony, dodał:

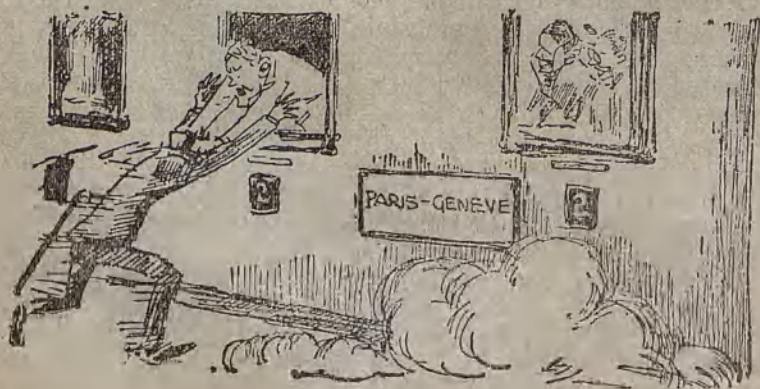
— Niech się pani cieszy! Pani kawaler znów będzie jechał z nami! Biega teraz po peronie i szuka nas!

Komiwojażer w samej rzeczy poszukiwał ich. Zauważywszy w otwartym oknie głowę Mikołaja Iwanowicza, podbiegł do niego i wymachując rękami, zaczął krzyczeć coś po francusku. Był bardzo podrażniony i w rękę trzymał kartę wizytową. Mikołaj Iwanowicz nic nie rozumiał, ale z tonu rozmowy domyślił się, że Francuz nie mówił mu samych grzeczności.

— Cóż ty długonogi pajaku, sardynko francuska, wymyślać mi chcesz? — zapytał go Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku, wychylając się jeszcze więcej z okna.

Francuz krzyczał w dalszym ciągu i wymachiwał rękami.

— Śmiesz mi tu rękami wymachiwać, psie śmierdzący! Jeżeli dojdzie bracie do rąk, to ja mam coś dla ciebie! Popatrz! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i wyciągnął ku Francuzowi pięść zaciśniętą.



W trakcie tego rozległ się dzwonek, gwizdek parowozu i pociąg ruszył. Francuz, jakby tylko na to czekał. Podbiegł do wysuniętego Mikołaja Iwanowicza i złapał go za ucho.

— Co takiego? Aha, to ty tak! — zaryczał Mikołaj Iwanowicz i wyciągnawszy rękę, zrzucił Francuzowi kapelusz i złapał go całą garścią za włosy.

Francuz wrzeszczał:

— Arrêtez! Arrêtez! — krzyczał, żądając zatrzymania się pociągu, lecz pociąg nie zatrzymywał się.

Francuz musiał przebiec kilka kroków po peronie za wagonem, zanim zdążył uwolnić głowę z rąk Mikołaja Iwanowicza.

Kiedy Mikołaj Iwanowicz odwrócił się do żony, pociąg pędził już całą parą.

— Widzisz, co za drań! Chciał się bić ze mną! Ale trafił na swojego! Dałem mu poprzadnego pieprzu! Będzie pamiętał przez rosyjski miesiąc! Patrz to moje trofea! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i pokazał żonie całą garść włosów Francuza, które trzymał w zaciśniętej pięści.

LXXXI.

Pasażerów z Genewy było niewiele i w dodatku przeważnie III klasy; druga klasa była prawie pusta, więc małżonkowie jechali sami w przedziale. Głafira Siemionowna, jakiś czas boczyła się jeszcze na męża i siedziała odwrócona doń tyłem, nie odpowiadając na pytania, lecz, kiedy Mikołaj Iwanowicz otworzył pięść i zaczął zbierać starannie włosy, wyrwane z głowy komiwojażera, uśmiechnęła się, widząc, że zebrał się tego wcale porządnego lok. Mikołaj Iwanowicz zawinął włosy w kawałek papieru, a widząc uśmiech żony, zmrużył oczy i rzekł zadowolony:

— Muszę schować trofea genewskie!

— Czy warto takie śmiecie chować? — zmarszczyła się z obrzydzeniem Głafira Siemionowna.

— Nie, schowam na pamiątkę! Przyjadę do domu, będę pokazywał znajomym i opowiadał, w jaki sposób rozprawiłem się z francuskim natrętem! Zwycięstwo!... Szkoda tylko, że trafiłem na Francuza, a nie na Niemca! Żeby to były niemieckie włosy, oprawiłbym je sobie w breloczek i nosił przy dewizce.

— Mnie się zdaje, że to był nie Francuz, lecz żydek francuski.

— I mnie się tak zdaje. Za bardzo był nahałny, jak na Francuza.

— Teraz i ja widzę, że to był natręt. Wyobraź sobie, że to bydlę napisało mi list miłosny i prosiło mnie o rendez-vous.

— Nie może być! A to drań! Widzisz, Głasza, widzisz!... Przeczuło serce moje... Gdzie ten list?

— Naturalnie podarłam go zaraz na kawałki i wyrzu-

ciłam, bo gdyby ci wpadł w ręce, narobiłbyś pewno awantur takich, że trzeba byłoby wzywać policję.

— Ho, ho! Połupałbym go na drobne drzazgi!

— I cóż? Aresztowaliby cię i nie wyjechałibyśmy z Genewy. Chcąc zapobiec awanturze, zniszczyłam. Na różowym papierze, a jak pachniał perfumami...

— A to drań! Kiedy on ci oddał ten list? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz.

— Nie oddał mi go sam, lecz kazał wręczyć pokojówce z naszego numeru.

— Po tej historii z różą, czy przed tem?

— Potem. Pokojówka oddała mi list, gdyśmy wrócili z restauracji do hotelu, ale widocznie list był już oddany wcześniej. Jak tylko wyszedłeś na chwilę z numeru, pokojówka wsunęła się i oddała mi kopertę. Papier różowy, atlasowy. Kopertka z różowym motylkiem.

— Czego mnie drażnisz, jakby naumyślnie? — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz. — Czego tak wychwalasz ten papier i tę kopertę?

— Bynajmniej nie drażnię cię, a poprostu wszystko szczerze opowiadałam.

— Jak ci nie wstyd? Nie wstydzisz się nawet, że wziął cię za jakąś...

— Warto się na durnia obrażać? — spokojnie zauważyła Głafira Siemionowna.

— A to natręt! A to drań! A to łotr! Nie, muszę jego włosy oprawić w breloczek i nosić przy dewizce na pamiątkę zwycięstwa nad takim draniem!

Mikołaj Iwanowicz schował zawiniątko z włosami do portfelu.

— A jednak to ty sama swojemi uśmieszkami doprowadziłaś go do tego... Ciągłe tylko „musie, musie... miersi, miersi“... Masz swoje miersi! Kiedyśmy jechali z Paryża, nie mogłem patrzeć, jak uśmiechałaś się do niego specjalnie... przejmująco... Nic dziwnego, że przewróciło mu się w głowie. Dwa razy podalaś mu rękę; nie wiesz, co za djabeł i rękę mu podajesz!

— Przecież musiałam mu jakoś podziękować za jego grzeczność. — Widziałeś przecież, jaki był uprzejmy w wagonie? Postarał się o kolację, częstował mnie cukierkami. A jak tanio sprzedał mi próby koronek? Poprostu za darmo!

— Proszę cię, zamilcz! Nie wychwalaj mi tego drania!

Nastąpiła długotrwała przerwa. Mikołaj Iwanowicz był naprawdę zagniewany i nerwowo zaciągał się papierosem.

— Czy cię bardzo bolało? — zaczęła znów Głafira Siemionowna.

— Co takiego? Bolało? Złapał mnie trochę za głowę!

— Nieprawda! Nie za głowę, a za ucho! Jeszcze teraz masz czerwone ucho!

— Mówisz, jakbyś była z tego zadowolona! — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz. — Ale nie bój się, dostał dziesięć razy więcej, a jako dowód, mam tutaj trofea! — uderzył się po kieszeni. — Ja mam trofea, a on nic!

— Wiesz, on ciebie na pojedynek wyzywał? — mówiła dalej Głafira Siemionowna.

— Co za głupstwa? Kiedy?

— Wtedy, kiedy zbliżył się do okna wagonu! Ty nie rozumiesz po francusku, ale ja zrozumiałam. Dlatego to wsuwał ci w rękę swój bilet wizytowy.

— Bydłę! Dałbym mu pojedynek! Rozerwałbym go na kawałki, gdybym nie siedział w wagonie. Pojedynek z takim żydowskim połamanym pogrzebającym.

— To też on wołał, żebyś wyszedł z wagonu. A widząc, że nie wychodzisz, złapał cię za ucho...

— Mówię ci, że nie złapał mnie za ucho!

— Nie złapał, to nie złapał!...

— Naturalnie, że nie złapał! Cóż to, nie czułem, czy co? — zapierał się Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna spojrzała na męża i uśmiechnęła się.

— Widzę, że śmiesz się ze mnie? — krzyknął Mikołaj Iwanowicz podrażniony.

— Nie śmieję się, ale całe to wydarzenie wydaje mi się mocno zabawne. Zupełnie, jak w jakimś francuskim romansie. Nawet czytałam coś podobnego... Naturalnie tam nie doszło do bijatyki i nikt nikomu nie wyrwał garści włosów z głowy, a wszystko było załatwione honorowo... Jakiś hrabia zakochał się w zameżnej markizie...

— Komponuj, komponuj! Ta markiza, to masz być niby ty?...



— Coś w tym rodzaju. Tylko że nie było w wagonie, a na stacji kolejowej. Markiz z markizą siedzieli w poczekalni, gdyż jechali do Nicei. Nagle wchodzi hrabia i daje markizowi bilet wizytowy: „Riu Lafajet numer taki i taki“... Nastąpiło wyjaśnienie: „dla dwóch nas niema miejsca na kuli ziemskiej... albo ja, albo ty!... Proszę przysłać do mnie se-

kundantów“... I o to jadą do Włoch, i tam w gaju pomarańczowym...

— Zamilcz! Zamilcz! Znów głupstwa pleciesz! — przerwał jej Mikołaj Iwanowicz.

— Ale markiza jednak kochała hrabiego. Markiz był już starszym człowiekiem... — nie przestawała opowiadać Głafira Siemionowna.

— Mówię ci, zamilcz! Nie chcę słuchać takich głupstw!

— Dobrze, już dobrze! Nawet porozmawiać z tobą nie można.

— Nie lubię słuchać twoich głupich romansów. To wszystko głupstwa, brednie.

— Więc o czym mamy rozmawiać?

— A choćby o tem, że w tej restauracji w Genewie, w której jedliśmy obiad, ograbili mnie poprostu za wódkę. Wiesz, po czym policzyli za kieliszek zwyczajnej wódki rosyjskiej? Po dwa franki, to znaczy prawie po rublu. Wypiłem pięć małych kieliszczyków i zapłaciłem dziesięć franków, to razem 4 ruble. Ah, rabusie, rabusie! Za zwykłą czystą wódkę rosyjską! Słyszysz, Głasza?

— A ja nie chcę z tobą o wódce rozmawiać! Ty nie chcesz o romansach, a ja nie chcę o wódce! Oto masz moja odpowiedź!

Nastąpiła pauza. Mikołaj Iwanowicz wcisnął się w kącik przedziału i po chwili zaczął chrapać.

Pociąg mknął w kierunku Berna wśród malowniczego pejzażu górskiego; na stokach gór widać było winnice. Zbliżał się wieczór. Niebo ciemniało...

LXXXII.

Koleje szwajcarskie mają mnóstwo stacji. Pociąg pędził z wielką szybkością, lecz prawie co dziesięć minut zatrzymywał się na jakiejś stacji na minutę, szybko wypuszczał i przyjmował nowych pasażerów i znów pędził. Druga klasa ciągle była pusta, wszyscy jechali trzecią klasą i małżonkowie wciąż siedzieli samotni w swoim przedziale. Mikołaj Iwanowicz spał już na dobre i chrapał na cały wagon. Głafira Siemionowna nie mogła spać. Na każdej stacji otwierała okno i obserwowała wychodzących z pociągu i wchodzących pasażerów, sprzedawców i sprzedawczynie, chodzących po peronie i proponujących pasażerom piwo, kanapki, gruszki, jabłka, winogrona, bukietki kwiatów, koszyczki plecione, drobne przedmioty szklane, fotografie z widokami Szwajcarii, cukierki, ciastka i t. p. Z początku pasażerowie i sprzedawcy mówili tylko po francusku, wkrótce do francuskiego języka zaczął wkradać się język niemiecki i nagle, odrazu język francuski znikł zupełnie i wszystko zaczęło mówić jedynie po niemiecku. Rozpoczęła się niemiecka Szwajcaria. Głafira Siemionowna, zauważywszy przy zakupie czegoś do jedzenia tę zmianę, zaczęła budzić męża:

— Czy wiesz? Znów wszystko po niemiecku! — mówiła, budząc go. Ze wszystkich stron niemiecki język i poważne niemieckie mordy. Dopóki był język francuski, wszystko było wesołe, uśmiechnięte, jak tylko zaczęli mówić po niemiecku, wszystko spoważniało, zachmurzyło się...

Mikołaj Iwanowicz odmrugnał coś i zaczął przecierać zaspane oczy.

— Obawiam się, żeby znów czegoś nie poplątać i nie zjechać gdzieś. Niemiecka ziemia nie bardzo jest dla nas szczęśliwa! — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — Nie śpij już! Trzeba się będzie rozpytać, czy dobrze jedziemy.

— Już nie śpię! Już nie śpię! Wogóle prawie wcale nie spałem. Dosyć! Chce mi się jeść! *volpormedant* Mikołaj Iwanowicz.



— Jedźmy *nie* braknie! Na każdej stacji możesz najeść się i napić. *nie* wychodząc z wagonu, gdyż do okien podają piwo i kanapki. Ale musimy się zapytać, czy dobrze jedziemy.

— A dokąd my właściwie jedziemy teraz? Prosto do Rosji, czy...

— Nie. Musimy się zatrzymać w Wiedniu! Na jeden dzień zatrzymamy się w Wiedniu. Ale kwestja, czy jedziemy do Wiednia? Może już dawno trzeba było przesiąść się do innego wagonu, a ty śpisz. Przecież pamiętasz, że w tej Niemczyźnie ciągle się trzeba przesiadać...

— Musimy zaraz zapytać konduktora.

— Konduktor wcale nie pokazuje się w wagonie. Jak zniknął w Genewie, to go ani razu nie widziałam. Naprawdę jestem zaniepokojona, czy dobrze jedziemy.

— Przejrzyj, Głaska, dobrze książeczkę biletową i skombinuj, czyśmy przejeżdżali przez te stacje, które tam są wypisane! — starał się wyjaśnić Mikołaj Iwanowicz. Wydobył książeczki biletowe i razem z żoną zaczął je przeglądać. —

Oto Bern... oto Zurych... Czyśmy już przejeżdżali Bern i Zurych? — zapytał żonę.

— A kto ich tam wie?

Na następnej stacji Głafira Siemionowna wychyliła się z okna i zawołała na przechodzącego konduktora.

— Her Konduktor! Komen si bite! Wien!... Wo Wien?

— Konduktor nie zrozumiał słowa „Wien“ i nie dał żadnej odpowiedzi. Wreszcie kelner, roznoszący piwo na tacy, u którego Mikołaj Iwanowicz wypił dwa kufle, zlitował się nad małżonkami i zapytał po niemiecku:

— Wie heisst die Station?

— Wien... Stadt Wien! — powtórzyła Głafira Siemionowna i pokazała książeczkę, na której było napisane: „Wien“.

— Aha, Wien (Win)! — przeczytał kelner, uśmiechnął się i dodał po niemiecku: — To daleko... To Austria, a państwo są jeszcze w Szwajcarii.

— Win... Win... — powtórzyła Głafira Siemionowna. — Widzisz Wiedeń po niemiecku nazywa się Win, a nie Wien! — tłumaczyła mężowi. — Kelner mówi, że Win jeszcze daleko. Trzebaby się było jednak zapytać, czy w dobrym wagonie jedziemy? Wagon ist Win? — dopytywała się kelnera.

Po dwóch godzinach wszedł do przedziału konduktor, poważnie przejrzał książeczki biletowe, wydarł kilka biletów, w tej liczbie i bilet z napisem Zürich i rzekł:

— Zürich, 12 minuten... In Romanshorn müssen Sie umsteigen.

— Naturalnie! Trzeba przesiadać! — zawołali oboje małżonkowie, usłyszawszy znajome im słowo „umsteigen“ i przestraszeni zaczęli wypytывать konduktora, gdzie mają przesiadać i o której godzinie.

Rozmowa była bardzo długa i w rezultacie ani konduktor, ani małżonkowie nic nie rozumieli i rozstali się niezadowoleni.

LXXXII.

Całą noc spędzili małżonkowie niezbyt spokojnie i przyjemnie, gdyż obawiali się usnąć, choćby na chwilkę, a jak na złość coraz bardziej chciało im się spać. W Zurychu, gdzie zatrzymano się na dwadzieścia minut, Głafira Siemionowna wsunęła paru woźnym kolejowym po dwie, trzy dziesiątki (w ten sposób nazywała ona francuskie dziesięciocentymówki) i ciągle rozpytywała: „Wi fil ur umsztaiagen“, pokazując książeczki biletów, lecz kolejarze, pomimo przeglądania książeczek biletowych, dawali jej do zrozumienia, że nic nie wiedzą, nic nie rozumieją.

— Co za głupi ludzie! Tylko pieniądze wydaję napróżno! Nikt nie wie, kiedy będzie to przekłete „umsztaiagen“? — zwróciła się zaniepokojona do męża. — Czuje serce moje, że przegapimy przesiadanie i zajedziemy znów tam, gdzie nie potrzeba.

— Nie przegapimy, nie przegapimy! Trzeba tylko nie spać! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Nie spać, a sam już nosem kłujesz! Możebyś wachał amonjak, czy co? Poczekaj dam ci zaraz buteleczkę z amoniakiem.

Głafira Siemionowna wydobyła z sakwojażu flakonik i podała go mężowi, który zaczął wachać i kichać.

Zjawił się konduktor i zaczął przeglądać bilety. Znowu rozmowa o przesiadaniu.

— Poczekaj dam mu dwa franki do łapy, może wyjaśni nam coś! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — A ty Głazza powiedz mu po francusku, albo po niemiecku, żeby nam pokazał, gdzie powinien być ten ich „umsztaigen“.

Mikołaj Iwanowicz kiwnął tajemniczo palcem na konduktora, a gdy ten pochylił się nad nim, wsunął mu w rękę dwa franki. Konduktor wytrzeszczył oczy; nie wiedział o co chodzi? Głafira Siemionowna zaczęła wyjaśniać:

— Montre nu, u il fo umsztaigen?

— Ja, ja... Dass ist in Romanshorn!... Station Romanshorn...

— Stacja Romanshorn! — powtórzył Mikołaj Iwanowicz żonie.

— Wiem, wiem... Ale przecież nie wiemy, o której godzinie przyjedziemy? — odpowiedziała Głafira Siemionowna i znowu zwróciła się do konduktora: — Um wi fil ur Romanshorn?

— Um fünf Uhr morgens...

— O piątej? Dobrze... Le maten, maten? Rano?

— Le matin, le matin!

— W takim razie możeby pan... komezni in wagon i sagenzi, kiedy będzie Romanshorn? Sagenzi: hier oto Romanshorn!

— Sie wollen schlafen? O, ja, ja!... Schlafen Sie ruhig, ich werde zu Ihnen kommen und sagen! — uspakajał konduktor małżonków, domyślając się nareszcie, że chcą oni zasnąć, lecz boją się przespać przesiadanie.

— Przyjdzie, przyjdzie i powie nam, kiedy trzeba będzie przesiadać! — uspakajała męża Głafira Siemionowna.

Pomimo, że konduktor obiecał przyjść i uprzedzić małżonków, kiedy będzie stacja Romanshorn, postanowili oni jednak nie spać w dalszym ciągu. Jak tylko chciało się im spać, i zaczynały kleić oczy, wachali zaraz amonjak.

Wreszcie wszedł do przedziału konduktor i z uśmiechem rzekł: „Romanshorn“.

Małżonkowie rzucili się do sakwojażów i poduszek.

— Niech państwo się nie niepokoją. Jak tylko przyjedziemy, zaraz zawołam tragarza! — rzekł konduktor po niemiecku.

Mikołaj Iwanowicz schwycił konduktora za rękę i radośnie potrząsnął nią kilkakrotnie, powtarzając: miersi.

Oto i stacja Romanshorn. Pociąg zatrzymał się. Wszedł tragarz i zabrał rzeczy.

— Win, Win!... Wir faren Win!... Jedziemy do Wiednia!... musimy wsiąść do wiedeńskiego pociągu! — wyjaśniała tragarzowi Głafira Siemionowna. — Win-wagon.

— Ja, ja... Bitte schneller, Madame! — pospieszał ją tragarz, wynosząc rzeczy z wagonu.

LXXXIV.

Tragarz z walizami i poduszkami przeszedł przez szyny i minął stojące na zapasowych liniach wagony. Małżonkowie szli dalej. Przeszedłszy przez kilka linii, zaczął prowadzić ich po alei jakiegoś ogrodu. Naokoło było ciemno i tylko w oddali błyskały jakieś światelka.

— Boże! Gdzie on nas prowadzi? — zaczęła się niepokoić Głafira Siemionowna. — Mamy siadać do wiedeńskiego wagonu, a on nas po jakichś ogrodach prowadzi. Może mu się zdaje, że my chcemy zatrzymać się w tym przeklętym Romanshornie i prowadzi nas do hotelu? Panie tragarz! Her tragarz! Wochin? My musimy do wagonu! Wagon in Win!

— Ja, ja... — tragarz zaczął mówić coś po niemiecku, lecz ani Mikołaj Iwanowicz, ani Głafira Siemionowna nic z tego nie zrozumieli.

Po minucie ukazał się brzeg i plusk wody. Zaczynało już świtać i małżonkowie zobaczyli, że zbliżają się ku brzegowi jeziora. Oto i przystań. Przed przystanią sapie parostatek. Tragarz skierował się ku przystani.

— Hallo! Panie tragarz! To mi się zaczyna naprawdę niepodobać! — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz. — Gdzie pan nas prowadzi? Głasza! Patrz! Prowadzi nas na statek! Tutaj naprawdę jakieś nieporozumienie?

— Her! Herenzi! My nie chcemy na statek! My in Win! — krzyknęła Głafira Siemionowna.

— Ja, ja... Sie müssen zuerst in Dampfschiff fahren! — odpowiedział tragarz.

Naturalnie małżonkowie nic nie zrozumieli i zatrzymali się niezdecydowani.

— Schneller! Schneller! — pospieszał ich tragarz i kiwał palcem.

— Wzywa nas na statek. Popłataliśmy coś. Po co my mamy siadać na statek, kiedy mamy bilety kolejowe bezpośredniej komunikacji? — mówił Mikołaj Iwanowicz, nie ruszając się z miejsca.

Koło małżonków przechodzili pasażerowie, mijając ich i spiesząc się na statek.

— Trzeba będzie się kogoś zapytać! — rzekła Głafira Siemionowna, nie dowierzając tragarzowi i zwróciła się do jakiegoś przechodzącego grubego Niemca w płaszczu z kilkoma pelerynami, pokazując mu bilety:

— Wir faren in Win... Sagenzi, wo ist wagon?

— Nach Wien? Kommen Sie mit! — kiwnął palcem Niemiec.

— I ten zaprasza na statek. Czy to możliwe, żeby do Wiednia jechało się statkiem?

— A djabeł ich wie? Nawet sam djabeł nie zorientuje się w tej plataninie! Trzeba iść! — westchnął ciężko Mikołaj Iwanowicz i skierował się ku statkowi.

Głafira Siemionowna szła z tyłu i mruczała.

— Na statku znowu się zapytamy.

— Bilety! — rzekł po niemiecku oficer statku w czapce ze złotym lampasem, kiedy małżonkowie weszli na pokład i spojrzawszy na książeczki biletowe Głafiry Siemionowny, dodał: — Druga klasa na prawo!

— Wir in Win!... — próbowała zauważyć Głafira Siemionowna.

— Ja, ja... Druga klasa na prawo!

— Widocznie nie omyłka, widocznie naprawdę do Wiednia jedzie się statkiem! — zwróciła się do męża.

— Czego mnie mordujesz? Co ja mogę wiedzieć, co ja tu mogę rozumieć? — odpowiada Mikołaj Iwanowicz rozdrażniony. — Niech będzie co chce, ale na przyszłość przyjacielowi i wrogowi powiem, żeby bez języka zagranicę nie jeździł.

Wkrótce znaleźli się w drugiej klasie statku, w wspaniałej kajucie, oświetlonej elektrycznością. Tragarz postawił koło nich sakwojaż, zdjął czapkę i otrzymawszy napiwek, znikł, życząc małżonkom: „Glückliche Reise“.

Statek ruszył. Małżonkowie, zdawszy cię na los, siedzieli milcząc i bezradnie spoglądali jedno na drugie.

— Boże! — zawołał nagle Mikołaj Iwanowicz. — Przecież bagaż został w pociagu! Zapomniałem oddać kwit tragarzowi i bagaż został w pociagu na stacji! W pociagu! Boże miłosierny! Co tu robić? Co my zrobimy bez waliz i kufrów?

— Musieliśmy się popłatać i w powrotnej drodze! Wiesz panu — rzekła Głafira Siemionowna i dodała:

— Przecież to okropne! To chyba jakaś kara za grzechy, czy co! Co teraz robić?

Małżonkowie stracili zupełnie humor.

— Czy wolno wleźć, dokąd państwo jadą? — zwrócił się nagle do nich po rosyjsku jakiś starszy pan z wąsatem, wojskowem obliczem, w długiem palcie, podobnem do szlafroka i w szarym kapeluszu, śledzący niedaleko od nich i wskutek tego słyszający ich rozmowę.

— Rosjanin! — radośnie krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Bóg nam pana zsyła. Bardzo nam przyjemnie! Okropnie przyjemnie! Oto moja żona! Niech pan sobie wyobrazi, żeśmy się popłatali powrót z Genewy do Wiednia, wzięliśmy z sobą...



wej, a tu ni stąd, ni zowąd diabli zanieśli nas na statek. A w dodatku zapomniałem wziąć багаż z pociągu. Po niemiecku umiemy tylko dwa słowa, pytamy każdego i wszystkich, czy dobrze jedziemy, lecz nikt nas nie rozumie i my nikogo. Rezultatem tego, jak pan widzi, jest to, że znaleźliśmy się na statku.

— Proszę mi pokazać bilety swoje! — poprosił staruszek.

Małżonkowie pokazali, staruszek przejrzał bilety i rzekł:

— Wcale się państwo nie popłatali. Jędziecie całkiem dobrze. W książeczce macie również bilety na statek, celem przejazdu z Romanshornu do Lindau przez jezioro Bodeńskie.

— Nie popłataliśmy? Dobrze? No to chwała Bogu! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — A może pan będzie łaskaw powiedzieć nam, czy długo będziemy jechać do jeziorze?

— Za dwie godziny będziemy w Lindau. Tam siądą państwo do wagonu i bez przesiadania dostaną się do Wiednia.

— Ale co zrobimy z багаżem? Zapomnieliśmy wziąć багаż z pociągu?

— A w jaki sposób państwo wysłali багаż? Proszę pokazać kwit багаżowy!... Proszę się uspokoić! — rzekł przejrzawszy kwit. — Багаż jedzie razem z państwem na statku.

— Chwała Bogu! Góra mi z serca spadła! Przyjadę do domu dam na mszę świętą! — odetchnął Mikołaj Iwanowicz.

— Panie szanowny, jak się pan nazywa, pozwoli pan przedstawić się? — zwrócił się do staruszka.

Staruszek powiedział swoje imię i nazwisko.

— Michał Michajłowicz? Prześlicznie! A ja — Mikołaj Iwanowicz. A to moja małżonka, Głafira Siemionowna? Nie odmówi pan, wypić razem buteleczki dla lepszej znajomości? Napewno na statku mają bufet?

— Bufet mają, ale o szóstej godzinie rano nie mogę pić winą. Teraz nie mogę, ale za zaproszenie bardzo dziękuję!

— Co to znaczy nie mogę?, Napić się czegoś zawsze można, byle czegoś dobrego.

— Niech mi pan wybaczy, ale naprawdę nie mogę.

— Szkoda, szkoda. A dokąd pan jedzie? Czy może też do Wiednia? Może razem z nami?

— Ja muszę zatrzymać się w Lindau. Jezioro Bodeńskie znane jest ze swojej piękności i chciałbym zrobić kilka wycieczek. Jestem amatorem malarzem. Może państwo przejdą na pokład. Już jest widno i będziemy mieli prześliczne widoki.

LXXXV.

Kiedy małżonkowie wyszli na pokład statku rozpoczął się wschód słońca. Statek płynął wzdłuż brzegu i widoki były rzeczywiście wspaniałe. Na gładkiej jak lustro powierzchni błękitnej wody widać było łódeczki rybackie, górzysty brzeg z rozsypanymi na nim wioskami zabarwiony był refleksami kolorów: czerwonego, złocisto-żółtego i fioletowego. Świeżo poznany Rosjanin przyłożył natychmiast lornetkę do oczu i zaczął zachwycać się widokami przyrody, lecz małżonków naszych niewiele interesowało to wszystko. Oczekiwali z niecierpliwością, ażeby statek jaknajprędzej przyplłynął do brzegu i żeby można czempędzej sięść do wagonu i jechać do Wiednia. Pomimo dokładnych wyjaśnień malarza-rodaka małżonkowie ciągle jeszcze nie byli pewni, czy są na dobrej drodze. Nagła podróż wodna, do której nie byli przygotowani i do której nie kupowali żadnych biletów, zbiła ich zupełnie z pan-tałyku. Zresztą po wypiciu dwu kieliszków koniaku, Mikołaj Iwanowicz poweselał nieco.

— Ale jak już usiadziemy do wagonu, to nie będziemy się przesładać do samego Wiednia? Prawda, panie? — pytał swego rosyjskiego towarzysza podróży.

— Tak, dojadą państwo bez żadnego przesiadania!

— A czy pan jeździł już tą drogą?

— Naturalnie, miesiąc temu przyjechałem do Lozanny z Genewy i teraz jadę z powrotem. Po drodze będą państwo jechać przez Monachjum. Radzę nie zapomnieć wypić w Monachjum po kufiu piwa, gdyż piwo monachijskie uważane jest za najlepsze na świecie.

— Tak, tak... O piwie monachijskiem słyszałem wiele. Nie wiem jednak, czy będzie ono lepsze od berlińskiego? — uśmiechnął się Mikołaj Iwanowicz, oblizując się na samą myśl skosztowania najlepszego piwa na świecie.

— Nie znam się bardzo na piwie, ale wszyscy twierdzą, że monachijskie piwo jest lepsze od berlińskiego.

— Głasza! słyszysz?

— Przestań już raz z tem piwem! Ja myślę o tem, jakby się najprędzej dostać do domu. Nawet do tego Wiednia nie bardzo mi się już chce jechać.

— Na jeden dzień możemy zajechać, przejdziemy się po mieście i znów na kolej. Zawsze przecież co Wiedeń to Wiedeń! Będzie można w Petersburgu pochwalić się, że byliśmy w Wiedniu.

— Ale znów z tymi Niemcami! Znów będę się musiała

męczyć niemieckimi rozmowami! Co innego, gdyby to Francuzi, bardzo chętnie, ale z Niemcami rozmawiam na migi.

— W Wiedniu będą już państwo rozumieć trochę, nie będą jeszcze mówić ale rozumieć. Wiedeń — słowiańskie miasto. Służba i wogóle prosty naród w większej części wszystko słowianie! — uspakajał Głafirę Siemionownę malarz-Rosjanin.

— Nie może być! — zawołali radośnie małżonkowie.

— Tak, tak... Czesi, Kroaci, Polacy, Rusini, Serbowie. Będą państwo już rozumiani. Nawet dojeżdżając do Wiednia koleją, zauważycie państwo już pewną zmianę. Nawet konduktorzy będą was już nieco rozumieć.

— To doskonale. Bo naprawdę, nie uwierzy Pan, jak to trudno...

Oto i przystań. Małżonkowie pożegnali się z rodakiem-malarzem, tragarz zabrał ich poduszki i sakwojaże i zaprowadził z początku do komory celnej, gdzie nalepiono im na sakwojaże maleńkie czerwone karteczki a następnie usadowił ich w wagonie.

— Win? — pytała ciągle jeszcze pełna niedowierzania Głafira Siemionowna konduktora, sprawdzającego bilety.

— Ja, ja, Madame. Direkt nach Wien! — odpowiedział konduktor.

— A czy nie trzeba umsztaigen? Nicht umsztaigen?

— Ohne umsteigen, Madame.

Pociąg ruszył. Małżonkowie z niecierpliwością oczekiwali Monachjum, ażeby napić się piwa. Zwłaszcza niecierpliwił się Mikołaj Iwanowicz i na każdej stacji wychylał się z okna, ażeby wyczytać napis nazwy stacji.

Wreszcie i Monachjum. Konduktor zawiadomił pasażerów o tem na pięć minut przed zatrzymaniem się pociągu. Pociąg stał dziesięć minut. Małżonkowie zdążyli przez ten czas zjeść po kilka par gorących kiełbasek wprost z kotła, stojącego na ogniu na peronie. Co się tyczy piwa monachijskiego, to nastąpiło lekkie rozczarowanie.

— Piwo jak piwo! — rzekła Głafira Siemionowna, która Mikołaj Iwanowicz zmusił do wypicia całego dużego kufła. — Mojem zdaniem, berlińskie piwo jest dwa razy lepsze.

Po przejechaniu Monachjum Głafira Siemionowna zaczęła badać konduktorów, egzaminować ich ze znajomości języka rosyjskiego, lecz konduktorzy nie rozumieli ani słowa. Mikołaj Iwanowicz skierował badania swoje do służby, roznoszącej na stacjach piwo i przekąski i wreszcie raz jeden powiodło mu się.

— Hej! Piwo! Piwo tutaj! — krzyknął do kelnera.

Kelner zrozumiał go i podbiegł do okna z kuflem piwa.

— Głasza! Głasza! Patrz! Zaczęli już rozumieć! — zawołał z radością Mikołaj Iwanowicz i biorąc kufel z rąk kelnera, zapytał go:

— Brat słowianin?

— Nein, gnädiger Herr! — odpowiedział kelner i potrząsnął głową.

— Mikołaj Iwanowicz przypatrzył mu się uważnie i przekonał się natychmiast, że pytanie było zbyt cenne. Garbaty nos, tłuste czerwone wargi i kręcone włosy bez pytania zapewniały każdego, że był to wybitny typ semicki.

— Szlachcic jerozolimski, a ja go za brata-słowianina wzięłem! — mruczał Mikołaj Iwanowicz.

Małżonkowie jechali po ziemiach bawarskich i wreszcie zbliżyli się do granicy austriackiej. Na granicy musiano czekać około godziny, dopóki urzędnicy nie skontrolowali wagonów. Zresztą na stacji był doskonały bufet, w którym małżonkowie nasi zjedli smaczny obiad.

— Dali nam obiad bez depeszy, chociaż Niemcy! — zauważyła Głafira Siemionowna, przypominając wypadek w Królewcu, gdzie nie pozwolono im usiąść przy tabeldocie, ponieważ nie wysłali byli uprzednio depeszy.

— Naturalnie... Tu zupełnie inne porządki.

— Usługujący im przy stole kelner był Polakiem i rozumiał cokolwiek po rosyjsku, aczkolwiek nie mówił tym językiem. Biorąc niemieckie marki za obiad, zmienił je na austriackie guldeny i mieszając mowę niemiecką z polską, wytłumaczył jakoś małżonkom, że powinni zmienić pieniądze niemieckie na austriackie. Małżonkowie zrozumieli po jakimś czasie i zmienili u przyprowadzonego przez kelnera żyda nieco pieniędzy. Mikołaj Iwanowicz po raz pierwszy w życiu ujrzał papierowe guldeny austriackie, więc przyglądał się im przez czas pewien z wielkiem niedowierzaniem.



— Zaczęły się asygnacje! Coś w rodzaju, jak u nas. — rzekł wreszcie do żony. — Żeby tylko żyd nie oszukał... Czy aby dobrze... Czy nie oszukał? — pytał się kelnera.

— Dobrze, panie, dobrze! — potwierdził kelner.

— Żyd też coś mówił po niemiecku i kiwał głową.

Od granicy austriackiej coraz częściej małżonkowie nasi spotykali kolejarzy i kelnerów, rozumiejących nieco po rosyjsku, lecz ludzi takich było stosunkowo niewiele. Zato coraz

częściej spotykali przedstawicieli typu semickiego. Im bliżej Wiednia, tem częściej.

Wieczorem małżonkowie nasi przybyli do Wiednia.

LXXXVI.

Na dworcu w Wiedniu panował wielki tłok i ożywienie. Z okien wagonu widać było tłoczącą się na peronie publiczność, wśród której — o dziwo — większość stanowili izraelici: chodzili w chałatach z długimi połami, w krótkich ubraniach, w cylindrach, w melonach, w czapkach, ze świderkowatemi pejsami i bez pejsów. Nawet większość strojnie ubranych kobiet miała semickie nosy i soczyste murzyńskie wargi. Pociąg nie zatrzymał się jeszcze zupełnie, lecz z wolna wtaczał na peron, gdy do przedziału drugiej klasy, w której jechali nasi małżonkowie, wskoczył cienki żydek w meloniku, z niewielką, jakby wyszczypaną bródką w czerwonym krawacie, w pierścionkach z kolorowemi kamieniami na brudnych palcach. Ukłonił się bardzo nisko małżonkom i wręczając im karty z adresem jakiegoś hotelu, mówił po niemiecku:

— Hotel pierwszej klasy... W najlepszym punkcie miasta. Ceny przystępne... Z dorożkarzem mogą się państwo nie targować... Bagaż na stacji otrzymamy w ciągu dwóch minut...

Mówił bez przestanku, kręcił się i co chwila zdejmował kapelusz.

— Głasza! Co on mruczy? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— A kto go tam może zrozumieć! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Zdaje się, że proponuje jakiś hotel.

Żydek, usłyszawszy mowę rosyjską i widząc, że podróżni nie znają języka niemieckiego, zaczął mówić łamanym językiem francuskim...

— Przeczytaj chociaż, co stoi na tej karcie, adres może nam się przydać! — mówił dalej Mikołaj Iwanowicz, biorąc od żydka kartkę i pokazując żonie.

— Daj spokój! Nie będziemy przecież od żyda brać hotelu.

Żydek widząc, że po francusku podróżni też nie rozumieją, zaczął mówić po polsku:

— Przecież my jesteśmy Rosjanie! — odpowiedziała wreszcie Głafira Siemionowna, uśmiechając się. — Wir Russen i nic nam nie potrzeba.

— Ach, hochachtungsvolle Madame! — westchnął żydek. — Jak mi przykro, że nie umiem mówić po rosyjsku! — Umiem mówić po niemiecku, po francusku, po polsku, po węgiersku, po czesku, po chorwacku, po serbsku, lecz niestety, rosyjskiego języka nie znam. Niech państwo dadzą mi możność usłużyć sobie, ofiarować sobie hotel, a przedstawię państwu Polaka, który mówi doskonale po rosyjsku! — mruczał po niemiecku.

— Nicht, nicht!..., Nic nam nie potrzeba — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz.

Pociąg zatrzymał się, zjawił się tragarz w szarej kurtce, któremu małżonkowie oddali pod opiekę sakwojaże i poduszki i razem z nim wyszli z wagonu. Żydek nie odchodził. Skakał już koło tragarza i mruczał coś do niego.

— Każą państwo zawołać dorożkę? — zapytał tragarz.

— Ja, ja, fiaker! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.
— Wir in hotel.

Przed dworcem tragarz kiwnął na dorożkarza. Żydek zaraz zaczął mówić z dorożkarzem i w dalszym ciągu kręcił się przy małżonkach, pomógł nawet wsiąść Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Mówię ci, że mi nic nie potrzeba! — odepchnął go Mikołaj Iwanowicz.

Żydek za odepchnięcie ukłonił się nisko i rzekł coś do dorożkarza po niemiecku.

— Do jakiego hotelu pojedziemy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Niech wiecie nas, gdzie chce. Wszystko jedno. Tylko żeby nie do żydowskiego hotelu.

Z początku jechano ulicami źle oświetlonymi, lecz wkrótce zaczęły się ulice rześście oświetlone gazem. Dorożkarz skręcił raz i drugi i zatrzymał się przed hotelem, oświetlonym dwiema lampami elektrycznymi. Na hałas zbliżającej się dorożki wyskoczył szwajcar w czapce liberyjnej, chłopiec w czerwonym kepi i w szarej kurtce z mnóstwem srebrnych guzików i zaczęli pomagać wysiadać małżonkom z dorożki.

— Cimer... Cimer fiur cwaj... Z cw aj łózka! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Proszę, pn! Drei Gulden! — odpowiedział szwajcar.

Mikołaj Iwanowicz sięgnął do kieszeni i chciał zapłacić dorożkarza, lecz przed nim, jak z pod ziemi, wyskoczył ten sam żydek, który zaczepił ich w wagonie i z niskim ukłonem zatrzymał jego rękę.

— Ist nicht nötig zu zahlen... Ist schon bezahlt... Nachher werden Sie zahlen. Il ne faut pas payer... C'est payé déjà! — trzeszczał po niemiecku i po francusku.

— Patrz, już jest tutaj! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, ujrzawszy żydka. — Czego chcesz? — krzyknął na niego. — Głasza? Czego on chce?

— Mówi, że nie trzeba płacić dorożkarzowi. Widocznie tu taki zwyczaj.

Żydek tymczasem wytłumaczył coś dorożkarzowi i ten odjechał. Mikołaj Iwanowicz był zdumiony.

— Czego to żydzię chce od nas? Jeżeli on należy do tego hotelu, to wcale nie chce się tutaj zatrzymywać, w żydowskim hotelu! — rzekł do żony.

— Idź już, idź! Gdzie będziemy szukać drugiego hotelu? Wygląda bardzo porządnie.

— A jednak dał sobie z nami radę. Opętał nas i zawiózł

tam, gdzie chciał! — uderzył się Mikołaj Iwanowicz dłonią po biodrze i wszedł do hotelu.

Hotel był wspaniały. Nawprost wejścia — olbrzymie schody marmurowe. Powitał ich cały orszak służby: byli tu i kelnerzy we frakach i białych krawatach i pokojówki w brązowych, jednakowo skrojonych sukniach, białych czepeczkach i fartuszkach, chłopcy do posług w szarych liberjach ze srebrnymi guzikami. Wszystko to kłaniało się małżonkom i prowa-



dziło ich przez kurytarz, pokazując pokoje. Małżonkowie wybrali wielki pokój za cztery guldeny i zostali w nim. Dwie pokojówki zaczęły zdejmować płaszcz z Głafiry Siemionowny, dwóch kelnerów rzuciło się na Mikołaja Iwanowicza, trzeci kelner stał w pozie pełnej szacunku i oczekiwał rozkazu.

— Myślę, Głasza, że przedewszystkiem dobrze byłoby napić się herbaty? — zaczął Mikołaj Iwanowicz i otrzymawszy potakującą wiadomość, chciał dać rozkaz kelnerowi, lecz ten uklonił się grzecznie i cofając się ku drzwiom, rzekł:

— Ich verstehe, mein Her... Gleich werden Sie kriegen.

— Rozumie po rosyjsku, tylko nie umie mówić! — zauważyła Głafira Siemionowna, kiedy kelner zniknął za drzwiami.

LXXXVII.

Ponieważ małżonkowie postanowili zabawić w Wiedniu tylko jedną dobę, przeto umywszy się i napiwszy herbaty z przekąskami, natychmiast udali się na oglądanie miasta. Tym razem byli już ostrożni i żeby nie zginać w Wiedniu, jak w Paryżu i móc odszukać swój hotel, wzięli adres hotelu od portjera. W czasie tej czynności zauważyli, że kręci się przy nich znany im żydek z wagonu. Zdjął kapelusz i kłaniając się uprzejmie, pytał Mikołaja Iwanowicza, czy nie potrzebują doróżki. Ażeby być zrozumianym, ten sam frazes powtórzył po francusku, po niemiecku i po polsku.

— A to się przyczepił! — rzekła Głafira Siemionowna. — Nie trzeba! Nic nam nie potrzeba! Nichts! Gehenzi precz! My idziemy na spacer, szpaciren...

Małżonkowie poszli piechotą. Wkrótce znaleźli się na wielkiej ulicy, jaskrawie oświetlonej gazem. Na prawo i na lewo były wspaniałe wystawy sklepów z wystawionymi cenami. Nie było tak wielkiego ruchu ulicznego, zwłaszcza drożek, jak w Paryżu i Berlinie, ale za to na trotuarze był ścisk i w tłumie przeważali żydzi. Przedewszystkiem rzuciła się w oczy małżonkom masa umalowanych kobiet, jaskrawie ubranych, w wysokich kapeluszach z szerokim rondem z białymi strusimi piórami. Kobiety te paliły papierosy i bezczelnie przyglądały się przechodzącym mężczyznom.

— W Paryżu i Berlinie nie widzieliśmy tego na ulicy w takiej obfitości! — zauważył Mikołaj Iwanowicz. — Patrz, ile tu ich jest. I wszystkie z białymi piórami. Mundur tutaj mają taki, czy co?

— A ty licz ich, licz! Bardzo odpowiednie zajęcie dla żonałego mężczyzny! — rzekła rozdrażniona Głafira Siemionowna. — Tfu! — splunęła i nagle zauważyła żydka z hotelu: biegł przed małżonkami, czasami równał się z nimi, potem znów wybiegał naprzód. — Patrz, patrz, żydek już znów koło nas. A to się przyczepił! — rzekła do męża.

Przechodzili obok olbrzymiej, poczerniałej świątyni i zatrzymali się, żeby obejrzeć rzeźby, gdy żydek podskoczył i wskazując na świątynię, rzekł:

— Die berühmte Stefanskirche!

Głafira Siemionowna uśmiechnęła się i przetłumaczyła mężowi.

— Mówi, że to kościół św. Stefana.

Następnie Głafira Siemionowna zaczęła zatrzymywać się przed wystawami sklepów. Wystawy były tak rześkie oświetlone, że światło aż raziło w oczy; zato oświetlenie to pozwalało widzieć dokładnie wnętrza magazynów, w których małżonkowie znów zobaczyli garbate nosy elegancko ubranych właścicieli sklepów.

— Subjekci tutejsi widocznie też przeważnie z Jerozolimy. Cóż on nam mówił, ten rodak nasz, że Wiedeń to słowiańskie miasto. Ładne słowiaństwo! — zauważyła Głafira Siemionowna.

Żydek nie odchodził od małżonków. Przy każdej wystawie kręcił się i oczekiwał jakby tylko stosownej chwili, ażeby usłużyć czemś małżonkom. Głafira Siemionowna była zdziwiona taniością jedwabnych pończoch i rękawiczek na jednej z wystaw.

— Trzeba kumieć. Nadzwyczajnie tanio! W Petersburgu trzy razy droższe! — rzekła, lecz zaledwie wyciągnęła rękę w kierunku kłanki sklepowej, gdy żydek wyskoczył i otworzywszy drzwi na całą szerokość, zaprosił małżonków do sklepu.

— Dizes... ich wais nicht, wi ouf dajcz .. wskazała Głafira Siemionowna na pończochy.

— Strümpfe... Dmenstrümpfe... — rozkazał subjektowi żydek.

— A niech cię! I czego ten żydek kręci się koło nas! — denerwowała się Głafira Siemionowna.

— Widocznie to komisjoner, faktor. Teraz już rozumiem, o co chodzi — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Wybrano pończochy i rękawiczki i zapłacono. Sprzedawał jakiś kędzierzawy subjekt z garbatym nosem, ze spinkami z fałszywych brylantów w koszuli. Żydek-faktor przez cały czas porozumiewał się z nim jakimś gardlanym żargonem, zupełnie niezrozumiałym dla małżonków i kiedy małżonkowie wychodzili ze sklepu, wsunął subjektowi jakąś kartkę do ręki.

Małżonkowie szli dalej, a żydek obok nich.

— A to bydlę! Możebyś się odczepił, przeklęty przybłądo! — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz i nawet podniósł parasol.



Żydek momentalnie podniósł kapelusz i odskoczył, jak oparzony, lecz kiedy małżonkowie obejrzel się, przekonali się, iż szedł o dwa kroki za nimi. Wyszli na jakiś plac, na którym stał teatr. Żydek zjawił się bliżej, ukłonił się i rzekł:

— Opera wiedeńska!

Naprzeciwno teatru było kilka restauracyj i kawiarni. Małżonkowie zaszli do jednej z kawiarni i zażądali lodów. Żydek znikł, lecz kiedy już kończyli swoje porcje, zauważyli go znowu. Siedział zdaleka przy jednym ze stolików i udawał, że czyta gazetę, lecz z pod oka obserwował małżonków i kiedy Mikołaj Iwanowicz zaczął płacić kelnerowi, podszedł do nich i podał dwa czerwone bilety.

— Bilety do opery. Mogę państwu ofiarować po zniżonej cenie! — rzekł po niemiecku i natychmiast przetłumaczył po francusku. — Zwei gulden, nur für zwei Gulden.

— Chociaż zła jestem na niego, nie mogę jednak się nie śmiać! — rzekła Głafira Siemionowna do męża. — Ofiaruje nam teraz bilety do teatru po dwa guldenty.

— Teraz już trochę późno — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz,

— Wszystko jedno, cokolwiek chociaż zobaczymy. Dawaj! Gebenzi!

Żydek drgnął. Małżonkowie chcieli mu zapłacić pieniądze za bilety, lecz nie chciał przyjąć i zaczął coś mówić.

Nie chce brać! Mówi, że potem! — przetłumaczyła mężowi Głafira Siemionowna.

— To dlatego, że chce się do nas przyczepić na stałe.

— A niech go! Przecież i tak, widzisz, nie odczepimy się od niego.

W ten sposób małżonkowie byli w teatrze. Dawali jakąś nieznaną małżonkom operę i maleńki balet. Publiczność w połowie również miała garbate nosy, jak na ulicach.

— Założę się z tobą, o co chcesz, że śpiewacy też są napewno żydzi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Napewno! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Nawet służące, które brały od nas płaszcze.

Kiedy małżonkowie wyszli z teatru, żydek-faktor czekał na nich przy wyjściu. Zdejmując kapelusz, pytał po niemiecku:

— Kaza państwo zawołać dorożkę? Może udadzą się państwo do restauracji na kolację? Supe? Znam najlepsze restauracje! Mogę wskazać państwu nawet taką restaurację, gdzie jest jeden kelner, który rozumie po rosyjsku.

Głafira Siemionowna przetłumaczyła mężowi propozycję żydka. Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się i rzekł:

— Co robić, niech go diabli wezmą! Niech wiezie! Wiedocznie już taki nasz los, że musi nas wziąć w swoją arendę. Ah, żydy, żydy! Jak oni umieją wlażyć w duszę człowiekowi!

Zjawiała się dorożka. Żydek wsadził małżonków, poczem siadł na kozieł obok dorożkarza. Dorożka ruszyła.

LXXXVIII.

Żydek przywiózł małżonków do eleganckiej restauracji. W czasie jazdy ulicami odwracał się ciągle z kozła do małżonków i wygłaszał nazwy ulic, wskazywał wybitniejsze gmachy, obok których przejeżdżano i t. p. Mówił nieustannie czterema językami, lecz małżonkowie niewiele go rozumieli. Restauracja, do której przywiózł ich, składała się z olbrzymiej sali, jaskrawie oświetlonej elektrycznością i zastawionej maleńkimi stolikami z marmurowymi blatami. Przy stolikach siedziało mnóstwo publiczności. Służba była w połowie żeńska; pomiędzy stolikami biegały młode, przystojne dziewczęta, czy kobiety w czarnych sukniach i białych fartuszkach i dość poufale rozmawiały z publicznością. Niektóre z nich, podawszy coś gościowi, jakiś napój czy jedzenie, przysiadły się wprost do jego stolika, piły z jego kufla piwo czy z kieliszka wino i wesoło szczebiotały. Goście przyjmowali to wszystko za dobrą monetę i ze swej strony chwyтали dziew-

częta wpół, szczypali lekko w policzki lub poklepywali je po ramieniu. Głafira Siemionowna zwróciła odrazu na to uwagę.

— Patrz, co za mały! Patrz, na co sobie pozwalają te kelnerki! Widzisz — ta blondynka z białymi kwiatami na bluzce, włożyła kapelusz męski na głowę. Patrz, patrz, poprawia gościowi wasy! Do czego to podobne? I że na to mężczyźni pozwalają?

— Kawalerowie... Kawalerski naród lubi takie rzeczy! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, zerkając z pod okna na kelnerki.

— A jakże, kawalerowie! Jestem pewna, że połowa — wszystko żonaci.

Do usługi małżonków wyznaczono jednak kelnera we fraku, którego przedstawił żydek, mówiąc, iż rozumie po rosyjsku.

— Widzi pan, kochany panie, chciałbym cośkolwiek tak a la riuś, coś do smaku! — zwrócił się do kelnera Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku. — Rozumiesz, braciszku, coś smacznego.

— Tak, proszę pan! — odpowiedział kelner, podając kartę i wkrótce okazało się, że oprócz tych dwu słów i rachunków nie umiał nic więcej po rosyjsku.

Mikołaj Iwanowicz odsunął kartę.

— Co ty mi kartę tu wsuwasz? Karta niemiecka, muszę ją przeczytać, a i tak nic nie zrozumieć... Daj nam cztery porcje czegoś dobrego; dwie porcje dla madame i dwie porcje dla mnie. Na pierwsze jakaś rybka, na drugie mięso, zrozumiałeś?

— Mięso? Tak, proszę pan!

— Fisz i flajsz, ale nicht kalt! — dodała Głafira Siemionowna, która zorientowała się odrazu, że kelner niezbyt dobrze znał język rosyjski.

Kelner ożywił się i pobiegł z obstalunkiem do kuchni.

Podano im jesiotra, zapieczonego w śmietanie, z jajkami, ziemniaczkami oraz sznycel wiedeński z jarzynką. Porcje były olbrzymie, jedzenie przygotowane smacznie; małżonkowie byli zadowoleni.

— To rozumiem, to się nazywa jedzenie! — mówił Mikołaj Iwanowicz, popijając doskonale piwko wiedeńskie. — I porcje jak się patrzy! Nie na wróbla apytat a dla człowieka. Głasza, może chcesz lodów?

— Zjadłabym chętnie.

— Bardzo dobrze! Proszę Cię, jedz, jedz... Posilaj się, musisz się odżywić trochę po tym Paryżu. Zażądaj również gruszki i winogrona, jak nie zjesz tutaj, możesz wziąć do hotelu, zjesz przed pójściem spać.

Głafira Siemionowna zjadła i lody i gruszki i winogrona; drugą gruszkę schowała w chusteczkę, żeby wziąć do domu.



— Najważniejsza rzecz, że przynajmniej wiemy w tym Wiedniu, co jemy! Jesiotr — ryba znana! — mówiła Głafira Siemionowna. — Odrazu zrozumieli, o co chodzi i podali nam do jesiotra ziemniaki a nie żadne ślimaki, jak w Paryżu.

— A więc jesteś zadowolona?

— Bardzo zadowolona. Wiedeń bardzo przyjemne miasto, szkoda tylko, że żydowskie. I piwo doskonałe...

— Doskonale! Widzieliśmy Wiedeń i możemy teraz wszystkim opowiadać, żeśmy w nim byli. A teraz, kochana Głasza, postarajmy się jaknajprędzej wrócić do naszych rosyjskich pałastyn.

— Ja też już stęskniłam się za domem.

— A ja już sobie rady dać nie mogę! Niech tę całą zagranicę diabli wezmą. Jak przyjedziemy do domu, pierwsza rzecz do łaźni. Pomyśleć, tyle czasu nie byłem w łaźni.

Zapłaciwszy rachunek i dawszy porządny napiwek kelnerowi, małżonkowie wyszli z restauracji. Żydek oczekiwał ich przy dorożce.

— Ach, nasze cudowne dziecko ciągle tutaj? — zawołał Mikołaj Iwanowicz, ujrzawszy żydka, tym razem jednak już w wesołym humorze i poklepał go nawet po ramieniu.

Żydek uśmiechnął się zadowolony i zaczął podsadzać małżonków do dorożki.

— Nach Hause? — zapytał, wskazując na koziół.

— Tak, tak... Do domu! Do hotelu! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Do domu żydek wiózł ich innemi ulicami i w dalszym ciągu pokazywał różne gmachy, mimo których przejeżdżano. Otóż i hotel.

— Kombien? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, wychodząc z dorożki i chciał zapłacić dorożkarza, lecz żydek i tym razem nie pozwolił mu tego zrobić.

— Nachher, nachher... Apres! — tłumaczył małżonkom i poprowadził ich po schodach do samego pokoju, otworzył drzwi, uklonił się nisko, życzył małżonkom dobrej nocy i ulotnił się.

LXXXIX.

Na drugi dzień rano małżonkowie napili się kawy i herbaty. wprowadzie bez samowara, ale zato z luźną ilością gotowanej wody, podanej w platerowanych dzbanuszkach. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wsunął się żydek, wszedł, uklonił się i zaczął mówić po niemiecku:

— Może państwo mają jakie zlecenia dla mnie? Może pan, może madame? Bilety teatralne, galanterja, cygara, wino...

Wydobył zręcznym ruchem z kieszeni afisze i adresy magazynów i rozłożył to wszystko na stole przed małżonkami, mówiąc ciągle naprzemian po niemiecku, po francusku i po polsku.

— Nic nie potrzeba! Nic, nic!... Wszystko już skończone!... — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz. — Dziś jedziemy do Petersburga. Dawaj rachunek i niech cię więcej nie widzę na oczy.

— Nu parton suar a Petersburg! — przetłumaczyła żydkowi Głafira Siemionowna.

Żydek aż wytrzeszczył oczy...

— Co takiego? W takim mieście jak Wiedeń państwo nie chcą nawet zabawić ze trzy dni? — zawołał. — Pani traci na tem! — zwrócił się do Głafiry Siemionowny. — Przecież państwo mogą nakupić tutaj różnych pięknych rzeczy po bardzo niskich cenach. Ja sam mógłbym państwu zaproponować takie węgierskie wino, za które w Rosji musieliby państwo zapłacić cztery razy drożej. Może pan raczy spróbować!? Tylko po dwa guldeny butelka.

Wydobył z kieszeni małą flaszeczkę próbną, szybko otworzył ją korkociągiem, który miał już przygotowany, wylał zawartość buteleczki do szklanki od herbaty i podał Mikołajowi Iwanowiczowi, mówiąc:

— Proszę spróbować! Proszę spróbować!

— Nic nie potrzebuje. Basta! Abend faren! — odpowiedział szorstko Mikołaj Iwanowicz, odsuwając ręką wyciągniętą szklankę.

Żydek zaczął dowodzić po niemiecku, że wieczorem nie można jechać, że wieczorem idzie nieprzyjemny, powolny pociąg osobowy, że pociągiem tym nie można zajechać do granicy bez przesładania.

— Um Gottes Willen! Dlaczego państwo mają się niepokoić, czy nie lepiej zostać do rannego jutrzejszego pociągu. To pociąg pośpieszny i państwo będą mieli ładne widoki po drodze. Madame, il faut rester jusqu'a demain matin! (trzeba zostać do jutra rana)! — dodał żydek po francusku.

— Nie, nie... Nic nie pomoże! Zaraz jedziemy! Dzisiaj jedziemy! Wdizisz go, jaki doradca się znalazł! — odpowiadał za żonę Mikołaj Iwanowicz.

Ale do spróbowania wina węgierskiego udało się żydkowi nakłonić Mikołaja Iwanowicza. Spróbował i rzekł:

— Wino naprawdę doskonałe. Można by kogoś w domu poczęstować. Możeby tak jednak wziąć parę butelek? — zapytał żonę, a gdy ta nie miała nic przeciwko temu, rzekł do żydka: — Nu, gut, cwaj butel!

Po winie przyszła kolej na cygara. Żydek dał Mikołajowi Iwanowiczowi cygaro, prosił go, żeby spróbował i dotąd naprzykrzał się, aż Mikołaj Iwanowicz obstałował setkę. Po cygarach żydek wyciągnął z kieszeni próbki materiałów meblowych.

— Dosyć, dosyć! Marsz! — krzyknął z gniewem Mikołaj Iwanowicz i wskazał na drzwi.

Żydek ulotnił się momentalnie.

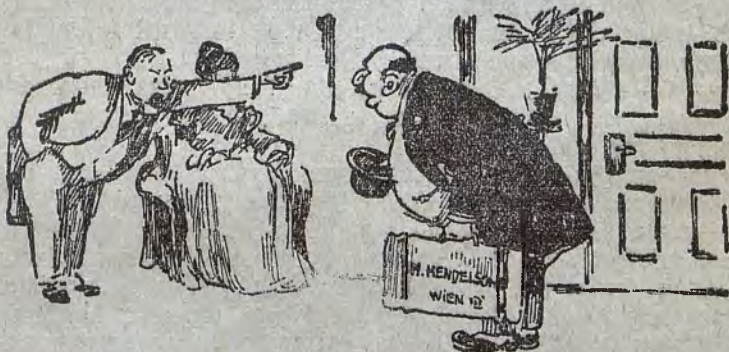
Znów rozległo się pukanie. Zjawił się wysokiego wzrostu tłusty żyd z pretensją na eleganta, z brylantowym pierścieniem na palcu i ukłonił się poważnie. W rękę miał maleńką elegancką walizeczkę skórzaną.

— Z handlowego domu Moses Mendelson... Gotowa konfekcja damska... Damen-konfektions... — zarekomendował się żyd po niemiecku i otworzył walizeczkę.

— Głasza! Czego on chce? — wytrzeszczył oczy Mikołaj Iwanowicz.

— Chce nam przedstawić jakieś damskie towary!

— Precz! Precz!



Żyd nie zląkł się.

— Proszę tylko popatrzeć! W Rosji kosztuje to wszystko trzy razy tyle! — tłumaczył i wydobył z walizki pelerynę damską z jedwabiu i dżetów. — Tylko 30 guldenów! 30, Madame.

Głafira Siemionowna nie wytrzymała.

— Ach, jakie śliczności! A jak tanio? Naprawdę za bezcen! — zawołała i zaczęła oglądać pelerynę.

Skończyło się na tem, że zakupiono u żyda dwie peleryny. Odchodząc, agent zostawił kilka adresów, ilustrowany katalog i prosił, aby małżonkowie wstąpili do magazynu Mendelso-sona.

— Ładne słowiańskie miasto ten Wiedeń! Niema co

mówić! Żydy i żydy! — rzekł po odejściu agenta Mikołaj Iwanowicz.

Wszedł kelner, aby zabrać naczynia od śniadania i poprosił małżonków o paszporty.

— Po jakiego diabła chce nasze paszporty, kiedy już wyjeżdżamy? — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Rachunek nam lepiej daj! Rechnung! Dzisiaj faren do Petersburga.

Kelner zrozumiał, lecz pomimo to prosił o paszport, chociażby na pięć minut.

— Daj mu paszport... Przecież prosi tylko na pięć minut. Widocznie potrzebuje. Widać tu takie przepisy.

Mikołaj Iwanowicz dał kelnerowi paszport i rzekł do żony:

— Zauważ, jakie to dziwne: karmią tu i poją do syta, porządnie, na sposób rosyjski i na sposób rosyjski żądają paszportów. Nigdzie zagranicą nie żądano od nas paszportu i tu w Wiedniu żądają.

Okazało się, że pociąg zagranicę odchodził nie wieczorem, lecz o trzeciej popołudniu. Zawiadomił o tem małżonków kelner, który przyniósł im rachunek i zwrócił paszport. Małżonkowie zaczęli natychmiast pakować się do drogi. Żydek nie odchodził ani na chwilę, lecz pomagał układać i pakować rzeczy i wreszcie przedstawił swój rachunek za dożki, za bilety teatralne, za kupione od niego cygara i wino. Po zsumowaniu wszystkiego w następnym wierszu stało słowo „Com mission“ i naprzeciwko tego słowa na miejscu liczb stał duży znak zapytania (?) Pokazał Mikołajowi Iwanowiczowi ów znak i rzekł po niemiecku:

— Co gnädiger Herr und gnädige Frau dadzą, będę zadowolony! Jestem pewny, że wielmożne państwo nie skrzywdzi biednego faktora.

To samo powtórzył w łamanym języku francuskim. Głafira Siemionowna zrozumiała i przetłumaczyła mężowi.

Żydek nisko się kłaniał i pomagał Mikołajowi Iwanowiczowi włożyć palto. Kiedy Mikołaj Iwanowicz, zapłaciwszy rachunek, dodał mu za faktorstwo dwa guldenty, uklonił się jeszcze niżej, odprowadził małżonków na dworzec kolejowy, usadził ich do wagonu, wsunął im w rękę przy pożegnaniu kilka karteczek z adresami hotelów i sklepów, prosząc rekomendować je jadącym do Wiednia Rosjanom i jeszcze raz kłaniając się, wyszedł z wagonu.

Po minucie pociąg ruszył.

XC.

Po drodze od Wiednia do granicy rosyjskiej nie spotkała naszych małżonków żadna specjalna przygoda. W miejscach, na których zatrzymywano się, spotykano tylko cegieł mnóstwo żydów, lecz byli oni nieco inni, zmieniali się w typie; chałaty ich stawały się coraz dłuższe i coraz brudniejsze, coraz mniej widać było krochmalonych kołnierzyków i mankietów, wogóle małżonkowie czuli, że coraz bardziej zaczyna

„pachnąć duchem słowiańskim“. Wraz z zwiększaniem się brudnych żydów na stacjach, coraz częściej słysząc było słowiańskie słowa, zmieszane z mową niemiecką i żydowskim żargonem. Słysząc było słowa czeskie, chorwackie, polskie, mało zrozumiałe dla człowieka rosyjskiego, lecz jakby pokrewne jego uchu.

Noc spędzili małżonkowie spokojnie, spali dobrze i rano, zbudziwszy się wcześniej, z wielką radością dowiedzieli się, że do granicy rosyjskiej pozostało już około godziny tylko. Ranek był pochmurny, październikowy, chłodny, nieprzyjemny, w normalnych warunkach przynoszący smutek, lecz oblicza małżonków były zadowolone. Cieszyli się, że zbliżali się do granicy rosyjskiej. Mikołaj Iwanowicz, wypiwszy naczeczko zamiast porannej herbaty, szklanek piwa, zaczął nawet nucić pod nosem:

„Skończona droga daleka,

Widzę kraj rodzony!“

— Cieszysz się, Głasza, że już będziemy wkrótce w domu? — zapytał żonę.

— Bardzo! Wiesz tak się cieszę, że nawet trudno mi to wypowiedzieć! — odpowiedziała, uśmiechając się. — Zmęczylam się i sprzykrzyło mi się już to wszystko. Te wszystkie porządki zagraniczne, to nie dla mnie!

— A pamiętasz, jak chciałaś jechać zagranicę? Nie dawałaś mi wprost spokoju: ciągle tylko pojedziemy i pojedziemy.

„Kiedy z wędrowki powrócisz do domu,

I dym ojczyzny słodki i przyjemny!“

— Tak, tak... Jak tylko przyjedziemy na granicę rosyjską, zaraz na stacji golnę sobie ogrrrrrromny kielich prostej wódki rosyjskiej... — rzekł uśmiechnięty Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie... Ty byś tylko ciągle pił.

— Głasza, kochanie, przypomnij sobie, ile czasu się z nią nie widziałem? Raz jeden tylko w Genewie udało mi się do niej dotknąć i to, pamiętasz, ile zdarli za to?

— A jak ja przyjadę na granicę rosyjską, zaraz każe sobie herbaty podać! — rzekła Głafira Siemionowna i dodała: — Wiesz o czem najczęściej myślałam i do czego najbardziej tęskniłam zagranicą? Ty do wódki a ja do obwarzanków. Przez całą drogę zawsze przypominały mi się, kiedy piłam herbatę, a w Genewie nawet śniły mi się w nocy.

Na dworze mżył drobny deszcz, szklane szyby wagonów płakały jakby, widok był naprawdę smutny. Stopniowo znikali starannie uprawione pola, coraz częściej widać było piaszczyste, gładkie ugory i pustkowia. Znikali stopniowo pasażerowie z pociągu i zostało ich zaledwie kilkunastu, kiedy pociąg podjechał do ostatniej stacji austriackiej. Około godziny ósmej konduktor odebrał już zupełnie od małżonków książeczki biletowe bezpośredniej komunikacji, zakupione w Paryżu.

— Czy prędko przyjedziemy? — zapytał się Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku.

— Konduktor zrozumiał pytanie, lecz odpowiedział po niemiecku:

— Za dwanaście minut!

— Chwała Bogu! A za to, że zrozumiałeś po rosyjsku, masz tu na piwo! — i Mikołaj Iwanowicz zadowolony oddał konduktorowi resztę swoich austriackich i niemieckich pieniędzy w ilości kilku monet niklowych.

Oto już pociąg zwalnia biegu i jedzie żółwim krokiem pomiędzy rzędami wagonów, stojących na linjach zapasowych. Około wagonów chodzą robotnicy kolejowi. Bez względu na deszcz, Mikołaj Iwanowicz otworzył okno i wychyliwszy się, z niecierpliwością spoglądał w kierunku granicy rosyjskiej. Nagle robotnik jakiś, krzycząc coś po polsku do kolegi, zaklął głośno i soczyście po rosyjsku.

Mikołaj Iwanowicz drgnął.

— Głasza, już Rosja! Już rosyjscy ludzie! Wymyślają po rosyjsku! — zawołał i uroczyście dodał: — „Tu duch rosyjski, tu Rosja pachnie!“

Jeszcze minuta. Rozległo się skrzypienie hamulców i pociąg zatrzymał się.

— Przyjechaliśmy na rosyjską granicę! Chwała Bogu! — rzekła Głafira Siemionowna i przeżegnała się.

Przeżegnał się i Mikołaj Iwanowicz.

Mowę rosyjską słychać było już w kilku miejscach. Na stacji stały dwa słupy: jeden z orłem austriackim na tarczy, drugi z rosyjskim. Do przedziału wszedł tragarz i zabrał rzeczy małżonków. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna wyszli z wagonu i szli po peronie. Oto i sala celna. W drzwiach stoi wysoki żandarm rosyjski i odbiera paszporty.

— Rosyjski człowiek! Prawdziwy Rosjanin! Kochanie! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i rzucił się na szyję żandarmowi.



K O N I E C .



30

4745 | 8

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000880001



II 1005838